

PISMA J. I. KRASZEWSKIEGO

Z RYCINAMI HENRYKA PILLATEGO.

DZIWAŁA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WARSZAWA.

NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA.

1857.

PISMA J. F. KRASZEWSKIEGO

X REGIZAMI BRZYBYA PILDARCO

DZIWAŁA

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie, dnia 25 Lipca (9 Sierpnia) 1856 roku.

Starszy Cenzor, **F. Sobieszcański.**

J. F. KRASZEWSKIEGO

F. 1728

WARSZAWA

W Drukarni GAZETY CODZIENNEJ.

DZIWAŁA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

SŁÓWKO AUTORA.

Powieść ta napisana była niemal do połowy drugiego tomu w r. 1848, i zupełnie porzucona na czas jakiś, a możebyśmy jej nie dokończyli wcale jak wiele innych, gdyby nie pilna naówczas potrzeba zasilenia Tygodnika Petersburskiego, który straciwszy głównych swoich kollaboratorów, udał się za pośrednictwem ś. p. metropolity Hołowińskiego, żądając czegoś dłuższego dla zapelnienia próżni, jeszcze naówczas zbyt widocznej, dziś już niezem nie zajętej. Posłuszni żądaniu dostojnego zmarłego, którego los pisma obchodził, oddaliśmy zaraz Dziwadła skończywszy je, do Tygodnika, który tom I-szy



i część II-go tylko podobno wydrukował, a całość później odstąpił księgarzowi Wolffowi, i ten w lat kilka dopiero, bo w r. 1853 wydał *Dziwadła*.

Gdy nam je dziś przejrzyć i poprawić przyszło, małośmy znaleźli do zmiany, a przerabiać głównej myśli i postaci w nowy sposób nie chcieliśmy umyślnie, pozostawiając pierwotne choć ulomne. Musiały one być takimi tam, gdzie szło o ideały, któreby nie były niepoścignionemi

mrzonkami, ale żywymi i możliwymi postaciami naszego świata. Zapewne i pod tym względem wiele im zarzucić można, aleśmy ani p. Graby, którego charakter wywołał zarzuty, ani Ireny inaczej dziś przedstawiać nie chcieli.

Na ideały wiele im braknie: ujdą na Dziwadła. — Zresztą nowe pojęcie ich, nowąby całe stworzyło powieść i pociągnęłoby za sobą zmiany całej budowy: czy na lepsze? to przewidzieć trudno.

Z pokorą więc tak stajemy dziś przed czytającymi, jakieśmy im się dali poznać wprzód, nie ufając siłom i nie wierząc w późną poprawę.

Powieść ta, pomimo zławych krytyk, większe może miała powodze-

nie nad inne, lepiej przyjętą została niżeliśmy się spodziewali; przypisujemy to nie wartości jej ale pragnieniom i dążności, jakie myśl główna obudziła. W Gracie chciano widzieć wzór człowieka, jakich dziś potrzebujemy, i on wskazany został instynktem czytelników za bohatera powieści, choć inne figury główniejszą w niej grają rolę. Nie bez słuszności zarzucano Irenie: trochę mękości zbytcej, trochę lwiego charakteru, który jednak po

rozmyśle musimy jęj zostawić. — Nie jestto ideał nasz, ale istota żywa i podległa słabości wieku i czasu, jak wszyscy: bez tego byłaby zimną i powszednią. O wartości artystycznej tego obrazku nie nam sądzić przystało: wiemy żeśmy go pisali z uczuciem, żeśmy te postacie uko-

chali serdecznie, i przywykliśmy do nich jak do znajomych, a cała ta powiastka zdała się nam jakby odeśniona z przeszłości, jakby rzeczywistością zamgloną.

Zytmierz.

Dnia 16 (28) czerwca, 1856 roku.

PANU EDMUNDOWI SUSZY, W WARSZAWIE.

Tórza Góra, 20 września 184...

Kochany Edmundzie! A! a! a! ubolewaj nademną, jeśli ci czasu na ubolewanie, rodzaj twojego życia i rozliczne próżniackie zajęcia, zostawia. Jestem nareszcie w Turzėj Górze i nudzę się śmiertelnie. Spodziewałem się tego, i przeciw najpowszechniejszemu prawidłu, ziściły się całkowicie nadzieje moje: nie zawiodłem się wcale. I niedość że się nudzę, jak rzekłem, ale w oddalonej perspektywie jak zajrzeć, nie nie widzę przed sobą, nie, tylko szeroko rozłożone sine i ciemne nudy. Mój Boże! a wy tam się tak ślicznie bawicie w Warszawie. Wściekam się myśląc o tém, serce mi rośnie z zazdrości i wyrzywa się, głowa kręci: szerokie ziewanie gniew ten i szal zamyka! Nauczyłem się ziewać, nauczyłem spać, nauczyłem patrzeć w okno przez półtoręj godziny i liczyć belki na suficie, uważając bacznie czy są parzyste; nauczyłem się liczyć tarcice i ćwieki w podłodze: trzeba ci bowiem wiedzieć, że tu sufity są o belkach i podłogi z tarcic sosnowych, poprzybijane najnawniej ćwiekami, których głowy ciekawie sterczą do góry. Ale czekaj! nie odrazu Kraków zbudowany: dowiesz się o wszystkim, cierpliwości tylko trochę, cierpliwości.

Wiesz już dobrze jak zadłużony, prześladowany przez zawistne losy (styl teatru Rozmaitości), zdradzony przez Lorę, naglony nielitościwie przez Szmula Malsztejnę i bliżki osadzenia za należności fantastycznych rozmiarów w stosunku do kieszeni mojej: przypominałem sobie nareszcie jednego wieczora (właśnie w porę), że miałem bardzo bogatego dziada stryjecznego, bezdzietnego starca, na którego ogromne dziedzictwo czyhali uboczni krewni. Wiesz, jak nagle siła krwi pociągnęła mnie ku niemu, jak mi się zachciało wsi, polowania, samotności, ciszy, ustronia dalekiego i spoczynku. Wiesz i to, jakeśmy się pożegnali z dobrymi towarzyszami przy butelce szampana, jak upojony Montebello i nadzieją, siadłem w kocyk wygrany od Alfreda, i z towarzyszaniem pocztarskiej trąbki puściłem się w kraje nieznanne. A za mną zostawał nieutulony w żalu Mary, któremu coś naksztalt dwóch tysięcy złotych należało się za ostatnie śniadanie, czarodziejska Lora, dobrzy przyjaciele, których ograłem sposobiąc się w drogę, i Szmul Malsztejn, gładzący siwą brodę i wznoszący oczy w niebo, jak gdyby myślał, że w lazury na wozie Eliaszowym uleciał, porwany żywcem za cnoty moje.

Al bo w istocie cnót moich nikt z was, oplakujących mnie teraz, zaprzeczyć nie może. Albożem kiedy wypchnął żyda za drzwi, poszczul psami lub przynajmniej nie hamując się wybesztal? Albożem nie szanował w każdym z nich i pieniędzy, które dał, i tych które mógł dać jeszcze? Albożem nie był markizem francuzkim (przeszłych wieków), co

do grzeczności z nimi, ruskim bojarem w szcudroblowości—na papierze. Albożem po ohydnej zdradzie Lory zrobił jęj najnniejszą, o którąby zemsta wołała, niegrzeczność?? Czyż choć nie uklonił się jęj kiedy? czyż wymówki czynił? czyż... Któż cnoty moje wyliczy, które teraz wszystkie razem wychodzą przedemnie i klaniają mi się z miną odprawionych sług!...

A wyż towarzysze moi, nie uznacie-li, że wygrywając, był *de bonne composition*, tak dalece, że brałem za dobrą monetę fajki wasze piankowe i pierścionki z włosami, pozwalał zakładać w banku cygarniczki; a przegrywając płaciłem do ostatniej podartęj pięcio-złotówki? Nie uznacież, że miałem nigdy się nie dając prosić (choćby szkaradne wino), sekundował choć to pachło kożą, i strzelał się ze świeżo powracającymi z Paryża lwami, co dali dowody trafności swych strzałów u Lepage'a i Devismes na dyskach treflowych!

Niestety! nie na świecie mniej użytecznego nad towarzyskie cnoty. Na cóż mi się one dziś przydadzą? Talenta, nauka, doświadczenie, nabyte w kochanej Warszawie tak drogo, leżą dziś trupami przedemną: jestem w Turzėj Górze—to dosyć. Ale że ty nie znasz jęj i nie wiesz zupełnie co to jest Turza Góra, muszę nareszcie począć od początku, gdyż jak uważam teraz, zaczynałem podobno od żalów, tojest od końca.

Kocyk mój toczył się po nierównym bruku i spuszczał na most pragski, a ja, obwinęty w płaszc, udałem że drzemię, jedno tylko i to nie całe oko na świat puściwszy, aby zakrytego nie poznał Szmul Malsztejn lub przejeżdżająca Lora. Pierwszy za kołnierz, druga za serce zatrzymać i zawrócić mnie mogli. I widziałem jednim okiem na świat patrzącem wszystkie sceny żywota, z którym się rozstawałem. Miasto wrzało, krzątało się jak wczoraj; nikomu nic nie brakło, nikt nie poczuł że wyjeżdżał: tak ze mną, jak bezemnie!! Nigdzie nie widać było po mnie żaloby. Uderzony tą niewdzięcznością, otrząłem proch z nóg moich i począłem wymowne a długie przekleństwo na miasto, które trwało do rogatek. U rogatek, gdyśmy się jeszcze rozmijali z niedobitkami miejskiego żywota, a poczytliem poczytał trąbić raźnie, ja już usnąłem...

Śnów opisywać nie będę, choć nudząc się tu wściekle, miałbym prawo snami nawet mojemi, list, jedyną zabawkę, przedłużyć. Ale mam litość nad tobą, *je suis bon enfant comme au tems jadis*.

Gdym się przebudził, minęliśmy już byli Miłosnę, a tęsknota gorzka napadła mnie razem ze zmrokiem. Myślałem co wy tam porabiacie, i zazdrościłem, ziewając szeroko. Oni się bawia! i nikt mnie nie wspomnił Lora siedzi na kolanach p. generała, któremu gładzi siwą czuprynę i poczerńnionę wasy; Szmul pożyczca Stanisławowi tak jak mnie pożyczal, a Mary karmi parafrzańskie żołądki przybyłych do Warszawy, którzy nie wiedzą czemu się bardziej dziwować: czy, że tak smaczno jedzą, czy że tak drogo płacą.

Z myśli wpadając w myśl inną, nieznanemi drogi dostałem się na surowe uwagi nad sobą i przyszością. Wyznasz, że znalazłszy się na tém niezwyčajnem mi stanowisku, mocno się naprzód zadziwiałem. Miejsce było mi całkiem obce: kierowałem się w niem instynktowo.

Sierota, utraciwszy co miałem, odłużony, bez przyjaciół (darujcie, nie wiedziałem może com mówić), bez rodziny, bez żądy i nadziei w sercu wystylgłem i wyschłem, mając tylko sto dukatów obciętych, koczyk i nieopłaconego Stasia (Stas się zowie nieopłaconym, bo dwa lata pensyi nie widział), puszczałem się na fale rozlukanego morza wypadków i losu. Jadę do dziada, który mnie nigdy nie widział, który zaledwie może wie że żyje, do któregoś się nie zgłaszał od czasu, jak matka przypilnowała mię, abym pisał do niego powinszowania świąt na dwóch liniach. Jak on mnie przyjmie? Co z tej podróży wyniknie? Żyje-li on? Ktoto jest? Te i tym podobne pytania przez myśl mi przechodziły, a odpowiedzieć sobie na nie nie potrafiłem. Probuje, powtarzałem tylko w duchu.

O fantastycznym moim dziaduniu tyle tylko wiedziałem, że bardzo bogaty, że bardzo stary, że mieszka w zapadłym Polesiu nad brzegami Słuczy, że zardzewiała jak stara szabla, i że trudno mi zapewne będzie ująć go i podobać mu się.

Nadedniem obudziliśmy się znowu po snach różnych i marzeniach, stłuczony, zmęczony i ziewający naprzeciw miasteczka Biały, gdzie stary zamek, podobno Radziwiłłowski, świeci białemi żebrami jak kościotrup wieloryba, odartego z mięsa i tłuściości, porzucony przez rybaków na morskim brzegu. Tu spocząwszy trochę, udałem się dalej, i dojechawszy dopiero do Brześcia, nauczyłem się geografii. Pokazało się bowiem, że powinienem był jechać na Lublin i Chelm lub Włodawę. Wziąłem, jak prawy Warszawianin, Polesie za Litwę, i myślałem Słuczy szukać około Wilna kędyś lub Grodna. Naprawiłem tę omyłkę zawstydzającą, choć się z niej śmiałem dobrze, przedzierając się bez drogi pocztowej, najętym furmanem, ku zamierzonemu celowi podróży.

Skoczmy odrazu do niego, mijając nudne i powolne zakaty błakanie się po kraju, o którym wyobrażenia mieć nie możesz, boś go, jak ja, nie widział na własne oczy. Kraj to dziki, straszny, smutny, a zamieszkały przez samych tylko wieśniaków, żydów i ekonomów: przynajmniej nie tu innego widzieć mi się nie trafiło.

Ja, co przywykłem długo do wygodnego mieszkania, do zbytkowych wygód życia, do pozorniej wytworności, która po miastach niedostatek nawet osłania: co chwila zdumiewałem się, jakim osobliwym przypadkiem ludzie w takiej nędzy, upodleniu, niedostatku, brudzie i sinrodach dwie godziny przeżyć mogą? Pierwszy nocleg w jamie okropnej, którą tu dobrą karczmą nazywają, wydał mi się całą wiecznością piekiel. Wieśniacy, tak ujmujący w starych sielankach i nowych powieściach, pokazali mi się straszliwi, osmoleni, z całą potwornością, jaką ich obdarzyła nędza i długie zezwierzenie: w świetle, w jakim zaledwie przed kilkuset laty wyobrażać ich sobie mogłem. Jak na złość nawet natura nie osładzała żadnym miłszem wrazeniem, przykrych, jakie odbierałem od ludzi i wszystkiego ludzkiego. Nasza natura w październiku, jak wiesz, wcale się nie wdzięczy i nie stroi; a tu wątpię, żeby i maj był bardzo powabny. Ogromne przestrzenie zajmowały błota kepiaste, pokryte

stogami pochylonemi; lasy krzywe i nędzne, żółte piaski sośninką rzadką potrzęsione, a nad tém wszystkiem niebo szare, brudne, smętne, niekiedy zaplakane, a zawsze wilgoć jakąś nieprzyjemną z siebie sączące.

Nareszcie, nie wiem już którego dnia mojej podróży, gdy mi cygar i tytoniu, i wódki francuzkiej, i czekolady, i ciasteczek, i cukierków nawet u Lesła na drogę kupionych, zabrakło: dowiedziałem się, że jestem przecie o trzy tylko mile szkaradnej drogi (innej tu nie ma) od Turzój-Góry i od kochanego dziada.

Serce mi się poruszyło bardziej na wspomnienie spoczynku, wyznaje, niżeli na szanownego ze wszech miar starca, którego poznać miałem: potrzebowałem bowiem pilniej odpoczynku, niż dziada. Ubrały świeżo i modnie, ale że godzina była ranna, nie we fraku, siadłem do powozu i wyglądałem rychłoli się ukaże port oczekiwany.

Niestety! trzy mile jechałem dla błota i nakotów (innym razem wytłumaczę ci co to jest), najmniejszą sześć godzin, i dopiero około południa woźnica mi oznajmił, że karczemka, przy której konie odpoczywały, należała już do obszernego klucza Turzógurskiego. Z pierwszego przedmiotu chciałem zaraz wnieść o posiadacz, i ciekawie wychyliłem się ku karczemce.

Al! pomyślałem sobie, jeśli tak dziaduniu wygląda jak karczemka, nie było po co jechać! Wystaw sobie chatę, *tout ce qu'il y a de plus misérable*, cztery słupy niskie, zarzucone kłódkami nieobrobionemi, okienko nawpół w ziemi, dach zielony mchem porośły, komin szecerbaty, drzewiczki koszlawe: słowem najnędzniejszy szalas w świecie. Chcącemu wnioskować, wnioski sunęły się tłumem do głowy; skończyłem na ostatecznym wyroku, że starzec nie dbały, bezsilny, a ludzie rządzą za niego i rządzą nic do rzeczy.

Wtém koniska wytechnawszy, ruszyły dalej. Skończył się przecie nudny i jednostajny las; wyjechałszy na pole szerokie, i w oddaleniu ukazała mi się góra drzewami zarosła. Zpośrodku szarych już gałęzi wznosiła się biała wieżyczka kościelna i ciemne kopuły cerkwi ruskiej: nie więcej nie dostrzegłem. Droga sunęła się wśród piasezystych lanów obrzuconych żerdziami, a na niej ślady tylko niekuty kół wryte były. Zbliżając się ku Turzój-Górze, wyostałem się znowu na nieznośną groblę, nad którą stały młyny, zgarbione i siwe od mącznego pyłu, i przejechawszy przez kilka mostków prawdziwie polskich, wtoczyłem się nareszcie do miasteczka.

Turza-Góra bowiem zowie się *miasteczkiem*. Ażebyś wiedział co tu tém imieniem nazywają, opiszę ci je. Nie mam co robić, a papieru i atramentu nie rychło mi zabraknie. Słuchaj więc, a raczej czytaj i ucz się. *Ab uno disce omnes* (patrzcie jak wyrzucą na wierzch stara szkolna łacina!) Błotnistą ulicą wjechałem w tak zwane miasteczko: po obu jego bokach stały chałupy czarne, gdzieniegdzie porządniejsze białe, po pas oszamerowane i obwiedzione takąż obwódką dokoła okien i drzwi. Przed domostwami ogromne śmietniska zaświadczały o starożytności sadyby. Stare grusze, obwieszane szaremi płachtami, ocieniały zgniłe dranicowe dachy. Wpółrodku był rynek: tu, w pięciu karczmach, które stały jak pijane, powywracawszy się na różne strony i podpierając jedna drugą, i w dwudziestu lichych domkach z ganeckami, pełnemi fantazyi, mieścili się żydzi. Żyd stanowi miasteczko.

Prawo powszechne: jeden żyd — wioska; gdzie tylko ich więcej — miasteczko: im większa liczba żydów, tém lepsze i handlowniejsze. Dodatkowo mi tylko cechami miasta są: cerkiew, jak tu, stara i ciasna, kościółek odrapany, niegdyś biały, i kramy. Zajmują one środek rynku w Turzėj-Górze; były może dawniej kiedyś porządne, ale dziś widać ogołocone krokwie na dachu, a piasek zasypał je do okien. Przed nimi, pod dachem wychylonym, miara miejska. Dom z ganeczkiem piętrowy, na którego wierzchołku był dawniej dzwonek, zwał się ongi ratuszem. Wysadzaną wierzby amputowaniami niemiłosiernie drogą, na której tylko dwa razy ugrzązłem, i to nie śmiertelnie, bo mnie drągami podważano, a nie wołami wyciągano, wskazywano mi do dworu.

Wysokie płoty otaczające sady, jak się domyślałem, ciągnęły się po za rowem szerokim; wszędzie drzewa. Z za gałęzi ich ujrzałem wreszcie oczekiwany dwór: wysoka murowana brama wiodła w dziedziniec, którego jeden bok zajmowała budowla obszerna, ciemna, z wysokim dachem i licznymi kominami; dalej stały podobnego pozoru oficyny, murowany skarbiec z herbową chorągiewką na głowie i t. d. Wał niegdyś otaczający zamczysko, na którego miejscu stanął później ów dwór, opasywał jeszcze zabudowania; wyschła fossa zarastała drzewy i krzewami. Tuż po za dworem płynęła Słucz głębokim parowem.

Dwór mojego dziada dla mnie miał minę wielkiej starożytności, nigdy bowiem nie podobnego nie widziałem. Drewniane jego ściany przecinały okna dość duże, ale z małych po większej części szybek, w olów oprawnych, złożone. Ganek na czterech słupach oparty, z ławkami dokoła, wysłany był cegłą, która środkiem głęboko wychodzona w ziemię wkłęsała.

Gdy koczyk mój zataczał się powoli przeddrzwi, ujrzałem kilka figur ciekawie wybiegających z za węglów domu, z kuchni i oficyn, aby się przypatrzeć przybywającemu. Stałem: szpakowaty w krótkiej lisiurce i skórą wyszytych rajtuzach mężczyzna, ze stępem w rękę, siwe oczki brwią chmurną okryte wlepił we mnie zaraz w ganku. Zdawał się oczekiwać zapytania. Ja tymczasem mierzyłem go oczyma nawzajem, chcąc odgadnąć coby zacy był. Twarz poryta zmarszczkami, wusy zawieszyste, usta rumiane, przy uchu kolezyk, bokobrody wymiarów olbrzymich, do góry podczesane, dopełniały fizyognomii; zpod lisiurki przeglądał tombakowy łańcuch z dewizkami, należący, jakem się domyślił, do ogromnego srebrnego zegarka.

— Pan Koniuszy jest w domu? — spytałem dość grzecznie (wiecie że jestem zawsze grzeczny, nawet gdy najbardziej zmęczony i znudzony).

Sługus (gdyż niewątpliwie było sługa), obejrzał mnie i powóz uważnie, wyjął powoli z ust klak, który dopiero teraz pod wąsami spostrzegłem, i odpowiedział mi, splunąwszy, dość ochryplym głosem:

— A jest.

— Wszak będę się mógł z nim widzieć?

— A czemuż nie?

— Postąpiłem krok.

— Wskażcie mi, proszę — rzekłem — gdzie mam iść?

— Prosto do sali — rzekł szpakowaty — a potem na prawo.

— Bez oznajmienia? — spytałem.

— Albo co? — rzekł zdumiony sługus.

Dopiero sobie przypomniałem, że jestem na wsi

i że tu inne muszą być obyczaje, i rozebrawszy się, puściłem się w podróż odkryć za szanownym dziadem.

W sieniach na łosich rogach wisiały trąby, torby, harapy, smycze, obróże, dwa zające i pęk jarząbków.

Jużciż — rzekłem w duchu — siedmdziesiąt-letni z górą starzec nie może być myśliwym: ludzieto sobie tak gospodarują u niego; znajdę go pewnie w wygodnym krześle u kominka.

To mówiąc, otwarłem drzwi tak zwanęj sali, i wszedłem do ciemnej dość izby, której okna wychodziły na zarosły brzeg Słuczy. Ściany okryte były starym papierem, wypłowiałym, w jakieś dziwne desenie: na łodygach kwiatów olbrzymich przechadzały się tam panie i panowie, pasterki i pasterze. Od sufitu wisiał porcelanowy pajak, okapany woskiem. Kanapa i krzesła były niegdyś białe ze złotem, wybite spłowiła cytrynową trypą. Dwa stoły, dwa piece kafłowe po kątach (w których się właśnie paliło), otóż i cała prawie sala; zresztą, żywej duszy. Wedle skazówki, płynąłem na prawo, zkąd donośny głos mnie dochodził; mimowolnie słyszałem odłamek rozmowy:

— A byłże na miejscu?

— A był Jaśnie panie.

— I pewnie wie, że losie są w ostepie?

— Mówi, że napatrzył.

— A obławaż nakazana?

— Jeszcze wczoraj.

— Cóż u stu rejumentów djabłów, że dotąd nie wyszła! Powinna być na miejscu! Posłać zaraz gumienego, polowego, gajowych z harapami, niechaj pędzą spóźnionych!

Właśnie na te wyrazy wszedłem do pokoju na prawo.

Dwóch ludzi stało w borsucznych torbach u drzwi przeciwnych, a jakaś figurka dobrze siwa, maleńka, trochę otyła, pękata, szerokich ramion, przechadzała się po pokoju: w takiej samej, nowszej tylko trochę zielonej lisiurce od widzianej już w ganku, z harapem przez plecy, w butach juchtowych i czapce na ucho zarzuconej.

Ten jegomość zmierzył mnie stojącego w progu, ubranego wytwornie, okiem nieufnym, zdziwionem; głos zamarł mu na ustach.

— Chciałbym widzieć się z panem Koniuszym: nie powie mi pan z łaski swojej gdzie go znajdę?

— Pana Koniuszego Sumina?

— Tak jest.

— A po kiegoż on djabła jegomości?

— Przybyłem do niego.

— Do niego? Pewnie z jakim interesem?

— Bez żadnego interesu, chęć poznania go tylko.

Mały staruszek nie dowierając poglądał mi w oczy; ja wdychałem, uzalając się w duchu na tyranią, z jaką słudzy biednemu starcowi nawet widzieć się nie dają z przybyłemi do niego.

— Cóżto on taki ciekawy — mówił dalej stary — że pan go poznać chcesz?

— Pozwól pan, żebym mu się dalej nie tłumaczył — odparłem trochę żywiżej. — Mogę się z nim widzieć?

— A toż go widzisz mój paniczku! widzisz go! Ja jestem Koniuszy Sumin.

Cofnąłem się ostopiały o kilka kroków, nie mogąc pojąć, żeby ten człowiek miał być dziadkiem, któremu uparczywie wystawiał sobie bezsilnym, drżącym, sparaliżowanym starcem. Perora przygo-

towana na powitanie, uleciała, słowa nie znalazłem w ustach.

— Jestem Jerzy Sumin! — wybąknąłem pomieszany, zbliżając się z uszanowaniem.

— A! Juras! Jurek! Pan Jerzy! Ki djabel! kto by się spodziewał! ha! ha! ha! ha!

I stary rzucił mi się w objęcia.

— Jurko! dalipan! poczekaj! Ma rysy familijne! Szelma jestem, że ma! Hej! Malcowski! Janie! Pawle! Macieju! Służba! odwołać polowanie! Niechże się napatrzę: rażny, dalipan, chłopiec, tylko trochę wymokły! Otóżem ci rad! Ale kie lichy zapędziło cię aż w poleskie lasy i bory?

— Przyjechałem umyślnie z Warszawy dla poznania kochanego dziada.

— Dziada! dziada! nie nazywaj-bo mnie tak Waszczę; już lepiej Koniuszym, czy jak tam sobie chcesz. Patrzaj go: umyślnie z Warszawy! Ani chybi, myśliwy być musisz i zachciało ci się polować.

— O nie!

— Jakto! nie jesteś myśliwym? a cóż?

— Na nieszczęście nie jestem, ale nim być mogę.

— O ba! nie łatwo! Ale siadajże i rozgość się.

Gdyśmy to mówili, służba w ogromnej liczbie gromadziła się u drzwi. Było coś patryarchalnego w jej fizygnomii poufałej i uśmiechniętej. Mój dziad wydał rozkazy, żeby natychmiast rzeczy moje znosono na górę, a sam dobywszy kluczów na sarniej lapce z głębokiej kieszeni, utworzył szafeczkę, wyjął butel z gdańską wódką i kawał piernika.

— Strudzonym podróżą te kordyały służą—rzekł mrugając ku mnie—nie prawda? Do Waszeci, panie Jerzy!

Kochany Edmundzie, rozpaczam żeby ci resztę godnie potrafił opisać, a nadewszystko moje osłupienie, podziwienie co krok i głęboko uczuty zawód. Spodziewałem się nudzić, ale nigdy w ten sposób: myślałem, że znajdę bezsilnego starca, otoczonego wszystkimi wygodami życia, pielęgowanego, kaszłającego, poważnego: a wpadłem na poleskiego Nemroda, krzepkiego i silnego jak łoś, żywego i ruchawego, noszącego klucze w kieszeni, pijącego najmnij cztery razy wódeczkę, zjadającego bigos i kielbasę wędzoną, i siedm razy na tydzień jeżdżącego na polowanie na wózku, który od pierwszej próby takimi mnie kolkami obdarzył, że myślałem, iż umrę na miejscu.

Chcesz poznać pana Koniuszego, miej jeszcze trochę cierpliwości i doczytaj list do końca. Zaraz pierwszego dnia (aussitôt arrivé, aussitôt pendu) musiałem jechać z nim i całym jego dworem na polowanie na łosie. Dano mi jakąś przedziwną gwintówkę, która musiała wazyć ze czterdzieści funtów, bo mi ramię od niej zcierpło; uziąblem, zakatarzyłem się, opiłem prostej wódki (bo gdańska nie wyjeżdża na łowy), zakąsiłem zimną kielbasą, i powróciłem wieczorem, wśród śpiewu myśliwych, chórem intonujących:

Zając sobie leży pod miedzą....

O Boże! cóżto za kraj barbarzyński, jakie obyczaje! Na wieczere dano mi, przywykłemu do wytwornej kuchni Marego, potrawy jakies starożytnie, patryarchalne, o których wyobrażenia nie miałem. Podniebienie moje i ja osłupieliśmy z podziwienia. Wystaw sobie krupniczek z wędzonej gęsi, jakąś przedpotopową kaszę ze słoniną, i pieczyście (dla mnie dodane), suche jak panna M... A winko! a! a! Czemuż cię tém słodko-kwaśnem winkiem dni powszednich poczęstować nie mogę?!

Byłto garncami sprowadzany węgrzynek z sąsiedniego miasteczka, który zbliżał się do osłodzonego octu. Nie dziwiłbym się, gdyby go w aptecznych butelkach z sygnaturkami zamiast mixtury podawano. Pan Koniuszy dolewał a dolewał, jam spełniał przez grzeczność, i poszedłem spać z bolem głowy.

Umieszczono mnie „na górze.“ Wystaw sobie ogromne dwa pokoje, zimne jak Syberya, ogromnie wysokie, bez podwójnych okien, bez franek, bez okiennic i z chwiejącą podłogą. Łóżko na czterech, z kotarą kwiecistą, której mole nie dojadły; stolik z odłamaną nogą, sześć krzeseł kulawych i powysiadywanych na wylot. Szczęściem na komini trzeszczał ogień olbrzymi, cała kłoda olszowa.

Mój Stanisław wściekał się ze złości, nie wiedząc jak się rozpakować i gdzie się umieścić; ja znosiłem, mogę to sobie powiedzieć bez pochlebstwa, jak anioł. Stary Koniuszy sam mnie odprowadził, pomacał twardego materaca, uznał go zbyt tężną miękkością dla młodego człowieka, pogrzał się trochę u komina, i odchodząc powiedział mi, że w tych paradnych pokojach stał przed laty pięćdziesiątą wojewoda Radziwiłł, który polował przez dni dziesięć w Turzėj-Górze. Mógłbym mu powiedzieć, że mi niedogodnym było, czem się kontentował pan wojewoda?

Znaczyło to, że mi oddano co miano najlepszego: innych gości mieszczą na folwarku lub z pisarzem prowentowym, który grywa na skrzypcach. Stanisław ruszał ramionami i co chwila robił mi sceny. Rady sobie z nim dać nie mogłem. Latał za świecami woskowymi, których tutaj potrzeba nikt zrozumieć nie mógł, za tysiącami drobnościami, których w tym domu z nazwiska nawet nie znano.

Ledwie go potrafił uprosić, żeby tej troskliwości położył tamę. Gdy przyszło kłaść się, slysze go przeklinającego na nowo.

— Co ci jest?—zapytał.

Stasiowi dano siennik słomą wypchany, zamiast materaca: biédak kłął z całych sił wieś i podróżę.

— Panie!—wołał—wracajmy do Warszawy: do trzech dni kości tylko po nas ludzie zbierać będą. Ja nie piłem herbaty! Spać muszę na sienniku.

— Przywyknijmy—rzekłem z westchnieniem.

Tak minął pierwszy wieczór, i niestety! niewiele inaczej dni następne. Musiałem w istocie przywyknąć do wszystkiego. Dziad zdaje się poczciwy i dobry człowiek, ale my z nim nigdy się zrozumieć nie potrafimy. Polowanie, gospodarstwo, gawęda o dawnych czasach, spory z ludźmi o wiązkę słomy: to całe jego życie. Od lat kilkudziesięciu nie wyjrzał na świat: możesz miarkować, jak nie pojmuje co się na nim dzieje.

Na mnie pogląda jak na dziwowisko, a co gorzej, czy doprawdy ma mnie za wielkiego pana, czy udaje, ale ciągle wypytuje mnie o moje dobra w Wielkopolsce. A te dobra, ty tylko wiesz, jak daleko odemnie!

Dotąd zbywam go ogólnikami: przyznać się do położenia mego nie śmiałem. Co się tyczy bogactw mego dziada, o tych już nie wiem co trzymać i jak myśleć. Majątek ogromny, a utyskiwanie ciągle na niedostatek jeszcze większe, o grosz zdaje się być trudno, oszczędność największa: złotówkę mają tu za rzecz wielką; dukat, który ofiarowałem faworytowi dziada Malcowskiemu, oglądany był z podziwieniem i uszanowaniem. Widzę, że się podobno fałszywą puścił drogą. Nic tu nie rozumiem: ani ich rachuby, ani życia, ani zajęć, ani

stanu majątkowego. Spytałem, czy się bawią kiedy, czy mają sąsiedztwo?

— Al bawiny się doskonale—odparł pan Koniuszy—polujemy cały rok: zwierza nie braknie. Co się tyczy sąsiedztwa, to wyborne: najprzód najbliżsi, ksiądz proboszcz i unit paroch z żoną, wyborną kobieciną (mają ośmioro konsolacyi); dalej pan Podśedek, pan Łowczykowicz, pan Kapitan i t.d.

— A kobiety?

O towarzystwie kobiet podobno wyobrażenia nie mają, przynajmniej na moje pytanie kochany dziadunio odpowiedział najprzód ogromnie otwartemi usty, na znak podziwienia; potem, niby skłopotany trochę, dodał żywo jakby zagadywał:

— Po kiego djaska z babami się wdawać, albo to nam samym z sobą źle? Dajby ich i na świecie nie było, toby się bez tego licha obeszło — dodał pół-żartem.—Ale Waści młodemu uśmiecha się niewieście towarzystwo! No! no! toć i to się u nas możeby znalazło. Są panie bardzo przyzwoite i wcale nieszeptne.

Niewiele więcej nad to, co piszę, dowiedzieć się mogłem; ale bądź spokojny, na listach ci moich zbywać nie będzie, a w nich dalszą peregrynacją moją i przypadki nowego Robinsona czytać będziesz. Żegnam cię tymczasem z całego serca; pokłoń się odemnie Lorze, Maremu, a nawet Szmulowi, tylko mu nie mów galganowi, gdzie mnie szukać, boby i tu gotów wysłać za mną. Bądź zdrow —do przyszedłego listu.

III.

PANU EDMUNDOWI SUSZY, W WARSZAWIE,

Nowy-Świat, Nr. 1605.

Z Turzėj-Góry, dnia 25 września.

Zaczynam się nareszcie obeznawać powoli ze światem, który mnie otacza, i przywykać do niego. Mieszkanie, jedzenie, zatrudnienia, nawet śmiertelne nudy przyswoiłem sobie poczęści. Nieszczęśliwy tylko mój Stanisław w ciągłej jest rozpacz, i najmniej pięć razy na dzień robi sceny niepojęte, wyszarpując sobie włosy z głowy i przeklinając to, co zowie bez ogródki mojem szaleństwem. Pozawczoraj ziewałem właśnie kładąc się w owe obszerne łoże, które ci w krótkości w przeszłym liście opisałem, gdy napadł na mnie znowu z niewypowiedzianą gwałtownością. Poczciwy, nieopłacony Staś! on tu mnie jeden bawi.

— Panie! —zawołał z miną aktora teatru Wielkiego w melodramacie Skarbka — jakie są myśli i zamiary twoje?

— Myślę spać — odpowiedziałem, zapalając cygaro.

— Pan mnie nie chcesz rozumieć.

— W istocie nie rozumiem.

— Co to z tego wszystkiego będzie?

— Ja nie wiem.

— A któż będzie wiedział?

Ruszyłem ramionami.

— Długo my tu jeszcze posiedzimy?

— Dopóki nas nie wypędzą.

— Niechże JW. Pan—dodał kłaniając się — raczy mnie odprawić, bo ja tu żyć nie mogę.

Uśmiechnąłem się.

— Al dalibóg nie mogę—dodał—Najprzód, że to czyste piekło; powtóre, że ludzie chytrzy i źli jak sto djabłów, a zdają się napozór Bogu ducha winni;

potrzebie, że tu taki ani żyć, ani gadać nie umięją, i przyjdzie z niedostatku, z nudy skonać.

— Delikatniejszy, widzę, jesteś odemnie?

— Ja nie wiem, i dziwuję się jak to pan znosi.

— Muszę.

— Panie! wracajmy do Warszawy, zaklinam pana na wszystko; my tu zginiemy. Lud dziki, życie osobliwsze, żadnej twarzy przyzwoitej, suknie, powozy, jadło, obyczaj azyatyckie, przedwieczne: to nie do wytrzymania. Pan nie widzi jak ja chudnę?

— Biedny Stasiu! gorączkujesz się i głowa ci się zawraca; trochę cierpliwości.

— Niech pan sam sądzi, niech pan sądzi, czy ja tu żyć, czy my tu żyć możemy? Namżeto, cośmy krocic zjedli w Berlinie, Poznaniu i Warszawie, wśród najlepszego towarzystwa, wśród najszumniejszych zabaw, wśród najwytworniejszego życia: namżeto tu rdzawić i ginąć tak marnie?

— Dlaczegoż ginąć mamy?—rzekłem pociechu.

— Ja pana nie rozumiem, i zazdroścuję że pan tak się łatwo ze wszystkiemi oswoić umiesz; ale ja, prosty sługa, mrę panie, mrę: w ostatku i czytać nawet nie mam co. Mrę panie!

— Biedny Staś! Trucizny ci jednak nie dali, spodziewam się.

— Codzień mi ją dają: choruję od ich wódki, jada, od posłania, od towarzystwa, od powietrza. Pan nie czuje, jak tu powietrze przesycone smolnym dymem? Wczoraj chodziłem do miasteczka, szukając, czy gdzie ludzkiej twarzy nie ujrzę: ah! okropności!

— Cóżże widział?

— Poczwary, panie! Wię pan, że tutejsze kobiety, ba! warszawskie przekupki podobniejsze od nich do kobiet; tyle tylko, że na czterech nogach nie chodzą.

— A! wiem, to ci tu tak, bąbiarzu nieznośny, ładnych twarzączek braknie.

— Jaśnie panie! — prostując się rzekł Staś—nie kobiet, ale przyzwoitego towarzystwa.

Rozśmiałem się na całe gardło. Staś dodał:

— Niech ich wszyscy djabli porwą! — I odszedł.

Zasnąłem rozweselony jego gawędą, której ci tu tylko cząstkę gorszą wypisałem.

Chciałbym ci w niniejszym skrypcie (jak widzisz uczyć się miejscowego języka) przesłać dopełnienie moich obserwacji nad dziadem i krajem, w którym zamieszkałem: ale nic jeszcze z obojga nie rozumiem. Największą dla mnie dekonfiturą jest, że bogactwa pana Koniuszego pojąć nie mogę: wszyscy mówią że bogaty, wiem sam że ogromne dobra do niego należą, długów nie ma, lub jeśli je ma, to mało znaczące; a tu zblizka przysłuchując się, przypatrując mu się, widzę niezrozumiałą oszczędność, do skąpstwa posunioną, słyszę same tylko narzekania na ciężkie czasy. Jest zapewne klucz do tej zagadki jakiś, którego ja nie mam jeszcze.

Nigdzie znaku zamożności, tak jak ja ją pojmuję, wszędzie dla mnie zakryte i dziwne rzeczy. Jezdząc z dziadem na polowania, widziałem mnóstwo jakichś niby ponachylanych ogromnych budowli, stojących po polach. Pytałem go co to jest? odpowiedział mi z uśmiechem, pocierając czuprynę:

— He! dalibóg nie dowidzisz czy co? toć to sterty.

— A cóżto sterta?—spytałem.

Koniuszy śmiał się do rozpuku, i odpowiedział, polegając na wózku:

— Dobry będzie gospodarz! Jestto skład zboża wpośród pola.

— Dlaczegoż tyle tego?

— Zapas, paniczku, zapas!

Liczyłem tego zapasu kilka dziesiątków, i ośmieliłem się potem zapytać dziada, czemu narzekając ciągle na czasy i ciężkość w dostaniu grosza, nie sprzedaje choć części swych ogromnych zapasów.

— Cóżto ja bankrut, czy co? Żebym się z zapasów wyprzedawał!—zawołał z oburzeniem.

Patrzajże! grosza u nich nie widać, wzdychają, narzekają, ledwie się zejda, o czem innem nie mówią tylko o ciężkich czasach, kupców nie braknie: a zboże gnije na polu i myszy go jedzą. W tem być musi jakaś tajemnica! Dom mego dziada nie wiem czybyś pojął, gdybym ci go opisał szczegółowo; ja zaś nie pomógłbym ci pewnie do rozwiązania tej edypowej zagadki.

Wystaw sobie życie tak urządzone, uregulowane, uporządkowane, że właściwy element tego, co u nas jest życiem, to jest ruchu, ognia, wcale tu nie wchodzi do składu, owszem odsuwany jest jak najtroskliwiej. Pan Koniuszy mówił mi naprzykład, że w roku przeszłym proponowano mu poprowadzić przez Turzą-Górę trakt pocztowy, coby było ożywiło okolice, może ja nawet zbogaciło. Cóż na to powiesz?—odmówił.—A mnie to na co? odpał, żeby mi tu wrzawy, zgiełku i cudzych ludzi a nieproszonych gości trakt napędził? Nie chcę ja tego!—Wczorajszy dzień jest też prawodawcą jutra: ludzie, rzeczy, mowa, obyczaje, pojęcia, wszystko zostało wczorajsze lub pozawczorajsze. Onegdaj znaczy tu czasem przed kilką laty.

Zaczawszy od koni, które ubierają w chomąty XVII. wieku, aż do paradnych palonych z kutasami butów mego dziada, wszystko nie dzisiejsze. Brzydzą się dniem, w którym żyją, i wszelką nowostką, jak grzechem: chcieliby czas za poly przytrzymać, gdyby czas miał polę, a najsmaczniejby im było cofnąć się do Sasów.

Bogaci, nie używają!

Największa skrętność panuje w domu; dziadunio nosi ważniejsze klucze przy sobie, mniej tylko ważne powierzają się Malcowskiemu, wszelkie inne wieczorem odnoszą się do pana i wieszają na przeznaczonym kołku w sypialnym pokoju. W mieszkaniu nie uczuli potrzeby nic odmienić, nic poprawić od lat kilkudziesięciu: dziury tylko, które czas chudemi łokciami wybija, zatykają. Noszą się jak się nosili od wieków: nowość, ten element naszego życia, dla nich jest grzechem i najwstrętniejszym zjawiskiem. Pojmijże, jeśli możesz, jak mnie tu jest!

Nie umiem mówić ich językiem, obrócić się wedle tutejszego obyczaju. Albo oni się ze mnie śmieją, albo ja się im dziwię, bo śmiać się nie mogę, a raczej nie chcę. Dziadunio serdeczny, ale powoli zaczyna mnie brać na konfessatę; nade wszystko o moje wielkie dobra tak się troskliwie dopytuje od niejakiego czasu, że zaczynam się mieszać.

Jeśli mię przyprze raz jeszcze, to mu się całkiem wypowiadam. Gościenny bardzo i szczerze radby mnie zabawić, ale biorąc na rozum i wymyślając coraz co nowego, nie umię nic innego nad coraz inne ułożyć polowanie.

Jakkolwiek jestem przygotowany na wszystko, nie przewiduję, żebym tu, co się nazywa, żyć i wyżyć potrafił. Ale że zawsze czas sobie w łeb wypalić, mogę z tem jeszcze poczekać, choćby przez ciekawość, bo mnie to ich życie drażni, istotnie jak nierozpłataną zagadkę. Bądź mi zdrów i szczęśliwy! Zegnaj cię do przyszłej poczty.

Twój Jercy.

P. S. Ze łzami w oczach czytam tu starego przeszlorocznego Kuryerka Warszawskiego, w którego kilka numerów lakierowane buty moje obwinęte były. Ma on dla mnie urok niewypowiedziany: opowiada mi przeszłość, choć nie w wyszukanych wyrazach, ale zawsze i to odłamek przeszłości. Dobrze i to.... Al! nieoceniony Kuryerek! Co za styl! jaka rozmaitość przedmiotów! ile dowcipu w zagadkach! ile charakteru w ogłoszeniach! jak w nim promienieje Warszawa, jak z niego bije jej życie!

Wystaw sobie, że mi cygar zabrakło! Tytuniu nawet nie ma: wyprawiono za nim piechotnego posłańca o sześć czy dziesięć mil; i pałę tymczasem, dla nieszczęśliwego nałogu, coś, co tu nazywają Zalibockim (Zabijackim raczej). Umarłbyś powąchawszy. Trucizna! Do czego to nałóg prowadzi! Staś stał mi się milejący i ponury, a w dodatku butów nie czyści, dowodząc, że na Polesiu rzecz to jest całkiem niepotrzebna.

Kochany Munciu!

Nareszcie zaczynam poznawać tutejsze sąsiedztwo: był wczoraj pan Kapitan. Winszuj mi poznania Kapitana! Wyobrażalem sobie coś wojskowego, jakąś figurę z powieści, Napoleonistę lub tym podobnie: zawiodłem się szkaradnie. Wystaw sobie figurę ubraną tak jak się rzemieślnicy na Pradze nie noszą, w szaraczkowych wytartych sukniach, bladą, zwiędłą, a kłaniającą się do kolan prawie panu Koniuszemu, a pokorną aż do szyderstwa prawie, a pochlebiającą do impertynencji i gadatliwą jak młyn. Wystaw sobie takiego gościa, któremubym ja niechybnie, gdzieindziej go spotkawszy, dał dwa złote jałmużny, przyjmowanego przez mego dziada najuprzejmiej, sadzanego na najpiérwszem miejscu, traktowanego z pretensją, bawionego troskliwie przez cały czas bytności. Koniuszy Kapitanowi, ani Kapitan Koniuszemu, nie żalowali wzajemnie ani *Dobrodzieja*, ani *całuje nóżki*; wszak to nic nie kosztuje. Pomimo to, zdawali się, jeśli się nie mylę, sztydzić z siebie wzajemnie z wielką grzecnością.

Ale muszę ci przecie kategorycznie opisać ten piérwszy kwiatek, który tu znalazłem na pustyni, determinując go jak botanicy determinują znalezione rośliny. Wzrostu łokci dwa, cali.... (do następującego listu rozmiar dokładny), chudy, suchy, ręce długie, zakończone ogromnemi palczyskami, nogi potężne, grzbiet trochę wygarbiony, głowa podłysiała, siwowata, oczy szare, śmiejące się i chytry strzelające ukradkiem, wąż oznaczający kapitaństwo, ale zaniedbany zupełnie, jak zielsko pod płotem, rosnący pod nosem. Nie jestto wąż ów ukochany i płacący za miłość ozdobą twarzy, ale prosty tylko ciekawiec, co zagląda do potraw i stara się okruszyny obiadu przyswoić sobie. Twarz wymokła, policzki wpadłe... Wiek, jak wnoszę, równać się musi latom mego dziada. Ubranie szaraczkowe, kamizelka ze starej podobno wykrojona koldry, tabakierka w kieszeni, paciorkowy łańcuszek od tombakowego zegarka, kapciuch na guziku od kapoty zawieszony, zszyty z trójkątnych różnej barwy gałganików.

Masz Kapitana; niech ci go Brodowski lub Norwid odrysuje. Ale czego żaden z nich nie zwinętuje nie widząc, to wyrazu twarzy. Coto za pokora chytra! jakie splaszczanie pocieszne, jakiego coś

cudownie lisiego! Dziadunio mój zdumiał mnie, na wyścigi z nim upokarzając się i zniżając. Bawil kochany sąsiad i dobrodziej do zmroku; odjechał prostym wózkiem i trzema lichemi szkapkami. Za woźnicę i kamerdynera służył mu prosty chłopak w siermiędze, z fajeczką poufale w gębę włożoną przed gankiem. Gdy odjechał, rzekłem do Koniuszego:

— Cóżto za biedna i niepozorna figura! Musi to być ubogi szlachcic?

Dziad mój parsknął od śmiechu.

— Znowu *sterta*—rzekł, gdyż moje omyłki zwykły był nazywać *stertami*.—On biedny! on ubogi! Tak to Wacpanowie Warszawiacy na ludziach się znacie!

Otwarłem wielkie oczy.

— Kapitan z całą pokorą swoją, mości panie, jest najtwardszym orzechem do zgryzienia dla sąsiadów, a siedzi na pieniądzech! To Krezus, panie, bogacz!

— Bogacz!!!—osłupiałem.

— Ma zapewne familią, dla której tak poświęcając się, zbiera.

— Miał żonę, ma syna, ale ten wojskowo służy, nic nie odbierając z domu. Mieszka sam stary skniera!

Po tym wykrzykniku nastąpiło milczenie, westchnienie i ponury jakiś błysk oczu, który pierwszy raz u dziada mego spotkałem. Nie pojmowałem co to miało znaczyć, gdy natychmiast rozweseliwszy się stary, dodał:

— Oho! nie zjé mnie w kaszy!

— Kto?—spytałem naiwnie.

— A zacny pan Kapitan! Ale Wacpan nic nie wiesz?

— Tak jest, najzupełniej nic; i nietylko żem się nie spodziewał aby pan Koniuszy i Kapitan jeść się mieli, ale sądziłem z przyjęcia i obejścia wnosząc, że się serdecznie kochają.

Stary po swojemu parsknął i poprawił czupryny.

— Cierpliwości!—zawołał, w pół mówiąc do siebie—*labor omnia vincit*.—Widzisz, że i z łaciną kiepską popisać się mogę. Nie, nie zjé nas pan Kapitan!

— Ale dlaczegożby i z jakiego powodu miał ostrzyć zęby?

— Wacpan ho nic nie wiesz—powtórzył mój dziad—a tu ogromne rzeczy za pasem.

— Na Polesiu, kochany panie Koniuszy, codzien się przekonywam, że nic nie wiem, bo nie zrozumieć nie mogę: inni ludzie, inne życie, stosunki nowe.

Stary spojrzął mi w oczy, pocałował w czoło, jakby na podziękowanie żem tak paradnie głupi, i śmiejąc się dodał:

— *O sancta simplicitas!* Zjé djabła, nie mnie!

— Czekam nauki i wiadomości—szepnąłem.

— A! trzebaż Waści wytłumaczyć co się tu święci!—mówił i patrzył mi w oczy jakby mi je chciał zamalować.—Masz tedy wiedzieć, że Kapitan jest najpaskudniejszym plugawstwem, jakie ziemia nosi i słońce ogrzewa. Na ucho ci nawet mogę powiedzieć, że szelma.

— Tak dalece?!

— Tak jest! tak!—mówił dziad mój, oczywiście się rozpalając.—Nie znam gorszego człowieka! Wystaw sobie, taki jucha! Wlazł mi ze swoją wioścżyną pod sam bok, i myśli mnie zmusić do procesu: usiłuje wwikłać w sprawę, aby lasu i łąk od Turzój-Góry do swojego kawalka tam wydrzeć. I jam też nie w ciemę bity! Chciałem koniecznie,

uprzedzając go, kupić tę lichotę, ale ten niepoczciwy Drzazgiewicz mnie zdradził: wziął pewnie kubana od niego, choć to on nie skory do datku. Ja mu to zapłacę Drzazgiewiczowi: na wszystko jest czas. Otóż, jak tylko kupił, poczał zaraz o granicę mnie zaczepiać. Ja, miłując pokój, trzymam się *defensive* tylko. Jak przyjdzie pora, że się burza zbierze, naówczas, no! co robić, pogramy!

W oczach pana Koniuszego, gdy wymawiał ten wyraz, błysła jakby tajona radość. Nie wiem, ale mi się zdaje, że zająście z Kapitanem dawniejsze i srozsze być musi, niż pan Koniuszy powiada. Lecz któż wie? może z taką rozkoszą w istocie wygląda procesu. Wśród tej nieczynności, jednostajności i braku zajęcia, kto wie, gdyby i mnie tu posadzono, możebym, urozmaicając polowanie, poczał na sąsiedzką spokojność polować. Jestto silna rozrywka.

Koniuszy tak dalej prawił ze szczególną usilnością, starając się, jak uważałem, przekonać mnie, że mówił mi prawdę całą.

— Otóż widzisz, płaszczy się, grzeczności mi sypie, ja w tąż. Przysyła mi zwierzyne, ja jemu, jeżdżim wzajemnie z powinszowaniem imienin, i ślicznie, pięknie, ściskamy się, całujemy się, aż za uszami trzeszczy. Z tём wszystkiém czuję, że proces wisi nad nami.

— Więcby wcześniej zapobiedz.

— Po co? i owszem, musimy się przecie raz w życiu zetrzeć.

Z tych słów patrzyła jakaś tajemnica, ale spostrzegł się prędko pan Koniuszy, i zagadał, choć niezręcznie.

Otóż jedna z tajemnic ich życia: proces!

Ha! wszakcito gra hazardowna, nie więcej. W prostocie ducha, nie znając *lansqueneta*, puszczając się w pozwy. Druga, trzecia instancya, to *parole*, *setlewy* i *quinzelewy*; senat *quitte ou double!* Tylko my gramy na tysiączki, oni na krocie... to rozumiem nareszcie. Wszędzie człowiek człowiekiem. Tymczasem śmiertelnie tu z niemi nudno.

Pomimo niemożności powrotu do Warszawy i zdesperowanego położenia mego, przemyślałem już co począć z sobą. Jeszcze kilka tygodni, a najdalej kilka miesięcy, nie poznasz mnie, kochany Munciu: suknie moje wyjdą z mody, ja sam zparafianięję, zestarzeję, zgłupięję...

W pierwszym liście nie zapomniaj poradzić mi, co mam począć z sobą. Ten przekłety Staś wmówił mi podobno nareszcie, że heroiczna kuracya poleska gorsza od choroby, od wierzycieli, od więzienia za długi. A! ratuj twójego

Jerzego.

IV.

PANU EDMUNDOWI SUSZY, W WARSZAWIE.

Z Turzój-Góry, dnia 20 listopada.

Dziś właśnie, według rachuby Stasia, dwa miesiące upływa, jak zawitałem w gościnne progi Koniuszego, a miesiąc podobno, kochany Munciu, jak listu nie miałaś odemnie. Ty się tam łatwo bez niego obejść możesz, bo w mieście tak prędko człowiek człowieka zacięra, tak się rychło zapomina o wczorajszym przyjacielu dla dzisiejszego!

Ale jak się ty tam dziwować musisz, że ja nie piszę, ja, com miał z śmiertelnej nudy zarzucać cię nieustannemi listami!

Wiele-bo téż rzeczy zmieniło się od przybycia mego, i twój Jerzy także. Tak, tak! miesiąc ostatni wpłynął na mnie i wpłynię może na całą przyszłość moją. Posłuchaj tylko, kochany Munciu.

Mógłbym rozpocząć opowiadanie, przeistaczając ten wiersz Szekspira o wielu rzeczach na ziemi i niebie, o których się nie śniło filozofom, i powiedzieć, że na Polesiu jest wiele a wiele rzeczy, o których się nam, filozofom bruku warszawskiego, ani śniło. *Terra incognita*, której ja będę Kolumbem!

We dwa dni po odwiedzinach Kapitana, o których w ostatnim liście (jeśli dobrze pamiętam) coś ci podobno wspominałem, odebraliśmy listy, działo mi i ja, tak jest, *ja także!* od pana Kapitana, z zaproszeniem na polowanie na losie i saruy. Pan Koniuszy, pomyślawszy nad kopertą i podpisem obu pism, i pilnie poszukując czy mu Kapitan w czym nie uchybił, zgodził się na to ze mną, że zaproszenie odmówić nie można. Chciał mnie z początku wyprawić samego, ale zlitowawszy się potem i pominiętkowawszy, że w delikatnych okolicznościach, w jakich z Kapitanem zostawał, należało bardzo bacznie postępować i niczem go nie obrażać: postanowił sam także towarzyszyć mi do Kurzyłówki.

Przyznaj, że wioseczka ślicznie się nazywa. Cóżbym dał za to, żebyś ją mógł zobaczyć! Jestto Polesie nad Polesiami, dziura i kąta tak zapadły, tak brzydki, tak pusty, tak okropny, że obraz, gdybym ci go zdjął daguerrotypem, zdalby ci się piekielnym znużonego wędrowca wymysłem. Dante nie znał widać naszego kraju: byłby go użył do swojego piekła, i osadził w tym kompartymencie tych, co się za życia zbytecznie za nowością ubiegali. Wystaw sobie chaty napół w piasku, piasek otoczony błotem, błoto otoczone nudnym i brzydkim lasem, las otoczony piaskiem, i tak dalej a dalej. Wzdłuż błot i lasów wazkie a kręte drożyny, po których tylko jeżdżą budnicy i chłopci, korzeniami sosen i jakimiś patykami wyroszczone, które przejechawszy, chorować musisz koniecznie. Groble nieskończonej długości, mosty podarte jak stare rękawiczki, jamy, brudy, dziury, grzęzawice i t. d. Przez to wszystko jechać potrzeba do zanego Kapitana: a to się jeszcze nazywa wielkim traktem handlowym. Niekiedy pół dnia jedziesz i ludzkiej nie spotykasz twarzy, a chłopca co cię wita, łatwo możesz wziąć za niedźwiedzia... Pustynia! Sahara!

Wioska przyparta z jednej strony do błota, z drugiej do piasku, zarosłego sośniną krzakowatą, czarna, okopcona, uwędzona w dymie, smutna; ludzie w niej, *ideały* nędzy i opuszczenia! Kobiety chodzą w jakichś czepcach, nawiązanych na wysokim łubku, czarnych od dymu, który tu zastępuje powietrze, a zpod chusty wymykają się włosy nigdy nieczesane. Umywają się tylko na wielkie święta; mają postać jakąś dzikich Indian. Wszystko co żyje chowa się, i tylko z za węglów na podróżnych oglądać odważa się.

Za wsią stoi dwór, otoczony sadem i drzewami, niski, o czterech okienkach, oparkaniony wysoko, z bramą, która się nigdy nie zamyka. Obok niego gumna, stodola, stajnie, obory: wszystko na jednym prawie dziedzińcu i skupione w całość. Cztery chude charty i stary pokurę z osmalonym bokiem a powyszarpowanymi uszami witały nas w ganku, oprócz gospodarza, kłaniającego się do ziemi i dziękującego z wylaniem za szczęście, za honor, za łaskawe względy, któreśmy zaszczyć go raczyli, które, jak się wyrażał, miały być wie-

cznem wspomnieniem ubogiej jego chatki i pociechą dni jego starości. Nigdy się nie spodziewał, żeby mógł tak kogo swoją uszczęśliwić!

Z towarzyszeniem tysiąca tym podobnych grzeczności hyperbolicznych, które bardzo zakrawały na żarty—a jednak pan Koniuszy na nie z największą łatwością oddawał Kapitanowi w dwójnasób też samą monetą—weszliśmy na prawo do czystej izby, wyspanej siekaną jedlinką. Dla mnie byłto krok niefortunny: potknąłem się na progu wysokim i stuknąłem głową o drzwi niskie.

Dwa stoły, dwie skrzynie, cztery wytłoczone twarde krzeselka, komin obielony na naszą intencją, z samowarem dla ozdoby, na belce jakieś symboliczne znaki i krzyże, po ścianach obrazki Pana Jezusa Boremelskiego, Milatyńskiego, Lwowskiego (miałem czas się przypatrzeć), Najświętszej Panny Chelmskiej, Sokalskiej, Poczajowskiej i Podkamienieckiej; w kątku warcabnica na małym stolczku: oto cały salon bawialny. Z niego tuż sypialna komnata Kapitana, do której żeśmy nie zaglądali, nie opiszę ci jej. Dziewka ogromnie tłusta i bosa słuźalec przyjmowali nas śniadaniem, które gotowano naprzeciwko w piekarni: gorące téż przychodziło na stół. Po niem puściliśmy się na polowanie, i twój Jerzy miał szczęście zabić ogromnego losia.

Nie wiem, czy ten dowód zręczności, czy inna jaka przyczyna szczególnym affektem ku mnie natężyła Kapitana. Nadskakujący był, ożywiony, pełen grzeczności; bawił mnie rozmową aż do utrudzenia. Kilka razy jednak wspomniał moje dobra w Księżtwie Poznańskim (o których nie pojmuję z kąd się mógł dowiedzieć), a wspomniał je ze znaczącym półuśmiechem, który nie uszedł baczności Koniuszego.

Gdy po raz trzeci czy czwarty o tych dobrach rozmowę poczynął, z widocznym zamiarem albo upokorzenia mnie, albo wyrwania ze mnie słowa, dziadunio odezwał się z uśmiechem, doskonale odegranym:

— Nie wspominajcież o tych dobrach, panie Kapitanie, bo możecie przykrość zrobić *niechcący* mojemu kochanemu Juraszowi. Wszakże wiecie zapewne, że z powodu procesu i kłopotów z niego wynikłych, tak prawie jak zrzee się ich musiał.

To odezwanie się dziada zdziwiło mnie niepojętym sposobem. Stary więc wszystko już wiedział! Ale z kąd? ale jak? ale dlaczego aż teraz się z tém wydał dopiero?

Kapitan pokręcił wąsa i nalał wina w kieliszki, pijąc za nasze zdrowie.

Rozmawialiśmy o polowaniu; ku wieczorowi Kapitan uniżenie zaprosił nas jeszcze na herbatę, zatrzymał dłużej niżeliśmy chcieli.

— Odwiedzając szanownego krewnego—rzekł do mnie—zechcesz pan zapewne poznać i sąsiedztwo?

— Tak! tak!—podchwycił mój dziad żywo—zapewne! zapewne!

Widoczna była, że chciał odwrócić rozmowę. To może stało się powodem, że Kapitan uparcie starał się ją utrzymać.

— Mamy tu domy bardzo miłe—dodał uśmiechając się.

— A na czele dom, w którym mamy przyjemność być teraz, zaliczam!—przerwał pan Koniuszy z polityką.

— Moja biedna hacina, którą panowie raczycie swoją bytnością zaszczycać, tego nazwiska nawet niegodna; ale...

— Czy nie czasby nam jechać, panie Jerzy?

— Na Boga! nie puszcze! — zakrzyczał, porywając się Kapitan. — Konie nawet nie zaszły. Wracając do poprzedzającego, najprzód liczę dom...

— Grasz w warcaby, panie Kapitanie? grasz pan w warcaby? — zapytał dziad mój, zmieszany widocznie.

Kapitan podskoczył, wyciągnął z kąta warcabnicę, ale nie spuszczając mnie z oka, mówił nie przerywając:

— Dom pana Graby...

— Zaczynamy, Kapitanie!

— Zaczynamy... Ciekawy dom zaiste!

— W istocie... Na pana kolój jazdy.

— Pojechałem... Warto żebyś pan odwiedził sąsiedztwo: najprzód tedy dom pana Graby, którego my tu powszechnie zwiemy Dziwakiem; powtóre...

— Tu obrócił się do pana Koniuszego z zapytaniem: — Wszak i panna Irena mieszka ciągle na wsi teraz? pańska pupilla?

To mówiąc, oba zmierzli się wzrokiem, jak gdyby pożreć się mieli, a dziad mój otwarte usta zamknął, spuścił oczy i cały się zajął warcabami.

— Liczę więc — prowadził dalej Kapitan — dom pana Graby, pannę Irenę, dom państwa Dudyczów.

— To już nie sąsiedztwo — rzekł mój dziad.

— Liczy się przecie za sąsiedztwo nasze, mil czterech z Turzój-Góry nie ma; a co do Rumianej, do panny *Ireny pańskiej pupilli* — dodał z przyciskiem — daleko nawet bliżej.

Koniuszy milczał, ale gryzł w ustach podjętą z szachownicy warcabę kościaną; Kapitan mówił ciągle:

— Tym sposobem kochany dziad a szanowny sąsiad mój, któryby zacnego wnuka chciał zapewne jak najdlużej u siebie zatrzymać, będzie się cieszył pobytom jego. Uprzejmniając chwile poznanie sąsiedztwa, a zwłaszcza panny Ireny, pupilli Koniuszego, pan zapewne nie prędko nas porzucisz. W Turzój-Górze tak światowemu kawalerowi, jakkolwiek miło, mogłoby się przecie zateknąć: młodzi potrzebują młodych.

Wyznam ci, że to uparte wspomnienie jakiegś panny Ireny, a upartsze jeszcze o niej milczenie pana Koniuszego, mocno mnie zaciekawiło. Kapitan dokończywszy, spojrzał na mojego dziada, który milcząc gryzł warcabę, i nareszcie rzekł z przyciskiem:

— A jakże! a jakże! poznamy sąsiedztwo: pana Graby, i pannę Irenę, i państwa Dudyczów, i co żyje dokoła poznamy.

— Kiedy tak, toby już i o rodzinie, choć ubogiej, zapomnieć nie wypadało.

— A jakże, mości dobrodzieju! a jakże — dodał dziad, czerwieniąc się i posuwając na krześle — poznamy i rodzinę, wszystkich poznamy, co do nogi.

Ja dotąd nic nie wiedziałem o rodzinie, którą tu mieliśmy, i pan Koniuszy o niej mi wprzód nie wspominał. Zdziwiony spytałem o nią.

— Zapominasz się, kochany Jerzy — odpowiedział stary, obracając się ku mnie i odchrząkując z pewnym przyciskiem — wczoraj jeszcze wieczorem mówiliśmy o nich.

— A! to o nich mówi pan Kapitan — zawolałem, widząc że dziad mój każe mi grać komedią, i natychmiast posłusznie przyjmując rolę moją. — Właśnieśmy się do nich wybierali.

Kapitan spojrzał na nas po kolei i zamilkł.

Wkrótce potem, pożegnawszy go serdecznie i po pięć razy przynajmniej, przy stoliku, u progu, w sie-

niach, na ganku, na stopniu bryczki i w bryczce, powtórzywszy serdeczne dzięki, odjechaliśmy z moim dziadem.

Pan Koniuszy do pół drogi milczał jak zabity, sapał tylko ze złego humoru, aż nareszcie, jakby mimowoli, wyrwało mu się:

— Zjesz djabła! zjesz djabła!

— Już ciż nie ja? — spytałem go, śmiejąc się.

— A! a! to Waś! — zdawał się przebudzać. — Posłuchajno — rzekł — ten łotr Kapitan wyzwał nas na to szelmowskie polowanie, żeby się dowoli z nas nakpić.

— Wszystko to być może.

— Jak na dłoni! Posłuchaj, czas pomówić otwarcie.

— Zawsze mówię otwarcie.

— Ba! człowiek nawet otwarcie czasem mówiąc, kłamie, ale my między sobą, rozumiesz, z serca do serca. Czy to prawda, żeś stracił cały majątek?

Tak nagłe i niespodziane pytanie zmieszało mię.

— Zkądże ta wiadomość? — spytałem.

— Zkąd ona jest to jest, ale czy prawdziwa?

— Nie mam się z tém co tać: ubóstwo nie hańbi.

— Tak, to pewna, moje serce, ale bezrząd i marnotrawstwo nie zdobi człowieka. Mówże mi prawdę.

— Jeżeli stracił — odrzekłem z pewną dumą, ubodnięty tonem, z jakim to mówił pan Koniuszy — jeżeli stracił, to własne moje, i nikogo o nic nie proszę.

— A! facecyonat z Waści, jak widzę. Straciłeś nie swoje, nie zapracowane, ale to co ci rodzice, w pocie czoła pracując, uzbierali i zostawili. Powtóre, nie prosisz dotąd, ale cóż poczniesz, gdy ci się i ostatka przebierze? he! gadaj-bo-no szczerze i bez fafrów. Jesteś gagatek do niczego, tylko do salonu i miasta, zjesz, wypić i pobulać; ale jak przyjdzie pracować?! Powiedźże-no mi, kochanku, co ty myślisz robić z sobą?

Zdumiony, przybity, milczałem.

— Mów, kochany Jurku, mów! — dodał dziadunio. — Już ciż nie będziesz siedział w Turzój-Górze, rachując na moją śmierć, bo to i nieładnie, i znużdziłbyś się, bo ja nie prędko umrę.

— Panie Koniuszy! — zawolałem — nadużywanie swojego położenia: to się nie godzi!

— Ale dajże mi pokój z komediami! mów bez ogródki co myślisz. No! ożenić się bogato?

— Chociażby — rzekłem — ale pewnie nikomu na ręce patrzeć nie będę, i nikogo o nic nie poproszę.

— Wolisz się ożenić dla pieniędzy!

Dziadunio nielitościwie parsknął.

— A! porzucimy te facecye — rzekł — a mówmy szczerze. Wacpan słyszałeś żeś bogaty, przyjechałeś tu spodziewając się czegoś odemnie. Zobaczywszy szlachciurę niepoczesnego a dziwaka, nie wiesz teraz co począć, nieprawdaż?

— Będę milczał, panie Koniuszy, bo mnie oburzenie dławi; nie umiem na to odpowiedzieć.

— Milcz, kochanku, to już ja reszty dopowiem, jeśli chcesz.

Rozpoczawszy w ten sposób, z żywością i tonem, jakiego dotąd względem mnie nigdy nie przybierał, tak kończył dalej:

— Chcę wiedzieć, co jeszcze masz, panie Jerzy, aby ci, jeśli można, poradzić. Nie myślę, żebyś się tu bardzo bawił z nami wieśniakami; zobaczymy co dla ciebie zrobić można.

— To znaczy, że pan Koniuszy jakimkolwiek kosztem chcesz mnie się pozbyć — odpowiedziałem. — Nic łatwiejszego, nie proszę o nic, a jutro odjadę.

Mówiąc to, sam dobrze nie wiedziałem dokąd bym mógł odjechać: w dziwnym natłoku myśli, Kaukaz i Algier, Hiszpania i Ameryka z kolei mi się ukazywały.

Dziad mój, nie zmieszany, ruszył ramionami i spytał:

— Panie Jerzy, czy Wacpan masz mnie już za takiego samolubę, co iskry życzliwości nie ma w sercu? Ja cię nie odpawiam, ja się ciebie nie pozbywam. Ale—dodał, klnąc—to ten lajdak, z pozwoleniem, Kapitan wszystkiemu winien: zółé mi się rozlała. Słuchajże, niech dopowiem. Nie będę tań, że mam tu krewnych, mam powinowatych, mam różne osoby, dla których w ciągu życia zaciągnęłam obowiązki: majątek mój w większej części ma już przeznaczenie...

— Ale na Boga! panie Koniuszy, któż pyta o majątek, któż się do niego wdziéra?

Znów ruszył ramionami, uderzył się niecierpliwie po kolanach i zawołał:

— Słuchajże, do krośset djabłów! panie Jerzy. Zróbże choć dla dziada, żebyś mu się dał wygadać.

Zamilkłem; on ciągnął dalej:

— Przecież nie myślę zupełnie wydziedziczać pana Jerzego: zostawię ci pamiątkę, to pewna. Wiem, że maie nie zrozumiesz, gdy ci powiem, że serdecznie kochając w tobie krew własną, pragnę cię jednak ztąd się pozbyć. Mocno życzę, żebyś gdzieindziej obrał stanowisko rekolekcyjne. Nie umiem ci się z tego wytłumaczyć, lub nie chcę, nie potrafię się z tego wyplatać: posadzić mnie musisz o coś. No! do kroś kaduków! myśl już sobie co chcesz, kocham cię, jak zbawienia pragnę, no, a radbym żebyś sobie ztąd jak najprędzej jechał.

Oslupiałem, ale nie miałem siły gniewać się na starego; wrzało coś w nim, jakaś myśl, jakaś powiem namiętność, której natury dociec nie mogłem. Całe jego postępowanie mgłą dla mnie było pokryte.

Jego głucha walka z Kapitanem, niepokój, obawy nieopojęte i wiele tajemniczych w domu postępów, oznajmywały mi, że po za szrankami życia, które znałem, było coś zakrytego, dla mnie niedojrzanego a ciekawego; nie bez urazy wszakże, ale ze śmiechem przyjąłem to oświadczenie, mówiąc tylko:

— Jutro jadę, panie Koniuszy.

— Ba! jutro jadę, nie wiedzieć dokąd, z gniewem w sercu: tego ja nie chcę. Ale dalipan, ba! cóż robić! powiedz-bo mi szczerze—ścisnął mnie za rękę—co ci się zostało?

Kończąc tę rozmowę, dojeżdżaliśmy do karczmy, z której światło nagle padło na twarz starego, i ujrzałem ją tak dziwnie zmienioną, tak przewróconą, że mi się zadziwił niepomalu.

— Cóż panu Koniuszemu przyjdzie ztąd—odparłem—jeśli o tém wiedzieć będziesz? Co do mnie, bądź pewien, że nie przyjmę nic dlatego właśnie, iż wolałbym zebrać u obcych, niż być posadzonym o cheiwość, interesowność, której nie miałem nigdy w sercu. Chcesz pan Koniuszy wiedzieć dlaczego przyjechałem tu?—bo nie miałem gdzie się schronić, nietylko od wierzycieli moich, ale od wspomnień własnego życia, od zmarnowanej może młodości i wyrzutów sumienia. Świat szeroki!

Pan Koniuszy zgrzytnął zębami.

— Jest w nim dusza—szepnął—ale cóż? statku nie ma, głowy nie ma, nie! nie!

Mówiąc to, znowu obrócił się ku mnie.

— Słuchaj, panie Jerzy—rzekł stanowczo—jeśli mi ty tę hańbę zrobisz, że mnie w tym gniewie po-

rzucisz ze wzgardą: klnę się na honor i uczciwość, że pojedaję za tobą, i będę jeździł jak cień, dopóki się nie pojednamy. Dopiero może w Ameryce będę ci mógł wytłumaczyć, dlaczego, kochając cię z tego com poznał, chciałem cię ztąd jednak wyprawić.

— Jutro pojedaję—odparłem zimno.

— I ja z Wacpanem.

— Rad będę towarzystwu.

Zaledwie wróciliśmy do Turzój-Góry, którą powitałem z dziwnie odmiennymi uczuciami od tych, które wywozłem z niej rano (tak często dzień jeden w życiu człowieka wiele przemienia), ukloniłem się staremu i prosiłem go o pozwolenie udania się do mojego mieszkania. Koniuszy zrazu nic na to nie odpowiedział, ścisnął mnie za rękę, i szepnął tylko pocichu:

— Przy ludziach, zmiluj się!

Zrana byliśmy jeszcze kordyalnie i ceremonialnie; wieczorem z urazą w sercu ku staremu odszedłem, mimo jego prośby, na górę.

Staś spał w kącie, gdyż na Polesiu sen go był opanował, który z poetą nazwałby można *nieprzespanym*: od rana do nocy nic nie robił, spał tylko. Gdy go pytał o przyczynę, odpowiadał mi melancholicznie:

— A! panie, niech się choć przyśni co lepszego nad ten kraj utrapiony.

— Obudziłem go z kwaśnym humorem. Skarżąc się na głowę i zwolna kładąc w łóżko, powiedziałem:

— Stanisławie! konie na godzinę siódmą rano: jedziemy jutro.

Z początku, nie wierząc temu szczęściu niespodzianemu, myśląc że z niego żartuje, stał osłupiały; gdy powtórzył, padł mi do nóg.

— Panie! doprawdy! — zawołał. — JAKO? więc jedziemy! więc jedziemy! do Warszawy!

— Konie na godzinę siódmą—powtórzyłem.

— Będę całą noc pakował, i zaręczam że się nie spóźnimy.

Nie mogę opowiedzieć co się z nim stało—oszałał: latał po schodach, krzyczał, hałasował, rozkazywał, krzątał się i nie dał mi spać do rana.

Dobrze przededniem koczyk stał upakowany pod gankiem, tłumoki były poprzyśrubowywane, Staś w ubiorze podróżnym; koni tylko brakło.

Punkt o siódmęj na moim zegarku, który się zgadza co do sekund z zegarkiem Stasia, widzę postać jego we drzwiach zmieszana, skłopotana, zbiedzoną. Jeszcze ust nie otworzył, jużem poznał, że musi być jakaś przeszkoda do podróży, której tak bardzo pożądał.

— Konie gotowe?—spytałem.

— Prędko będą konie?—powtórzyłem.

— A! panie, szatan się wmiszał w ten interes!—zawołał, rwąc sobie długie włosy. — To jakiś kraj przeklęty: wszystko się tu nie po ludzku dzieje. Dobrze to panu powiedzieć na *europskim* świecie: niechaj będą konie na siódmą, ale tu...

— Więc mogą być na dziewiątą.

— A kat ich wie!—odparł Staś z rozpaczą.

Znasz, kochany Munciu, jak pociesznie poważną minę przybiera, kiedy się rozgniewa. Pomimo przykrości, jakiej doznawałem z powodu opóźnienia wyjazdu, śmiać mi się z niego chciało w duszy. Zapomniałem o mojej biedzie, patrząc na niego.

— Wystaw sobie pan — mówił dalej — wczoraj jeszcze wieczorem leć na to odrapane miasteczko, imienia mieściny nawet nie warte; pytam o pocztę, śmieją mi się w oczy. Głupiec! zapomniałem, że tu nie ma poczty. Więc do głowy po rozum: najmę

furmana. Wpadam do jednej karczmy, nos w nos spotykam się z Malcowskim: licha wie, co on tam robił po nocy.— Dobry wieczór.— Dobry wieczór.— A co to tu pan Stanisław porabia?— Szukam koni.— Jakto koni? rzekł, podając mi zielonej tabaki, którą ma za rzecz przednią i każdego nią częstuje. Zażyłem szczerze, bo byłem jeszcze w różowym humorze.— Jakto koni? spytał.— A tak, bo jutro jedziemy.— Jutro jedziecie? pokręcił głową. A dużo koni potrzeba?— Cztery dla nas będzie.— Cztery! wątpię, żebyś pan tyle znalazł w miasteczku: wszyscy furmani, wielu ich było, ponajmowali się z mąką do Brześcia.— I odszedł.— Ja do furmana: nie ma koni; ale mi to tak mówi, wzdychając i skrobiąc się, jakby mu te słowa drogo kosztowały. Do drugiego, czwartego: to samo. Ze złości zacząłem stajnie przetrząsać: są konie, tylko kaduk wie, dlaczego najać nam ich nie chcą.

— Cóż więc będzie? — spytałem — pójdziemy pieszo?

— Mogliby nam wyśmienicie dać skarbowych.

Na te słowa wszedł mój dziad, który już się wybierał na polowanie.

— Co to jest? — spytał — Waści koczyk upakowany?

— Jadę, panie Koniuszy, to jest idę może, bo w miasteczku, choć są konie do najęcia, dostać ich nie można.

— To być nie może — rzekł stary — uśmiechając się nieznacznie.— Pan Staś nie umiał szukać: tu jest z dziesięciu furmanów.

— Słowo honoru — rzekł Staś poważnie, kładąc rękę na piersi — koni szukałem wszędzie i dostać nie mogłem.

— Czy nie do Brześcia się najęli, boto oni zawsze o tej porze jeżdżą z mąką?

— A właśnie — odparł Stanisław.

— Ale po cóż się spieszyć? — podchwycił Koniuszy, idąc ku mnie.

— Muszę — odpowiedziałem krótko i sucho.

Stary odprawił Stasia grzecznym skinieniem, i usiadł w krześle, niegdyś złoconym, poważny, spokojny. Wczorajsza burza już się w nim była uśmierzyła i przeszła.

— No — rzekł — nie gniewaj się, mój Jerzy; na pamięć ojca twojego i matki proszę cię o to, nie gniewaj się na starego. Słowem uczciwem szlachcica ręczę ci, że nie obojętność, nie sknerstwo, jakbyś sądził, mówiły wczoraj przezemnie.

Milczałem. Pan Koniuszy dłoń mi wyciągał: uściśnałem ją, i odpowiedziałem po chwili:

— Wszystko to być może, wierzę; ale chcesz pan sam żebym pojechał: mówiłeś mi to wczoraj. Jadę, a jeśli koni nie znajdę, pieszo pójdę. Pójdę bez gniewu, ale z żalem i smutkiem; posądzony o chciwość, o rachubę, pozostać tu nie mogę.

— Nie zrozumiałeś mnie. Ten Kapitan, ten bestyalski Kapitan winien wszystkiemu: żółć mi poruszył, powiadam ci. Mówiłem rzeczy, których żałuję, za które cię przeproszam serdecznie. Daruj mi, i nie jedź. Nie będę cię później wstrzymywał, ale jeszcze — tu pomyślał — dni pięć możesz u mnie zabawić; a bądź pewny, że z przyjemnością cię przyjmuję, ale są okoliczności.

Machnął ręką.

Przyznam ci się, że tak mnożyły się zagadki dookoła, że ciekawość moja podbudzona była do najwyższego stopnia.

— Dziś, gdybym chciał, jechać nie mogę — rzekłem — koni nie mam; ale jutro, kochany dziaduniu,

lub jak skoro mój Stanisław się ich postara, muszę jechać, i pojedę.

Pomyślawszy trochę, stary dobył z kieszeni spory zwitek, i kładąc go na stole, rzekł:

— Jedziesz czy nie, a musisz przyjąć odemnie ten mały podarek.

Wzdrygnąłem się i cofnąłem jak oparzony.

— Przyjmiesz? — rzekł.

— Nigdy!

— Jestto dwa tysiące czerwonych złotych, któremi chcę żebyś począł na nowo dorabiać się majątku. Nie daję ci ich, ale pożyczam: wezmę skrypt od ciebie.

— Dziękuję — odpowiedziałem — wprzód umrę, nim darem lub pożyczką wezmę co od pana Koniuszego.

— Harda dusza! harda dusza! — szepnął stary widząc moje oburzenie; i spojrzawszy mi jeszcze w oczy, jak gdyby mnie badał, powoli sciągnął znów do kieszeni zwitek leżący na stole.

— Więc dziś nie jedziesz? — rzekł.

— Ale jak skoro koni dostanę, niechybnie.

Pomyślał chwilę.

— Będiesz miał konie, gdy się uprzesz: chociaż dni pięć chciałbym żebyś jeszcze zabawił.

Na tem skończyła się nasza rozmowa. Dziad chciał mnie wyciągnąć na polowanie, ale mu odmówił: nie pojechał więc także, i ludzi tylko swoich wyprawił. Dzień spędziliśmy u kominka, i pomimo późnej jesieni, przechadzając się po ogrodzie. Byłto bowiem jeden z tych rzadkich dni, który jak jasna chwila starości, wedle oklepanego porównania poetów, świta u nas niekiedy przed samą prawie zimą. Słońce jeszcze trochę przygrzewało, długie jedwabne pajęczyny snuły się po suchych drzew gałęziach i łodygach obumarłych kwiatów. Gdzieś tam rozkwitł spóźniony pączek: a choć nie jestem bardzo czuły, w tej chwili ten przed samymi mrozy otwarty kwiat, smutną mi jakąś myśl napędzał. Cisza była w naturze; na polach jedno zebrane, drugie posiane i zieleniejące; ludzie weseli, bo niegłodni; drzewa w resztkach szat swoich purpurowych i złocistych, któremi się stroją, nim je całun zimowy pokryje. Nie wiem czemu, nawet woń jesiennego powietrza mgłą przesiąkłego i całkiem odrębnego zapachu, smutną, choć miłą, robiła na mnie wrażenie. Nie poznawałem siebie.

Rozmowa z panem Koniuszym, obojętna z mojej strony, z jego niespokojna a serdeczna dosyć, toczyła się jak toczą wózki po drogach poleskich, podskakując z kija na kij, lub wlokąc powolnie po piasku. Wyszliśmy do ogrodu, potem w dziedzińcu. Naprzeciw dworu jest stary wał zamczyska, które tu stało przed laty, a na jego sklepach i fundamentach stoi to, co się zowie domem nowym. Po wałach rosną stare lipy i dęby, wśród których jest ławka kamienna. Dziadunio lubi ztąd poglądać na miasteczko i okolice, a czasem strzela tu do celu. Poprowadził mnie z sobą. Zagadaliśmy się tak, że Koniuszy, począwszy o Stanisławowskich czasach, wplątał się w tak rozciągle opowiadanie, iż słońce miało się już ku zachodowi, a my jeszcześmy na ławce siedzieli. Jesienny chłodek dobrze się czuć dawał, wiatr smagał zachodni, czerwone promienie słońca oświecały zasłane pajęczyną pola: nagle wśród tej ciszy, wśród spokoju, słyszemy tętent i gwizduwanie.

Dziad mój pobladł, wstrząsnął się, podniósł nagle z ławki, spojrzął na mnie, zawahał czy iść, czy

zostać; potem z bardzo widocznym niepokojem na twarzy, rzekł:—Zaraz powrócę!—i zniknął.

Szybko znikł mi z oczu. Nie mogłem pojąć co to wszystko znaczy, gdy z ciekawością wpatrując się w dziedziniec, postrzegam z za drzew, przed gankiem, kobietę na koniu siedzącą, za nią dwóch ludzi wytwornie ubranych, śliczny koczyk, i jakąś w nim drugą panią. Widzę jak się mój dziad zbliża, jak wita i szybko uprowadza je do pokojów, a Malewski prędzej jeszcze konie i powóz zapęda do stajni.

Kazał mi wprawdzie czekać na siebie, ale widząc że to coś zagadkowego, nie myślałem go wcale słuchać, i pospieszyłem ku dworowi. Spotkalimy się w pół dziedzińca. Stary był pomieszany i bardzo niezręcznie udawał obojętnego.

— Ktoś przyjechał?—spytałem.

— Al! al! to ktoś z sąsiedztwa, osoba dziwaczna... znajoma... to jest byłem jej opiekunem; czasem mnie odwiedza... dosyć pospolita figura! Czy przyjdiesz do nas?—spytał, poglądając mi w oczy.

— A jakże, idę.

— Bo ty może się znudzisz, lub może cię to ambarasuje. To dziwaczna kobieta. Gdybyś chciał, mógłbyś pozostać u siebie. Rób jak ci się podoba: nie zmuszaj się, proszę, do żadnych grzeczności, wiem, że wolisz być sam-na-sam.

— Ale nie! Owszem idę, i pomagam panu Koniuszemu bawić gości.

— Ja-bo wiem, że cię to zmęczy, a ty potrzebujesz wypoczynku przed drogą.

Wyraźnie odpychany, postanowiłem koniecznie zobaczyć te panie. Śmiejąc się, wziąłem dziada pod rękę, choć się okrutnie krzywił, i z nim razem wszedłem do tak zwaną sali.

Pozwól mi długo, obszernie opisać ci kogom tu zastał. Czuję, że ta chwila, chwila wielka i uroczysta, jest ważną w moim życiu. Nie śmieję się, nie śmieję! Nie jesto miłość, jakich sto przepłynęło po wierzchu serca, nie dotknąwszy go: jesto jakieś uczucie wielkie, święte, szacunku godne, jesto gwałtowna namiętność, jakiej wyobrażenia nie miałem. Ja, co dotąd mówiłem po dziesięciu dniach: *on se lasse de tout mon ange* *), jeszcze się jej widokiem a mojem cierpieniem nie znużył, nie przesycał! Słuchaj więc, słuchaj, czytaj, jeśli list ten, pisany szkaradnie, będziesz miał cierpliwość wydecyfrować.

Koniuszy z widoczną niechęcią i nie bez oporu nawet wszedł ze mną do salonu; blał, czerwieniał, jak na uczynku pochwycony złoczyńca, i niekiedy machinalnym ruchem, do którego przywykł, targał się zlekka za szpakowatą czuprynę, przechylając głowę. W sali palił się już błyszczący ogień na kominku. Wpółrodku, naprzeciw ognia, siedziała na krzesle młoda kobieta, wysokiego wzrostu, twarzy dumnej choć łagodnej, wejrzenia śmiałego, z czarnymi ogromnymi oczyma, bladą i niezmiernie białą twarzą, ubrana w amazonkę aksamitną z jedwabnymi potrzebami, w safianowych bucikach, ze spicerutą w rękę.

Krótko podfryzowane włosy spadały w puklach lśniących dokoła jej głowy; piękne, wyniosłe czoło, nieprzecięte żadną zmarszczką, wznosiło się nad przesłoniczną jej twarzą, jak kopuła nad świątynią; cudowne rysy wspaniałej tej piękności składały całość, jaką chyba na starożytnym posągu zobaczyć można. Piękność to była niepojęta dla mnie, nie-

widziana dotąd na ziemi, coś jakby sen nieprawdopodobny: bałem się, by mi z przed oczu nie znikła i nie rozplynęła się w powietrzu. Obok niej siedziała druga, daleko starsza kobieta, lecz prawie równie piękna. Nie pytając, nie znając ich, widziałem odrazu, że pierwsza nie skosztowała jeszcze życia, a drugiej goryczą zaprawne, już się na zawsze skończyło, z nadziejami razem. Wyraz obojętnego jakiegoś smutku, tęsknoty, która uleczoną być nie chce, nieledwie pogardy świata, dawał się czytać na jej twarzy znużonej, zoraną zmarszczką przedwczesną, a jeszcze młodej i pięknej. W oczach tej kobiety nawet ciekawości nie było; wejrzenie było chłodne i umarłe. Zamknięte usta mówiły: co mnie do was, co wam do mnie?—Te dwie panie, jak gdyby naumyślnie przy sobie postawione, stanowiły zupełną sprzeczność: pierwsza rwać się zdawała do życia, z wiarą we wszystko, czego nie skosztowała jeszcze a pragnęła; druga nie żądała nic, krom spokoju i końca śmiesznej tragi-komedy, która się życiem nazywa. Tak przynajmniej czytałem z ich pierwszego wejrzenia: a rzadko pierwsze wrażenie omyli.

Wystaw sobie zdziwienie moje na widok tych kobiet, tu, gdzie się nie podobnego zobaczyć nie spodziewałem, tu, gdzie się one zdawały zupełnie nie w miejscu, fantastycznym jakimś zjawiskiem. Postawa, strój, wszystko do najdrobniejszych szczegółów zdradzało w nich istoty z innego świata, pochodzenie z innej strefy. Wyobraź sobie dwie palmy na poleskiem błocie: tak mi się wydały te dwie kobiety u pana Koniuszego. Wszedłem i ostupałem prawie na progę, alem się rychło opamiętałem, gdy dziad już mnie prezentować począł:

— Mój wnuk, Jerzy Sumin; pani Lacka, panna Irena Z...

To powiedziawszy, z pośpiechem i przymusem, niemal z gniewem rzucił mnie w progę, i poszedł coś szeptać pannie Irenie.

Nie potrzebuje dodawać, że kobieta w amazonce była panną Ireną, druga panią Lacką. Z panną Ireną, jak uważałem, Koniuszy był w najpoufalszych stosunkach.

Mieliśmy czas, ja i one, zmierzyć się oczyma, i wzajemnie powiedzieć sobie to nieme powitanie, które często o całych przyszłych stosunkach stanowi. Zły, skłopotany, i samém położeniem mojem, blizka nie wiedzieć dokąd podróżą przywiedziony do jakiejś rozpacz, wpadłem w humor dziwny: stałem się zjadliwym, szyderskim, pogardliwym prawie, i lekce wszystko, począwszy od gospodarza domu, ważącym. Przez każdy wyraz mój musiała się, jak później postrzegłem, przebiegać męczarnia wewnętrzna i cierpienie.

Zaledwie pozdrowiwszy kobiety, które mi na powitanie odpowiedziały jedna obojętnie, druga ciekawie a dumnie, usiadłem, a raczej rzuciłem się na fotel stary, stojący w oknie na ogród wychodzącym, wsparłem się na rękę, i począłem patrzeć na stare świerki czarne, i bezlistne grubych lip gałęzie.

Dwie panie z początku poglądały na mnie jak na dzikie zwierzę; widocznie pojąć nie mogły, równie jak ja, co tu cywilizowaną powierzchowność mające stworzenie w głębokiem Polesiu robić może? Dziad zakłopotany, nie pojmuje czém, chodził od jednej do drugiej, ale ze szczególnym wejrzeniem, ojcowskiem prawie jeśli nie macierzyńskim, z troskliwością niewymowną krzątał się około panny Ireny: przysuwał i odsuwał jej krzesło, poda-

*) Liaisons dangereuses.

wał sam wodę, i wpatrywał się w nią, jak prości ludzie mówią, gdyby w obraz cudowny.

Na kilka minut przerwała się rozmowa prawie zupełnie, i gdy Koniuszy z temi paniami poufale szeptał, one coś między sobą pocichu mówiły, a ja pogardliwie milczałem, nie myśląc się do nich zbliżać wcale. Wyznam jednak, że i dziwnie piękna twarz panny Ireny, i jej bytność u dziada, i niepospolita powierzchowność, silnie ciekawość moją podbudzały. Chciałem koniecznie bliżej ją poznać, ale napwół przez dumę, wpół przez nieśmiałość pierwszy może raz mnie napadająca, zbliżyć się wahałem.

Nareszcie panna Irena wstała z krzesła, i wzięwszy ze stołu rzucony bukietik jesiennych kwiatków, w którym przemagały szafirowe osty, zwane u nas mikołajkami, poczęła się, bawiąc nim, przechadzać wzdłuż pokoju. Ruchy i chód były królewskie: śledziłem je chciwemi oczyma. Pani Lacka, ze spuszczoną głową i założonemi na piersiach rękoma, wpatrywała się w komin, zdając się odpoczywać po znudzeniu. Koniuszy oczyma chodził za Ireną, a niekiedy obdarzał i mnie wejrzeniem niespokojnym.

Najprozaiczniej i najpospoliej w świecie poczęła się nareszcie rozmowa między nami.

Irena, jakby długo szukała do niej wtku i początku, zatrzymała się naprzeciw mojego krzesła i spytała obojętnie:

— Pan dawno z Warszawy?

Koniuszy, jakby nie chciał mi pozwolić, żebym usta otworzył, pospieszył się odpowiedzieć za mnie. Ja ruszyłem tylko głową w sposób potakujący.

— I długo zabawić tu myśli?

— Jutro wyjeżdżam—odpowiedziałem cicho.

— Tak prędko znudziło pana nasze Polesie?!

Uśmiechnąłem się gorzko, spoglądając na pana Koniuszego, i odparłem:

— Nie miałem czasu go poznać.

— Ani ciekawości?

— Na tejby mi może nie zbywało, ale inne okoliczności nie dozwalały nawet pomyśleć o tém.

— Jakto? — spytała najnaturalniej w świecie—panbyś mizerne interesa życia materialnego, tę brudną kuchnię, kładł wyżej wielkich obowiązków i przyjemności męskiego zawodu? Panbyś, uganiając się za marną sprawą, za czémś blahe, co pospolicie zowią *interese*m, poświęcał mu poznanie kraju, ludzi, zawsze wysoko nauczające i zajmujące zdaje mi się?

To pytanie *a brûle pourpoint* od kobiety zupełnie nieznanem, niezmiernie mnie zadziwiło. Była to jakby proba co na nie odpowiem, jakby zasadzka dla zbadania kto jestem. Pojmujesz łatwo, że bardzo wielu lwów warszawskich na mojem miejscu albo by nie zrozumieli, lub odpowiedzieli pół-słowem, czémś oklepanem i zwyczajnem, żeby sprowadzić rozmowę z wysokości, na jakiej od razu stała. Ja w tej chwili położeniem mojem wyexaltowany, a jej słowy wzniesiony nagle tak wysoko, odpowiedziałem z niejakim zdumieniem, mierząc ją ciekawemi oczyma:

— Ludzie i świat, pani, wszyscy i wszędzie są jedni; a te łachmany, które zowią ich strojem, obyczaje, nalogi, miejscowy koloryt: cóż to, jeśli nie znikoma bardzo forma, która różni na oko, a pokrywa jednostajną wszędzie naturę? Jeślim czego nie poznał, spróbuję odgadnąć.

Spojrzałem na Koniuszego, który poblaskł, potarł włosy silnie, udając że je poprawia, chrząknął, wstał i zbliżył się, kołując, do Ireny. Ona stała ciągle naprzeciw mnie, bawiąc się kwiatkami.

Ja siedziałem z nią obojętną, rozparty. Te kilka wyrazów jednak były akordem dwóch muzycznych narzędzi, które probują czy jednakowo są strojone.

Spojrzelśmy na siebie. Dopiero teraz usłyszawszy z jej ust kilka wyrazów, zdumiałem się bardziej jeszcze, widząc, że nietylko nadzwyczajną piękność, ale niepospolite zjawisko miałem przed sobą: jeden z typów naszego wieku, kobietę, której umysł równie był jak twarz piękny, jeśli ten przymiot umyslowi dać można. Jakież były stosunki między nią, tak wykształconą, a panem Koniuszym, tak zarzewiałym? Mówił wprawdzie o swojej nad nią opiece: ale pojąć mi było niepodobna, jak pod jego opieką zejść mogła ze stanowiska pospolitego naszych kobiet, i dostać się na daleko wyższe.

— Odgadnąć! odgadnąć! — powtórzyła ostatnie słowo moje, zaczynając się znów przechadzać panna Irena. — Wiele rzeczy można odgadnąć, ale wielu też trzeba się uczyć. Poznajemy ludzi, a w ludziach uczym się człowieka. Świat i ludzie nie są tak łatwą zagadką, żeby ich całe życie nasze pracowicie odgadywać nie było potrzeba. Lecz kto tylko odgaduje, często cały świat, całą ludzkość fałszywą sobie tworzy, i własną na obraz i podobieństwo swoje; a w stosunkach z żywemi bije się o utwory własnej wyobraźni, pojąć nie mogąc przyczyny swoich zawodów.

To są jej wyrazy, zdaje mi się, żem je dobrze zapamiętał. Pojmij, jeśli możesz, jak mnie zachwycały z ust tak pięknych rzucone od niechcenia, nie dbale, naturalnie, bez przymusu, bez wyszukania, bez oglądania się na oklaski. Co chwila bardziej słupiałem, widząc ją tak pewną siebie, poufałą, i nic a nie moją miejską powierzchownością, mojem stołecznem pochodzeniem nie zmieszana. Wrażen moich opisywać ci nie będę, ani bym potrafił, i nie miejsce też na nie w tym liście, do zbytku już ogromnym.

Koniuszy coraz ognistszemu od gniewu okiem rzucił na mnie; ja jeszcze siedziałem u okna.

— Zgadnąć lub uczyć się — odpowiedziałem — świata i ludzi czy warto? Oboje tracą na bliższem poznaniu.

— Czyż zawsze?

— Najczęściej podobno.

— Zkądże to odczarowanie w młodości? — spytała stając naprzeciw mnie. — Nie myślę, żeby miało być farbą, którą się zalotnie malują niektórzy, wychodząc na scenę? Przypuszczam, żeś pan szczyry.

— O! za to pani dziękuję! Jestem szczyry i nie mówię, tylko to co myślę.

— Dobrze! A zatem, szczyrze: jakie wrażenie wywieziesz pan z naszego kątką?

— Nie wiem dotąd: do dzisiejszego dnia nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Nad tém niepotrzeba się namyslać: to się czuje.

— Dotąd Polesie zdawało mi się doskonale począciwym, ale bardzo dzikim krajem—rzekłem uśmiechając się. — Wyjmuję dom mojego dziada i wszystko co w nim dziś poznałem.

— O! tylko bez tych grzeczności: czyże kadzidło! Mój pan Koniuszy, nie mogąc wytrzymać, wmięszał się wreszcie do rozmowy dosyć niedorzeczy:

— Prosiłem i proszę żeby się zatrzymał dłużej—rzekł zafrasowany trochę i obracając się poprawić coś w kominie—ale tak się uparł jechać..

Uśmiechnąłem się dość nieznacznie. Irena spoj-

rzala tylko na mnie i na dziada, i zdawała się czegoś domyślać.

— Pan Koniuszy źle musiał prosić. A gdybyśmy jeszcze pana spróbowali zatrzymać dla lepszego poznania naszego kątka?

— Ha! ha! — uśmiechnął się żółto mój dziad, dmuchając w ogień niespokojnie — nie uprosimy, nie możemy uprosić: dał słowo, sam słyszałem, dał słowo.

— Komu? — spytała Irena więcej dziada niż mnie.

Ale Koniuszy zaczął w tej chwili dawać rozkazy do herbaty, i udał że nie słyszy. Ja milczałem.

Poufalość jej z moim dziadem wyszła teraz na jaw bardziej jeszcze niż dotąd; wzięła go pod rękę i zaglądając mu w oczy, spytała natarczywie:

— Komu dał słowo?

— Kto? — odparł stary, udając zapomnienie.

Rzuciła rękę jego z trochę niecierpliwości i zawołała:

— Biedni ci starzy, jaka krótka pamięć!

Na tem skończył się pierwszy epizod. Rozmawialiśmy potem z sobą z coraz wzrastającą żywością o tysiącu rzeczach. Ona jakby łaknęła rozmowy, myśli, sporu, wciąż podsycała rozmowę, które jedna z drugiej się wywijały. Dziad napróżno usiłując temu przeszkodzić, usiadł nareszcie przy kominię i zadumał się głęboko. Pani Lacka w upartym milczeniu, które ledwie kilka słowy przerwała, poglądała z jakiemiś niby politowaniem to na mnie, to na Irenę, to na starego.

Podano herbatę. Irena posadziła mnie między sobą a panią Lacką, dziada z drugiej strony, i zaczęła gospodarować jak we własnym domu.

Nagle, obejrawszy stół cały i skosztowawszy chleba, obróciła się do Koniuszego:

— Widzę, że kochany opiekun nie spodziewał się dziś kobiecego najazdu, bo dla mnie chleba upiec nie kazal.

— O! już się piecze.

— Nie warto moim dziwactwom dogadzać. Godziż się, żeby się człowiek tak pieścił, nie znając co mu przyszłość gotuje? — Potem dodała: — Ale zamiast podziękowania, że mając być za dni pięć dopiero, przyspieszyłam odwiedziny, pan Koniuszy tak chmurny jakby do losia chybił.

Gdy wymawiała dni pięć, przypomniałem sobie, że dziad pozwolił mi być jeszcze u siebie pięć dni właśnie przemieszkając, i spojrzałem na niego z nieznanym uśmiechem. Spotkałem jego wzrok, zmiesział się, a pokrywając to, wstał psy powypędzać z pokoju.

Ale Irena też wszystko widziała i wiele zapewne odgadła, bo spojrzawszy na staruszkę ruszyła zlekka ramionami, jakby z politowaniem.

Rozmowa po herbacie o stolicy, o literaturze, o wsi i mieście i t. p., i t. p., przeciągnęła się do wieczery. Kilka razy wnieśli się do niej piękna i smutna pani Lacka, której głos cichy brzmiał niewypowiedzianym smutkiem, ale myśli jej nie miały orlego lotu Ireny. Po wieczery byliśmy znajomi, jakby lata przebywszy z sobą; i mnie wrócił humor, odwaga, siły, a gdyby nie przykra myśl jutrzejszego wyjazdu, chciałem powiedzieć raz pierwszy w życiu w duszy mojej, że czuję się szczęśliwym.

Dziwiło mnie niepomału, że te panie wcale się do wyjazdu nie sposobily, gdy usłyszałem właśnie rozporządzenia dawane przez Malcowskiego, dla umieszczenia ich w kilku pokojach, które dotąd zawsze zamknięte bywały: miały więc nocować. Potwierdziła to Irena, odzywając się do starego:

— Wszak mój opiekun nie wypędzi mnie od siebie? Noc ciemna; ja dosyć jestem zmęczona.

— Panno Ireno! panno Ireno! — z zapalem podchwycił Koniuszy, łamiąc ręce — spytaj raczej czybym cię puścił w nocy przez bezdroża z twojem śmiałkowstwem?

— Patrzenie, jeszcze mnie polajał, zamiast podziękowania! — rzekła, zbliżając się ku niemu i ścisnąc go za rękę. On pochwycił białe jej paluszki i skwapliwie ucałował; ale dopełniwszy tego prawie namiętnie, obejrzał się na mnie, odskoczył i zaśmiał.

— A co! — zawołał do mnie — he? w starym piecu djabeł pali! Szczęściem, panie, że mi siedm krzyżów podobno, a do kroćset. jeszczeby mnie ta synogarliczka daleko zaprowadzić mogła!

To powiedziawszy i potarłszy ręce, rzucił się widocznie znużony wysileniem na kanapę.

Ja z temi paniami (a raczej z panną Ireną, bo pani Lacka zawsze była milcząca i smutna), będąc już jak stary znajomy, poczelismy się śmiać, żartować i w zwawszą coraz zapędzać rozmowę. Nagle wpośród niej zatrzymała się zawsze trochę poważna Irena i zawołała do Koniuszego:

— Opiekunie, mam żal do ciebie!

— Do mnie? cóżem mógł zrobić takiego?

— Popelnileś wielki występki: dowiodłeś, że jesteś starym samolubem. Jakto? na Polesiu, gdzie tak rzadko gość z cieplejszych krajów zawita (nie licząc bocianów, których dosyć mamy), nie chciaść się gościem z sąsiadami, a zwłaszcza ze mną podzielić? To szkaradnie!

Koniuszy poczerwieniał.

— Przyjechał na tak krótko.

— To nie wymawia cię bynajmniej. Wszak gdyby nie Kapitan, który mi dał znać że mamy gości w Turzjej-Górze, anibym o tem wiedziała, i byłby sobie szczęśliwie wyjechał.

Dziad, słysząc o Kapitanie, pobladł, wyjął chustkę z kieszeni i nieznacznie zawiązał na niej węzełek. — A to Kapitan! — mruknął cichuteńko do siebie — nowa kréska! dobrze! przyjdziemy do rachunku kiedyś.

— Musiałam — mówiła dalej Irena — dogadzając wrodzonej kobiecej ciekawości, przyspieszyć przyjazd mój do Turzjej-Góry. Teraz naznaczę karę opiekunowi za ten występki: musisz...

— Co każesz! — rzekł żywo poskakując stary.

— Dobrze się spytales, panie Koniuszy! Tak jest, w imię twojego przywiązania do mnie, rozkazuję wstrzymać wnuka i nie puszczać go jutro. Niech z nami posiedzi na pokucie, chciałam mówić na Polesiu.

Skrzywił się stary okropnie, gorzko, i uśmiechając nieszczerze zbliżył się do mnie. O! o! trzeba go było widzieć jak mnie prosił, a prosząc poddawał mi sam odpowiedzi.

— Nie pojedziesz, kochany Jurku, nie! nie! Ten pilny twój interes przez list załatwić się może, nieprawdaż? Ale nie pojedziesz, biorę to na siebie: słowo dane, choć świętym jest słowo szlacheckie, dotrzyma się, gdybyś nawet odwlóklkolwiek.

W ten sposób, do niecierpliwości mnie przywołując, mówił długo stary, aż nareszcie Irena, która jak mi się zdaje, więcej wie i rozumie odemnie co się z nim dzieje, powiedziała mu coś do ucha, i dziad mój natychmiast inaczej wcale wziął się do zatrzymywania wnuka. Pojmujesz, że zostałem nie dla niego, ale dla niej.

Dość późno rozeszliśmy się z pokoju: bo choć w Turzój-Górze zwykle o dziewiątej noc się poczyna, choć pan Koniuszy nieraz znacząco spoglądał na zegarek, Irena zdawała się na to nie uważać, i kilkakrotne przypomnienia pani Lackiej, wyrzuczone na ucho, przyjęła z roztargnieniem, niechętnie. Nareszcie o jedenastej stary począł nielitościwie ziewać i przechadzać się, a nie mogąc nas i tym sposobem rozpedzić, bez ogródki oświadczył, że czas iść spać.

Na górze zastałem Stasia w różowym humorze, bo się już nazajutrz wybierał napewno w drogę. Jakież było jego zdumienie, gdy mu powiedział, że jeszcze na jakiś czas zostajemy! Z rozpaczą wyszedł milczący z pokoju, i rzucił się nierozebrany na łóżko.

Ja długo, długo chodziłem, marząc rozkosznie. Piękna, cudowna Irena stała mi w myśli i na oczach. Lecz któż ona była? jakie stosunki łączyły ją z panem Koniuszym? jakie było jej położenie towarzyskie?—nie wiedziałem i niełatwo dowiedzieć się mogłem. Chciałem posłać Stasia na wywiady, ale ten teraz sparaliżowany wstrzymywanym wyjazdem, był do niczego.

Gdym się nazajutrz przebudził i wysłał go dowiedzieć się o gościach, już ich w Turzój-Górze nie było: raniuteńko wyjechały panie, jedna wedle zwyczaju swego konno, druga powozem. Znikły jak sen; i gdym wszedł do sali, w której je wczoraj widziałem, gdzie spędziłem tak rozkoszny i ożywiony wieczór, przypomnienie świeże zdało mi się marzeniem nocnym.

Koniuszy ponuro, zamyślony siedział przed kominem wygasłym, sparszy ręce na kolanach; zdawał się starszy niż wczoraj, a na twarzy jego niepokój, smutek, głębokie malowało się strapienie. Powitał mnie milcząco, a nie ze zwykłą rubasnością swoją. W jego spojrzeniu na mnie było coś nakształt stłumionej niechęci i gniewu; przecież był bardzo grzeczny. Po zwykłych pytaniach i oddaniem wzajemnie *dziendobry*, nie mogłem wymóżyć na sobie, abym nie spytał co się stało z wczorajszym zjawiskiem. Spojrzał na mnie kwaśno.

— Te panie? pojechały sobie do domu.

— Tak spiesznie? tak rano?

— Nie chciałem ich zatrzymywać—odpowiedział.

—W kawalerskim domu goście to niewygodni: nie wiedzieć jak ich przyjmować.

Po przestanku, spytałem: kto była panna Irena?

— Młokosy! trzpioty!—rzekł stary, ruszając ramionami—każda piękna a nieglupia kobieta zawraca wam głowę na kwadrans. Nic statku! nic statku! Już i Waści się roi panna Irena! Porzuciłbyś!

— Panie Koniuszy! zkadże te wnioski? Co innego roić, a co innego poprostu być ciekawym. Widziałem ją raz, a ze mnie zajęła...

— Tak! już, już zajęła!—zakrzyczał prawie z gniewem—już go zajęła. Patrzejcie? Otóż i jest! Już go zajęła! już go zajęła!

— Zajęła mnie oryginalnością swoją, i chciałbym wiedzieć...

— Wiedzieć? co wiedzieć? ile ma posagu? co? cóż wiedzieć? Zwyczajnie, córka obywatelska, panienska dosyć trzpiotowata, dość samowolna i popsuta: ot i cała rzecz. Cóż więcej wiedzieć? na co wiedzieć? do czego? po co?

Umilkłem, naturalnie.

— Ale, ale — dodał kwaśno — wszakże po południu jedziemy do Rumianej?

— Cóżto jest Rumiana?

— Rumiana? wioska panny Ireny.

— Więc panna Irena ma wioskę! — zawołałem nienawaznie.

— Otóż jest! otóż jest! jużbyś się gotów i zenić, bo ma wioskę — wołał dziad. — Im więcej nie potrzeba! Potem wioskę zjeść, a żonę porzucić. Ale nie, panicyku, nie! nie dla kota sadło—rzekł ciszej.

— Panie Koniuszy! wszak dziś mówić z nim niepodobna; zkąd taki humor?

— Jużci upatrzył zły humor! Skaranie Boże! Alboto ja młody trzpiot, paliwoda jak wy, żebym się śmiał i tańcował całe życie jak szczygielek?

— Po południu więc — rzekłem — jedziemy do Rumianej?

Kiwnął tylko głową.

Wyszedłem rozmówić się ze Stasiem o podróży, ale chcąc jak najprzyzwoiciej się pokazać, wróciłem odedrzwii z zapytaniem: czybyśmy ładnym koczykiem moim jechać nie mogli? Koniuszy nad wszelkie spodziewanie moje zgodził się na to, bo jego Dangłowska landara była w poprawie u kowala, a nejtyczanka świeżo się połamała. Musiałem jeszcze ująć datkiem i prośbą Stasia, żeby rzuciwszy rozpacze i zale po zawiedzionych nadziejach wyjazdu, raczył mi wszystko jak należy przysposobić do tych odwiedzin.

Wiedziałem już, że panna Irena była właścicielką wioski; ale miała-li rodziców, krewnych, i jakich? kto była? nikt mi powiedzieć nie chciał. Zaczepiłem Malcowskiego, który się usmiechnął, ruszył ramionami i odpowiedział:

— A cóż, Jasnie panie, obywatelska córka! Była w opiece u mojego pana. Bardzo dobra pannal o! bardzo dobra pannal

Z tak obfitym zapasem wiadomości, po milejącym obiedzie, ruszyliśmy nieco lepszą drogą, ale za to piaskami, ku Rumianej. Koniuszy milezał, przerywając tylko niekiedy uwagami, jakie mu następczali gospodarskie spostrzeżenia.

— A taki nie zrobił psiawiara jak chciałem, nie posiał tu wprzód, hm! Złe pole uprawne, perz widać wszędzie, i t. p.

Zaczęło się zachmurzać i zbliżać do zachodu; przecież miałem jeszcze czas przypatrzeć się okolicy, gdyśmy się zbliżali do Rumianej. Choć nikt mi o tém nie oznajmił, poznałem ją po osobliwszej niespokojności Koniuszego, który przed siebie spoglądał i kręcił się w koczku.

Wkrótce wjechaliśmy w szeroką ulicę, staremi lipami wysadzaną, która w tej chwili cała usypana była żółtymi liśćmi. Na końcu jej geste i szeroko rozrosłe wznosiły się drzewa, kaząc domyślać się ogrodu; w prawo ukazywał się staw błyszczący, nad nim kapliczka gotycka; wprost bielał wielki dwór. Folwark gospodarski odsadzony był o kilka staj na lewo od niego.

Z ulicy wjechaliśmy w dziedziniec, teraz już żółkły, ale ogromnym zasłany trawnikiem, wkoło którego wznosiły się drzewa, a pod nimi kwitły jeszcze reszty niedomrożonych dalij. Dom, przed który zajeżdżaliśmy, wcale nie poleską miał minę: obszerny, bez piętra, ale na wysokiem podmurowaniu, rozciągał się przed nami z oranżeryą przytykającą doń, galeryą krytą i wieżyczką na rogach. Z niej dalekie okolice obejrzyć było można; a kto zna smutne widoki Polesia, zewsząd lasami czarnemi pozamykane, ten oceni wieżyczkę jak warta: oko mogło pójść ztąd trochę dalej. Ganek cały zaszkłony, pełen był najrozmaitszych kwiatów, ze smakiem rozstawionych.

Zdumienie moje rosło co chwila. Jak oaza wśród pustyni, jawi się przedemną dom, któryby wśród Paryża mógł stanąć: utrzymany wytwornie, ubrany starannie, urządzony tak gustownie, że nie można się było nie dziwić, nie zastanowić, nawet trochę przygotowanemu; cóż dopiero mnie, którym wcale tego wszystkiego nie domyślał się, choć z właścicielki miałem prawo sądzić o jej mieszkaniu. Koniuszy zawsze w najgorszym w świecie humorze, chmurny jak jesień, zrzucił swoją bajową czujkę, i poszedł przodem, prowadząc mnie po obszernych salonach, w których wszędzie duszę kobiety, dotknięcie jej ręki i uczucie wdzięku wydać było. Ustawienie kwiatów, rozrzucenie drapeiry, tysiące fraszek, przekładanych tak, że wzajemnie jedna drugiej wartość podnosiła: świadczyły o staraniu, z jakim dom urządzono, i wielkim smaku właścicielki.

Któż ona jest? gdzie się wychowała? zawsze tu tylko żyć nie mogła? pytałem siebie, idąc przez puste pokoje, w których kosztowne obrazy, posążki, brzozy, oznajmywały nie tylko wielkie wykształcenie, ale razem wielką zamożność. Nareszcie dostaliśmy się do małego saloniku, w którym za granicami i meblami trochę było ciasno. Trzeba się było oswoić z nim, żeby śmiało chodzić. Kanapy, fotele, stoliki, stołeczki, konsole, necessary, przybory do malowania, do haftu, bukiety z kwiatami, ogromne wazony z krzewami południowych stref, zajmowały ten kątek, zasiany książkami wszędzie. Prześliczne hebanowe ze skromnymi ozdobami złoceniami piano Erarda, uginając się zdawało pod ciężarem narzuconych nut. Na kanapie i trzech krzesłkach leżała rozrzucona portiera, którą właśnie z szytych na kanwie sztuk składano. I tu jeszcze nikogośmy nie znaleźli, ale prędko otwarły się drzwi boczne, i Irena, a za nią pani Laeka, weszły razem do pokoju. Koniuszy posunął się ku nim, usiłując wyrobić sobie twarz wesołą.

Irena miała dnia tego suknię fiolkową z grubą ciężką materią, ściągniętą sznurem takiegoż koloru, ręce po łokcie czarną tylko siatkową rękawiczką okryte, włosy gładko uczesane; pani Laeka w czarnej sukni pod szyję, ale bez czepka.

Trudno mi opisać ci jak obie były piękne, jak nadewszystko piękna była Irena! Oczekiwałem kogoś więcej, domyślając się ojca, ciotki, matki, babki: ale tego wszystkiego nie ma. Irena sama przyjmowała nas jak gospodyni domu: odebrała zaraz od Koniuszego czapkę i rękawiczki, które ceremonialnie trzymał w ręku, przysunęła mu fotel, wskazała mi drugi i sama usiadła: w każdym ruchu, w każdym skinieniu pełna nieopisanego wdzięku.

Wieczór mignął mi tak szybko, że z niego jak ze snu na zaraniu wypowiadać ci się niepodobna: ogólne tylko pozostało mi wrażenie jednej z najszczęśliwszych chwil w życiu.

Dziad mój, milczący i nie dając się rozweselić, to książki leżące wszędzie przewracał, to gazety czytał, to chodził po pokojach, mierząc nas tylko okiem ciekawym, pełnym niepokoju. My bujaliśmy myślami, a piękna gospodyni, która oddawna podobno nie miała z kim myśli podzielić, ożywiona była i wesoła. Przyznam ci się, że pierwszy raz w obec tej kobiety, tak poważnej, tak z wysoka pojmującej życie człowieka i życie kobiety, tak dalece wyzszed nad pospolity tłum niewiast, że zdawała mi się czemś niezmiernym i zupełnie wyjątkowym: wstyd mi się zrobiło mojej tak zmarnowanej młodości, prześwistanych lat najdroższych. Zdaje się, że na

skrzydłach swej myśli podniosła mnie i ukazała zdumionemu, jak inaczej świat się wydaje z góry, jak dalece inne, niżeli sądził z wami razem, jest przeznaczenie, a zwłaszcza obowiązki człowieka.

Każdy jej wyraz napiętnowany był myślą świeżą, uderzał czemś niespodzianym. Poważna, prawie surowa, spokojna i mężna, mówiła o sobie, jak drudzy o obcych, wskazując swe wady, dając się poznać bez tej tohórzliwości, pospolitym kobietom właściwej, która czasem jest wielkim urokiem, częściej szatą słabości.

W jej towarzystwie uczulem się zbrojnym w odwagę na przyszłość: zmęźniałem. Zachęcony, ośmielony, pociągniony, ja także opowiedziałem nieznanie część życia mojego.

Dziad, który (jak teraz widzę) daleko lepiej znał moje przeszłość niżeli myślałem, ze szczególniejszą zajadłością, mogę powiedzieć, choć to niby nawpół żartem, dopomagał mi do tej spowiedzi, przesadzając co tylko ze złej strony okazać mnie mogło. Niekiedy spojrzał na Irenę, jak gdyby mówił: otóż go masz, sam ci się maluje.

Ale ona nie dała znaku, żeby gorsze ztąd o mnie miała powziąć wyobrażenie; owszem, obchodziła się ze mną coraz poufalej, coraz bardziej przyjaźnie. Dziwnym fenomenem sympatii, który rzadko się trafia na świecie, a raczej mało dotąd był postrzegany, ja z Ireną zdałem się oddawna znajomym: w wejrzeniu, w ruchach, zgadywałem całą jej przeszłość, której nie znałem, przewidywałem ją całą. A w miarę jak szaty z tego bóstwa opadały, bóstwo stawało przedemną jaśniejsze, piękniejsze, doskonalsze: zbliżenie nie rozczarowywało, podnosiło ją do ideału.

Postępowanie dziada pozostało dla mnie pełne tajemnicy, zupełnie zagadkowe. Gdy Irena niechcący, a raczej nie widząc w tym nic coby mogło zrobić jakie wrażenie na starym, wspomniała o Kapitanie, Koniuszy znowu precedził przez zęby: Zjé djabła! zjé djabła! potargał wąsy i poczerwieniał.

Musiałem się nareszcie domyślać, że między moim dziadem a Kapitanem nie ze wszystkiemi o łąki tylko i o lasy chodziło, a zajście ich ważniejsze daleko i starsze, niżeli Koniuszy się przyznawał, być musiało. Dlaczego wprzód ani wspomniał mi, że Irena była krewną Kapitana?

Zatrzymani na noc, poszliśmy do domku ogrodowego, gdzie nas czekały pokoje wygodne i obszernie. Z okien mojego pokoju widok był na staw rozległy, a za nim szarzały dalekie sosnowe lasy. Kilka książek leżało na półce przy łóżku, zająłem do nich przez ciekawość: wszystkie były mi nieznanome i świeże, jakby wybrane umyślnie. Czytałem też długo, a raczej marzyłem z książką w ręku.

Nazajutrz rano przysłano do mnie z zapytaniem: czy choć towarzyszyć panie Irenie na ranną przejażdżkę? Pochwyciłem tę zrzeczność zbliżenia się do niej, i wkrótce ubrany pobiegłem ku domowi. Konie już stały przed gankiem. Koniuszy nie chcąc zapewne samych nas puścić, choć niebardzo lubił przejażdżki nadaremne (to jest bez chartów), dośiadł wszakże kasztanowatego mierzyna, który mu był przeznaczony.

Pani Laeka pokazała się nam tylko przez okno, prosiąc Ireny, żeby niebardzo dokazywała. Ona w tym samym stroju, jaki miała w Turzej-Górze, skoczyła lekko na żywego konia, i przodkując nam, puściła się galopem ulicą. Ja trzymałem się przy niej; Koniuszy wiele miał biędy z koniem powolnym, który był niesłychanie narowisty, jak większa

część rumaków tego temperamentu, a może i ludzi. Irena poprowadziła nas drogą, po nad ogrodem i stawem idącą, ku lasom; z jaką dzielnością, odwagą i wdziękiem kierowała koniem swoim, jak była na nim zręczną i śmiała, nie mogę opisać, lecz chciałbym mieć ołówek w ręku!

Większa część kobiet, co konno jeżdżą, wyłącznie są koniem zajęte: ona zdawała się nie uważać na swego, i żywą z nami prowadziła rozmowę. Widoki otaczające, barwy późnej jesieni, kraj dookoła otwarty, dostarczały nam wątku do snucia myśli, które z tój przędzy wywijają się różnobarwne, i leciały w te krainy niepamięci, gdzie jak na dnie mórz, koralów i konch perłowych, tyle ich ukrytych, zapomnianych tonie. Towarzysz nasz oprócz złego humoru, tajonego usilnie, nabrał jeszcze na przejażdżce, pasując się z koniem, zniecierpliwienia i gniewu.

Jechaliśmy zwolna po nad brzegiem lasu, który dotykał do stawu. Z jednej strony nachylały się nad nami gałęzie suche drzew, ogolone prawie z liści i sosen zielonych; z drugiej na piasek żółty pluskały fale, wiatrem poruszone; wazka ścieżyna snuła się między lasem a wodą. Cisza uroczysta, cisza wsi była nad nami; zdala tylko turkot wozu, krzyki gęsi lub roznowa wieśniacza, dolatywały nas niekiedy. Irena zamysliła się, i wskazując krajobraz przed nami, zawołała:

— Mój Boże! możnaż pożądać miasta?

— Spytaj pani o to tego lotra Jerzego — rzekł złośliwie Koniuszy, który się pluszcząc w stawie do Irenej przybliżył.

Ona spojrziała na mnie ciekawie, ale jakby bez odpowiedzi mojej wyczytała z oczu, żem w tój chwili weale miasta nie pożądał i nie tęsknił za nim, odezwała się:

— Ci tylko miasta pragną i miastem żyć mogą, co myśleć nie chcą, co nie są w związku z Bogiem i stworzeniem; próżni uczucia i myśli, sztucznem żyjąc życiem, pragną zadurzyć się i zagłuszyć, chcą życie uczynić igraszką. Wśród tego zgłębku i wrzawy, wśród tego tłoku wrażeń, rozszarpujących wewnętrzne człowieka, może on mieć czas pomyśleć o sobie, o Bogu?

— Zareczęm — rzekłem — że miasto jest dla mnie zupełnie obojętne, ale...

— Jakież ale?

— Miasto dla społeczeństwa przedstawia żywiół ruchu i postępu umysłowego.

— Przepraszam, miasto żyje tём co mu ze wsi dowiozą: i jak na targ potrzebuje codziennie wiejskiego zboża, potём wioski zapracowanych żywności, tak dla umysłowego życia trzeba mu także owocu pracy wiejskiej. Większa część znakomych pisarzy, lub co lepiej, wielkich myślicieli, żyła i żyje na wsi. Jan Jakób, jak wiecie, wytrwać nie mógł w mieście: szukał wsi wpośród niego nawet.

— O! filozofka! — zawołał mój dziad.

— Żeby myśleć płodnie, trzeba skupić się w sobie — mówiła dalej — a w mieście człowiek ciągle podburzony jest do wylania się na zewnątrz, zużywa się wrażeniami; potём — dodała — człowiek w mieście się psuje, jestem o tём przekonana. Widok tyła złego, które się codzien o oczy objaja, nie może być bez wpływu: ściiera z nas świeżą barwę młodości.

— Stare maxymy! — przerwał znowu Koniuszy. — Nie nawrócisz pani tego mieściucha, który tu z nami nie wyżyłby kilku tygodni.

— Dlaczego? — spytałem.

— Dlatego — odpowiedział stary, nielitościwie śmiejąc się — że tu nie ma teatru, a może aktorek, nie ma szumnych balów, wieczorów, gry, i życie sobie płynie jak zegarki idą: puk, puk, puk, puk! jednostajnie.

— Prawda, jednostajnie aż straszno! — zawołała Irena. — Człowiek stworzony jest do czegoś lepszego a stałego, niezmiennego; tymczasem czuje, że stałego nic nie ma. Ile razy dla niego trwa dłużej jedno, lęka się — egoista!

— Ta przestraszająca jednostajność jest dowodem szczęścia — rzekłem. — Boim się stracić to tylko, co wysoko cenimy.

— Szczęście! szczęście! — mówiła Irena jakby do siebie. — Tak! to może ten pokój wioski i ustronia cichego: innego nie ma.

— O! jest inne! — zawołałem.

— Pan jeszcze w nie wierzysz? — spytała, odwracając się ze smutnym jakimś uśmiechem.

— Ja? wierzę, nie wierzę, ale się go zawsze spodziewam.

— Szczęśliwy! Nadzieja szczęścia jest już szczęściem sama.

Zamilkłszy. Jakiś czas jechaliśmy potём nic nie mówiąc. Koniuszy i jego koń rwali się do domu. Irena wypuściła swego karuszką prawie czwałem, i tak spieszenie lecąc stanęliśmy u ganku. Konie pana Koniuszego stały zaprzęzone.

— Co to jest? — spytała gospodyni.

— Jedziemy — odparł stary.

— Jakto być może?

— Pan Jerzy się spieszy — rzekł Koniuszy.

— Pan Jerzy! możeż to być?

Milczałem, nie chcąc ani potwierdzić słów dziada, ani mu zaprzeczyć. Ona szepnęła mu coś znowu na ucho: stary się opierał, trząsał głową; powiodła go w galeryą, i mówiła długo, żywo i tak skutecznie, że nareszcie konie wyprządz kazano. Ale zostawszy na prośby Irenej, Koniuszy w najbezpieczniejszy wpadł humor; fraszką był jeszcze wczorajszy. Nie mogąc się na nikim mścić, prócz na mnie, dał mi się straszliwie we znaki.

Ale widzę, że list przeciągnął się nad wszelką miarę przyzwoitą, tak, że mógłby już obszernością swoją najdziksze domysły pocztmejstrów usprawiedliwiać; kończę go spieszenie, a raczej urywam. Z następującego dowiesz się o losach wiernego wazszego przyjaciela

Jerzego.

W.

Turza-Góra, 23 listopada.

Kochany Munciu! Nie wiem doprawdy na czём stanąłem, pisząc przed kilką dniami do ciebie; potrzebuję się z kimś podzielić i siadać znowu do listu opowiadać dzieje mojego pobytu na Polesiu.

Zdaje mi się, żem się zatrzymał na tём, gdy Koniuszy, zmożony prośbą czy rozkazem (to rzecz dla mnie nie rozwiązana) Irenej, pozostał ze mną w Rumianej.

Zaledwieśmy wstali od stołu, gdy przez okno postrzegł Koniuszy nadjeżdżającego z Turzój-Góry kozaka. Wybiegł do niego niespokojny. Jakoż było czego: ekonom donosił, że korzystając z nieobecności dziada, Kapitan polował w lasach Turzógórskich od granicy Kurzyłówki, wprawdzie niedaleko się zapędziwszy, ale właśnie w ten ostęp, w którym sarny hodowano i gdzie nikomu strzelać nie było wolno.

Znać potrzeba namiętność Koniuszego do myśliwstwa, żeby sobie wyobrazić jaka go ogarnęła wściekłość, jaki go szal opanował, gdy tę wiadomość odebrał. Natychmiast rozkazał konie zaprzęgać i sposobić do drogi, a sam chodząc wielkimi krokami po pokoju, zaglądał od okna do okna, czy nie zobaczy powozu, i powtarzał:

— W leś szelmie wypalę!

Irena uspakajała go tem, że ludzie przez zbytnią gorliwość mogli fałszywą zburzyć go napróżno wiadomością: on jednak nic słuchać nie chciał.

Kilka razy rzucił na mnie okiem badającym, jakby się upewnić chciał, czy mu towarzyszyć będę; nareszcie spytał mię nagle:

— Spodziewam się, że jedziesz ze mną?

— Naturalnie!—odpowiedziałem.

— Dlaczego naturalnie?— spytała Irena. — I po co pojedzie pan Jerzy? Jąbym właśnie prosila żeby pozostał, napowrót dam mu konia, czy konie, jak zechce.

— Dlaczegoż nie ma jechać ze mną?— odburknął Koniuszy.

— Bo panu tam na nic niepotrzebny, a dla mnie miłym jest gościem.

Podziękowałem ukłonem tylko. Koniuszy znacząco spojrział na nią i usta zaciął.

— Miłym!— powtórzył przez zęby, cedząc i ruszając ramionami.

— Zresztą—mówiła Irena—wieczorem go puścimy. Na dzisiejszy dzień spodziewam się obu panów Grabów, a nie powiesz, kochany opiekunie, żeby poznać ich nie było warto?

Dział odwrócił się z jakąś desperacją, pochwycił czapkę i rękawiczki, dostrzegłszy zajeżdżający powóz, i rzekł z przyciskiem do Ireny:

— Jako opiekun, przestrzegam cię kochana pani. Młode chłopię, a do tego mieszczuk, głowa przewrócona lekkością kobiet: powiedz mi, co on sobie wnosi gotów z tego zatrzymywania, he? Gotów się biedaczysko nadarmo podkochać. Nadarmo!— wymówił jeszcze raz z przyciskiem — bo że nadarmo, Boże mnie skarż! o! nadarmo!

— Dziękuję ci, kochany opiekunie, za przestrożę—rzekła Irena, śmiejąc się— ale nadto mam dobre wyobrażenie o panu Jerzym, zabym go o zarozumiałą płochość posądzała. Zapraszam go, bo nam wesoło i dobrze czas z nim zchodzi, i jemu podobno, jeśli nie nadto sobie pochlebiam. Gdyby na mocy grzeczności i przyjaźni chciał prawa do czegoś innego tworzyć, wiesz kochany Koniuszy, że bez niczyjej pomocy, powiem mu w porę co będę myślała. Znasz mnie przecie.

To mówiąc, podała mu rękę, a stary wskoczył w powóz, i rozkazawszy nie oszczędzać koni, pędził szybko wprost ku zagrożonemu ostępowi. Opowiadał mi potem jak się spotkali z Kapitanem. W istocie kochany sąsiad zapędził się był w cudzy ostęp, ale jak dowodził, przez niewiadomość granic; do tego ani razu nie strzelił, i odebrawszy przestrożę od pobereźników, cofnął się zaraz we własne lasy. Zajadły Koniuszy dowiedziawszy się od swoich ludzi, że obozuje niedaleko granicy pod dębami, udał się tam, nie wstrzymany uwagą, że wcale nie było o co się upominać.

Kapitan poskoczył ku niemu w uniesieniu najgorętszej przyjaźni: odpychającego obrzucił pocałunkami i uściskami, wysmoktał, wydusił i posadził gwałtem na kłodzie, nie dając prawie ust otworzyć.

— Ale do stu tręb!—zawołał rozjuszony Koniu-

szy—ja tu się klócić przychodzę. Wacpan-bo, panie Kapitanie...

— Klócić się?— przerwał sąsiad — my z sobą? my z sobą się klócić? A! paniel ze mną. co go szacuję i kocham jak ojca! ze mną, cobym się dał za niego porąbać! Nie, nie, nie spodziewam się tego nieszczęścia!

— Ale do kaduka! po cóż w moje lasy włazisz? Wiesz zem myśliwy, znasz granice.

— Ja! ja! do cudzej wdziarać się własności, ja popełnić co podobnego! A! serce mi rozdierasz, kochany panie Koniuszy. Nie, nie sądzisz w głębi serca abym do tego był zdolny.

— Ale po cóż wpakowałeś się w mój ostęp?

— Czysta omyłka, zapęd! Spytaj swoich ludzi czym polował? czym strzelił?

— Ale bał psy puściliście i popłoszyły mi sarny.

— Psy zabiegły same. Wiesz szanowny panie Koniuszy, co to psy, gdy zwietrzą! Cóż dopiero gdy z oka pogoniał Daruj...

— Ale ja się gniewam.

— Co! pan na mnie? Miałbyś się gniewać na swego sługę, na najzyczliwszego sobie?! Nie, nie, tego nieszczęścia nie będzie! Jąbym to odchorował! Nie, nie! Pan żartujesz i straszysz mnie tylko.

— Wcale nie. Gdybyz gdzie, ale w Zajamiu polować? Najlepszy mój ostęp!

— Ale czyżem polował?

— Wszak popłoszyliście moje stado sarny!

— Słuchaj pan— zerwał się Kapitan — oto ręka moja: daję słowo, że nie miałem intencji wyrządzić ci przykrości. Wszystek mój las sobie spoluj, słowa nie powiem; w twoim więcęj noga moja nie postanie. No! ale nie gniewajmy się.

Koniuszy rad-nie-rad musiał udobruchać się nareszcie, ale warczał ciągle i wrzał w sobie.

— A dla pewności, że jeden w drugiego las nie wejdzie—rzekł Kapitan, podając wódeczkę i zakąski—czy nie uznałbyś pan słusznem pobić tryby na granicy?

— Tryby na granicy? a zapewne!

— Otóż i ja z całego serca za tém jestem. Od kopca do kopca pobić tryby: będziemy mieli rozgraniczenie pewne. Zgoda?

Kapitan tak potrafił o konieczności trybów przekonac zapalonego myśliwca, który się bał o swoje zwierzynę, że ten zezwolił na ich wycięcie. Niestety! wcale się nie domyślał, jaką zdradę kryły w sobie.

Ale powróćmy do Rumianej. Ty się będziesz śmiał, kochany Edmundzie. Znałeś mnie całkiem innym; za żart weźmiesz w początku to, co najszczerzej z głębi serca ci napiszę: kocham i kocham bez nadziei! Ty i ja znaliśmy dawniej tylko tę łatwą miłość salonów warszawskich, co się kończy nie wiedzieć na czém, tak jak nie wiedzieć od czego poczyna; znaliśmy też inną, drugą, która wiemy na czém się kończy, a poczyna nie z serca, lecz z kieszeni: ale takiego świętego, wielkiego, czystego uczucia, które, kładąc obok tamtych, nie godzi się profanować, myśmy nie przeczuwali nawet. Ja czuję się teraz odrodzonym, nowym człowiekiem: wierzę, spodziewam się, żyję. Moje ubóstwo nie przstrasza mnie wcale. Świat, co dla mnie stracił był barwy, wonie i wdzięki, otacza mnie nowy, młody, ponętny. Ja sam pragnę pracy, nieledwie cierpienia, aby się niem obmyć z brudów przeszłości. A to wszystko jest dziełem kobiety! Nie, nie, nie mogę pisać dziś dłużej. Bądź zdrow!

Jerzy.

3*

VI.

PANU JERZEMU SUMINOWI,

przez Lublin, Chełm, Łuck, Korzec, w Turzój-Górze.

Warszawa, dnia 5 listopada.

Kochany Jurku nasz, kochany, poczciwy pielgrzymie, jak się masz? Nie umarłeś jeszcze z nudów? nie zjedli cię wilcy lub niedźwiedzie? nie zamordował cię zropaczony Staś? nie otruli cię kollateralni pana Koniuszego dziedzice? Żyjesz-li jeszcze? żyjesz? My po tobie żalobne u Marego odprawiwszy nabożeństwo, powiedziawszy dwie piękne, choć krótkie mowy pogrzebowe, z których jedna brzmiała: biedny chłopiec! druga: kiep i po wszystkim! powoli zaczynamy ciężkie strapienie i sieroctwo nasze zapominać, i z grubej żaloby zehodzim nieznacznie na coraz łżejszą.

Jeden tylko Szmul Malsztejn uparty jest i zakamieniały w żalu swoim; bo Mary, któremu zawiniłeś coś, jeszcze wierzy w twoje zmartwychwstanie, i z prawdziwym heroizmem utrzymuje, że mu zapłacisz. Napróżno się śmiejemy z niego: on swoje. Co się tyczy Lory, ta kocha cię teraz daleko mocniej, niżeli kiedy tu byłeś, ciągle mówi o tobie, ciągle wzdycha za tobą: zwyczajnie kobieta, kocha to, czego nie ma.

Alfred, od którego wygrałeś koczyk, na podróż ci potrzebny, zniósł heroicznie, że nie czekając rewanżu, uprowadziłeś swą zdobycz w niedostępne kraje, które oblane łzami Owidyusza (nie wiem gdzie ja to czytał, ale mniejsza o to), na pamiątkę tych drogich łez rzymskiego poety, na wieki wieków w grzęzawicę i błota się zmieniły.

Znieśże i ty mężnie, gdy ci powiem, że miasto żyje, wre, kipi, choć ciebie tu nie ma, jak gdyby mu nie było, niczego nie zabrakło; owszem, zbliżająca się zima zdaje się życia miastu dodawać. Tak w naszym żywocie sztucznym, gdy całe przyrodzenie obumiera, nowy ruch wpływa w skośniałe społeczeństwa członki.

Co do mnie, kochany Jurku, choć ty, widzę, zakrawasz w tych listach coraz bardziej na moralistę, rygorystę i człowieka *czułych nerwów*, tak, że wkrótce spodziewam się ujrzeć cię w habicie mniszym, każącego do nas zepsutych, na modnej mszy u Kapucynów: przyznam ci się wszakże, że nie mam najmniejszej ochoty rzucić za twoim przykładem starych nałogów i przywyknień, dla jakiegóż tak nazwanej poprawy życia. Niestety! zatwardziały grzesznik ze mnie: nie potrafiłbym wytrzymać w cichej, głuchej atmosferze nieznośnej wsi; nie rozumiem nawet jak ty tam żyjesz i czem żyjesz. Ja odłożyłem moją poprawę do zjawienia się podagry i ożenienia mego; to zaś prędzej nie nastąpi, aż zęby mi wypadną i nowe sobie wstawiać każę. Naówczas poszukam bogatej kupcowny lub córki rzeźnika z Pragi, i rozpocznę dni spoczynku i pokuty we dwoje.

Donoś mi proszę, regularnie, co się tam z tobą dzieć będzie: pomimo tego bowiem, że się po stracie twojej pocieszamy jak możemy, wiiesz, że bez żartu kocham ciebie; powtóre, w twoich wrażeniach i myślach (jeśli nie wypadkach, bo te są czysto-osobiste i własne twoje) upatrywać będę, przeglądając się, domyslać, coby się też ze mną stało, gdybym ja na podobne Owidyuszowemu i twojemu wygnanie został skazany rozpaczą i golizną? Ciekawo dla mnie studyum.

U nas nic a nic nowego. W tym steku nowości nic nie robi wrażenia, i dlatego tylko wyrażam się, że nie ma nic nowego. Potrzebujemy kolosalnych nowości, jak na przykład przybycia Loli Montez i tragicznego jej wyjazdu, żeby się poruszyć.

Szmul udaje obojętność i nie wypytuje się nawet o ciebie; Lora dostała się jednemu z dwóch młodych książąt—znasz go, temu co nigdy nie gada—jedni utrzymują dlatego, że nie raczy, drudzy, że nie umie. Bardzo jest z niego kontenta, bo wcale nie zazdrośny, *la jalousie est canaille*, zarówno względem żony, jak względem (jakże się to tam teraz u ciebie nazywa?), względem.... Patrzcie! na obyczajne wyrażenie stanu Lory nie ma wyrazu w naszym języku barbarzyńskim *).

Wybija godzina teatru. Dają dziś w Rozmaitości nową sztukę Korzeniowskiego: moda każe mi iść, choć przyznam ci się, że balet wolę nade wszystko. Najlepiej dotąd rozumiem poezją pięknych nówek i popiersi dziewiczych (?).

Więc żegnam cię! Twój zawsze najprzywiązany

Edmund Susza.

P. S. Jeżelibyś do nas jakim przypadkiem powracał, pamiętaj, że z Polesia przywozi się do Warszawy zwykle: 1) sarna lub dzik, 2) faska rydzów marynowanych, i 3) trufle. Trufle są *de rigueur*: wiiesz jak my ich potrzebujemy, a jak nielitościwie drogie u Mary. Nie zapomnijże o nich.

VII.

PANU EDMUNDOWI SUSZY, W WARSZAWIE.

Turza-Góra, dnia 24 listopada, rano.

Nie wiem dlaczego tak szczegółowo dzieje ci moje opisuję, gdy ty, wedle wszelkiego podobieństwa, tylko się śmiać z nich będziesz. Potrzebuję się z kimkolwiek podzielić uczuciami, myślami, i piszę. A! nie poznalibyście mnie, nie poznali!

Słuchaj! Po wyjeździe Koniuszego, zostałem w Rumianej, z jaką ochotą, domyslać się możesz; ale nie sądź wcale, żebym, jak to u nas mówi się i czyni, z czasu korzystał. Zakochany od pierwszego wejrzenia, byłem i jestem w tak dziwnym położeniu, skutkiem kilku wyrazów mego dziada, a bardziej skutkiem wrażenia, jakie na mnie czyni poważne oblicze królowej Ireny, że nie mogę ani okazać co się w sercu dzieje, ani nawet dozwolić tego się domysleć. Powtórzyłem ci, zdaje się, słowa, które powiedziała, gdy Koniuszy odjeżdżał. Dziad posadziłby mnie poprostu o chciwość i projekt bogatego ożenienia, bo wie, że ja dziś ubogi, a ona milionowa; kto wie, czy i reszta ludzi nie pomyślałaby tegoż samego: muszę więc kochać i milczeć. Zamknąłem się w sobie cały i okryłem obojętnością, która mnie wiele kosztowała. Cóż na to powiesz, że to cierpienie znoszę z rozkoszną jakąś dumą?

Cierpieć dla niej wydało mi się rzeczą miłą; podsycać cierpienie, aby je czuć mocniej i niem przed sobą się chlubić. Niem stare moje samolubstwo spędzam z ostatnich jego legowisk, i wyganiając dawne człowieka.

Ranek przeszedł jak dzień poprzedzający, szybki, niepochwycony. Dwie panie moje siedziały nad

*) Mylił się autor listu: starzy Polacy nazywali *panią duszką* tego rodzaju kobiety.

robotą; ja im czytałem. Jak były piękne! mój Boże! Ta w pełni życia, siły, uczucia, promieniejąca pięknością; druga na ostatnim szczeblu młodości, a tak surowa, smutna, zmęczona cierpieniem, milcząca i na wszystko obojętna! Mało mówilem ci o pani Lackiej, chociaż, gdyby nie było Ireny, onaby mnie swoją tajemniczą postacią niepospolicie zająć mogła; ale przy słońcu gaśnie ta smutna gwiazdka. Nieraz jednak zadawałem sobie pytanie: co ona przecierpiała? co cierpi? z kąd tak wczesna a tak wielka obojętność jej na wszystko i prawie pogarda.

Chciałem bardzo dowiedzieć się co od panny Ireny o jej towarzysze, ale zbyła mnie ogólnikiem; sama zaś pani Lacka bardzo mało mówi, i nigdy o sobie: tak więc nie wiem kto ona jest, i jaka przeszłość ciąży nad nią?

Na poobiedzie mieliśmy zapowiedziane odwiedziny tego pana Graby, o którym wspomniał mi Kapitan, że go powszechnie nazywają *dziwakiem*. Jakoż około czwartej usłyszeliśmy tętent koni, i Irena zerwała się tak żywo, że m pozazdrościł nowemu gościowi.

— To pan Graba!

— Pan Hutor-Graba — dodała Lacka z przyciskiem. — Cale jego nazwisko mów, Ireno.

— Dziwnie się ten pan nazywa!

— Zobaczysz pan — rzekła uśmiechając się Irena — że człowiek od nazwiska dziwniejszy. Ostrzegam pana, miej się na baczności.

— Uśmiechnąłem się.

— O! nie śmieję się pan: możeś mnie nie zrozumiał. Człowiekto straszny swoją cnotą i surowością tylko.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł zapowiedziany sąsiad; ale daruj mi, że dłużej nie piszę i list nad miarę krótki ci przesyłam. Pisać w tej chwili nie mogę, nie umiem: chcę myśleć i być sam z sobą. Bądź zdrow! — do przyszłej poczty reszta.

Jerzy.

Listy Jerzego, z których wypisy początek najszej powieści stanowią, na tym urywku się kończą, i przerwane nierychło w zbiorze naszym wiążą się znów w pewną całość. Musimy więc opowiadaniem zastąpić, czego w nich tutaj braknie.

VIII.

Dwaj przybyli, którzy weszli do salonu, stary pan Hutor-Graba i Jan syn jego, na Jerzym, przygotowanym ujrzyć coś bardzo dziwnego, nie uczynili w początku tak wielkiego, jak się spodziewał, wrażenia.

Hutor-Graba, którego zwano starym, zapewne tylko dla odróżnienia od syna, bo ani istotny jego wiek, ani pozorną starością napiętnowana twarz, nie usprawiedliwiały nazwania: był średnich lat mężczyzna. Powaga i łagodna dobroć malowały się w jego rysach, świeżych jeszcze i niezwiędłych. Mógł mieć lat około pięćdziesięciu, ale czerstwy był i w pełni sił, tylko ku skroniom włos krótko podstrzyżony nieco się srebrzyć począł. Mężkiej postawy, pięknego oblicza, zbudowany szczęśliwie, snycerzowi mógł być służyć za wzór do uosobienia siły w spoczynku, pewnej siebie, znającej się i połączonej z najwyższą łagodnością i rozumem.

Spojrząwszy nań, widziałeś odrazu, że siły tej nie dawało ciało, ale dusza; że nią darmo nie obda-

rzyła organizacya, ale długa i uparta, największa z prac ludzkich, praca nad samym sobą.

Wyniosłe, gładkie, białe do połowy czoło, od połowy ogorzałe, wznosiło się nad dwójgiem oczu sinych, otwartych śmiało i świecących jasno. Brwi nad niemi zwieszały się nieco i ocieniały dwoma łukami źrenice, pełne spokojnego i łagodnego ognia. Nos sarmacki, pod nim wąs zawieszisty, i usta rumiane, uśmiechające się poważnie a nieco smutnie, dopełniały fizyognomii, którą malarz lepiej od powieściopisarza odmalowałaby potrafił, tak i w niej napozór pospolite pierwiastki składały zastanawiającą i niepospolitą całość. Trzymał się prosto i nieco po żołniersku, ale nie bez męskiego wdzięku. Pierś szeroka, ramiona rozłożyste, postawa zręczna, ręka i noga kształtne, odpowiadały piękności twarzy, która nosiła cechy rodu słowiańskiego, i była czysto-krajową. Znać, do krwi, która w żyłach jego płynęła, żaden obcy nie wmixzał się pierwiastek.

Ubrany był bardzo skromnie, tak jak tylko na wsi do cudzego domu w odwiedziny przyjeżdżać można: miał na sobie szaraczkową z cienkiego sukna węgierkę, takąż resztę ubranka i czarną jedwabną chustkę na szyi. W rękę trzymał czapkę, krojem zbliżającą się do wieśniaczych poleskich czworograniastych czapek, używanych pospolicie na lato.

Syn, idący za nim, prawie tak samo jak ojciec ubrany, twarzą różnił się nieco od niego. Tu typ słowiański zlał się z jakimś odmiennym niewiadomego pochodzenia typem: włosy ciemniejsze, prawie czarne, pełne życia oczy, śmadsza pleć, łączyły się z kształtami, wielkie podobieństwo do wyżej opisanych mającemi. Budowa ciała, rysy twarzy, bardziej jeszcze ułożenie i uśmiech ust pełen godności, przypominały ojca, i nieznanomemu wskazywały, jaki węzeł łączył dwóch przybyłych.

Rzutem oka obejrzał starszy kto się znajdował w salonie, i podszedł ku gospodyni, którą powitał z uśmiechem wesolym i poufałym.

Irena powstała z kanapy żywo, i podając rękę gościowi z życzliwością, której nie taila, pozdrowiła go serdecznie:

— A! jakżem pana wyglądała!

— Dziękuję pani. Znajac mnie — mówił, witając dokoła — wiesz że nie umiem wiele grzeczności prawie, ale co powiem, to z głębi serca i szczerze. Dziękuję z głębi duszy, dziękuję!

Jerzy, uprzedzony o Grabie, powstał z niejaką bojaźnią i uszanowaniem dla powitania go, gdy gospodyni wzajem ich sobie przedstawiała. Stary Graba skłonił się uprzejmie, wejrzeniem przenikliwem objął młodzieńca, i usiadł za okrągłym stolikiem. Syn tymczasem zbliżył się do pani Lackiej, która z widocznym nieukontentowaniem i dumną obojętnością powitawszy obu, teraz na pytania i usilnie poczynaną rozmowę ledwie pół-słowkiem odpowiadała. Irena jeszcze raz podziękowała Grabie za przybycie.

— Dziwna rzecz, że mnie pani za to dziękujesz — odparł, uśmiechając się, przybyły, — pani, co tak mnie znasz dobrze i tak dobrze rozumiesz. Nie wart jestem żadnego podziękowania, bo wszelkie odwiedziny moje pochodzą albo z samolubstwa, albo z obowiązku. Samolubstwa zachęcać się nie godzi, a spełnienia powinności nie należy chwalić, ani za nie dziękować.

— Jakże, kochany sąsiedzie, miałżebyś tylko dla przyjemności własnej lub z musu ocierać się o ludzi?

— Porozumiejmy się lepiej — odpowiedział gość

z uśmiechem, opierając się na poręczy krzesła.— Pospolicie ludzie do ludzi jeżdżą dla zabicia czasu, dla tego co nazywają światową przyzwoitością, dla przyczyni wreszcie, z których sami sobie dobrze sprawy nie zdają, naprzykład przez ciekawość.

— A wy, kochany sąsiedzie? — zapytała trochę ironicznie Irena.

— Śmiejesz się pani, dajesz mi do zrozumienia, że się nie godzi chwalić. O! ja też tego wcale czynić nie myślę: mówię tylko jak jest; anim lepszy od drugih, bo ileż błędów życia cięży na moich barkach! Ale wróćmy do odwiedzin.

— Tak, zrobmy naprędce ich fizyologią.

— Otóż—mówił powolnie Graba—ja nie jadę do nikogo dla zabicia czasu, bo czas mój cenię nade wszystko. Czas mój, to moja przyszłość, moje udoskonalenie, najpiérwszy i niezbędnny czynu materyał; przyzwoitości świata nie uznaję przyzwoitościami dopóty, póki ich nie wyrozumiuję. Odwiedzam tych tylko, których kocham i widzielić pragnę, lub których nie kochając, użytecznym im być się spodziewam.

— O!—zawołała, śmiejąc się Irena — przypominasz mi pan, jak go ostatnią razą przyjął Kapitan.

— To mniejsza.

— Pan nie wiesz — rzekła gospodyni, obracając się do Jerzego — gdyby nie przytomność bohatera tej sceny, opowiedziałabym ją panu, bo warta tego.

Pan Graba spuścił oczy i zamyslił się na chwilę.

— Opowiedz ją pani, jeśli się jej podoba — rzekł, zamilknąwszy i jakby namysliwszy się — będzie to powodem do odmalowania nieznanemu gościowi sąsiada, *dziwakiem* zwanego przez wszystkich, zapewne nie bez przyczyny.

— A więc będę korzystać z pozwolenia — szybko poczęła Irena, zwracając się nawpół ku Jerzemu, wpół ku panu Grabi, który w nią wlepił długie, pełne wyrazu wejrzenie. — Najprzód wystaw pan sobie, że szanowny mój sąsiad ma zasady postępowania i prawidła życia całkiem różne od tych, któremi się my biedni kierujemy.

— Różne, nie, ale śmielej może idące do celu.

— Jakiz jest cel życia? — spytała Irena. — Nie jest-li to jeszcze i nie będzie zawsze zagadką?

— Zagadką? bynajunięj! — rzekł pan Graba. — Jasną i wielką prawdą jest, że celem życia — być użytecznym bliźnim, a umysłem i czynem wznosić się jak najwyżej, jak najbliżej ku Bóstwu, którego jesteśmy obrazem.

— A więc?

— A więc do udoskonalenia własnego, do zużytecznienia wszystkich sił naszych, wszystkich chwil życia, całą potęgą dążyć powinniśmy. Oto cel.

— Głównym zaś środkiem? — spytała, poważniejąc Irena.

— O! to, co mówimy, ma minę kazania; ale kończmy, gdyśmy poczęli. Środkiem jest praca rofiara. Bez trudu nad sobą i poświęcenia dla bliźnich, ani pomocnemi społeczeństwu, ani sobie samym czem być powinniśmy, nie będziemy.

— Widzi pan — przemówiła Irena — jakim jest mój drogi sąsiad. A nie są to czeze słowa, ale określenie jego życia, tego co czynił i czyni. Nie wiem czy się pan domyślić możesz, jak często dziwne wypadki z zastosowania ścisłego tych prawideł do życia wynikać musiały?

Jerzy się uśmiechnął.

— Wszyscy — rzekł — mglisto przed sobą widzimy cel podobny, ale iść do niego śmiało i prosto nie zawsze nam pozwoli społeczność otaczająca,

a raczej nasze dla niej uszanowanie. Życie stałoby się krwawym bojem.

— I nim być musi dla każdego, co je z powagą jako brzemie, jako obowiązek, jako wielką misją spełnia — odezwał się pan Graba.

— Ale myśmy daleko zabiegli od opowiadania — zawołała Irena — wracajmy do niego. Pan Graba — mówiła — ile razy sądzi, że komu może być pomocnym radą, słowy, czynem, pośrednictwem, choćby nieznanym, choćby nieproszonym, przybywa jak... (jak wy to panowie zowiecie po łacinie?).

— Zapewne *Deus ex machina* — cicho szepnęła syn, z wyrazem przywiązania i uwielbienia spoglądając na ojca.

— To właśnie. Ależ nie zawsze uda mu się być użytecznym, a najczęściej gdy się uda między zwaśnionych, od obu stron znieść musi niegrzeczne odtrącenie. Przed kilką tygodniami Kapitan, mój krewny, powadził się biedny o granice (co mu się często przytrafia) z panem Podkomorzym. Oba popędliwi nad wyraz, z tą tylko różnicą, że Kapitan tłumi w sobie popędliwość i pokonywa ją pozorem kłamaniej obojętności, gdy Podkomorzy wcale nie dba o to, że się cały na zewnątrz jakim jest okaże, choćby się za to miał wstydić. Pan Graba dowiedziawszy się że zjechać się mieli, przewidział z góry, jakich ostateczności dopuścić się mogą, gdy po długim sporze zaocznym nagle zejda się oko w oko. Pozorna zimna krew Kapitana jątrzyć musiała Podkomorzego; gniewne wybuchy starca, jak domyśleć się łatwo, zamiast przybliżyć zgodę, nie słychanie ją oddalać musiały, lub całkiem niepodobną uczynić. Zacny mój sąsiad zasłyszawszy o zjeździe, choć obu zaledwie znajomy, postanowił przybyć w charakterze pośrednika na dzień umówiony.

— Dodaj pani — rzekł pan Graba — jeśli już chcesz drobną ofiarę chwili spokojności podnieść nad bardzo pospolity uczynek, dodaj pani, że jak prawie całe sąsiedztwo, Kapitan i Podkomorzy, zapewne z winy mojej, nie lubią mię wcale.

— Zjazd miał miejsce u pana Podkomorzego: dwóch prawników, ci panowie sami i jeszcze ktoś z sąsiadów, pan Dudycz podobno, znajdować się tam mieli. Pan Graba zjawia się niespodzianie.

— Ale to opowiadać nie warto — rzekł gość — skończyło się na tém, że obie strony zgodziły się przycie.

— Tak, zgodziły się na to — dodała śmiejąc się Irena — żeby pana dość niegrzecznie wyprosić.

— Czémże pan mogłeś na to zasłużyć? — spytał Jerzy.

— O! zasłużyłem bardzo! Jestto moim zwyczajem mówić zawsze i wszędzie całą prawdę w oczy każdemu. Spytany, wcale nie pokrywam niczém tego, co myślę. Sądzę, że to jest obowiązkiem człowieka szanującego siebie i tych, z którymi się ma do czynienia. Dzieciom tylko, i to jak można najkróćiej, całej prawdy nie mówimy, dlatego tylko, że pojąćby jej nie mogli.

— Ale któz lubi prawdę? — spytała Irena.

— Prawda podoba się niewielu: jestto dość gorzka potrawa, którą dajemy chętniej niż przyjmujem, do której przywyknąć potrzeba.

— Koniec końcem, sąsiad tak wielką dozę prawdy obu stronom zwaśnionym dał na raz jeden bez przygotowania, że ledwie nie złąjany...

— Mów pani jak było, nie taj przed przybyłym: gorzej niż złąjany.

— Al! niestety! prawie wypchnięty, musiał ucie-

kać z domu Podkomorzego. To pana nauczy na drugi raz omijając cudze sprawy.

— Przepraszam, to mnie na nieszczęście niczego nie nauczy—rzekł Graba.— Jeżeli na dziesięć bezużytecznych pokuszeń, jedenasty raz przydam się na co, dosyć mi będzie. Wreszcie gdybym i bez końca miał daremnie pracować, obowiązek pracy pozostanie dla mnie niezachwianym do ostatku.

— Ale, wyznaj sąsiedzie — zapytała Irena — że zbyt ostrą prawdę powiedziałeś w oczy obudwu tym panom?

— Nie, całą tylko. Prawidłem jest dla mnie w oczy sądzić surowo, za oczy z umiarkowaniem, a o nieprzyjaciolach osobistych nic nie mówić, obawiając się samego siebie i uczuć, które na sąd wpływać nie powinny.

— To sofizmat! — odezwała się pani Lacka. — Jakto, uczucia na sąd wpływać nie powinny? Ale czyż rozum zawsze sądzi sprawiedliwie? czy uczucie nie często lepiej od niego?

— Być może—odparł pan Graba—ale sąd rozumu bezpieczniejszy. Zresztą, zgadzam się na sąd uczucia przyjaznego, ale wszelkie osobiste zajście od sądenia wstrzymać powinno.

Słowa pana Graby, opowiadanie Ireny i cały ten wstęp do rozmowy, dziwne na Jerzym uczyniły wrażenie: nie on nigdy podobnego nie słyszał. Wyrazy te, powagi i głębokiego uczucia pełne, obity się o jego uszy, jak głos z innego, nieznajomego mu świata. W obec tej sfery myśli, z której one go dolatywały, ze swoim dawniejszym egoizmem mała i drobna niesłychanie.

Nie uleciały one jak wszelkie kazanie, o pierś się tylko zinną obiwszy: bo Jerzy był w usposobieniu do zastanowienia się nad sobą i światem, bo piękne usta Ireny głosiły tę nową dla niego naukę, a wcielone spełnienie jej widział w postaci Graby przed sobą.

Są ludzie, których potęga moralna ocenić się i sformułować niedająca, wywiera wpływ niepojęty na bliźnich. Takim był właśnie ów *dziwak*, który jednych strachem i niepokojem, drugich miłością i uwielbieniem ku sobie, ledwie nie za pierwszym ukazaniem się przejmował. Nikt nie umiał z doznanego wytłumaczyć się uczucia, sam mu się dziwił, a przecież zawładnywało nim zwycięzko. Zły człowiek w obec jego drżał, mieszał się i czuł ten niepokój, który zmusza do ucieczki i nie daje wytrzymać spojrzenia; w kim była iskra dobrego, w kim był szlachetny zaród, rozgrzewał się patrząc na tego człowieka, czuł się, słuchając go, podniesionym na duchu, silniejszym, śmielszym i błogo spokojnym.

Takie właśnie wrażenie uczynił Graba na Jerzym. Weześnie własne rozmysły wskazały mu fałszywą drogę, jaką poprowadził swą przeszłość; w tej chwili kilka słów objawiały mu nową i prawą.

Wielkie i pełne znaczenia wyrazy: udoskonalenia, pracy, ofiary, miłości bliźniego, odwagi, jak świetne słupy zabłysły na tym nowym gościńcu. Młode, niezapęsute a przygłuszone tylko serce zabiło, poruszyło się w piersi i w duszy; powiedział sobie: dzięki ci!

Z życia samolubnego, nasycenia, ironii, z życia, co świat i żywot człowieka ma za błyszczącą fraszkę, przeskok do surowej drogi obowiązków i pracy, niełatwy dla wielu, dla wielu jest niepodobny. Lecz szczęśliwy wybrany, co ma siłę zwrócić się ku prawdzie, zwykle czyni to, jak Jerzy, nagle, pchnięty niewidomą ręką jakiegoś opiekuńczego anioła, co nad nim czuwał jeszcze.

Jerzy spuścił głowę na rękę, zamyslił się, i gdy oprzytomniając nierychło podniósł oczy, już rozmowa toczyła się nową i niespodzianą koleją, zmieniawszy całkiem kierunek. Mówiono o powieście, o obywatelstwie, o blizkich wyborach w stołecznym mieście prowincyi.

Pan Graba, na zapytanie Ireny odpowiadając własnie, zabrał głos poważny:

— Pojadę — mówił. — Nie rozumiem dlaczego w tak ważnej dla ogółu chwili miałbym się odszczepiać? Są tacy, co swe niedołęztwo i zubożenie pokrywając dziurawym płaszczem jakiegoś wyższego uczucia, unikają zjazdów podobnych, mówiąc, że one do niczego nie prowadzą i że są całkiem nieużyteczne. Tak nie jest. Wszędzie i zawsze człowiek, który chce, użytecznym być może.

— Zapewne — odparła Irena — lecz szranki dziś tak są ciasne!

— Dla tych, którzy ich granic nie znają. O! nie chciałbym moich współziomków potępiać, lecz niestety! większa ich część z gnusności swojej zda rachunek przed Bogiem i przyszłością. Mówimy aż nadto, czynimy mało lub nawet nic nie robimy wcale. Jeśli kiedy, to teraz narzekanie z założonymi rękoma na nic się nie przyda.

— Cóż przecie nad nie naturalniejszego? — szepnęła zcicha Irena.

— Tak, na chwilę. Ale mężką rzeczą jest otrzeć łzę, jako hańbiącą, i tą samą dłonią, która ją otarła, chwycić się pracy.

— Gdy serce boli?

— Praca boleści umniejsza.

— Gdy sił braknie?

— Praca je daje i pomnaża.

— Gdy nie widzimy jej celu?

— A więc raz jeszcze przetrzeć oczy, bo lzy tylko dojrzyć go nam nie dają. Cel—to my wszyscy; nie każdy z nas pojedynczo, ale ogół cały. Wszelki wypadek okrywa pyłem i kałem, nawet niewinny i wypadkowy; ale nie ma żadnego, któryby widziany z wysoka, mógł się nazwać niezasłużonym. W każdej boleści jest nasieniem wina własna. A więc w upadku pierwszym staraniem naszym być powinno podźwignąć się duchem, oczyścić z kału, i otworzyć sobie do udoskonalenia i do moralnego podniesienia się drogę.

— Tak! tak! — pochwycił z zapalem Jerzy — i pojedynczy człowiek i naród chcą-li żyć, nie powinni płakać na pobojowisku, ale pogrześć co umarło, a ratować co żyje!

— Wyrwałeś mi pan z ust te słowa—dodał z zdziwieniem Graba.— Szlachetne uczucia nie rychło gasną w człowieku, potrzeba je tylko rozżarzyć i pracować nad niemi.

— Praca! praca! praca! nieustanna zwrotka wszystkich waszych piosenek — zawołała Irena. — Doprawdy, nadto już nią straszycie.

— Radziłabym — przerwała także pani Lacka z uśmiechem sardonycznym — przeczytać co o niej wylał z duszy Byron w swoim Kaimie.

— Nieustannie jak widmo stawiacie ją przed nami — mówiła Irena. — Skończy się na tem, że ona przeleknie nas i odstręczy.

— My nią straszymy? to wy raczej przestraszacie się sami. Nie pojęto dotąd dobrze znaczenia pracy, i dlatego zdaje się ona może nie jednemu straszna. Rzecz nie jest nią wcale. Cóżto praca, jeśli nie tworzenie? A jest-li jaka rozkosz nad rozkosz tworzenia czegokolwiek bądź, i wyprowadzania z siebie tego, co przedtem nie istniało? Czy

zdobycy pracą uczucie, czy myśl, czy ziarno zboża: zawsze tworzymy. Wszelkie tworzenie ma w sobie boleść i rozkosz: ma w sobie oboje praca. Lecz boleść jest znikoma i cielesna, a rozkosz trwałą i nieprzemijająca.

— Prawdziwie uwielbiać potrzeba — odezwała się pani Lacka — z jaką łatwością nasz sąsiad tworzy teorye i wyklada je. Na nieszczęście nie ma tu komu z równą łatwością ich burzyć, choć zdaje mi się, że bardzoby to można.

— Czekam i słucham! — rzekł Graba.

— Cóż ja słaba kobieta znaczę przeciwko takiemu zapasnikowi? — zawsze z gorzką jakąś ironią mówiła dalej pani Lacka. — Wszakże ośmielę się zapytać: czy wszelka praca da się podciągnąć pod to, co o niej w ogólności wyrzekł preopinujący? Mnie się zdaje, że dwie są prace i dwie wielkie kategorie zupełnie oddzielne: pracy z myślą, i mechanicznej; pierwsza wypłaca się, druga tylko męczy. Jakkolwiek pracą jest przebijanie białego od szarego maku, wątpię, żeby pan Graba z rozkoszą się jej podjął.

— Bez wątpienia! — śmiejąc się rzekł zapytany — lecz dwie są też wielkie kategorie ludzi: myślących i niemyślących prawie, lub myślących tak niewiele, że przebijanie maku dostatecznym do ich rozmysłów będzie wątkiem. Każdy człowiek ma dla siebie stosowną pracę, i taką tylko zajęty, użytecznym być może. Daruje mi pani, gdy powiem, że nawet przebijanie maku może być moralnie lepszym od próżnowania, i pod tym względem użyteczniejszym. Niejedna kobieta, gdyby ją matém dziecięciem do cierpliwości i pracy przyuczono rozplątywaniem jedwabiu i przebijaniem maku, jak to u starych ojców naszych bywało, nie byłaby w przyszłości tak nieszczęśliwą, i nie czułaby takiego ciężaru na sobie, boby jej sił na dźwiganie go stało.

Ostatnich kilka słów, może zastosowanych do pani Lackiej, przyjęła ona z rumieńcem gniewu, i zacisnąwszy usta, schyliła głowę na robotę, nie nie odpowiadając.

Gdy tych wyrazów domawiał powolnie i dobitnie pan Graba, syn jego, który dotąd rozmawiał z dość niechętnie dotrzymującą mu panią Lacką, wstał i wyjrzał od niechcenia przez okno; zastanowił się w niem chwilę i zbliżył ku ojcu ze źle pokrywaną niespokojnością; lecz widząc, że na niego nie uważa, powrócił do okna raz jeszcze, począł coraz pilniej wpatrywać, zakręcił się udając obojętnego, przeszedł po pokoju i nic nie mówiąc, wymknął.

Óczy dwóch kobiet, a szczególnie Ireny śledziły go machinalnie, i widać, że jakiś tajemniczy powód wyjścia odkryły, bo spojrzwały po sobie. Graba, choć nie nie dostrzegł, zwrócił się magnetycznym jakimś ruchem do okna, spojrzwał w nie, wstrząsnął się, zerwał i podbiegł bliżej.

Za nim wszyscy się z miejsc swoich ruszyli, nie wiedząc o co chodzi, ale wnosząc z poruszenia, że żywe ruszenie się do okna nie było bez powodu.

— Co to jest? — spytała Irena gwałtowniej, spiesząc z za stołu do okna także.

Graba poglądał w milczeniu, blady, i w myśli zdawał się coś rachować.

Słup gęstego dymu, krwawe od spodu przybierające barwy, wznosił się na północnej widnokregu stronie po nad lasy, otaczające zewsząd okolicę.

— Gore! pożar! — ozwały się kobiety.

— Pożar! — powtórzył Graba — i zdaje mi się że u mnie. Ale gdyby i nie tak było, zarówno obowią-

zkiem jest każdego co ma zdrowe ręce spieszyć na pomoc nieszczęśliwym.

Chwyił za czapkę i rzucił się ku drzwiom.

Jerzy go zatrzymał.

— Pozwól pan — rzekł — i mnie towarzyszyć. Mam ręce zdrowe, choć dotąd do pracy nie przywykłe: nie pogardzaj niemi. Dadzą mi konia, pojedę z wami: sam nie trafiłbym może, nie znając okolicy.

— Chodźmy! spieszymy!

We drzwiach wejrzenie Ireny pożegnało Jerzego, i wlało w niego podwójny zapal i odwagę.

Na progu już, zegnając ich, zawahała się śmiała kobieta.

— A ja miałabym pozostać? — zapytała. — Czyż my tak dalece na nic się przydać nie możemy biedne kobięciska?

Twarz jej zapłonęła silnym rumieńcem; porwała dzwonek.

— I ja z wami! Konia! — krzyknęła do wchodzącego służącego — dla pana Sumina i dla mnie! Mogę jeździć dla zabawki, potrafię pojechać do pożaru. Jeśli nie wyratuję nikogo, pocieszyć pomogę.

Pani Lacka podbiegła zmieszana i prawie gniewna, napróżno starając się pocichu odwieść od dziwniej myśli jechania do pożaru. Irena była nieugięta.

— Powrócę zaraz — mówiła szybko — nic mi się nie stanie; z domu widać, że to niedaleko. Przydam się tam może: będę kierować ratunkiem, jeśli sama nie począć nie podolam. O! nie, nie! kobieta nie jest tak bezsilna, jak się wam zdaje. Nieprawdaż panie — obróciła się do Graby — czyż nie mogłabym pojechać? czyż nie potrafię zdać się wam na co?

Graba stał wzruszony, ale milczący.

— Zostań pani lepiej — rzekł — wieczór blisko, droga niedobra. Zostań, proszę, może się zciemnić.

— Wszak łuna pożaru świeci! Pozwólcie mi, pojedę, muszę. Konia! konia!

I narzucając na siebie szybko kapelusz, burnus welniany, chustkę, poskoczyła na ganek, nie słuchając pani Lackiej, tupiąc nóżkami niecierpliwie, poglądając to ku stajni, to na pożar, coraz się rozszerzający.

Nareszcie rozległ się tętent koni, które klusem prowadzono ze stajni: Graba stary i młody mieli swoje, na których przyjechali; dla Jerzego był wierzchowiec, dla Ireny jej ulubieniec białonóżka; a wszyscy dworscy ludzie, wedle wprowadzonego obyczaju, dosiedli każdy jakiegoś kto pochwyił konia, i gotowi byli towarzyszyć pani.

Ze wsi też widać było w polu mnóstwo konnych, na wyścigi biegnących w stronę pożaru; gdyż Irena tyle na wieśniakach prośbą i łagodnym upomianiem wymogła, że już nie potrzebowali przynaglenia i rozkazu, aby biedz w pomoc bliźniemu. Każdy rzucał robotę, dosiadał mierzyna i gnał na łunę.

W orszaku dworskich, Grabowie, Irena, Jerzy, puścili się czwałem ulicą. Dziwny to był widok tej kobiety, na przedzie prawie, bo wierzchowiec jej był najświetniejszym w okolicy biegunem, przewodniczącą kilkudziesięciu ludziom, wśród których piękna twarz blada, ale odwagi i spokoju pełna starszego Graby, smutniejsza syna, ponura i namiętna Jerzego, odbijały na pierwszym planie. Wszyscy milczeli, konie gnały zasapane. Po drodze coraz się zwiększał orszak łączącymi się ludźmi, spieszącymi od wsi do pożaru.

Óczy wszystkich w ogromną łunę wlepione były. Ogień, rozdęty jesiennym wiatrem, który, jak zwy-

kle nad wieczorem, nie wiedzieć zkąd się zerwał, szerzył się widocznie. Słup czarnego dymu, wśród którego wyskakujące iskry świeciły gwiazdkami, leniwo posuwał się w górę, rozsiadając szeroko na prawo i lewo; niekiedy przypadł nieco, lecz jakby tylko dlatęgo, żeby po chwili buchnął potężniej jeszcze, i roztoczył się po widnokręgu.

Wioska pana Graby leżała za lasem, a droga do przebycia, kręta i wyboista, dla spieszących a niepewnych nóg koni, których dosiedli, byłaby prawie niebezpieczna: wielu też zmuszonych było zwolnić biegu. Grabowie tylko, Jerzy i Irena spieszyli po manowcach pędem, dowodzącym odwagi i zapału, z jakim lecieli na ratunek. Niekiedy wśród mroku mignęła tylko kaluża, rozprysło się błoto z pod stóp koni, zachrzeszczała gałąź, zaszeleściły liście, i który z wierzychowców parsknął ustraszony.

Gdy się las rozrzedzać począł, a mrok padał coraz gęstszy przez poplątane drzew gałęzie, krwawo przeświecającą się ujrzeli lunę pożaru. Wioska za łąką i groblą leżała jeszcze o małe pół mili, a już ogień oświecał kraj cały i drogę, którą przebywać mieli spieszący na ratunek. Wyjechawszy z lasu, postrzegł stary Graba, że to, czego się dotąd domyślał, było na nieszczęście prawdą: wioska jego paliła się, a wicher gnał płomienie ze stodoł na stodoły, i rząd gumień włościańskich, napelnionych zbiorem jesiennym, cały prawie wystawiony był na pastwę ognia.

— O! wołałbym sto razy, żeby moje stodoły i toki spłonęły! — zawołał z uczuciem Graba. — Biedni ludzie! biedni ludzie!

I wyprzedzając drugich, zaciął silnie konia, który sił ostatnich dobywszy, poskoczył naprzód, wyminął dotąd na przedzie jadącą Irenę, i posunął się, parskając, znajomą sobie groblą.

Straszny lecz majestatycznej piękności był widok pożaru. Czarne już niebo rozświecało się kłębam i krwawego dymu; lasy pobliskie, wieżyczka cerkwi, biały front kaplicy, jaśniały oblane jaskrawym blaskiem. Gumna, jak stosy pogrzebowe, paliły to żółtym, to czerwonym, to sinym płomieniem i dymem; czerwone jego kłęby, jak wielka zasłona, wahały się nad wioską, rozdierane wiatrami, posuwane na różne strony. Trzask upadających budowli, po którym płomień z nową gwałtownością wybuchał, krzyk ludzi, żałobny dźwięk odzywających się dzwonów i głuchy szum wichru jesiennego, towarzyszyły chórem tej klęsce. Im bardziej zbliżali się jadący, tym jaskrawiej oblewało ich złowrogie światło, tym wyraźniej dochodziły uszu krzyki, na które serce się poruszało w piersi. Te zdaleka dochodzące jęki, których przyczynę każdy zgadywał, a może od rzeczywistej wystawiał ją sobie straszniejszą, przejmowały niepojętym uczuciem trwogi i boleści. Irena była blada, oko jej paliło; ze wzrokiem wlepionym w gorejącą wioskę, pędziła konia machinalnie. Jerzy, pomimo uczuć, które nim miotały, nie mógł nie spojrzeć na nią i nie powiedzieć w sobie, że zapal zpotęgownije piękność i podnosi ją do najwyższego kresu. W tej chwili Irena była nadziemską idealną postacią, jaką chyba mistrz czarodziejskim pędzlem stworzyć mógł na płótnie w szczęśliwym natchnieniu.

Już byli pod wsią: ciepły wyziew ognia obejmował ich dokoła, dym duszący zalewał piersi, wszystkie głosy wielkiej sceny zjednoczyły się i zwały w jeden wtór żałobny, którego dźwięków czyjeż nie słyszało ucho, czyje nie zapamiętało serce? Dla pospiechu, ojciec i syn ostatkiem sił koni swych

goniąc, przesadzili nisko płoty, i puścili się w poprzek ogrodowych zagonów. Jerzy i Irena poszli za ich przykładem.

Wiatr pędził im w oczy dym i iskry, a konie rzucały się, przerażone ognistymi pociskami, które leciały jak zapalone żagwie, roznosząc daleko zniszczenie. Ziemia posypana była dogorywającymi snopkami i skwarzącym się węglem. Doścignęli już stodołę, a że z tej strony pożar jeszcze ich był nie objął, właśnie tu żwawy ratunek stawał się najpotrzebniejszym. Koń pana Graby, puszczonej wolno, bo jeździec stanął u celu, pędził parskając znajomą sobie drożyną ku dworowi i stajniom.

— Pan! pan! — ozwały się głosy prawie radośne.

— Dzieci! na dachy! — zakrzyczał Graba, podnosząc rękę — rozrzucić stodołę Wasyla, przerwiemy ogień!

I w mgnieniu oka lud miejscowy i przybyły drapał się już na budowlę, ale w tejże chwili dał się słyszeć jęk bolesny:

— Chaty się palą! chaty goreją!

Graba wyrwał się, przelatując ciasnym zaułkiem między dwiema palącymi się stodołami, i przesunął szybko w ulicę ku domostwom. W istocie rząd chat, stojących, wedle zwyczaju, naprzeciw stodoł, w szerokiej budowanej ulicy, chociaż nie tak niewolniczym sznurem jak gdzieindziej, poczynął płonąć już także.

Tu zgromadziła się największa kupa ludzi, bo każdy albo ratował co mógł, albo płakał z załamaniem rękami nad tem co już stracił, albo truchłał, obawiając się o zagrożone.

Jedna chata, cała objęta płomieniem, paliła się nad inne silniej i prędzej. Ludzie w podwórku rzucali uratowane sprzęty; wtém przeraźliwym, wszelki głos tłumiący krzyk głowie dał się słyszeć, która ku domostwu, nad głową wzniesione i załamane ręce trzymając, leciała.

— Dziecię moje! moje dziecko! gdzie dziecko?!

Mąż ze spuszczoną głową stał milczący, ona wiała się rozpaczającą. Płomień przez sień rozpaloną już sięgał do wnętrza, pełnego dymu.

Posłyszec krzyk ten, obejrzeć się, spytać i w mgnieniu oka poskoczyć do drzwi chaty, nie kosztowało chwili namysłu staremu Grabie. Syn, który za nim spieszył, ujrzawszy to, osłupiał na moment, zastanowił się i zdrętwiał w miejscu; ale gdy ojca powracającego nie widział, pędem rzucił się we drzwi domostwa, które coraz rozpalalo się bardziej, i zniknął w kłębach dymu.

Ludzie, kochający pana jak ojca, z krzykiem przerażenia otaczać zaczęli chatę, rzucając ratunek budowli. Wtém syn i ojciec z dziecięciem na rękę ukazali się we drzwiach, i wyskoczyli z nich osmaleni, okopceni, ale zdrowi. Ógromny odgłos radości, jakby z jednych ust, razem się wyrwał.

A matka? — matka padła przed zbawcą dziecięcia na kolana, załamała dłonie, i chwytając jedynaka a tuląc go do piersi, omdlała.

Graba już był daleko i biegł na drugie podwórko, ustawiając ludzi rzędem od studni do ogniska, sam podając wiadra, zachęcając, prosząc, rozkazując.

Jak wszędzie na Polesiu, potrzeba było całej powagi ulubionego pana, aby do ratowania zmusić. Skutkiem zapewne dawniej, pogańskiej jeszcze czci ognia w tych stronach, lud niechętnie zalewa pożar, a z niedotkniętych jeszcze płomieniem chat

wystawują stoły zasłane obrusami, witając ogień-boga chlebem i solą jak gościa *).

Przykład Graby ożywił ludzi i odwagi im dodał przeciwko przesądowi, który zastrasza, że ogień mści się będzie na tych, co go zalewają. Młodzi i starzy z zapałem rzucili się rozrywać zagrożone domostwa, aby przeciąć drogę dalszym klęski postępom. Ojciec i syn z Jerzym, któremu niebezpieczeństwo, na jakie się narażał w oczach Ireny, było rozkoszą, przodkowali wszędzie. Irena tymczasem tuliła dzieci, pocieszała płaczące kobiety, i w milczeniu duszą się modliła. Każda klęska, której gwałtowność i potęga przechodzi siły człowieka, wznosi myśl ku Bogu.

Pożar, któremu teraz silna wola i rozum a przytomność kilku przewodników ratunku, postawiła silne zapory na drodze, osiadać poczynął widocznie. Na dachach obmokłych od zlewania wodą, siedzieli parobcy i dworscy ludzie z Rumianej; łańcuchem zaś podających wiadra w dwóch kierunkach rozrządzał sam, pracując zarówno z innymi Jerzy i młody Graba. Znniejszał się blask krwawy, dym przereźdzać poczynął, i te tylko budowle, które wprzód rozgorzały, dojadł jeszcze płomień. Rozstawisz strażę u ognia, rozporządziwszy wszystkiemi, Graba, przeprowadzony przez błogostawiających mu ludzi, okryty zuzłami, popiołem, sadzą, osmalony, czarny od dymu, ale nie znużony, widząc że nie ma niebezpieczeństwa, pospieszył do swoich gości, których dla spoczynku i pokrzepienia się zapraszał do dworu. Irena zwłaszcza potrzebowała tego, siły ją bowiem opuściły: wzruszenie, konna jazda, krzątanie się wśród pożaru, przestrach, przypomnieli jej że była kobieta.

Konie znalazły się jak na zawołanie, i siadłszy wszyscy, powoli, oglądając się i rozmawiając, pojechali do dworu.

W oddaleniu widać było w cieniu starych drzew na wzgórk, bielejące ściany niskiego domku. Droga szeroka, okopana głęboko, wiodła ku niemu. Gdzieś pod starymi dębami i lipami, które ją ocieniały, były ławki proste ale szerokie i widocznie nie dla jednej lub dwóch osób, ale dla kilku lub kilkunastu stawione. Łatwo się było domyśleć, że nie dla panów, ale dla wieśniaków, powracających od roboty, służyły. Tu i owdzie kształtne krzyż ciemne swe ramiona krył w gęstych drzewa konarach.

Za wzgórzem błyszczał teraz krwawemi odbłyśkami staw szeroki i czysty.

Nigdzie tej wytworności wyszukanej, zagranicznoscią tchnącej, którą u nas tak często obok ruin i spustoszenia nawet znaleźć można, nie spostrzegli przybywający; lecz natomiast porządek i pełne prostoty a wdzięku, z uczuciem i smakiem porobione budowle i urządzenia. Jerzy, wiedząc już o stanie majątkowym pana Graby, dziwił się, że tak skromny domek tak niewykwintne zabudowania otaczały, że nigdzie przepychu w ozdobie miejsca nie znalazł.

— Pan zapewne mieszkasz zwykle w innym majątku?— spytał w rozmowie.

— Nie — odpowiedział z uśmiechem gospodarz. — Rozumiem co na usta pańskie wywołuje to pytanie: dziwisz się zapewne, że mieszkam tak skro-

mnie, wiedząc że bogaty. Lecz bogactwo nie powinno nam służyć na zepsucie; a właśnie zbytek idący za niem tak często uniedoleźnia, czyni nas niewolnikami ciała i psuje, bo hart wszelki duszy odbiera. Chronię się zbytku i miękkości, nietyle dla siebie, ile dla syna. Na co przywykać do tego, co nie jest koniecznością dla nas, a koniecznością przez nałóg się staje, i rodzi cierpienia, niewiele dając przyjemności.

Gdy tych wyrazów domawiali, stanęli przed drzwiami domu. Dwór był niewielki, niski, biały, czysty, i wszystko co stanowiło jego ozdobę, proste i niekosztowne: przecież człowiek milionowego majątku w nim zamieszkiwał. Światło w oknach dowodziło, że oczekiwano gospodarza, a może i gości. Kilku ludzi i kilkoro młodych chłopiąt, jednako ubraanych, wybiegli na ganek, otoczony ławkami i bez uniżoności zbytecznej, a z serdecznym nadskakiwaniem przyjęli pana i gości. W ich obejściu więcej znać było uczucie i przywiązanie, niż wyuczoną pokorę i spłaszczony nieszczerze.

Jerzy co krok się dziwił. Pokoje, do których weszli, białe, dosyć obszerne, choć dom pozornie był mały, nie miały ani posadzek, ani sufitów, ani tych fraszek zbytkowych, co zdobią je zwyczajnie: słowem nic nieużytecznego. Sofy, stoły dokoła, krzesła proste, stoliki jesionowe, zwierciadła w czarnych ramach: oto cały sprzęt ich prawie.

Irena tak się czuła znużoną, że Graba natychmiast przywołałszy ubogą swą krewną, panią Kwasowską, która u niego mieszkała, polecił jej staraniom, póki by konie, mające ją odwieść do Rumianej, nie nadeszły.

Sam, nie potrzebując spoczynku, bo przywykł był do pracy, obmywszy się i przebrawszy, opatrzywszy kilka opaleń, powrócił do Jerzego.

— Widzę z oczu pańskich ciekawość — rzekł, i chciałbym ją zaspokoić, ukazując mu siebie i wszystko co mnie otacza, z uprzejmością gospodarza i trochę chluby. Wiele rzeczy potrzebuje tłumaczenia, ale nie dziś czas po temu. Zanocujesz pan, u mnie, a jutro, spodziewam się, zabawię u mnie zechcesz.

Seisnienie ręki było jedyną odpowiedzią Jerzego, który jednakże spocząć nie chciał póki by o Irenę nie był spokojny. Ta wkrótce, nieco pokrzepiwszy się, i nabrawszy sił nowych, siadła do powozu, i zegnając Jerzego, z uśmiechem przypomniła mu, że jeśli nie jutro, to pozajutrze u siebie go oczekiwać będzie, a tymczasem posłę oznajmić panu Koniuszemu o przyczynie przedłużonego pobytu.

Po wyjeździe Ireny, młody Graba odprowadził Jerzego na drugą stronę domu, gdzie było kilka gościnnych pokojów. Z podziwieniem znalazł je gość opatrzonymi aż do zbytku i przepychu we wszystko, do czego u nas ludzie pospolicie zwani „dobrego wychowania“ są przywykli.

Spojrzeniem spytał wchodząc, coby to znaczyć miało, a młody Graba odpowiedział mu z uśmiechem:

— Ja i mój ojciec zwykliśmy do jak najprostszego życia, ale gościnność staropolska nie pozwala pozabawiać wygod zwykłych tych, którzy bez nich z trudnością się obchodzą.

— Jąbym się łatwo mógł obejść bez nich — rzekł rumieniąc się Jerzy.

— I mybyśmy też umieścili byli pana — odparł spiesźnie Jan — w jednym z pokojów zwyczajnych, gdyby te nie były teraz zajęte. Ojciec mój ma sobie

*) Sam w roku 1837 byłem świadkiem tego bałwochwalczego obrzędu, na Polesiu wołyńskim, pod Kołkami, we wsi Omelnem. Oprócz tego starą jakąś babę posłano wpół-nagą trzy razy pożar obchodzić, dla wstrzymania dalszego postępu.

za prawidło z młodemi, jak ja i pan, postępować z powagą nieco nauczycielską, lecz razem z anielską słodyczą. Nigdyby nie zachęcał do zbytku tych, którzy jeszcze od niego odwyknąć mogą z korzyścią; ale dla starców, dla tych, którym on się stał koniecznością... Dobranoc! dobranoc!—do jutra!

Jan wyszedł, a Jerzy rzucił się na łóżko, i snem niespokojnym, w którym się odbijał pożar, Irena, konna przejażdżka i tysiąc strasznych i pięknych obrazów, usnął głęboko do rana. Ale za pierwszym przebudzeniem, ciekawość, podbudzona wszystkiem co wczoraj widział, już mu dłużej zasnąć i oka zmrzyć nie dała. Ubrał się naprędce i wyszedł pocichu drzwiami, do ogrodu prowadzącymi.

Teraz po dniu mógł obejrzyć lepiej, co mu się wczoraj tylko w odblaskach luno pożarnej mignęło. Powietrze pełne było jeszcze tych wyziewów zgorzeliska, które długo ulatują nad spopielaleni budowy; ale ranek cudny, ciepły, podobny wiosennemu, odziany w białe mgły powiewne, które się już zaczynały rozpyływać, ozlacał świat jesienny.

Przed nim rozścielał się ogród, wzgórzem ku stawowi i rzeczułce ciągnący, obszar, czysto utrzymany, kwiecisty i pełen pięknych widoków. Umiejętnie potworzone drzew massy: jodły i sosny na pierwszych planach, topole, które już srebrzysty liść straciły, w dali, kręte drożyny wśród murawy teraz pożółkłej, poprzecinane widoki, czyniły go na Polesiu dziwnie zjawiskiem.

— Jestto przecie rzecz zbytkowna — rzekł do siebie Jerzy.—Złapałem Spartańczyka na grzechu.

Z boku usłyszawszy głosy, posunął się ku miejscu, z którego pochodziły. Łatwo wśród nich rozpoznać było można poważną mowę Graby, który, uprzedzając słońce, wstał się naradzać ze swoją gromadą.

Kilka słów dosłyszanych przekonały ciekawego, że tu całkiem inaczej obchodzono się z ludźmi, niż w pospolicie u nas. Stosunek pana i wieśniaka, stojących na dwu krańcach łańcucha towarzyskiego, który ich wiąże wzajemnie, tutaj zmieniał się w patryarchalny związek rodziny, pokrzepiony wdzięcznością obustronną. Nie było więc wyrzutu z jednej, ani hardych odpowiedzi z drugiej strony.

Naradzano się spokojnie, a gdy pan podnosił głos, milczenie poszanowania lub potwierdzające wykrzykniki donosiły, jak się dobrze pojmwano. Głos też starego Graby był prawdziwie ojcowski i braterski razem: ojcowski powagą, braterski uczuciem.

Gdy nadchodził, Graba kończył rzecz swoją do właściciela temi wyrazy, pełnemi serca:

— Teraz, dzieci moje, nie płakać i narzekać, ale podwójnie pracować nam potrzeba. Z mojej strony uczynię dla was wszystko co tylko mogę, ale wy także rąk nie opuszczajcie. Bóg dopuszcza klęski na ludzi, aby ich sprobował, czy Jego łaski są warci. Lasu dam, pomoc dam, o chleb bądźcie spokojni, bo go wam nie zabraknie; a koło chat zawinimy się po naszymu, bo zima blisko!

Prawie rozweseleni odeszli pogorzelnicy, gdy Jerzy nadszedł i gospodarza pozdrowił z uszanowaniem.

— Tak rano już pan wstał?—spytał podnosząc się z ławki na ganku pan Graba. — Czy nie przeszkodziło mu co do snu?

— Trochę, niespokojność widzenia i słuchania pana. Taic nie będę, że przywykłem do gnuśnego snu długo na dzień, ale dziś tego złego nałogu się wstydzę.

Graba spojrział mu w oczy.

— Winszuję panu—rzekł.—W istocie, to co zowią fałszywie cywilizacją, zwykło objawiać się wszelkiego rodzaju wykwinem i zbytkiem, przekreśnieniem żywota na nice; i są ludzie co dowodzą, że to jest konieczna wynikłość cywilizacji: nie naśladowmy przecie w tym względzie Zachodu. W stolicach, po każdym balu, wołają demokratyczne dzienniki: ilebyto ubogich rodzin kosztem tym nakarmić można! Na każde takie wołanie dowcipni gazeciarze przeciwnie stronnictwa odpowiadają: policzeie, iluto karmią wyrobników bale i zbytki pańskie! Tak jest, ale źle jest. Jeśli w ciele ludzkim żyje część jedna kosztem drugiej, zowiemy to chorobą; tak samo i w ciele społecznem. Zbytek karmi, to prawda, ale najniżej potrzebnych, pasyżne zbytku dzieci; inne klasy tymczasem cierpią. Pomińmy i to nareszcie, odłożmy na bok; zbytek najszkodliwszy jest nie tym, którym pokarm odbiera i którychby kosztem swym mógł nakarmić, lecz tym właśnie, którzy w nim i nim żyją.

Przyszedliśmy do tej rozprawy od snu. Posadzisz mnie pan o nielogiczność: przecie pamiętam żką wyszedłem, ale wiem lepiej jeszcze do czego dojść zmierzam. Sen nie w porę, gnuśny, długi, jest także częścią obyczajów zbytkowych. Jestto oddalenie się od natury, skutkiem zepsutych obyczajów będące; bo i zdrowiu szkodzi, i umysłu nie podnosi, i czas zabija, i żadnej nie przedstawia korzyści. Ale myśmy słabe dzieci zbytku.

— Widzę, że zbytek nadewszystko zdaje się panu zgubnym dla społeczeństwa.

— A nadewszystko dla naszego. My mamy wielkie i święte ciężące na nas obowiązki: winniśmy podnieść się z moralnego upadku, pokrzepić na umyśle i ciele. Zbytek zresztą, gdy już ma być koniecznie gdzieś, niech będzie szaleństwem szczęśliwych. Nieprzyjaciel wszelkiego zbytku, nie ukaże też panu u siebie żadnego niepożytecznego—rzekł Graba podnosząc się.—Uważałem wczoraj jeszcze, że to, co we mnie i u mnie dojrzałeś pan wychodzącego za szranki dozwolonej oryginalności, wzbudziło w nim ciekawość. Jestto, według mnie, uczucie szlachetne, i źle tylko użyte, złém być może, to jest stopniem do piekła, jakto Jezuici powiadali; często przeciwnie, bywa wschodem do poprawy. Ciekawość jest głodem duszy. Moim obowiązkiem zaspokoić ją, aby to, co wedle mnie użytecznego pomyslałem i uczynilem, mogło (jeśli warto i zasłuży) wlać się w masę pojęć i przekonań powszechnych. A zatem—dodał wesoło—masz mnie pan na usługi swoje. Po domu moim najlepiej mnie poznasz. Chodźmy!

Wesli do domu, do którego gospodarz, nie czyniąc staroświeckich ceregielów we drzwiach, wprowadził Jerzego. Pierwszy pokój, widziany już wczoraj, ostawiony sofami, pokrytymi ciemną włosienicą, z meblami jesionowemi, kominem drewnianym i białymi ścianami, przeszli oboje milejący. Za nim był drugi, bardzo do pierwszego podobny, z którego duże okno wychodziło na ogród.

Jerzy, widząc ztąd piękny kawałek parku, uśmiechnął się, i zatrzymując, spytał pana Graby:

— Czy nie schwyję pana na grzechu przeciw własnym jego zasadom? Nienawidzisz pan zbytku: a ogród tenże, zajmujący tyle pola, kosztujący tyle pracy, tyle pieniędzy, nie jest-li rzeczą zbytkową?

— Wdzięczen panu jestem za to pytanie, bo mi pozwoli wytłumaczyć mu się z moich zasad dokładnie. Na oko tak jest, jakęś pan osądził, ale

w istocie rzecz się ma inaczej. Człowiek nie samym żyje chlebem, i potrzeby jego nie ograniczają się do tych zwierzęcych tylko funkcji, których zaspokojenie jest warunkiem wprawdzie cielesnego życia, ale nie dotyka, chyba ubocznie, piękniejszej strony życia i żywota duszy: duszy potrzeba piękna. Piękno nie godzi się ograniczać ciasną definicyą, jaką o niem dają estetycy pozioimi. W jednym wyżej pojętem uczuciu piękna, jednoczą się wszystkie duszy porywy ku szlachetnemu, wielkiemu, ku dobru ogółu, ku ideałom!

O! ten wyraz jest największą plamą na twarzy ludzkości! Nazwano ideałem wszystko, czego się obawiano spełnić, czego leniono się dostąpić, czego nie chciano z niebios sprowadzić na ziemię.

Duszy więc pokarm to piękno we wszelkim rodzaju. Dusza myśli, dusza pragnie towarzystwa wielkich ludzi, spełnienia czynów szlachetnych, rozważania Boga i siebie, nareszcie natury pięknej.

Karmię się księgą, rozmową, dziełem sztuki, i temi obrazami natury, których dziś szukam w ogrodzie, a w przyszłości marzę ogrodem ziemię całą, bo ją szczęśliwsze od naszego wieku z sobą razem do ideału podniosą.

Dla mojej duszy obraz ten, napozór zbyt kowny, jest karmią, jest potrzebą; w nim widzę przeszłość rodu ludzkiego i kolebkę straconą, o której gwarzą podania; w nim widzę jego przyszłość, do której powolnie i mozolnie postępuje. To raj mój, który myśl zaludnia. Oto tłumaczenie dlaczego mam ogród. Że go mieć mogłem, wymawiam się tem, że mi zostawały odłogi; że ludzie wiejscy mają gruntów dosyć: a na utrzymanie ogrodu to tylko wydaję, co zbywa mi od obowiązków. Pot ludzki nigdy się dotąd na moje potrzeby fantazyjne nie wylał. Staram się, by w tym rajy lza ludzi nie pociekła, nie stęknęło westchnienie.

Jerzy, który słuchał z zajęciem trochę exaltowanych wyrażeń pana Graby, nic na nie odpowiedzieć nie mógł, czy nie chciał. Wtém gospodarz drzwi otworzył, i gość z podziwieniem największem ujrzał przed sobą dość długą galeryą, zawieszoną obrazami z jednej strony, zastawioną szafami książek z drugiej.

— Oto jeszcze zbytki moje! — zawołał pan Graba. — Spowiadam się ze wszystkich razem grzechów tego rodzaju: to podwójny karm dla duszy. Nie mam cugów, nie mam paradnych koni, karet, liberyj, pałaców, ani kuchmistrza Francuza, ani tych tysiąca fraszek, któremi nas moda zarzuca: ale kąpię się w książkach, ale rozkoszuję tworami sztuki. Patrz pan — dodał — oto obrazy wyborne, które zarówno obcy i nasi mistrze wyleli na płótno, świadczące jak wiele może myśl ludzka w walce z ograniczonemi środkami wcielenia się. To jest prawdziwe zwycięstwo człowieka nad materją, to wiekniusta jego chluba, to dowód nieśmiertelnej w nim iskiarki.

Tworzyć dla rozkoszy tworzenia, oblekać myśl w ciało, puszczać ją w świat niemowlęciem, by może na olbrzyma wyrosła — jeden tylko może człowiek. Lecz nie bądźmy tem dumni; każda karta, każdy rys twórczości ludzkiej dowodzący, dowodzi zarazem bezsilności i granic jego potęgi.

Jerzy zbliżył się najprzód ku księgom, których nie zalecały ani szafy, ani bogata oprawa, ani nic powierzchownie tylko błyszczącego. On, co dotąd mało się zajmował literaturą, zwłaszcza krajową, z podziwieniem ujrzał ile tu ona pólek zajmowała. Szacowne przeszłości pamiętki, zabytki nasze, sko-

śniała przeszłość cała, co potomności da świadectwo naszego bytu dawnego, gromadziła się tu w bogatych na podziw zbiorach. Jedną tylko wielką szafę znalazł poświęconą tworom umysłu ludzkiego wybranym, reszta była polską rzeczą, językiem lub duchem.

Naprzeciw wisiały obrazy, wybrane z równą troskliwością. Odbijały się i w nich niepowrotnie karty dziejów, twarze wielkich ludzi zgasłych, tryskała myśl mistrzów, natchnienie religijne lub odwzorowana wiernie naszych okolic fizyognomia.

— Ten zbiór — rzekł Graba — najwięcej mnie kosztuje, lecz do niego każdy bogaty człowiek, równie jak do biblioteki, jest obowiązany. Wołałem synowi zostawić te skarby, niż trochę więcej grosza, którego i tak zadość mieć będzie. Gdyby go nawet miał znacznie mniej, spokojny jestem, bo potrafi pracować.

Teki, które pan tu widzisz, dopelniają zbiorem sztuchów szereg obrazów moich. Są tu piękne, czasem mistrzowskie utwory ludzi, o których pan ani słyszał może. To stary oltarzykowy obrazek Jana Wielki, to natchnione płótno Jana z Nissy, ta rzeźba, twarz Matki Bożej wyobrażająca, Wita Stossa, a dalej Lubienieckich, Kuntza, Lexyckiego, Czechowicza, Płonskiego i Smuglewicza dzieła.

Później będziesz pan mógł lepiej zbiorowi się temu przypatrzeć. To mój zbytek i grzech może; ale sumienie moje nie ma mi do wyrzucenia, żebym kiedy surowsze obowiązki życia poświęcił upodobaniu w tworach sztuki i fantazyi amatorskiej: nie jestem dyletantem nadewszystko. Jakkolwiek sztukę widzę w życiu taką potrzebą, tak istotną koniecznością jak chleb i powietrze, a tych co jej nie pojmują i nie potrzebują mam za ułomnych, przecięż wiem, że przedewszystkiem idą obowiązki względem bliźniego.

— O! zmiluj się pan! — rzekł Jerzy — jesteś aż nadto surowym.

— Potrzeba być surowym, zwłaszcza dla siebie, inaczej nie mógłbym być sprawiedliwym. Wszystko darować ludziom, nic sobie: to prawo moje. Idźmy dalej!

Weszli do maleńkiej zbrojowni, przesłiznie ułożonej. Tu gość, który lepiej obeznany był z bronią niż z księgami i obrazami, bogactwu jej, doborowi i ułożeniu oddziwić się nie mógł.

— To jeszcze dalszy ciąg moich zbytków — dodał pokornie gospodarz — muszę się i z tego panu wytłumaczyć.

— Czyż i to potrzebuje tłumaczenia?

— Słuchaj pan tylko; ja lubię tłumaczenie: to słabość moja. Myśl uwieczniona we mnie dokucza mi; wypowiedzieć ją, ulgę przynosi. Zbierałem broń starożytną; mam nową także z dwóch powodów. Byliśmy narodem wojennym, broń więc jest dla nas najcharakterystyczniejszą i zdaje się najczęściej mówiącą pamiętką. Na niej, w niej, w jej kształtach i ozdobach więcej jest może myśli i historii, niżeli się domyślają ci nawet, co o tem rozprawiają i piszą. Te bułaty, buzdygany, buławy, topory, czekany, luki, kusze, berdysze, samopały karabelle, tulichy (dolch), demeszki, tarcze i pociiski, kopie i rohatyny, długo były jedynem narzędziem naszych przodków, i większa część ich życia spłynęła z niemi w rękach, na piersi, u boku. Są to więc drogie i krwią nieraz skropione pamiętki: każda plamka rdzawa może być lzą konającego na polu bitwy, lub ostatnią krwią kroplą bohatera.

Co się tyczy różnej broni nowej, tę zarówno i dla

syna mieć chciałem. Zniewieściliśmy zbytecznie: i wszystko co ciało hartuje, co krzepi, co odwagę wyrabia, co zreczność nadaje, potrzebne nam dziś bardzo. Cywilizacya w obcych krajach fałszywy wzięła kierunek: ona, wykwitając z bytek, który jest bujnym liściem bez owocu, wycieńcza, kuje w kajdany, osłabia, i z człowieka robi tylko piękne cacko, potrzebujące futeralika i bawelny. Ja całkiem inaczej postęp i cywilizacyą pojmuję; dlatego syna wychowałem przedewszystkiem na hartownego mężczyznę. Otwarta głowa nie przeszkadza, by ciało silne być miało: daremny jest sofizmat, chcący dowodzić, że jedno otrzymuje się kosztem drugiego. Zdrowe siły duszy nietylko nie niszczą sił ciała, ale z niemi są w nierozzerwanym przymierzu.

Uczyłem siebie najprzód, teraz uczę syna: nie obawiać się niczego, co dla miękkich syów wieku jest prawie zabójczem. Umiemy wytrzymać głód, pragnienie, chłód, niedostatek: jednem słowem cierpienie. Srodkiem do wyrobienia siły w ciele uważałem łowy, narażające na zmiany powietrza, niewygody i trud fizyczny. Ona także umiemy kopać, orać, i bawim się pracą ogrodową.

— Jakto? kopać? orać?—spytał Jerzy.

— Tak jest — dodał spokojnie Graba — i lepij umiejętnego poprowadzić sochę nademnie we wsi nie znajdziesz.

— Pan próbował iść za sochą, za pługiem?

— Nieraz. Z mojej strony nie byłoby jakaś chęć odnaczenia się, ani dziwactwo, ani nawet igraszka i zabawka: miałem w tém także cel poważny.

— Jakież? proszę pana. Czyż każdy wieśniak nie potrafi tyle co pan?

— Zapewne; ale właśnie wieśniaków nauczyłem prac wiejskich. Powszechnie zajęcie się wszelkimi robotami ręcznymi i rolą jest w pogardzie jakiejś; lud wiejski sam już nawykł być poniewieranym: potrzeba, żebyśmy swojemi osobami okazali mu, że powołanie rolnika, co w pocie czoła chleb światu daje, nietylko nie jest od żadnego niższe, ale od wielu zaszczytniejsze.

Sto razy powtórzyłem to moim wieśniakom, że stan ich i pracę szanuję. Podnieść ich moralnie, obowiązkiem naszym; ale wskazywać im, że ich poświęcenie, ich praca są rzeczą pogardy godną, jest niegodziwością. Tak przecie czyni każdy, co kmiotka usiłując podnieść w bycie i na umyśle, nie stawi obok tej myśli: że zajęcie się rolą nie jest na przeskodzie uprawie umysłu, że ręka co pług dźwiga, szlachetniejsza jest od wielu okrytych gnuśnym rękawiczkami.

Jerzy nie mógł wyjść z podziwienia.

— Ale że pan raz kiedyś pójdziesz z niemi za pługiem, czy sochą, cóżto pomoże? Oni to właśnie wezmą za fantazyą, za rodzaj jakiejś igraszki.

— Wzieliby niechybnie, gdyby wszystkie inne czynności moje nie potwierdzały szacunku, jaki mam dla rolnika. Pospolicie u nas nagrodą jest: wzięcie do dworu, i dworak ma się za coś nierównie wyższego; u mnie przeciwnie. Ja sam szanuję siwe włosy moich starych gospodarzy, i szanują je wszyscy; i zaden z moich włościan nie pragnie innego stanu nad swój, dążąc w nim tylko do polepszenia ile możności bytu duszy i ciała. Zaspokajając potrzeby ciała, nie zapominałem zwrócić ich uczucia najprzód na prawą drogę ku zamiłowaniu dobrego, potem ich umysłu ku nowym potrzebom duszy. Gdy tę poczuli, jam o ich przyszłość spokojny.

Wielkie i skuteczne reformy prędko się dokonać nie mogą: „co nagle, to po djable,“ mówi przysłowie. W naturze, co ma trwać, rośnie i tworzy się długo; zniszczenie tylko jest szybko. Dlatego ani mogę się spodziewać, żebyśmy dokonali wszystkiego, co marzyłem i marzę dla wieśniaków; ale Bóg dobry! Któs to za mnie dokończy. My zaczynamy, a Opatrzność obmyśli spełnienie myśli pocziwej; siejmy, a ziarno nie padnie daremnie!

Kończąc te słowa, weszli do obszernej izby, która, ze stolów wnosząc, była jadalną. Jakoż wnioskując tak, nie omylił się Jerzy. Zaczęto przygotowywać śniadanie,

— Tu jadamy!—rzekł Graba.

— Pokój stolowy każe wnosić, że pan często niewasz gości?

— Mylisz się pan — odparł gospodarz — najliczniejsi goście moi, to są domownicy. Ja i syn zwykliśmy jadać po staropolsku, z całą naszą dwornią. Jest w tym obyczaju coś patryarchalnego, jak w całym stosunku pana do włościanina w dawnych czasach, które dziś szkalują i wcale źle pojmują. Dawniej pan i wieśniak byli jedną rodziną; a jak w rodzinach są źli ojcowie, tak byli i źli panowie włości: jednak to były tylko wyjątki. Nie mogąc się całkiem obejść bez sług, choć bez wielkiej ich nadpotrzebnej liczby się obchodzę; staram się sługę podnieść z jego upokarzającego stanowiska. Biorę i wychowuję w szkółce naszej sieroty, które mi usługują; ale niemniej cała ta służba obnosząca półmiski, siada ze mną do stołu i je toż samo co ja. Jerzy wielkimi spojrzał oczyma, Graba się uśmiechnął.

— Kochany panie—rzekł—większa część naszej szlachty przypuszcza sługi do uczestnictwa swych wad i nałogów, robi ich współnikami słabości sromotnych: czemużbym ja nie miał przypuścić ich do stołu? Usługa u mnie odbywa się wcale ochotnie, serdecznie, i jest raczej młodszego dla starszych pełną uszanowania przysługą, niż ciężkim, niewolniczym obowiązkiem. Moi słudzy mówią ze mną swobodnie; myśl mi swoją, gdy ją mają, podracują śmiało; mogą się uśmiechnąć i zasepić, gdy pragną: a ja im za grzech tego nie mam. Pamiętajmy, że każdy z nich zostając sługą, nie wyzuwa się z praw człowieka. Nie róbmy z nich lalek drewnianych!

— Wszystkich więc chciałbyś pan z sobą zabrać; i nie uznajesz uczucia poszanowania i potrzeby posłuszeństwa, i oddawanie czci, jako oznaki objawów koniecznego, naturalnego stanu duszy? Przecież społeczeństwo dzieli się koniecznie na wyższych i niższych, i uczuć tych z życia jego wyrzucić niepodobna?

— Tak jest; ale braterstwo chrześcijańskie ludzi nie wyłącza tych uczuć. Moi włościanie szanują mnie, ale kochają razem; chociaż ich szacunek wyraża się bardziej jak miłość ku starszemu bratu lub ojcu, niżeli bojaźnią niewolniczą.

W człowieku widzę najprzód człowieka, i jako człowieka, brata. Jeżeli mnie cnotą, umysłem, duszą przewyższa, o czem wewnętrznym nieskażone znać daje uczucie, uznaję go starszym, i oddaję mu cześć jako bratu starszemu; jeżeli jest niższym ode mnie, nie pogardzam nim, owszem powiększa to miłość moją, i obowiązki, do których się czuję.

— A występnii? a źli i w złém zatwardziali? — spytał Jerzy.

— Będziesz miał pan cierpliwość wysłuchać całej teorii?—zapytał z kolei stary Graba.

— Czemuż nie? właśnie tego najciekawszy jestem.

— A więc proszę o trochę cierpliwości, bo nie mogę jęj zamknąć w dwóch wyrazach.

Stosunek człowieka do równych mu ludzi zamykam we trzech wyrazach, które, podług mnie, obejmuje jeden ostateczny: *miłość*. Ta miłość staje się względem wyższych uwielbieniem i czcią, względem równych braterstwem, względem niższych miłosierdziem bez granic.

Ale żebyś mnie pan lepiej zrozumiał, muszę mu się obszerniej wytłumaczyć.

Wszystko co wielkie nie podnosi człowieka i nie uszlachcaz mnie także, wskazując, że i ja do takiej wielkości zdolny jestem? Dusza, jak ku słońcu kwiat, otwiera się ku wielkości i doskonałości. Cześć dla wyższych jest czcią ideału, do którego się oni zbliżają. Tylko ślepi lub głupcy nie widzieć mogą, zazdrościć i nienawiścią występłą się palić. Wielcy ludzie sąto obłamki ideału, który się rozbił o ziemię. Pojąć wielkość, zbliżyć się do niej, uczcić ją, usiłując jęj zrównać: oto do czego wiedzie cześć moja.

Z równymi mnie jestem bratem. W nieznanym mi człowieku szanuję najprzód człowieka, w poznanim szukam cnoty; i choć mi wady biją w oczy, wiem, że żaden człowiek z samych się wad nie składa, każdy ma jakąś ukrytą cnotę lub zdolność do niej.

Jakie są obowiązki braterstwa, uczy nas ewangelia, pełna w tęg mierze wiecznie prawdziwych i prawdziwie boskich przepisów. Miłość powinna się objawić poświęceniem, zaparciem siebie, współczuciem, zbrataniem, które jest zjednoczeniem. Kto mówi, że kocha ludzkość, a gnuśnie śpi w dniu wczorajszym, nie troszcząc się o jutro, ten kłamie. *Kto kocha, ten pracuje.*

Dla upadłych i niższych od nas umysłowo dusza i sercem braci, zawsze obowiązkiem jest taż sama miłość, która stanowi jedyny wyraz stosunku ludzi do ludzi. Jeśli człowiek upadł umyślnie, żaluję go, bo ślepy; jeśli wypadkiem, godniejszy politowania jeszcze; jeśli tym nierozpoznanym zbiegiem okoliczności, który zowie się losem, ratujmy go, bo najbiedniejszy, i kochajmy więcej niż szczęśliwych: poświęćmy się, by go wychwycić z gubie.

Cóż pozostaje, pytasz mnie pan, względem tych, co są źli, przewrotni i zatwardziali? Człowiek ma tu obowiązek dwojaki: brzydząc się złem i fałszem, powinien śmiało fałsz i występki wszędzie, gdziekolwiek go widzi, nazwać po imieniu. Złote obwódki nie uczynią go czem innym; żaden względ, żadne położenie nie wymawia; serce milczec powinno: bo tu chodzi o najświętszą rzecz na ziemi — o prawdę. *Kto jęj nie czi, kłania się złemu.*

Lecz wskazując fałsz i występki, względem człowieka fałszywego i złego zostają obowiązki. Do ostatka wierzyć powinniśmy, że można go poprawić; a brzydząc się występkiem, miłować go należy jak brata, i jak bratu służyć. Im niżej upadł człowiek, tęg więcej starać się podnieść go powinniśmy, bo o swych siłach się nie dobedzie. Otóż cała moja prosta i uboga teoria życia społecznego, które opieram na miłości. Najwyższym u mnie występkiem, bo ziarnem wszystkich, jest samolubstwo; najwyższym czynem miłości, jęj wyrazem: poświęcenie, ofiara! *Nie miłuje, kto się nie poświęca.*

Chociaż świat materyalny, wedle niektórych, jest przeciwieństwem świata duchownego, wedle drugich, niedokładnym jęgo wyrazem: wszystko tu, nawet w świecie materyi, co tylko da się nazwać

miłośćią, kończy się poświęceniem. *Gdzie samolubstwo, tam śmierć.*

— Więc za przestępstwa żadnej kary?

— O! o temby długo rozprawiać można. Społeczeństwo zawsze ma udział w każdym występku swoich członków; każda wina człowieka spada na ludzkość, która dopuściła go do niej. Godziż się karać za występki popełniony z poduszczenia lub z uczestnictwem sędzię?—nie. Zamiast kary, inny ma obowiązek społeczność: odsunąć niebezpiecznego członka, aby nie psuł reszty ciała, i uleczyć go, tojest poprawić. Kodex karny powinien się zwać poprawczym.

— A zatęg kara śmierci?

— Kara śmierci jest pozostałością barbarzyńskich wieków. Króćej zapewne odciąć na zawsze tego, który sam zawadza; ale sprawiedliwiej i bardziej po chrześcijańsku sprowadzić go na drogę prawa.

— Są przecież tacy, których poprawić nie można.

— W dawnym czasie, prawda; ale kogo nie poprawi rok, przemieniają lata. Życie jest darem Boga: Bóg jeden rozporządzać niem powinien, nikt odbierać go nie ma prawa.

Na tęg skończyła się rozmowa, gdyż właśnie wszedł Jan, i chłopcy zaczęli podawać śniadanie.

Do sali jadalnej weszli wesoło i ochoczo, niosąc obrusy, talerze, półmiski i co potrzebném było do nakrycia stołu, chłopaki od lat dziesięciu do czterem, jednakowo poubierani w szaraczkowe spencery i szarawary, z krótko poucinanemi włosami. Twarze ich i świecące się oczy dowodziły, jak się im dobrze dziać musiało. Rumiane policzki, jasne spojrzenie, ruchy swobodne, szczebiotanie wesołe, przekonywały, że służba nie była ciężką. Nakryli stoły prostemi obrusami, grubą lecz czystą bielizną, rozstawili popolite ale niepootłukane talerze, rozłożyli chleb gruby i czarny ale świeży i pachnący, i pospieszyli biegiem lecąc i wyprzedzając się ku kuchni. Dla jednego tylko Jerzego było nakrycie osobne: sztuce staroświecką robotą, bielizna cienka, szkło czeskie. Tak czasem po klasztorach, gdy przyjmują gości, odróżniają ich od zakonników wytworniejszą zastawą, doborniejszemi potrawami.

Już podawać miano, gdy na odgłos dzwonka, wteczyła się większa część domowników, oprócz tych, którzy około pożaru, w polu i przy robotnikach zajęci byli. Na czele ich szedł koniuszy z sąznistemi wąsami, który zawiadywał stajnią i psiarnią, koźmi i polowaniem; za nim nauczyciel dworskiej szkółki i pisarz magazynowy, kilku służących i chłopaki, którzy dymiące misy i półmiski nieśli.

Na śniadanie zastawiono mlęko dla jednych, kłuski dla drugich, kartofle smażone i krupnik. Słudzy zasiadli obok panów, a nawet male chłopięta porozstawiawszy wszystko, wzięli się w końcu stołu również do misy z krupnikiem. Sam pan Graba i syn jęgo, przywykli do śniadania pracowitych ludzi, zajadali smaczno i wesoło. Rozmowa między panem a sługami szła swobodna, niewymuszona, taka, jakby między ojcem a dziećmi miejsce mieć mogła. Chłopcy miesza li się do niej, przytomnie, nie bojaźliwie, nie kryjąc uczuć, jakich doznawali. Nauczyciel szkółki, pytany o ich postępy, wskazywał pilniejszych, a reszta ze wstydu płonęła. To była jedyna kara, jakiej używano, bo cielesnej nie znano wcale.

Wczorajszy pożar stanowił tło rozmowy, która wróćce stała się powojenną, a wszyscy się do niej mieszcali, opowiadając o powstaniu ognia przez nieostrożne lnu suszenie, o ratunku początkowym i poniesionych szkodach. Jeden Jerzy mało jadł, mało mówił, lecz z podziwieniem słuchał. Było coś w istocie bardzo dziwnego w tém towarzystwie z tak różnych żywiółów złożonem, a tak zgodnem; w wyrazach gospodarza, który się umiał, nie poniżając, zniżyć do pojęcia wyrostków, do wyobraźni sług swoich. Jan także wesoło, raźnie roznawiał z chłopakami, wypytywał, cieszył, i widać było jak w tej wielkiej rodzinie wszyscy się kochali, jak żadne uczucie niechęci harmonii jej nie zamieszało. Wszystkie twarze były pogodne, nigdzie uśmiechu szyderstwa, nigdzie oznaków tlunionego gniewu lub zazdrości. Usługa szła szybko i wybornie, pomimo, że chłopcy jednem okiem patrzali na miski swoje, drugiem na tych, którym posługiwali. Narzeczcie skończyło się śniadanie, i Grab wstał pierwszy, a za nim wszyscy. Jerzy, któremu osobne, złożone z herbaty, kawy i angielskich przydatków, to jest: jaj, szynki, pieczystego i t. p., podano śniadanie, wstał prawie zawstydzony, że go tak z ogółu wyłączono.

— Teraz — rzekł gospodarz — jeśli wola i łaska, pójdziemy trochę około mojego gospodarstwa. Długo to nie zabawi: pokażę panu to tylko, co u mnie nie jest tak jak wszędzie, reszta bowiem nie ciekawa dla pana. Lecz zwykłeś pan do pieszej przechadzki?

— Do wielu rzeczy nie przywykłem — rzekł Jerzy, biorąc rękawiczki — lecz właśnie nie chciałem się przyzwyczaić: począć potrzeba. Przecież, polując z panem Koniuszym, zrobiłem początek.

— A więc idźmy, i rozpocznijmy od kaplicy.

Jerzy nic nie odpowiedział, i wyszli. Stała ona w ogrodzie, odosobniona, obsadzona drzewami, a w tej chwili Kapucyn, będący kapelanem u pana Graby, siedł właśnie do niej na modlitwę. Msza znacznie raniiej była się odprawiła. Z progu tylko zobaczyli ten domek Boży, wykwentnie i wspaniale przybrany wewnątrz, i uderzający ozdobami, których tak wystrzegano się w domu.

— Jestto sprzeczność dziwna — rzekł gospodarz — ale tak mi się zdawało uczynić potrzeba. Dom Boży, dom modlitwy, powinien być wspanialszy od naszego. W nim widzimy duszę tego Boga, który jest wszędzie; ale to miejsce wybieramy, by Mu cześć oddać publiczną, miejsce więc to powinniśmy przybrać jak najwytworniej. Na nic to się nie przydało Bogu; ale potrzebne jest dla ludzi.

Niech co chcą mówią nowsi filozofowie, wiara nietylko jest potrzebą społeczeństwa, ale warunkiem żywota ludzkiego. Ona odpowiada koniecznej ludzi tęsknocie za Bogiem i przyszłością. Społeczeństwo bez wiary w krótkim przeciągu czasu materjalizuje się przy najwikszym wykształceniu; najpodnioslejsza cywilizacja nie wstrzyma go od zbestwienia i upadku. Filozofia nie zastępuje wiary, tak jak chemik nie robi złota, choć go rozbięra. Człowiek bez wiary biedny jest i zgubiony; w nim duchowna część sparalizowana, żyje ciałem tylko: starajmy się więc przykladem naszym także szczepić wiare. Lud na nas patrzy i naśladuje; często małe złamanie przepisów religii daje sobie za wymówkę do sroższych przestępstw, jakich się dopuszczają. Niejeden co w piątek jadł z mięsem, stał się powodem, że jego sługa został złodziejem lub zbójcą; napozór jestto sofizmat, w istocie prawda

największa. Gdybyśmy w sercu nie mieli wiary, jeszczebyśmy powinni ją w drugich szanować. Tymczasem pospolicie mając wiare, wstydzimy się jej, i popełniamy największą podłość, jakiej się człowiek dopuścić może.

— W mieście najczęściej spotkać można podobne postacie — rzekł Jerzy — ale na wsi są one rzadkie.

— Nie tak jednak jak pan sądzisz. W mieście wszystko, nawet wiara, podchodzi pod prawo mody; na wsi toż samo małpiarstwo głupie doprowadza bardzo rozsądnych zresztą ludzi do powierzchownego wolteryanizmu, który na ustach mają tylko.

— Mnie się zdaje, że nie tak wolteryanizm — rzekł Jerzy, przerywając znowu — jak raczej obojętność naszego wieku winą. W osmnaście sztydzo z religii, w dziewiętnastym omijają.

— Jest w tém wiele prawdy, lecz wieś zawsze trochę w tyle zostaje, i wlece się jak statek, ciągniony na linie. Mówiliśmy o wierze. Ja mam ją głęboką, lecz ani o niej rozprawić lubię, chyba gdy sumienie każe mi się stawić w jej obronie, ani się z nią chlubię, ani wściekam i palę na tych, którzy Bożego daru są pozbawieni. Mój syn, dzięki wychowaniu, nie zatarł w sobie wzniesłego religijnego uczucia. O! bez niego smutne i ciężkie życie ludzkie! A jakże wielki horyzont rozwija się dla nas, co wierzymy. Spokojny, bo otoczony Opatrznością, w milczeniu ofiarując je Bogu, w szczęściu sposobiąc się do jego utraty, w każdym razie powiem, że wszystko co jest, jest *dobrem*.

— Jakto, pan jesteś optymistą?

— Chrześcianin nim być musi. Widzę Boga nad sobą, kierującego wszystkimi sprawami ludzkimi, wierzę, że wszystko co się dzieje za Jego wolą, ku dobremu iść musi, ku dobremu posługuje, a zatem jest *dobrem*.

Wiele jest w życiu wypadków, które się nam przykre, ciężkie, bolesne zdają: lecz któż wie jakie w nich ziarno przyszłości leży? Nic nie ma złego i niepożytecznego, nic próżnego.

— Tak więc wszystko...

Jerzy nie dokończył, a pan Graba odgadując myśl jego, dołożył, choć z westchnieniem:

— Tak, wszystko. Lecz żeby ze mną razem postrzedz to, potrzeba się wznieść od pojedynczego człowieka do całości rodziny ludzkiej, do ogółu. Jednostki cierpią, lecz żadna boleść nie jest daremną, żadna nie jest straconą.

To mówiąc odeszli od kaplicy, a przeszedłszy kawał ogrodu, który był razem dziedzińcem, trafili na porządną budynek, z którego ich wesoly głos młodzieży dochodził: byłato szkółka dla dzieci dworskich i wiejskich. W dość wielkiej izbie, czystej i zastawionej ławami, nauczyciel, siedząc za stolikiem, opowiadał dzieciom, które z ciekawością zaostrzoną przysłuchiwały mu się, zarzucając go pytaniami.

Nauka szła tu niezwykłym trybem, gdyż pospolicie czytanie i pisanie, rachunku trochę, stanowią przedmioty jedynie wykładane po parafialnych szkółkach. Tu pan Graba weale inaczej przepisał porządek nauki: czytanie, początki pisania i rachunku były niejako dodatkową rzeczą i ostateczną. Nauczyciel poleconem miał rozwijać młode umysły rozmową, której za przedmiot służyły pierwsze ogólne pojęcia o świecie fizycznym, o dziejach ludzkości i t. p. Byłoto nauczanie w sposób patryarchalny, takie właśnie, jakim była w czasach

pierwotnych nauka starców, co byli składem podań. Dzieci słuchały, rozpytywały, i nie męcząc się, zatrzymywały w pamięci zasadnicze wiadomości, których pojęcie rozwijało powoli ich zdolności. Czytanie po piśmie i rachunki stanowiły dodatkową część nauki, prawie mechaniczną.

Godziny wykładu zchodziły młodzieży niespostrzeżone i czarowne, bo nauka, sprowadzona do ostatnich swych wypadków, odarta z podrzymujących ją rusztowań, ubrana w proste wyrazy, tyle poezyi mające, zajmowała ich jak powieść i bajka piastunki.

— Czytanie, pisanie i rachunek uważam ledwie nie za ostatnią i najmniej ważną część nauki—rzekł pan Graba do Jerzego.—Pytam się, gdy ich nauczę czytać, co czytać będą? Nietylko nam, ale nawet daleko dalej na drodze wychowania ludu będącym narodom, zbywa zupełnie na książkach, mogących służyć za pokarm dla poczynających żyć umysłowo; jestem zaś przekonany i pewny, że lepsza zadna jak zła książka. Nam dorosłym i wzmocnionym nie wszystko zaszkodzi, lecz temu prostemu ludowi małeńka doza trucizny, naczeczona, śmiertelną być może. Ztądto, jak niejeden uważał, niedowarzeni wieśniacy, którzy, poznavszy litery, poczęli czytać co im do ręki wpadło, najczęściej psują się i wyrastają na najgorszych ludzi. I nie dziw: w przedpokojach znajdują na wstępie Rinaldinię lub podobne głupstwo jakie, co im odrazu głowę na wieki zawraca. Książki dla ludu są tak wielkim zadaniem, że w całej europejskiej literaturze ledwie kilka znam ich znośnych. A jak wielki, jak piękny przedmiot! Cóż, kiedy żaden pisarz nie zechce tej nieświeżej zasługi zamienić za trochę okłasków, jakie zyskuje pisząc dla wszystkich. Moje chłopięta — mówił dalej — wychodząc ze szkółki, mają gruntowną znajomość religii i obowiązków, jakie ona wkłada; wiedzą, że wiara nie na czecznych słowach polega, lecz że jest pierwszym prawem życia; uczą się wielkości Boga, mając pojęcie o stworzonym świecie i jego cudach, o ziemi, a nareszcie o człowieku i jego dziejach. Nauczyciel wyklada im trochę medycyny popularnej, ogólne zasady fizjologii człowieka i zwierzęcia, w jak najprostsze ujęte słowa; nareszcie wiadomości wieśniakom, jako do roli przeznaczonym, najpotrzebniejsze o gospodarstwie i tem co z niemi ma najbliższy związek.

To mówiąc, wyszli ze szkółki, a Jerzy z radością ujrzał jak jasne oczy dzieci z czułością poufałą i wesołą zwracały się za panem Grabą.

Niedaleko od szkoły był dom ochrony, wedle prób za granicą uczynionych urządzony; tu kilka poważniejszych kobiet czuwały nad gromadą niemowląt i dzieci; ale kobiety to były nie obce, same matki, i z gromady miejscowej wybrane.

Następnie obejrzeli jeszcze warsztaty, w których dzieci wyrostki, mający ochotę do rzemiosł, w nich się ćwiczyli pod dozorem majstrów, po większej części krajowców. Wielka stolarnia, tokarnia, kuźnia, izba krawców, szewców i rymarzy, miały po kilku lub kilkunastu czeladników i chłopców. Wszędzie z podziwieniem znaleźli wesołość przy pracy, twarze jasne, spojrzenia śmiałe i dowody zdrowia na kraśnych policzkach; nigdzie tych błędnych opilców, którzy na naszych wsiach tak są pospolici.

Jerzy wyraził podziwienie swoje panu Grabie.

— W istocie mogę się tem pochlubić—rzekł gospodarz — iż wykorzeniłem u siebie pijaństwo, bo mi to nie przyszło bez trudności. Nie obwiniamy ludu o nie, bośmy sami podobno najwięcej mu po-

czątkowo winni. Karczmy nasze dawno były gniazdami wszelkiego złego, a żydzi, co je obsiadali, prawdziwemi pomocnikami szatana. Lud spracowany, znużony, często zmuszony uciekać się od rozpaczki do pijaństwa, pił, bo musiał pić, bo mu wszędzie poddawano tę nieszczęsną wódkę, a niczem nie chciano osłodzić mizernego życia, wskazując ją jako jedyny ratunek na cierpienie. Chłop, który ma się lepiej i widzi przyszłość przed sobą, nie pije. Powtóre, nietylko że polepszając stan chłopów, wskazywałem im nieustannie obrzydliwe skutki pijaństwa, lecz w karczmach moich chętnie poświęciłem lichy zysk daleko większemu zyskowi ulepszenia ludu. W karczmach najsurowiej zabroniono sprzedawać wódkę w większych ilościach, i pić w nich zakazano najmocniej. Każdy bierze wódkę do domu, a tam i zachęty mu braknie, i tyśiąć go powodów wstrzyma od pijaństwa. Oprócz tego osobny dozorca szynków ciągle czuwa, i nieustannie obejdzając, pilnuje, żeby kieliszek gorzałki potrzebny zdrowiu i siłom, nie przechodził w granice szkodliwe i najszkodliwsze całemu życiu wieśniaka.

Wyrzucając precz żydów, nawykłych do ssania wieśniaka, musiałem ich w pewien sposób zastąpić. Żyd był chaty bankierem, doradcą, kapitalistą, ale jego pożyczka lichwiarska niszczyła chwilowym zasiłkiem. Ten mały budynek jest bankiem wioski: tu każdy znajduje pomoc w potrzebie, i łatwość wypłaty, którą tygodniowo i częściowo wnosi. Pierwszy kapitał zakładowy banku jest własnością mojej gromady, a pochodzi z przychodów, jakie jej dały grunta, uprawnione przez lat kilka wspólnymi siłami.

Obok banku masz pan sąd gromadzki, złożony i wybierany corocznie przez gromadę starsziny, która wszystkie sprawy nietylko między wieśniakami, ale nawet między dworem a niemi wyniknąć mogące, rozstrzyga. Ja sam dobrowolnie poddaję się sądowi temu, który nigdy, zaręczam panu, nietylko niesprawiedliwie nie osadził, ale cienia niesłuszności nie ściągnął na siebie.

A teraz — rzekł wesoło Graba, biorąc pod rękę Jerzego—zawracajmy do dworu, bo więcej nic już nie mam panu do pokazania, i zapewne więcej spodziewałeś się niż widziałeś. Nie ma tu nic nad to, coby każdy sumienny i uczciwy człowiek powinien zaprowadzić u siebie. Rozumię się, że ani mojej cukrowni, ani machin gospodarskich, ani innych zaprowadzeń tego rodzaju nie będę panu pokazywał, bo to są rzeczy, które zobaczysz wszędzie. Nie zaprowadzę cię też, kochany gościu, do lazaretu, bo tu nieprzyjemny miałbyś widok, choć mój może porządniejszy od innych; są przecie już te domy zdrowia i po innych wioskach. Mój lazaret tém się tylko od innych różni, że ja go codzień prawie opatruję, że przy nim mam dobrego felczera i aptekę; że do niego zabieram tylko tych, którym źle w domu, a dopatrzeć ich nie ma komu, bo dla reszty lepiej w chacie ze swemi w smutnej godzinie boleści, niż w najwygodniejszym lazarecie.

Gdyby nie pożar wczorajszy, mógłbym cię zawieść jeszcze aż na wieś, i pokazać chatę i obejście gospodarskie, wcale różne od innych poleskich; ale dziś ciekawość zaspakajając, gdy tyle boleści jest na wsi, nie godzi się. Szanujmy w nich braci-ludzi.

Nie bez pracy przyszło mi nakłonić ich do zmiany w życiu i mieszkaniu. Poczciwy ten lud szanuje wszystko stare daleko więcej niż my; a bojąc się zmiany, bo nie ma powodów spodziewać się, aby

na korzyść mu poszła, w drobnostkach nawet uparcie czepia się przeszłości: i jak od wieków kurną chatę zamieszkiwał niemal razem z bydłkiem, na wilgotnej ziemi, wśród gęstych dymu wiewiórek, tak chce mieszkać sam, tak chce ją dzieciom zostawić. Zmienić więc odwieczne rozporządzenie chaty, sięgające przedchrześcijańskich czasów, zatrząść podania, które się wiążą z progiem, ogniskiem, kątem, ławą, piecem, niemałą było trudnością. Nie targnąłem się też na przeszłość zuchwale, i nie budowałem szwajcarskich domków, w którychby im było smutno i cudzo; powiększyłem tylko, oczyściłem, wyidealizowałem, że tak powiem, ten materiał, jaki zastałem pod ręką. Chata w mojej wiosce czystsza, porządniejsza, większa: ale nie zmieniła ani swęj starej fizyognomii, ani rozporządzenia; dym tylko, szkodliwy zdrowiu, komin wprowadza, piec z cegieł staranniej zbudowany, okno większe i światła więcej, powietrze lepsze. Bydło wreszcie oddzielone od ludzi, i choć blisko, bo tego dozór wymaga, nie obok przecie. Nie pożałowałem gruntu na podwórko i ogród, a sady, które mój ogrodnik szczepił, stały się już dla wioski przedmiotem starań, bo są zyskowne i mile.

Właśnie stanęli na wzgórzu, i Jerzy mógł ztąd obejrzeć część wsi niespalonej, która miała pozór porządnego miasteczka. Mnóstwo drzew otaczało dokoła domostwa białe, przestronne i wyższe daleko od pospolitych chat. Niedaleko od cerkwi wznosił się lazaret, a wpośrodku jakby rynku, gdzie w istocie były sklepy potrzebniejszych rzeczy dla włościan, mała i ciasna stała karczemka.

— Więc są i sklepy, zdaje mi się?—spytał Jerzy.

— Są to tylko składy, które ja kosztem moim utrzymuję. Miasteczka, do których wieśniak dla nabycia wszelkich drobnych potrzeb wyjeżdża co niedziela prawie, napchane głodem i ubogiem zydowstwem, są dlań tak zgubne jak karczmy dawne. Chociaż nie mogę zabronić mu pojechać i sprzedać w mieście co ma do zbycia, staram się dla niego uniknąć kupna przynajmniej. Sól, tytoń, lemiesz, żelazo i tym podobne towary, znajdzie zawsze w moim sklepie, po cenie daleko niższej niż w mieście, a w nierównie lepszym gatunku. W zamian przyjmuję zboże, po cenie jak mogę najwyższej, czy go potrzebuję, czy nie. Oprócz tego obok sklepu jest kantor zbożowy, w którym przyniesione ziarno zawsze przyjmują i oplacają gotowizną.

Jestem także nabywcą bydła, koni, owiec, świń, wełny i lnów; nie zbym miał na widoku korzyści, lecz dla ułatwienia im zbycia produktów, które żydzi nabywają od nich po niskiej i niesprawiedliwej cenie, z ich uszczerbkiem. Dodam tylko jeszcze, dla uspokojenia pana, że jako kupiec nikomu się nie narzucam. Zmuszać wieśniaka do sprzedaży i kupna, choćby najkorzystniejszych, byłoby to zepsuć wszystko. Dla wzbudzenia w nim wiary, potrzeba było, żeby ją sam w sobie doświadczeniem wyrobił. W początku było długie niedowierzenie, wanie się, podejrzenia, i długo sklepy więcej sąsiednim wioskom niżeli moim służyły; ale wreszcie powoli przyszło przekonanie o mojej bezinteresowności: i dziś nietylko że na tém nie tracę, ale, wstyd mi powiedzieć, że mam zyski na tém.

Jerzy, zdumiony i zamysłony, powracał z panem Grabą do dworu. W drodze rozmawiali jeszcze o wszystkiem, co widzieli.

— Sąsiedzi pewno naśladują pana?—spytał gość.

Graba uśmiechnął się boleśnie.

— Gdybyż!—rzekł—ale gorzej, bo mnie nienawi-

dzą i wściekają się na moje dziwactwa, bo takie dają im nazwanie. Nikomu się nie chce jak mnie pracować dla zaprowadzenia nowego, choćby lepszego: a każda nowość nie przychodzi bez pracy i walki nawet. Wykręcają więc moje nowości, tłumaczą je najpoczwarniej i czynią ze mnie straszidło. Stałem się nienawistny moim sąsiadom, i jedno to tylko mnie pociesza, że gdy niektórzy mnie cierpieć nie mogą, drudzy, sprawiedliwi, mimowolnie szanować muszą.

— Powinny się uczyć, naśladować.

— Nie naśladujemy nigdy, jak skoro naśladowanie miłość naszą własną obraża; naśladujemy po większej części mimowoli, nie wiedząc o tém. Rozumne naśladowanie jest ofiarą z miłości własnej, na którą nie każdy się zdobyć może.

— Prawda, lecz człowiek też często miłość własną poświęca chęci zysku, a tu tyle jest zysków!

— W zyski moje nikt wierzyć nie chce: uparcie dowodzą wszyscy, że się muszę zrujnować. Nikt nie mówi na graczy i rozrzutników, że są bliźcy bankructwa, które nad ich głową wisi codziennie, bo społeczeństwo nasze pobraża im chętnie; lecz niech chociażby poświęci co zamiłowaniu w sztuce, książkom, obrazom i t. p., nazajutrz w opinii powszechnej zostanie zrujnowanym.

— Pozwól pan powiedzieć sobie, że to może nie bez przyczyny—rzekł Jerzy—widzieliśmy tysiące przykładów, w pierwszych rodzinach naszych, ruiny, przez brak rachunku a nagle rzucanie się w wydatki, nie zastosowane do stanu majątkowego.

— To prawda—odparł Graba—widzieliśmy wielu panów, którzy z Włoch, Francji i Niemiec po to tylko poprzywozili biblioteki i obrazy, by je na sprzedaż w kraju wystawić. Lecz nieopatrzność tych nieszczęśliwych, którzy mieli sobie za jakiś punkt honoru nigdy się nie rachować i nie wiedzieć co się dzieje w ich worku, nie upoważnia do sądu o wszystkich. A wielu dziś uchodzi za bankrutów, i nie ma kredytu dlatego, że kupują obrazy i książki?

Podchodzili już ku domowi, gdy nejtyczanka, zaprzężona trzema dzielnymi końmi, rozpędzona wielkim kłusem, wpadła na dziedziniec. Siedział w niej niemłody mężczyzna, rumiany, trochę otyły, zbudowany silnie, w zielonym hiszpańskim płaszczu, z ogromną fajką piankową, na paciorkowym osadzoną cybuchu. Woźnica, po krakowsku przybrany, poganiał konie, poprawiając czapeczkę z pawiem piórkiem. Mina siedzącego w nejtyczance jęgomości była poważna i pełna zarozumiałości, oczy śmiały się szyderstwem; znać było, że niemale o sobie i ważności swęj miał mniemanie. Zobaczywszy idących, uderzył po plecach woźnicę, i kazał wstrzymać. Sam powoli wysiadł, i nierychło uchyliwszy czapki, zbliżył się do pana Graby.

— Szanownego sąsiada!—rzekł, wyciągając rękę żyłastą i uśmiechając się niedłwie protektorsko.

— Witam pana!—dość zimno odparł gospodarz.

— Przyjechałem dowiedzieć się—zawołał przybyły—widzieliśmy wczoraj ogień u pana, baliśmy się o dwór i toki: ale, dzięki Bogu, to się tylko, słyszę, wsi kawałek spalił.

— Wolalby, żeby się były toki moje spaliły!

— Żartuje szanowny sąsiad. Chłop sobie da rady; a choć na terażniejszą drożyznę, to kilka tysięcy rubli, jeżeli nie więcej...

— Tak, ale jabym łatwiej zniósł tę szkodę, niż biedni wieśniacy.

— A! już to pan ze swoją filantropią! psujesz nam chamów.

— Chamów? — z podziwieniem powtórzył Graba.

— Chcę mówić chłopów.

Zamilkli. Przybyły z poważną miną szedł sapiąc ku domowi; Graba, zaciąwszy usta, milczał z wyrazem niechęci.

— No, ale my tu mamy o czem ważniejszym myśleć — rzekł pan Samurski, sąsiad przybyły. — Wybory się zbliżają: pan jedzie?

— Ja jadę jak zwyczajnie, bo to obowiązek obywatelski.

— Pan jedzie? — powtórzył jakby niebardzo rad Samurski. — I już zapewne — dodał — kandydatów napatrzonych pan ma?

— Rozumię się. Wybierzemy jak najuczciwszych.

— Bo też, dzięki Bogu, nasze obywatelstwo — rzekł puszczając się sąsiad i poglądając ukosem na Jerzego — z samych uczciwych i godnych ludzi złożone.

— Co daj Boże! — rzekł Graba.

Samurski zaciął wargi.

— No, któż, jak panu się zdaje, na marszałka?

— Marszałkiem — odparł powoli Graba — powinien być najzacniejszy. Marszałek przedstawia najoświeceniszą część ludności: szlachtę; wybierzemy, a przynajmniej wybrać powinniśmy co mamy najlepszego, najgodniejszego, czem pochłubić się można. Przedstawiciel szlachty, mający między obowiązkami jeden z najświętszych, to jest wglądanie w stosunki dziedziców ziemi a włościan, winien być człowiekiem nie tylko godnym takiej misji, ale ochotnym do spełnienia jej sumiennego.

— Tak, żeby policji nie dał nam jeździć po nosie — rzekł przybyły.

— A daleko więcej, żeby ludzi uciskać nie dał.

— Nadewszystko obywateli — podchwycił Samurski.

— Nadewszystko wieśniaków — odparł Graba. Obywatele ucisnąć się niełatwo dadzą, i mają tyle sposobów bronienia się; wieśniak żadnego, prócz rozpaczki, do której przywołując go, ściągamy na siebie najstraszniejszą odpowiedzialność, bo grozimy wywrotem porządkowi społecznemu.

— Tak! tak! tak! tak! — pykał krzywiąc się Samurski — ale pan wyznasz, że tu nie o lud chodzi, ale o nas najwięcej. Marszałek trzeba żeby był i bogaty reprezentował powiat.

— Jakto pan rozumiesz.

— A już cię przyjmę kiedy potrzeba.

— Butelkami i półmiskami! — śmiejąc się, rzekł Graba.

— No, a i to potrzebne.

— Najmniej, kochany panie.

— Mniejsza o to: nie ma się o co sprzeczać. No, ale kogoż obierzemy? bo nie taję, że radbym wiedzieć myśl pańską i za kim pójdą głosy: a mam w tém pewne powody.

— Przyznam się panu, że dotąd nie wiem kogo by wybrać należało, i nie myślałem o tém: a rzecz wymaga namysłu.

— Co tu myśleć? — przerwał Samurski. — Tu, ot, gotowiuteńki kandydat, pan Paliwoda z Konopiatęj.

— Pan Paliwoda! ha! ha!

— Cóż pan masz przeciwko niemu?

— Nic za nim, kochany sąsiedzie.

— Jakto! bogaty, *honestus*, potrafi honor powiatu utrzymać, a broń Boże sprawy, da się i policji we znaki, bo i gubernatora zna dobrze, na balach u niego bywał, i nawet w stolicy ma swoje stosunki.

— Toż to są powody do wyboru pana Paliwody?

— Zresztą, cóż pan chcesz, uczciwy człowiek.

— Jak pan to rozumiesz? — spytał nagle Graba. Samurski się zaczerwienił.

— A któż powie że nieuczciwy?

— Poczekajmy, sąsiedzie. Najprzód okreśmy, z łaski swojej, co rozumiesz przez uczciwego człowieka?

— Już cię, proszę pana — perzając się zawołał tłusty jegomości — każdy to wie.

— A mnie się zdaje, że nie.

— Uczciwy człowiek, honorowy człowiek, zacny człowiek, rozumie się to wszystko jedno; szelmowstwa żadnego nie zrobił.

— Czyż to dosyć, żeby się nazywać uczciwym?

— No, a jak Boga kocham, tak ja pana nie rozumiem.

— Posłuchaj więc dwa słowa: uczciwym człowiekiem niekoniecznie jest ten, co złego nie robi, ale taki, co czyni jeszcze dobre, do którego jest obowiązany.

— No, ale co pan ma przeciw panu Paliwodzie, bo pan wie, że jesteście krewni?

— Wiem, że panowie jesteście krewni — spokojnie odparł Graba — i nie mam osobiście nic przeciwko Paliwodzie; ale żeby go obrać marszałkiem, nie zdaje mi się.

— Ale, proszę pana, dlaczegoż to? — coraz dumniej i natarczywiej zawołał Samurski, stając w miejscu i zakładając rękę za kamizelkę.

— Czy żądasz pan odemnie całej i sumiennej prawdy? Bądź pan pewien, że ją powiem.

— Już cię, należy się wytłumaczyć.

— Najchętniej. Paliwoda uczciwym człowiekiem może być, ale dotąd jednak nie starał się, żeby sobie to imię pozyskać. Z matką, poczciwą i starą kobietą, którą szanować powinien, żyje źle i daje zły przykład; o niczem nie myśli, tylko o rozpucie, kartach i hulance, to powtóre; po trzecie, wiem pewno, że marszałkowałby przez sekretarza, co jest sposobem urzędowania najniegodziwszym.

Zdawało się, że pan Samurski dostanie uderzenia krwi do głowy, tak na wyrazy Graby poczerwienił, zaperzył się i naszozył. W początku słowa nie mógł wyjąknąć, aż nareszcie, narzucawszy się i nazłościwszy w sobie, począł niezmiernie szybko, bijąc się ręką w piersi:

— Proszę pana! proszę pana! prawdziwie to jest nie do zniesienia! Pan mnie krewnemu mówisz...

— Mówię prawdę, której chciałeś.

— Ale, najprzód, co to do kogo należy jak on z matką?

— Jak skoro wszyscy jego postępowanie widzą, do wszystkich ono należy.

— To familijna rzecz.

— Dajmy na to.

— No! a co się tyczy życia jego, albotto nie wszyscy przehulać muszą młodość? Cóżto, charakter jego plami, czy co?

— Plami, panie sąsiedzie.

— Co! karty, hulanka i dziewczęta? o! coto panie za straszne winy! No! a na cóż człowiek młody?

— Że nie dla kart i hulanki, to pewna.

— Albo on przez to nie może być dobrym marszałkiem?

— Nietylko marszałkiem dobrym, ale niczem dobrem być nie może z temi nałogami.

— Prawdziwie! — zawołał wściekając się Samurski — to jest osobistość, to chyba nienawiść!

— Owszem, panie sąsiedzie, Paliwoda mnie bardzo obchodzi, i właśnie że ma, pomimo swoich wad, wielkie jeszcze przymioty, które mi by na drogę

lepszą mógł być sprowadzony. Mówię to panu, bo jako krewny, jesteś obowiązany nie na marszałkowsko, ale do poprawy go prowadzić.

Samurski odwrócił się,

— Hej! Piotr!—zawołał na woźnicę— zajeżdżaj! Nie mam co z panem mówić. Do widzenia!

I zawróciwszy się dość niegrzecznie, szybko siadł do nejtyczanki, rzucił na Grabę pełne gniewu wjeźnienie, i odjechał.

Graba wytrwał spokojny, chłodny, poważny i nisko uklonił się spiesźnie wynoszącemu się panu Samuryskiemu.

— Nieprawdaż— rzekł do Jerzego— że wartoby pojechać do powiatowego miasteczka naszego, gdzie na zjeździe obywatelskim mają się listy wyborców układać i przyszele wybory? Gdyby nie to, że pan się pilno wybierasz od nas podobno, i chcesz do Warszawy uciekać, zaprosiłbym pana z sobą. Poznałbyś pan lepiej wieś i miasteczko prowincjonalne, co nie jest bez korzyści dla ogólnej znajomości świata.

— Z panem chętnie i najchętniej pojechałbym— rzekł Jerzy.

— No! a może wyjazd nie koniecznie tak pilny?

Jerzy się zamyślił i zawahał.

— Jedźmy!— rzekł Graba— jedźmy doprawdy! Ja się jutro wybieram.

— Ale nie jestem wcale przygotowany: wyjechałem od dziada na dzień tylko.

— Poślemy po służącego, i rzeczy.

Jerzy chciał dłużej pozostać w tych stronach, brakło mu tylko powodu: przyjął więc wniosek pana Graby z ochotą, i natychmiast konny posłaniec z karteczką do Stasia pojechał do Turzój-Góry.

— Oprócz nauki, może się i zabawimy— rzekł Graba. — Młody, a w mieście żyć przywykły, nie możesz nie chcieć i nie pożądać zabawy. Jestem pewien, że jakiś wieczór tańczący się ułoży; a kto wie, czy i panna Irena nie spokusi się do miasteczka.

Jerzy nic nie odpowiedział, ale mu serce zabiło gwałtownie.

IX.

Każdy pewnie z czytelników moich zna przynajmniej kilka naszego kraju powiatowych miasteczek. Ten w życiu prowincyi tak niezbędny pierwiastek, z małemi odmianami powierzchowności, wszędzie przedstawia się mniej więcej jednakowo. Brukowane, dylowane lub naiwnie piaseczyste albo błotniste, drewniane, kilką domami murowanemi strojne, z parafialnym kościołem, czasem jednym lub dwoma klasztorami, soborną cerkwią świeżą i piękną, ostrogiem, kaszaczestwem, hauptwachtem, w którym najczęściej bawią się dzieci żydowskie, z rogatką, przy której dwóch żydów z żelaznemi pretami pilnuje w słomianej lub drewnianej budce, żeby się wódka do miasta nie przekradała, zwykle położone nad rzeczką i stawem, obfitujące w żydowstwo; każde powiatowe miasteczko ma przytém traktyer i billard, cukiernią, pocztę i metra muzyki. W każdym téż znajduje się sąd powiatowy, sąd ziemski. Marszałek szlachty, naczelnik, który najczęściej bywa tylko współobywatel, traktyernikiem i nie więcej, kaszaczest, kilku duchownych, kilku nauczycieli szkoły powiatowej, a w ostatku inwalidna komenda, pod zwierzchniemi dowództwem pana horodniczego, kilku czerwono-nosych kwartalnych: stanowią pierwiastki tutejszej społeczności.

Do ważniejszych jeszcze postaci, o których wspomnieć zapomnieliśmy, należą: sekretarz pana marszałka, daleko więcej od marszałka znaczący w kancelaryi, choć marszałek wyżej głowę podnosi na ulicy, lekarz powiatowy, kilku wolnopracujących lekarzy, i t. d., i t. d., bo spis byłby już zadługi.

Tkłem ludności tutejszej są żydzi i mieszczanie, w długich szaraczkowych i granatowych kapotach, wysokich barankowych czapkach, i czarnych za kolana butach z podkówkami, na niedzielę; w koczach i switach a boso, na dni powszednie. Jeden, dwa, dziesięć domów zajezdnych, z których jakiś główny służy za gospodę uprzywilejowaną dostojniejszym; cukiernia, lichy traktyer (w którym obywatele jadają tylko kiedy marszałka nie ma w domu), sklepiki mniej więcej obfite w towar swojski i zagraniczny: oto resursa miasteczka.

Na Boga! zapomnieliśmy, że w wielu jeszcze bywa i... księgarnia. Jestto sklepik sytuowany między dwoma innymi, w których sprzedają z jednej strony podeszwy, z drugiej perkaliki. Naczelnik tego handlu, który w języku pospolitem zowie się nie księgarnią ale „biblioteką,” sprzedaje oprócz książek wyrobu warszawskiego, i inne wyroby warszawskie z nowego srebra, ze skóry i ze słomy, trudni się téż czasem handlem zbożowym; słowem, łąta się jak może: bo książki i tym co je piszą i tym co je sprzedają, na chleb powszedni wystarczyć nie mogą.

W téj bibliotece miejskiej pierwsze miejsca zajmują tłumaczenia powieści p. Sue, tłumaczenia Dumas'a, tłumaczenia Thiers'a (tych nie kupują mieszkańcy miasteczka: do tak surowych nie przywykli pokarmów), i tłumaczenia de Kock'a; w ostatku dwu i trzy-tomikowe romanse i powieści p. Laszkowskiego, Boguckiego i t. p. Czytelnia zawiera oprócz tego dwadzieścia tomików bruxelskiego wydania francuzkich nowości (wyszłych temu lat dziesięć), które dodzierając się powoli, zastępują równie nowemi. Tu *Tajemnice Paryża* dotąd są jeszcze w obiegu. Żydek, mniej więcej roztopny i zręczny, nie czekając przybywających do sklepu, codziennie obchodzi wszystkie domy zajezdne, i częstuje książkami swemi u wszystkich drzwi, pod wszystkimi oknami.

Lecz dajmy pokój biednej księgarni, a wróćmy się do miasteczek naszych, które, pomimo tych ogólnych rysów fizyognomii, nie wyglądają tak jednostajnie, jakbyśmy myśleli. Tu, jak w ludzkich twarzach, długich lub krótkich, szerokich i wąskich, pękatych i brodawkowatych, nosy, usta i oczy zmieniają wyraz i odróżniają od siebie z jednakich pierwiastków złożone oblicza. Nie ma téż dwóch miasteczek całkiem od siebie podobnych, a każde ma jakąś właściwość, choćby to jak w K... miało polegać na pięknym ogródku nad drogą, lub na ruinach zamku, lub na wspaniałym domu zajezdnym, lub na karciecie sześćcio-konnej marszałkowej. W powiatowym miasteczku, o którym mowa, położonem najbliżej Turzój-Góry i Rumianej (na żadnej mapie dotąd znaleźć go nie mogłem), było przecie wszystko to, cośmy wyżej jako części składowe wyliczyli, ale i wiele więcej. Najprzód, miasteczko siedziało na starej sadybie odwiecznego gródka, było całe brukowane, leżało nad rzeką prawie splawną i stawami, któreby były piękne, gdyby ich żydowskie domki i żydowskie brudy nie otaczały; miało ku rozmyślaniu i pociesze starożytników: wały zamczyska odwiecznego, murowaną poważną synagogę z XVI wieku, i stary ratusz z nadłamaną wieżą; oprócz tego cerkiew nową i świeżutką, jak

z pudełka wyjętą, kilka starych kościołów posepnych i szarych, ulic dwie wcale porządnych, na których nawet rozminąć się było można, rynek obszerny, domów drewnianych ze sztachetami białymi i zielonemi dość dużo, a murowanych kilkanaście. W pośrodku, dziesięć zajezdnych domów szerokie i czarne swe otwierały paszcze; rzęd kramów murowanych poglądał oczek tysiącem na przechodniów, i pusty hauptwacht, ozdobiony smuglemi topolami, spoczywał, służąc tymczasowo dzieciom za plac igraszki, a żonie bliźkiego budnika za miejsce wygodne do rozwieszania wypranej bielizny. Naprzeciw niego i tak zwanego dotąd ratusza, w którym sowy i wróble tylko zasiadały, stała najporządniejsza w mieście całem i za najpierwszą uznana gospoda, naturalnie utrzymywana przez żyda, obszerna, wygodna, nawet wykwiutna, bo okiennice miała malowane zielono, żółto i niebiesko, baryery zielono i żółto, a dach czerwono. Położenie czyniło ją nieskończenie powabną, gdyż sklepy i traktyer były niedaleko, cukiernia bardzo blisko, poczta tylko o kilkanaście kroków, sąd powiatowy pod bokiem, sąd ziemski naprzeciw w kamienicy. Przyjezdni więc mieli urozmaicony widok niezmiernie przyjemny: wchodzących i wychodzących z traktyeru, zajeżdżających przed pocztę bryczek, idących na sądy kancelistów, prowadzonych z turny do sądu zbiegów, i pijanych zataczających się przed najślawniejszym szynkiem w miasteczku.

Gospodarz, dostojny Abraham, z długą swą brodą, w czarnym surducie po pięty, używał dokola na mil cztery, a nawet pięć i sześć, nieskazoniej sławy najuczciwszego z gospodarzy; trafiło się bowiem, że stare koperty zapomniane w swym domu, dziurawe miednice i polamane prawidła od butów oddawał właścicielom; a nie brał tylko dwa razy tyle co inni. Malowane okiennice upoważniały go do tego dostatecznie. Pięćdziesiąt rubli srebrem można mu było powierzyć do zmiany bez obawy ich utraty; a za dogodzenie, nie brał tylko po groszu od rubla. Dom Abrahama niedarmo zwał się austeryą, gdy wszystkie inne w mieście tytułowano tylko karczmami poprostu, lub domami zajezdnymi. Dwie latarnie na słupach, zupełnie takie jak przy domu pocztowym stały, nadając mu fizyognomią uroczystą; świece się w nich nigdy nie paliły, równie jak na poczcie: ale w takich latarniach nigdy się świece nie palą. Abraham nie poczuwał się do obowiązku dawania przykładu: czekał i gotów był iść z nim. Abraham nie bez pewnej dumy zwykł był powtarzać każdemu nowemu gościowi, że u niego stali trzej generałowie dywizyi, jeden książe niemiecki (dodał zagraniczny), dwóch zaś powiatowych hrabiów nigdzieby indziej jak do niego zajechać nie mogli: furmani ich nie zniesliby takiego ponizenia, coż dopiero lokaje?

Nigdy bryczka ochlapana błotem, ostawiona słomą i lichymi szkapami ciagniona, z furmanem w siermiedze z kapturem na koziołku, nie śmiała przejechać wysokiego progu gospody. Same karety tylko, koczki, koczo-karety i kryte (na resorach) nejtyczanki poważnie się tu wsuwały. Lada hetka-pętka nie śmiałyby się pokusić o nocleg w austeryi, a myszures miejscowy (który miał czapkę axamitną) nie puściłby go na łono Abrahamowe, przeznaczone dla wybranych. Myszures ten (między nawiasami) płacił gospodarzowi za prawo posługiwania w jego domu, kilkadziesiąt rubli, co daje miarę ważności stanowiska.

Z jednej strony sieni ciągnęły się izby gościnne,

z drugiej w mniejszej liczbie także posiadające pokoje, a za nimi billard i rodzaj cukierni, którą miejscowi znawcy przenosili nad patentowaną cukiernię Szwajcara Caricato, mieszczącą się niedaleko na rogu, ozdobną wprawdzie szyldem ogromnym, malowanym w puszkach lodów, torty, obwarzanki i czekoladnice; zawieszoną wewnątrz historią Wilhelma Tella i Atalii, ale niższą pod względem rumu i kombinacji z niego wypływających.

Abraham mieścił się z rodziną swą tuż przy billardzie i cukierni. Żydo był niepospolicie dumny, dość nawet czasem dla przybywających nejtyczanką niegrzeczny, z panami trochę hardy, w obliczu pospolitej szlachty nadymający się nieznośnie; ale właściciel takiego domu, jak nie mógł wbić się w pychę?

Bogaty, wzięty, faktor większej części obywateli, często pożyczający im pieniędzy lub ułatwiający pożyczkę, był najlepiej świadomym historyi całego powiatu, i znał interesa wszystkich swych klientów z dokładnością księgi hipotecznej. To nawet, co w żadną księgę wchodzić nie zwykło, a wielce na stan interesów wpływa: charaktery, obyczaje, skłonności, tajemne sprawy i nalogi, czytał jak z książki. Pamiętniki Abrahama byłyby bez wątpienia najlepszą kroniką powiatu, ale niestety! on ich pisać nie myślał, i księga rachunków była jedynym jego dziełem w tym rodzaju.

Trafiamy do miasteczka w chmurny wieczór późnej jesieni: niebo osłania się zewsząd sinemi zimnych tonów oblokami, wiatr przechadza się po opustoszałym rynku, w kościołach odzywają się dzwonki wieczorne, a jedna za drugą tocząca się po bruku bryczki, koczki, nejtyczanki, wózki, oznajmują ruchem niezwykłym jakąś ważną w życiu miasteczka epokę.

Cukiernia wspaniale oświetlona czterema świecami łojowemi; traktyer wywiesił czerwoną latarnię, której jeden bok zalepiono sinym od cukru papierem; u drzwi zajezdnych domów krzyczą pilni myszuresowie, zapraszając podróżnych; słychać klótnie i przekleństwa na rynku między żydkami z zajezdnych domów, furmani palą z batów zamaszyscie, dom Abrahama jaśnieje wszystkimi oknami swemi; nawet wielka brama, jeszcze stojąca otworem, a pełna światła, zajęcia stajni zwiastuje. W innych karczmach miasteczka ten sam ruch przybywających, przybyłych, mieszczących się, poznających, witających, krzyczących żydków, tłoczących furmanów, dzwoniących koni, zatraskiwanych drzwi. Wśród tego gwaru, fałszywy głosik szejnekatarynki wygrywa co pięć minut pierwszą część walca, przypisywanego z kolei to Beethovenowi, to Schubertowi, którego z pewnością ani jeden ani drugi nie składał. Na twardym, oschłym bruku miasteczka kłapią pantofle i stukają buty uwijających się żydów, i brzęczą rygle kramików, otwieranych z niezwykłym pospiechem, pomimo spóźnionej pory.

Nigdzie lepiej nie potrafimy się dowiedzieć o tem, co się dzieje w miasteczku, jak u Abrahama. Tu, w izbie billardowej, zamiast zwykłego towarzystwa, złożonego z kancelistów sądu ziemskiego i powiatowego, opowiadających sobie dzienne figle wyrządzone szlachcie przybyłej za interesami, zasiadli dostojni goście, tylko co ze wsi tłumem przybyli.

Na czele ich, jeżeli nie głową i urzędem, to ogromnym żołądkiem, jaśnieje niegdyś dziedzic trzech wiosek, dziś posiadacz małej tylko części odłużonej, pan Jeremiasz Petryłło, z sumiastym wąsem,

blyszczącą łysiną, pałacy tytuń z długiego cybucha, i popijający szklanke herbaty, rumem zalanej. Niekiedy pokręci wasa lub klapnie się po brzuchu, i mruknie coś niezrozumiałego. Dobre człowieczyśko, ale jak wszystkim dobrym sobie ludziom, i jemu w końcu zaczyna być niebardzo dobrze na świecie i z nim nie ciekawie.

Trzy wioski poszły z dymem fajki za hulanką, a gdy z nich została tylko cząstka maleńka, Petrylło jeszcze całkiem nie stracił humoru, i jakto u nas mówią, rozum i fantazyi. Straciło się: cóż robić? Ludzie go kochają, troska czasem mu poorze czoło na chwilę. bo dwoje dzieci zostawi tak jak bez chleba: ale małożto ludzi bez chleba na świecie? Trzeba się pocieszać jak można: w szklance topi się pamięć wszystkiego, na dzień jej złościem toną smutki. Za młodu służył Petrylło wojskowo; nigdzie jak w wojsku zlego i dobrego nauczyć się nie można: wychodzą ztąd i najzawołani gospodarze i najteżsi próżniacy. Trafiło się, że Petrylło wyszedł ztąd z namiętnościami podbudzonymi, a po śmierci ojca, gdy mu się fortunka dostała, puścił ją wesolo i prędko.

Zona, potulna kobięcina, nie śmiała się nigdy sprzeciwić poczciwemu mężowi, który dla niej miał tylko jedną wadę: że był straszny balamut, kobięciarz, i domu nie lubił, chyba gdy w nim gości przyjmował. Ona wszystko mu przebaczała, bo go kochała. Nie sama też rozpusta i nierząd zjadły majątność: wzięła jej cząstkę nierozważna jałmużna i prawdziwie dobre uczynki. Bóg tylko mógł policzyć czego w życiu Petrylly więcej było: zlego czy dobrego?

Za nim suchy, prosty, chudy, czarny, z wąsikami tylko na twarzy ogorzalęj, siedzi pan Tyburcy Kaletyński, szlachcic co z pięćdziesięciu tysięcy dorobił się fortunki dziś liczącej na krocie. Ożeniwszy się z majątną panienką, której lata i fizyognomia spokojnym go czyniły o przyszłość w zawodzie małżeńskim, pracował, pracuje, i grosz do grosza składając, skromnie żyjąc, nikomu nie czyniąc, wychodzi powoli napodpanka. Prawda, że pożał się Boże być jego poddanym, lepiej koniem lub psem, bo te karmi i szanuje, a ludzi nie szczędzi; ale za to co gotówki, ile stért, jakie zapasy! Wszyscy mówią: nie ma lepszego gospodarza nad Kaletyńskiego, to wzór dla wszystkich! Prawda, że sumienia niewiele, ale pieniędzy ma dosyć: a pieniądze u nas, to grunt. Kaletyński niewiele mówi, uśmiecha się szydersko, ponieważ wie, że mu potakiwać będą, a w każdej okoliczności o grosz każdy targuje się zajadle i bez wstydu. Co się tyczy ubogich, tych ma wszystkich w ogólności za skrytych bogaczy, którzy zebraż tylko przez chciwość, leniwość i chytrość, dając ukradkiem kapitały na procenta. Ile razy pod jego okno przyjdzie ubogi, opowiada zawsze powiastkę o żebraku, który nosił w kiju tysiąc czerwonych złotych. Z tego powodu żadnemu nie daje. Szczęściem jeszcze nie nauczył się axymatu, że nie godzi się, dając jałmużnę, sprzeciwić woli Bożej, boby go pewnie używał.

Trzeci z rzędu, pan Ogolewicz, znany tylko z namiętności do kart, którym życie poświęcił, wesoly a głupi, pewien siebie nie wiedzieć na mocy czego, zbudowany na herkulesa, krzyczący głośno, gotów do bójk, do konia, do kieliszka: typem jest nadto znajomym, żeby go warto opisywać. Każdy powiat ma swego Ogolewicza: *mutatis mutandis*.

Dalej, w szarzej kapocie, z podstrzyżoną krótko siwą głową, bladą twarzą, podżyły już staruszek, sączący po kropelce w milczeniu herbatę przed nim

postawioną, chrząkając niekiedy, lub jeżeli się uda głos zabierając z powagą, deklamuje nieskończenie długo, ze szczególnym doborem wyrazów, a niewielką logiką. Jestto dosyć majątny obywatel, który całe życie starał się i stara ożenić, na poszukiwaniu tém mozolnem tracąc lata, a tysiącem zawodów stetryczały, skwaśniały, zdziczony; jeżeli mu się nadzieja uśmiechnie, wesół do dzieciństwa i wymieniony gaduła. Zowią go w powiecie kawalerem *per excellentiam*: jestto pan M. Rzeżycki.

Przy nim młody jego krewny, z Berlina niedawno wracający, Paweł-Chryzostom Rzeżycki, dopala cygaro z gracyą zupełnie cudzoziemską, zdumionym parafianom okazując niesłychanej długości kamizelkę, a nadwyzczaj krótki surducik. Cały czas przeznaczony na naukę za granicą przehulał; mimo to coś mu się z lekeyj, rozmów i dorywczwo czytanych książek w głowie płacze: plecie więc androny, zwłaszcza gdy trafi na nieuków, między którymi za bardzo mądrego uchodzi. W inném towarzystwie, posępny i mileczący, dowodzi, że nie tak jest głupi, jak się zdaje. Próżnowanie jest w nim pierwszą namiętnością.

Obok z pokorą przysiadł się poczciwy i nieoszacowany Cyncyrankiewicz, człowiek nieświadomego pochodzenia, całego powiatu najniższy sługa, pieczeniaryz i przyjaciel domu wszystkich, u których dobrze i oficie najeść się można. Cyncyrankiewicz siada chętnie do małego preferansa, do wista po trzy grosze i do djabelka po dwa złote (gdy trochę podpije), nadewszystko zaś do stołu w sali jadalnej z największą ochotą. W oczy chwali wszystkich nadwyzczaj, w cudzym domu ogaduje zręcznie i życiżliwie, to jest z ubolewaniem, z kiwaniem głową i westchnieniami. Zapotrzebowany, potakuje wszystkim i bez wyjątku, a wiele mając talentów, gotów grać na fortepianie mazura całą noc, stroić instrument (fortepiano), ujeżdżać konie, pilnować strzyży owiec, rysować deseniki paniąkom, przepisywać przepisy kucharskie, nawet umizgać się zajadle do starych panien.

Nie probowano dotąd, czy umie także czyścić buty, ale wnosząc z jego własnego obuwia, zdaje się, że i ten talent nie jest mu obcym, i że głęboką posiada wiadomość natury i użycia szuwaku. Według wszelkiego podobieństwa, życzyłby sobie ożenić się z kimkolwiek, byle bogato; ale oczekuje na jaki przypadek, w którymby osobą swoją mógł zasłonić kogo i poświęcić się.

Ma odłużoną cząstkę w jednej wsi, którą dostał z exdywizyi: ta od lat dziesięciu zostaje w administracyi; posiada także trzy konie, z których jeden ślepy oczywiście, drugi tajemnie, ostatni pada na nogę, ale niewyraźnie; furmana, który mu służy razem za lokaja, fajkę piankową obszytą w rękawiczkę cerowaną, strzelbę dwururną i szkatułkę pełną tajemnic.

Nigdy nie je i nie pije za swój grosz, ale też jeżdżąc i pijąc za cudzy, pełen jest przyjemności, i wezwany na świadectwo, nigdy się z niem nie droży. Cyncyrankiewicza wszyscy popychają, on wszystkim się kłania, wszystkich ścisca, i wypchnięty drzwiami, powraca niespodzianie oknem, bez gniewu, bez zólici: takato poczciwa natura.

Na wysunionem pod piec krzesła rozsiadł się, nogę pod siebie podłożywszy (zwyczaj to wschodni: któż nie wie, że pochodzimy ze Wschodu? może służyć za dowód genealogii), rozsiadł się pan marszałek, głowa powiatu. Od niego nieopodal stoi nieodłączny sekretarz Szerepetka, otyły, czarno

zarastający, ogromnego wzrostu mężczyzna, z wielkim pierścieniem na palcu, w wice-mundurze zielonym ze sprzączką za piętnasto-letnią służbę. Marszałek, otyły także, w surducie czarnym przyzwocie wytartym, mówi bardzo głośno, czego by i pocichu mówić nie warto.

Dobro to także czelczyisko, a jeszcze by był lepszy, gdyby pieniędzy nie lubił nadewszystko. Gotów on nawet dobrze zrobić, byleby mu się to choć trochę wypłaciło: bo krom własnego interesu, nie może nic pojąć i zrozumieć. Obejść się bez sekretarza nie potrafi na chwilę, gdyż rozum jego jest tego rodzaju, że mu tylko służy do spraw kieszeniowych; więcej do niczego się nie zdał. Głowa jego, którą dla formy tylko nosi na karku, pełna płaskich konceptów, żarcików, tłustek i gadek, dwóch myśli poważniejszych sprzeda nigdy nie potrafiła. Żąd niezbedna potrzeba sekretarza wszędzie i zawsze, oprócz do kontraktów z żydami, bo tu marszałek da sobie sam radę. Jeżeli zaś wypadnie interes jaki z urzędu lub opieki, marszałek nigdy się nawet o rozwiązanie jego nie kusi i z wleka dopóty z odpowiedzią, dopóki nie nadejdzie pan sekretarz: przy nim dopiero nowa rozpoczyna się rozmowa, a jeden z umówionych trzech znaków zręcznie dany, kieruje przyrzeczeniem pomyślnego skutku, odmową zupełną lub odroczeniem interesu na czas dalszy. Jeżeli sekretarz głową potrząśnie, naprózno by obywatel dowodził, że jego majątek nieprawnie i niesprawiedliwie zostaje w administracji; jeżeli schyli ją na pierś, marszałek cieszy się, że sprawę tę może natychmiast pomyślnie rozwiązać; jeżeli ręce złoży na żołądku, odkłada ją do namyślenia. Przymiennie zwykle wypada konieczna potrzeba, aby interesant rozmówił się na osobności z panem sekretarzem. Nie wiem z jakiego powodu sekretarz tak zwykł już był do składania rąk na żołądku, że je prawie ciągle na nim trzymał. Przypisywano to w miasteczku obawie cholery, i potrzebie ogrzania tak ważnego organu życia.

Oprócz wymienionych znajdujemy tu jeszcze Kapitana z Korzyłówki, którego już znamy dawniej nieco, zawsze ubranego niepozornie, brzydkim tytunem swym zapowietrzającego pokój, a ukłonami i uściskami obdzielającego wszystkich dokoła nadzwyczaj hojnie; pana Samurskiego, głośno rozprawiającego, z miną raczej żołnierza niż dyplomaty, i młodego Paliwodę, który stara się zasiąść dostojne krzesło marszałkowskie, lechząc jeżeli nie czem innem, to otwartym stołem i nadzieją trzechletnich traktamentów panów wyborców.

Trzebaż nam wspomnieć i o Paliwodzie: typ to bowiem pospolity i charakterystyczny u nas, jakże go nie przedstawić czytelnikom ze szczególną troskliwością? Wysoki, jasno-blondyn, zdrow, krzepki i silny, rysy twarzy miałby piękne, gdyby ich dobrowolnie nie szpecił najdziwniejszymi minami, dowodził mającemi teżyżny. Raz przymruża oczy, oddymując dolną wargę, to znów otwiera je, bez miary wznosząc górną; czasem połową tylko mruga, gdy druga zostaje spokojną, lub chmurzy i podnosi brwi, jakby je kto pociągał sznurkami. Ręce, nogi, głowa, ramiona, wszystkie części ciała są u niego w ruchu gwałtownym bez najmniejszej przyczyny; nigdy nie stanie naturalnie, nie usiadzie spokojnie, nie podejdzie po ludzku; stojąc kołysze się aż strach żeby nie upadł; siadając pada i wywraca się w krzesło; idąc skacze, wykręca się i konwulsyjnie rozpręga. Tak nawet nie robiąc, prowadzi życie bardzo czynne.

Długi wąs białawy spada mu na wygoloną twarz, włos na głowie wcześniej podłysiał, resztę zarzuca na tył. Nosi zwykle krótką lisiurkę lub kozaczkę, w zimie podbitą najzwyczajniej prostym kozuszkim; szarawary ogromnie szerokie skórą wyszywane, pasek kaukazki srebrem nabijany, a na szyi chusteczkę jasno-ponsovą lub niebieską, zawiązaną niedbale. Na piątym palcu ręki połyska małe pierścienek. Piękny wyżeł siedzi u jego kolan, potrząsając obrozą brązową; młodzież go otacza; on rozprawa o swoich siwkach, których cuda opowiada z tą pewnością siebie, jaką daje siła pięści, młodość i pieniądze.

Byłby śmiesznym, gdyby straszonym nie był; tymczasem choćby kto i rad pośmiać się z niego lub zaprzeczyć dziejów koni, psa i dubeltówki, nie odważy się, bojąc się kulaka, szabli, pistoletów i wszystkich następności, jakie za sobą pociągnąć może zaczepek Paliwody.

Paliwodzie, pomimo wad charakteru, a raczej wychowania, szlachetności, dobrego serca, uczciwości nawet, nikt zaprzeczyć nie może; jednakże codziennie robi srogie głupstwa, które często na charakter jego cież rzucają. Z matką, najlepszą kobietą, poróżnił się z poduszeczenia towarzyszków, powiedziawszy sobie, gdy mu puste jego życie wymawiała:—At! coto tam te baby rozumieją!

Odtąd, chociaż się już nie widuje ze słusznymi obrażoną matką, zachowuje dla niej należne względy, i pamięta zdaleka o wszystkich jej potrzebach.

Pomimo szlachetności, zdarza mu się przez brak zastanowienia nie dotrzymać słowa żydowi. — Co tam żyd! pijawka! alboto on nie obdziera nas? — woła, tłumacząc się sam przed sobą: a nie widzi, że czarność żyda nie wymawia weale własnego zasmolenia się.

Lekkomyślność i zamilowanie próżniactwa wszystkich wad jego są źródłem. Z młodu nienawykły widzieć na czele wszystkiego obowiązków, teraz dojrzeć ich nie umie za przyjemnościami życia; pierwszą a najważniejszą dla niego rzeczą jest: użyć. I ileżto jest podobnych w różnych klasach i różnych stronach ludzi, którzy zdają się, wątpiąc o wszelkiej przyszłości, dzień tylko dzisiejszy ze wszelkiego wyciskać dla siebie.

Paliwoda nie ma żadnego zatrudnienia poważniejszego: poluje, gra w karty, pije choćby o zakład, szuka łatwych umizgów, unika towarzystw dla których frak i białe rękawiczki włożyć potrzeba, strzela do celu i jeździ konno, lubi gawędę swobodną i t. d.; sam jeden pozostawszy, nudzi się. Jeżeli co, to to daje miarę człowiekowi: kto sam sobie zostawiony nudzi się, ten nie ma podstawy w sobie, i prędzej czy później zmuszony osamotnić, puści się w brzydkie nałogi, ażeby siebie uniknąć. Będzie się podważał pijaństwem, lub odurzał rozpustą.

Tymczasem, gdy złotku brzęczącemu jeszcze w sakiewce, echem odpowiada głos przyjaciół Paliwody, bardzo mu z tem życiem dobrze. Nie ma dnia żeby nie miał chętnego towarzystwa do zabawy.

Dzisiaj właśnie grono przyjaciół mniemanych poważnie, ale wrzawliwie, naradza się o przyszłym marszałkowstwie Paliwody. Niekiedy z gwaru wysforuje się głos potężny, dobitnie przekonywający o potrzebie jakiego kroku; to znów monolog zastępuje polylogia okropna.

Samurski, głowa sojuszu, szepce pocichu kandydatowi rady, i opowiada mu do ucha odwiedzin swe, u pana Graby. Młodzież przysuwa się i podслушуje ciekawie.

— Zobaczymy! — wołają niektórzy śmielsi — niechno się raz pokaże, damy mu porządną naukę!

— Dajcie mu pokój, nie zaszeptajcie lepiej — odparł zadumany Paliwoda.

— Coto lepiej nie zaczepiać? jakto! — zawołał z boku młodzik z czarnym wąsem. — Co? lepiej sobie dać jeździć po nosie? Co? jakiś stary partola będzie ci prawil kazania i morały, a ty mu się będziesz jeszcze za to kłaniał? Nie! nie! chce nauki, to ją będzie miał!

— Zwolna, zwolna, panie Józefie! nie gorączkuj się, bo się poderwiesz! — rzekł Paliwoda. — Jak go zobaczysz, zaręczam ci, że ostygniesz. Ja się nie gniewam za to co mówił, bo może i miał słusność, a zaczepiać go, jak cię szczerze Kocham, niezdrowo.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

I głośniejsza rozmowa znowu przeszła w szepty, wykrzykniki i mrużenia.

Koniuszy Sumin, który z innemi przybył także do miasteczka, więcej dla dowiedzenia się o handlu zbożowym niż dla narady wyborczej, przez oszczędność zajął kwatery lichą i smrodliwą, ale tanią, w domu żydowskim krewnych swego arendarza, i nie znajdował się na przygotowanym zgromadzeniu u Abrahama. Nie było też ani Grabów, ani młodego Sumina, bo ci tylko co wysiedli, i nie mieli jeszcze czasu wyjść do miasteczka, rozpakowując się i spoczywając po drodze.

Tymczasem ponad billardem żywe toczyły się rozmowy, których głównym przedmiotem był wybór pana marszałka. Stary marszałek chciał bardzo i nadal się utrzymać; Paliwoda i inni usiłowali go zastąpić, nie przestając jednak zapewniać, że podtrzymać go będą. Cicha partya prowadziła pana Kaletyńskiego, który widząc w marszałkowstwie wiele zysków przyszłych na podradach, bezkarności w wielu potrzebnych mu nadużyciach, rozrachowawszy zyski i straty, choć wahał się jeszcze, przyjąłby może przez wzgląd na *serca obywatelskie* (termin właściwy) i urzędowe ciężary, i tytuł, i korzyści marszałkowskie.

Wielu, jak Kapitan, przez skrytość charakteru właściwą, Cyncyrankiewicz przez dworstwo, do którego nawykł, nie dawali po sobie poznać komu swoje głosy przyrzekli. Cyncyrankiewicz bacznie oglądał u kogo obiady mogłyby być najsmaczniejsze i najobfitsze, gdyby został naczelnikiem powiatu, nie chcąc się przytem nikomu narazić, bo czuł, że najgorszy obiad lepszy jest od zupełnego głodu; w nikim więc nie chciał mieć nieprzyjaciela. Przytomność marszałka siedzącego pod piecem, nie dozwalała ani stronnictwu Paliwody, ani innym głośno się naradzić; lecz jak tylko marszałek z sekretarzem wynieśli się za drzwi, coraz głośniejsze rozprawy słyszeć się dały.

Kapitan długo podumawszy, wyczyścił wreszcie fajkę bardzo porządną, aż do dna jej przy świecy zajrzawszy, wydmuchnął ją, wyskrobał szczypcami od łojowej świecy (nie był wcale wybrednym w wyborze środków), zawiązał szczerlnie kapiuch i obmotawszy go koło guzika, po namyśle skierował się ku stronnictwu, które nie łącząc się do przyjaściół Paliwody, naradzało się w kącie pocichu. Policzwszy osoby oczyma, zastanowiwszy się jeszcze nieco, pokorny Kapitan wetknął powoli nosa między naradzających się, a upatrzawszy chwilę potem, cichutko, pokornutko począł w te słowa:

— Za pozwoleniem panów dobrodziejów!

— Al i pan Kapitan z nami — odezwał się pan

Cyncyrankiewicz, który rad był liczyć się za coś. — Mowa o przyszłym marszałku.

— Tak jest — odparł ktoś z boku.

— Pozwolicie mi panowie podać sobie myśl jedną? — spytał Kapitan.

— Choćby dwie! — rzekł, śmiejąc się mocno i trzęsąc brzuchem, tak rad był swemu konceptowi pocziwy pan Petryllo.

— Ale to, między nami — dodał Kapitan ciszej jeszcze i oglądając się bacznie, a wciskając do środka koła — niech o tém ludzie nie wiedzą, że to odemnie poszło.

— No! no! strzelaj Kapitanie, strzelaj a śmiało!

— Ot, krótko a węzłowato. Czemubyśmy za kandydata wziąć sobie nie mieli pana Koniuszego Sumina.

— Co panu w głowie!

— Co w głowie? — powtórzył obrażony Kapitan, prostując się — posłuchajcie tylko!

— Słuchamy.

— Stary, majetny, swobodny, czemużby to nie mógł jak drudzy powiatowi i współobywatelom posłużyć? Kucharza ma dobrego to wiem, a jeżeli i nie ma takiego jak dla marszałka przystało, bo marszałek stoi na sekretarzu i na kucharzu, to go mieć bardzo może. Sekretarz będzie za niego robił wszystko, jak i za drugiego, kucharz będzie gotował, bo jest z czego i za co; a człowiek skrupulatny, uczciwy, magazynowych i innych naszych groszy nie ruszy, to pewna, i wziąć nie da.

— Doprawdy, to niezła myśl — rzekł Petryllo. — Mógłby naprzykład we dnie niepocztowe sprawić polowania dla całego powiatu, ze śniadaniem i szampanem!

Wszyscy się w głos rozśmieli; Kapitan nie ustąpił.

— No, no, śmiecie się, śmiecie! Śmiech śmiechem, ale ja nie widzę dobrej racyi, dla którejbyśmy nie mieli o tém pomyśleć.

— To domator! — odezwał się jeden.

— To starzec! — dodał drugi.

— I nudziarz, gdera! — rzekł trzeci.

— Ale człowiek uczciwy i bogaty! — przerwał ktoś inny.

— I zwierzyzna u niego *non plus ultra!* — szepnęła zcicha Cyncyrankiewicz. — Sarny ze stołu nie zchodzą.

— I wino stare S. S. S. — dorzucił Petryllo powoli. — Prawda, że go żałuje, ale jakby go *unanimitate* wyniosło obywatelstwo na pierwsze dostojęstwo powiatu, kto wie, kluczem od serca dobralibyśmy się i do lochu.

— To wiem — gorąco począł Kapitan, rozpalając się — że niczego by nie pożałował: ale z tém cicho! Jakby się dowiedział o projekcie, wcześniejby zaprotestował: a więc język za zębami: zobaczymy dopiero w gubernjskim mieście. Ja obowiązuję się wnieść go na kandydata. Cała rzecz, żebyśmy pocichu mogli wszystkich przekonać, że najlepiej wybrać Koniuszego. Teraźniejszemu szanownemu marszałkowi naszemu, którego Kocham i poważam...

— Szacuję i miłuję! — dodał Cyncyrankiewicz, nie omieszkując wtąpić swego wyznania wiary.

— Dystyluję i preparuję — sparodyował pocichu Paliwoda.

— Którego poważam! — kończył Kapitan — uznajcie panowie sami, że czas odpocząć. Nie ujmuję zawnemu Paliwodzie... (Stał z boku niewidziany).

— Najzacniejszy z ludzi, młodzieniec pełen nadziei — rzekł poważnie Cyncyrankiewicz — i *honestus*, choć o północy, stół nakryty.

— No! ale Paliwoda — mówił Kapitan — może na marszałkowskość poczekać. Koniuszy dobry człowiek.

— Najgodniejszy z ludzi! — wtorował ciągle pieczeniarsz.

— Koniuszy dostojny, poważny, godny, godnie przedstawi powiat, ani słowa...

— Jako głodnie? — spytał niespokojny Cyncyrankiewicz niedosłyszawszy, a wszyscy, nie wyjmując Kapitana, do rozpuku śmiać się zaczęli i śmiejąc rozeszli. Cyncyrankiewicz sam także chichocząc udał się do pijących herbatę, w nadziei przypytania się do zdala ujrzaną szklanki, która dotąd była beznamiętna.

Nowa myśl, rzucona przez Kapitana, poszła natychmiast między ludzi, a sprawca jej chyłkiem wyniósł się z gospody Abrahama, uśmiechając się do siebie.

Obok domu Abrahama, w murowanej kamienicy Icka, jednej z najpokaźniejszych w miasteczku, nazajutrz rano widać było kilku sług ugalowanych, w granatowych frakach, uwijających się od drzwi do drzwi. Piękna karetka wiedeńska jeszcze obwieśzona pakami i paczkami, dowodzącemi, że nią przyjechały kobiety, stała w sieniach, a żwawe żywe służące, rozmawiając z mężką służbą, co chwila wybiegały po coś do powozu.

— Janie! — wołała jedna — wody dla pani!

— Pawle! — wybiegłszy krzyczała druga — kaszka dla pani czy gotowa?

— Zielonej herbaty dla pani! — odzywała się trzecia.

— Janie! z okna wieje: potrzeba zabić dywanem — dodała pierwsza, w chwilę potem wylatując pospiesznie z pokoju.

Na kuchni, w sieniach, kucharz w białym fartuchu i dwóch kuchtów w spencerkach gotowali, smażyli, krzątali się, i pracowali już, choć ledwie była dziewiąta.

W pokojach od ulicy, przybranych starannie, powybijanych dywanami, wykadzonych, ozdobionych mnóstwem fraszek niepotrzebnych, bez których wszakże kobiety dobrego wychowania obejść się nie mogą: zapach żydom właściwy ustąpił przed wytwornym kadzidłem, sprzęty miejscowe tak zręcznie poprzykrywano, pozostawiano, że choć żydowskie, uchodziły. Widać było z tego wszystkiego, że „jakaś wielka pani,“ według definicji żydowskiej, przybyła do powiatowego miasteczka, zapewne w nadziei zabaw, które młodzież przygotowała, korzystając ze zjazdu. Dwór tej wielkiej pani zajmował drogo najętą drugą domową połowę, i w domu całym nikt więcej, prócz przekradających się się pocichu gospodarzy, zepchniętych gdzieś do kąta, nie wstąpił już za próg.

O dziewiątej rano otwarte były okiennice, i służące latały jedna po drugiej za herbatą, po wodę, po kaszkę, po dywan, po Jana i Pawła, dla pani, i do pani, siedzącej w głównym pokoju na kanapie, ostawionej poduszkami, poduszczkami, ze stołeczkiem pod nogami. Stół przed nią obwieszony wzorzystą serwetą, zarzucony był mnóstwem gracików, przeznaczonych na zaspokojenie tysiąca potrzeb mogących się przytrafić. Każda fiaszeczka postawiona była na pewien obmyślony przypadek, każde pudełeczko, często raz w rok nieotwierane, czekało jakiegóż szczególniej niedyspozycyi, na której uleczenie służyło: były chusteczki na różne

chłodu rodzaje, wonie na wszelkie usposobienia, posiłki na różne ckliwości, i t. d.

Pani, w białym tyftykowym szlafroczku, ściągniętym sznurem jedwabnym, w świeżym czepeczku, w popielatych jasnych rękawiczkach na malutkich rączkach, z książką, której nie czytała, rozparta, dumiała w milczeniu. Był to typ znajomy trzydziesto-letniej, mającej więcej niż lat trzydzieści, ale skutkiem usilnych starań, pielęgnowania, dozoru, nie dającej uciec piękności, którąby się już innej mniej baczniej wymknąć potrafiła. Bardzo szczęśliwie piękność tej pani utrzymała się świeżo i w całym dawnym blasku. Lata jej nie zniszczyły, strapienia nie zostawiły na niej śladu; zaledwie usilny badacz zbliżanie się lat niemiłych zwiędnięcia, byłby dostrzegł na twarzy pełnej jeszcze młodocianego wdzięku, w niedostrzeżonych zarysach ukryty z nadzwyczajną sztuką. Miała lat trzydzieści kilka, ale twarz, ale oczy zadawały kłamstwo metryce.

Biała jak kość słoniowa, z lekkim a nie kupionym rumieńcem, z ząbkami jak perelki równemi i błyszczącemi w uśmiechu, z ogromnym kruczej czarność warkoczeń, wydawała się jeszcze młodzieńczą mężatką. Przecięż dwadzieścia kilka lat temu jak szła do ołtarza! Piękne czarne oczy, pokryte długą rzęsą, którą poeta jakiś przyrównał do skrzydła jaskółki, błyszczały życiem, choć wyraz ich, jak całej twarzy, zdradzał chorobliwe usposobienie do tęsknoty, do smutku, choćby bez przyczyny. Przy rumieńcu zdrowia, przy pozorach dostatku i szczęścia, widać było w tej kobiecie wieczne niezadowolenie ze wszystkiego. ciągnęła potrzebę utyskiwania nad losem. Zdawała się szukać powodów tylko do uzalenia, do oplakiwania nieszczęść, które rozdrażniona tworzyła wyobraźnia.

Ta chorobliwa skłonność nietylko że nie ujmowała jej wdzięku, ale może ją milszą jeszcze i pojętniejszą czyniła, dodając jakiegoś nieopisanego uroku. Była jak dziecię pieśczone, któremu z tem do twarzy.

Wprawdzie tak pięknej kobiecie nie mogło z czemkolwiek być niepięknem: nie jej szespeciwy nie potrafiło. Twarz ze wszystkiemi składającemi ją rysy, kibić, nóżkę, rękę, miała zadziwiającej doskonałości kształtów. Naprózno by się silił kto znaleźć w niej coś mniej pięknego, mniej wdzięcznego, nie odpowiadającego całości: nie obawiała się wpatrzona, wyzywała najzuchwalszych krytyków, i widać też było, że piękność ta wysoce się cenila: znała się pięknością, i sama sobie będąc drogą, pieściła się, lubiła troszczyć o siebie: to jej wybitną nadawało cechę.

Obok tak pięknej pani, na niskim stołeczku, wyprostowana, wysnurowana, ale nie tak już piękna, lat piętnastu może dziewczynka, siedziła schyłona nad robotą. Podobna do matki, nie była tak uroczą: wszystko w niej potrosze zmieniła natura, choć ogół rysów był ten sam; kibić nie miała tej giętkości, oczy tego łzawego wejrzenia, ręka tych kształtów wytwornych, nóżka tej małości bajecznej, włosy tak głębokiej czarność, ani obfitości matczynego warkocza. Ale za to pokorny wdzięk dobrego, potulnego, umiającego kochać stworzenia, czynił ją zajmującą i powabną. Robiła pończoszkę, spoglądając na matkę troskliwie, niespokojnie, jakby myśli jej zgadnąć, rozkaz jej uprzedzić chciała. Coraz to czułem, ukradkownem wejrzeniem mierzyła ją z jakąś bojaźnią, i wone wlepiła oczy w robotę, którą zdawała się niezmiernie i wyłącznie

zajętą. Pani wciąż zamysłona, z oczyma wlepionymi w otwartą książkę francuzką, milczała.

Wtém otworzyły się drzwi przedpokoju, i szelst kobiecej jedwabnej sukni oznajmił wchodzącą. Piękna pani zacięła usta, położyła rękę na czole: córka chciała podbiedz, aby natrętnego gościa odprosić; gdy już w progu ukazała się pani Lacka, i gospodyni porwała się z kanapy, rzucając książkę na ziemię, i z wielkim radośnym krzykiem wołając:

— Lasia! Lasia! kochana moja Lasia!

Potém dwie panie uściśniły się tak serdecznie, tak serdecznie, jakby przynajmniej połowa tój serdeczności nie z serca pochodziła (o co je przecież nie posądzam). Córka dygnawszy, poklepana po twarzy, gdyż, mimo lat piętnastu, musiała jeszcze krótką sukienkę, pantaloniki obszywane nosić, i traktowana była jak dziecko, cofnęła się zaraz do drugiego pokoju.

Zmęczona wysiłkiem, podziwieniem i radością, bo cóż nie zmęczy człowieka? piękna pani upadła na kanapę, orzeźwiając się wódką kolońską.

— A! niech odetchnę! tyle radości, takie wzruszenie, widzę cię tak niespodzianie!—zawołała słabym i przerywanym głosem.—*Quelle bonheur, quelle surprise!* Zkądże przybywasz? co tu robisz?

I nim pani Lacka, ze zwykłą sobie obojętnością szyderską, miała czas zebrać się na odpowiedź, już pierwsza, nie doczekawszy się jęj, mówiła sama dalej, wolnym i harmonijnym głosikiem, w którym wiele było przesady:

— Ja wczoraj dopiero przybyłam. Drogi okropne, zabójcze, powietrze duszące, mieszkanie szkaradne, swęd, czujesz jaki? i ciasnota, i sufity tak niskie, i wszędzie wieje! A moje zdrowie codzieln gorzsel

— Mój Boże! cóżto jest? — spytała przybyła.— Mnie się zdawało, kochana Tereniu, że ty teraz lepiej daleko wyglądasz.

— O! to znużenie zwykle taki na mnie skutek wywiera: trochę gorączki z podróży, dostaję kolorów, zdaje się nawet, że twarz mi nieco zbrzękła i oczy zaczerwieniały się. A piersi! zawsze bolą, zawsze bolą!—dodała, kładąc rękę na nich, potém przynosząc ją na czoło, które pocisnęła, jakby ją głowa bolała.

Obie zamilkły.

— Moje życie—odezwała się po chwili— to niestanny łańcuch cierpienia, łańcuch przykutego do galer: *le boulet est loin de moi, mais je le traîne toujours.*

I znowu ciężkie westchnienie.

— Ale powiedzże mi, kochana Lasiu, co się z tobą dzieje? gdzie jesteś? jak ci się to twoje biedne życie wlecze?

— Ja—odpowiedziała pani Lacka z ironią zwyczajną—ja, zachciałaś Tereniu pytać, żyję. Ty znasz moje życie: w nic nie wierzę, niczego się nie spodziewam, nikogo nie boję, nikogo nie kocham...

— Jakto, Lasiu, nawet mnie?...

— Kocham!—przerwała pani Lacka smutnie, ale z uśmiechem.— Ty wiesz znaczenie tego wyrazu pełnego tajemnic: kocham. Kocham, kobiecie od kobieci znaczy całkiem co innego.

— Zawsze taż sama!—szepnęła piękna pani.

— Zawsze!—powtórzyła pani Lacka—więc i pytać nie ma o co. Ale ty?

— Ja? ja zawsze cierpię, zawsze cierpię.

— Ty masz przynajmniej pociechę w dziecięciu.

— Pociechę lub strapienie. Ukochanego dziecka nie chciał mi oddać; dał mi, dla którego serce moje

nie bije, na które patrzę płacząc wcześniej nad losem oczekującym ją jako kobietę. Co za pociecha!

— Nie jesteś tak sama, tak okrutnie sama jak ja—odparła pani Lacka.

— A! moja Lasiu, jest coś straszniejszego nad osamotnienie: jestto być we dwojgu, a samą, zawsze jedną, niezrozumianą, niepojętą, gdy nas nikt nie chce, nie może, nie umie uczuć i pojąć. *Toujours incomprise, seule toujours!*—dodała, wachając wódkę kolońską.— Całe moje życie tak ubiegło! Ale ty, moja Lasiu, ty — dodała z westchnieniem, z głębi piersi bardzo umiejętnie wydobytém — ty masz towarzyszkę życia, która cię kocha, szacuje, pojmuje, *car enfin on dit beaucoup de bien de mademoiselle Irena.*

Pani Lacka uśmiechnęła się szydersko, zdradziecko, a razem boleśnie.

— *Mais si vous voulez* — odparła, spuszcżając główkę — *c'est une femme modele, c'est un ange, une heroine;* to tylko bieda, że ani ja jęj jak warta ocenić, ani ona mnie pojąć nigdy nie potrafi. *Il y a incompatibilitę d'humeur entre nous.*

— Co mówisz? *Deception!* a ja się tak cieszyłam dla ciebie tym domem, ja myślałam...

— O! zdaleka wszystko tak piękne.

— Ależ cuda o nię mówią.

— Chyba cudactwa, bo to istny cudak *entre nous soit dit.*

— Cóżto jest? coto jest? powiedzże mi wszystko a wszystko, jestem niezmiernie ciekawa; żywo! —zapominając o osłabieniu swojem poczęła piękna Terenia, pochylając się ku pani Lackiej.

— Żeby ci ja odmalowała dostatecznie jedném słowem, powiem ci, że najmilszém jęj towarzysztem jest... pan Hutor-Graba.

Piękna Terenia krzyknęła, odskoczyła jak oparzona, wstrzęsła się, i padła z wyrazem najogromniejszego wzruszenia, zamykając oczy, przyciskając dłoń do serca.

— Teraz może już rozumiesz coto za kobięta? — dodała pani Lacka.

— O! dziwaczka jakaś!

— Excentryczna jak Anglik, nudna jak książka o moralności, zapalona jak Niemiec, kiedy się namyśli zapalić.

— *I ten pan tam bywa?*

— Bardzo często.

— Tyś go widywała?

— Niemal co dni kilka; to nasz najbliższy sąsiad.

Pani Teresa zdawała się przybita tą wiadomością.

— Więc i ty mnie już pewnie potępiasz? — dodała cicho.

— Ja? dlaczego?

— Nie kryj się! mów mi otwarcie! on tak umie zręcznie się tłumaczyć!

— Ale ja go nienawidzę! — zawołała Lasia. — Jestto najnudniejszy dziwak, najdziwniejszy nudziarz, jakiegom w życiu spotkała.

— Szczerze to mówisz? — radośnie spytała, zrywając się znowu z kanapy pani Teresa.

— Możesz wątpić?

— Ciesz się moim twoje wyznanie: to mnie wymawia w oczach własnych; gdyż wyznam ci, nieraz wyrzucalam sobie postępowanie moje, nieraz wątpiałam czy miałam słuszność.

Pani Lacka ruszyła ramionami.

— Ale potrzeba znać moje biedne życie, potrzeba czuć je, jak ja je znam i czuję, żeby mieć litość nademną, a wzgardę zasłużoną dla tego człowieka. Jestto istota najtwardsza, najnielitościwsza, naj-

okrutniejsza. O! nie wiem, czy ci to kiedy opowiadałam?

Pani Lacka, wiedząc jak Teressa lubiła opowiadać o sobie, nie przerwała jej; a ona, wdychając i wdzięcząc się sama do siebie i trochę do wiszącego naprzeciw zwierciadła, tak mówiła dalej:

— Wystaw sobie młode rozpieszczone dziecię, jakim ja byłam, jedynaczkę ukochaną, dostającą się w ręce, w szpony takiego człowieka. Mnie uśmiechał się świat, dla mnie potrzebą, koniecznością, życiem były zabawy, podróże, boski Paryż, czarowne Włochy, stroje, teatry, bale, wszystko, co bawi młodość kobiety: a zmuszona zostałam być żoną dzikiego jakiegoś sparcyatki, który to wszystko potępiał, który mi wszystkie, aż do koronek, *piętych potrzeb życia* odmawiał. Jakże! wyobraź sobie, że chciał mi wmówić, iż najmiłą zabawą jest widok natury, śpiew ptaków, rozmyślanie, cicha rozmowa, przechadzka! Boże! chciał mnie zamknąć jak Anachoretę na pustyni! Powozu, koni, stroju, nowostek, pozabawiał mnie powoli wszystkiego! Przy moim zdrowiu, tym zdrowiu co tylko ciągnęła pieczę i troskliwym pielęgnowaniem się utrzymuję na krańcu, co dzieli je od choroby: chciał mi wydrzeć wszystkie życia wygody, chciał mnie koniecznie uzdrowić powietrzem, ruchem i pracą!

A! wspomnienie tego tyrańskiego dreszczem mnie zimnym przejmuję. Żebyż to był przynajmniej ten tyran melodramatu, co by się nie maskował, co by miał odwagę pokazać się czem był w istocie. Ale nie! Z uśmiechem na ustach, z morałem słodkiuchnym na dłoni, z dobrocią odegrywaną bez zająkowania, z uczuciem posuniętym aż do exaltacji, lecz fałszywym, o! fałszywym, pod pozorem mojego własnego dobra, dręczył mnie powolnie, ssal ze mnie życie niegodny! A gdy spłakana, zemdlona padałam bezsilna, on klękał przedemną, i przysięgał mi że mnie kocha, że mnie ubóstwia; całował nogi moje. O! nie chcę wspominać: kłamał, kłamał! Gdyby mnie kochał, wszystkoby był uczynił dla mnie; tymczasem nie mi poświęcić nie chciał, jednej odrobinki swojego przekonania. Wszystkie względy światowe, których ja tak czuję ważność i znaczenie, on miał za nic. Wystaw sobie jak kochać musiałam, stokroć zmuszoną będąc pokazywać się w świecie wcale nie tak, jak stan mój i imię wymagało. Okropność! okropność! Pod pozorem, że obowiązkiem jest naszym dawać przykład dobry, ileż on mnie namęczył, ile mi się nasprzeciwiał, nie chcę ci tego opisywać. Nareszcie...

— Nareszcie rozdzielił się — przerwała pani Lacka, przyspieszając koniec opowiadania.

— I błogosławie tę godzinę, w której, zebrawszy się na odwagę, oswobodziłam się z więzów; zdało mi się, że nowe poczęła życie. Lecz cóż mnie to kosztowało: musiałam oprzeć się prośbom, zaklęciom, błaganom, nawet udanym łzom jego, zamykać się przed nim, uciekać! Widząc że mnie nie przekona, znalazł sposób pomszczenia się i dotknięcia mi do żywego. Ty wiesz, że byłam ostatnią dziedziczką starożytnego domu i imienia Hutorów: rodzice moi wymagali po nim, aby to imię do swojego przyłączył. Naówczas jeszcze doprawdy, czy udając że kochał mnie zapamiętałe, uczynił co chcieli: nazwał się jak wymagano. Imię to dla mnie drogie zeszło na ulubieńca mego Jasia: on je ma ocalić od niepamięci. Może dlatego, może nie dlatego od kolebki podwójnie kochałam Jasia; Józję kocham także: ale możnaż sercu nakazać? Otóż, jakby na przedłużenie mej męki, nie dał mi

zabrać Jasia, pod pozorem, że go zmiękcze i zepsuje, pozwolił mi tylko wziąć tę zimną, nieznosną Józję! Józję, to drugi on!

Kończąc te wyrazy, pani Teressa zakryła sobie oczy i drżąc poczęła tak, że pani Lacka, oswojona z podobnymi symptomatami, obawiając się nerwowego ataku, pospieszyła podać jej rzeźwiące sole i trochę wody z pomarańczowym kwiatem.

Niebezpieczeństwo przeszło po chwili, a rozmowa między przyjaciółkami na nowo się rozpoczęła.

— Jakżem się zdziwiła — przemówiła Lasia — dowiedziawszy się o przybyciu twojem. Z twojem słabem zdrowiem dla zabawy przyjechać, to chyba może dla Józji?

— Józja jeszcze na zabawach nie bywa — zawołała pani Teressa — to dziecię! Ale ty wiesz, że w mojej boleści jedyną ulgą jest szal i odurzenie. Zabawa nie bawi mnie, lecz upaja, i odrywa od rozpaczy, w którąbym wpaść musiała.

— Więc się zobaczmy na dzisiaj wieczorze?

— Będę! muszę być! Powlokę się z trucizną w sercu, ze smutnym piętnem na czole; bo gdyby nie to gwałtowne lekarstwo, dawnoby pod brzemieniem cierpienia upaść musiała. Upijam się, Lasiu! upijam, żeby boleść zagłuszyć!

Pani Lacka uśmiechnęła się bardzo nieznacznie, i pocichu spytała jeszcze:

— Nie boisz się go spotkać?

— Jego? on nigdy nie bywa na zabawach; a wreszcie to mi obojętne. Jestże on tutaj?

— Zdaje mi się, że miał przybyć.

— Myślisz? — spytała pani Teressa trochę niespokojnie. — O! toby mi zabawę stracił! — i spuściła głowę. — I Jaś zapewne z nim! Jaś zawsze z nim jest: mogłabym go zobaczyć! Ale nie, nie! nie mówmy o tem: czuję jak mi to zgubnie działa na nerwy. Zmieńmy przedmiot; zaczęłaś o przyjaciółce swej Irenie?

— Przyjaciółce?! — cicho z ironią zawołała pani Lacka — ha! ha!

— Więc i to jakaś dziwaczka?

— Najosobliwsza pod słońcem istota; i gdyby był młodszy, to właśnie żona dla twojego męża: doskonale się cenią i rozumieją!

Pani Teressa ruszyła ramionami.

— Więc to jakaś poczwara!

— Wcale ładna poczwarka! Wystaw sobie *comtesse* kobietę, co konno jeździ, ludzi ratuje z pożaru, opatruje rany i leczy, i godzinami nauczające rozmowy prowadzi z chłopami i dziećmi chłopskimi; czyta filozofów niemieckich, z których się śmieje, nie wierzy w Balzaca i jego znajomość kobiecego serca, gra na fortepianie jak uczeń Liszt'a, maluje pejzaże jak Calame, szydzi z balów, zabaw i cudzoziemczyzny, i bodaj czy tylko w kątku nie pisze, bo często ma palce atramentem powalane. A z tem wszystkiem pogódź jeszcze, jeżeli potrafisz, exaltowane nabożeństwo...

— Cóż więcej? coż więcej? kochana Lasiu, ciękawam doprawdy! Mów, proszę! Ona mnie zajmuje swoją oryginalnością. Dziwne stworzenie!

— Dobre wreszcie, jak mówisz, stworzenie, ale zarozumiałe to, nie świata nie pojmujące jak on jest. Zapalona główka, a konwenansami najważniejszymi rzuca jak łupinami od orzechów.

— Gdzież to się wychowało?

— Spytaj się, gdzie się nie wychowała? Opiekunem jej był znany ci pewnie oryginał, stary Koniuszy Sumin. Kocha ją jak dziecię; szalał stary, żeby z niej zrobić coś nadzwyczajnego, i to mu się udało:

na doskonałego wystrychnął ją cudaka. Najgorzej, że w początku dostała się w ręce nauczycieli i nauczycielek domowych, naszych krajowców, co jej zrazu głowę przewrócili, tak, że potem ani Francuzki, ani Angielki, ani podróże po Europie odwrócić jej nie potrafiły. Zginiona! Miała przy sobie na końcu pannę Wilby, Angielkę: i ta ją dobiła, bo tą była także niepospolicie oryginalna panna. Musiałaś słyszeć o niej? Chciała iść opowiadać ewangelią do Indyj, utrzymując, że kobiety, równie jak mężczyźni, nawracać mogą i potrafią... *Un tas de balivernes de cette force la.* Otóż i uczennica w tym rodzaju. Ktoś się z tym ożeni, bo strasznie bogata, a wysoko nie patrzy: ależ biada temu szczęśliwemu! Wiiesz, droga Tereniu, przestrzegam cię, boję się, zdaje mi się, że tam Jasia twojego prowadzą!

Nadspodziewanie nic się tego nie ulękała pani Grabowa, i spytała tylko ciekawie:

— Mego Jasia?

— Po cóżby tam pan Hutor-Graba z synem bywali tak często?

— Ale to dziecko jeszcze!

— I ona starsza od niego, pewnie starsza!

— Widać, że się z dziwactwa dziwakowi podobać musiała.

— Podobać! On ją wielbi, ubóstwia! Znalazł swój swego, Tereniu! Radz wcześniej, bo ci syna utopią.

— O! bezemnie Jaś nic nie zrobił—odparła matka spokojnie.— Ale powiedzże mi, moja Lasiu kochana, czy ładna doprawdy?

— Juściż nie brzydka!

— Imię piękne...

— Imię? dzieciństwo!

— Daruj, ja tak nie myślę: imię, to rzecz wielka, bardzo wielka! I powiadasz, że bogata?

— O! co to, niesłuchanie! Ale jeżeli sama rzadzić się będzie, to niedługo potrwa: dzieli się tem co ma z całym powiatem.

— Co za szkoda, że taka dziwaczka!—odezwała się pani Grabowa—doprawdy! Jasiowi potrzeba właśnie pięknego imienia, pięknej twarzy i bogatej jak on kobiety.

— Jakto? dlatego że bogata!—silnie, wzruszając ramionami, wykrzyknęła pani Lacka.

— O! jakże mię lekko posądzasz! godzisz się to? Jazymb cenila tak marne złoto, które żadnego nie nasyci pragnienia? Lasiu moja, i ty mnie, widzę, nie rozumiesz!

Nastąpiły z obu stron protestacye, żywe wyrazy uczucia, wzajemne przyjacielskie czule wymówki, i rozmowa zbroczyła na egotyczne utyski. Pani Grabowa była w nich niewyczerpaną, i byleby się znalazł słuchacz powolny, dzień cały gotowa była płakać nad swym losem.

Czy ten los w istocie tak był łez i uzaleń godny? różnie różni sądzili; ale świata przynajmniej większość, którą przywykliśmy światem nazywać, brała stronę żony przeciwko mężowi.

Graba nie miał przyjaciół, bo niewiele jest ludzi coby się prawdy nie zlekli, a sądzili głębiej, patrząc nad powierzchnią rzeczy. Piękna, wdzięczna i ciągle płacząca Teressa, w oczach wszystkich prawie była nieszczęśliwą ofiarą. Jak nią być nie miała? Słyszano jeźeli nie jej skargi, to o jej skargach nieustannie, a Graba mileżał dumnie i nie tłumaczył się: był więc winnym.

Zimny napozór tylko i surowy Graba pokochał ją w młodych latach, z całą potęgą uczucia, na które mało kto zdobyć się potrafi, bo nie każdy jak

on zachowa się cały na jedno. Rodzice jego dosyć przeciwni byli ożenieniu, potrafił ich uprosić i przekonać; były przeszkody ze strony panny, umiał je przezwyciężyć, i przelamać wszystkie zawady ofiarami, które mu przysły lekko: w pocie czoła dorobił się ukochanej istoty za towarzyszkę życia. Wszystko zdawało się skończone, lecz to był tylko ciężkiej walki początek.

Teressa piękna jak anioł, ale rozpieszczona i samowolna jak dziecko zepsute, w początku dała mu jeżeli nie chwilę szczęścia zupełnego, to wielką nadzieję. Z gwałtowną namiętnością kochając ją, lat kilka spędził na wpatrywaniu się w to bóstwo; a przekonawszy się ze smutkiem, że to cudne oblicze Madonny pokrywało pełną próżności i lekko-myślną kobietę, postanowił zająć się nią z całą troskliwością, na jaką się mógł zdobyć, na nowo rozpocząć wychowanie, i postawić na stopniu, na którym widzieć ją pragnął.

Jakkolwiek sposobił się do tego stopniowo, powolnie i zawsze jeszcze zakochany namiętnie, jakkolwiek był poblazającym, uległym, piérwsze jego kroki wiodące Teresę ku moralnemu jej podniesieniu, były hasłem wojny domowej. Terenia pojąc tego nie mogła, nie mówię, żeby się kto jej sprzeciwiał, lecz żeby skinieniom jej nie był posłuszny ślepo. Znajdując opór w mężu, w piérwszej chwili gdy to dostrzegła, obwołała go tyranem. Ile wycierpiał Graba opisać trudno, ale cierpiał mężnie i bohatercko dla przekonania, bo czuł, że los żony miałby na sumieniu: widział się obowiązany surowo do tego co czynił. Uczucie obowiązków tłumilo miłość szaloną, z którą walka, ukryta dla wszystkich, niepojęta dla nikogo, czyniła go bohaterem niepoznanym. Jeden anioł stróż stojący nad głowami łoża, patrzący w kartę myśli i uczuć jego, mógł się podziwić i zapłakać; świat nie rozumiał i potępiał.

Piękna Terenia nudziła się sobą, mężem, światem, potrzebowała zabaw, podróży, strojów, lekkich książek, co drażniąc wyobraźnię, nie nasycają głowy, i przędą z serca uczucia fałszywe. Powolnie wprawdzie, ale stanowczo Graba oparł się jej pragnieniom; chcąc jej przywrócić zdrowie ruchem, pracą, zajęciem użytecznym, chcąc ukolysać wyobraźnię, zbliżając ją do rzeczywistego życia.

Napróżny wysilek! Terenia poczęła płakać, niecierpliwie się, a widząc że łzy i prośby nie pomagają, grozić. Graba czysty na sumieniu, które mu mówiło: wytrwaj do końca! postępował z nią jak z chorym, ale nie potrafił uleczyć, może dlatego właśnie, że bardzo ją kochał. Co chwila wątpił o sobie, i zatrzymywał się na drodze, nie mogąc znieść widoku łez i rozpaczy. Kilka lat upłynęło w takim boju: mąż cierpiał na stosie Guatimozina, żona stała się heroiną romansu.

Nieprzyjaciel zbytku niepotrzebnego, choć wiele więcej dozwalał kobiecie, która pragnieniem piękna żyć musi, na wszystko przecie pozwolić nie mógł. Czule, ale stanowczo, oparł się podróży za granicę, okazując wydatki nad siły, które pociągnąć miała za sobą, gdyby ją przedsięwzięła Teressa tak jak żądała, z wielkim ludzi taborem i przepychem nad skalę majątku. Zamiast balów, które dawać chciała nieustannie, przedstawił jej świętsze i znaczniejsze do spełniania obowiązki, które dłużej i trwałej nad chwilę szalu, zabawić mogły i pocieszyć.

Ale piękna Teressa, pieszczone dziecko, słuchać tego nie chciała; płakała, chorowała, dostawała spazmów, i gdy w końcu paradne cugi, szamero-

wane liberye i kucharz Francuz ustąpić musieli skromniejszemu urządzeniu domu, wymówiła straszny wyraz: rozwód.

Graba, który ją kochał ze wszystkimi jej wadami, na pierwszą wzmiankę o rozwodzie, w rozpaczy na wszystko, czego pragnęła, gotów się już był zgodzić, jedna tylko myśl o przyszłości dzieci wstrzymała go.

Przemógł więc znowu swe serce, odchorował groźbę, i utwierdzony w postanowieniu wychowania dzieci jak mu sumienie nakazywało, u nóg Tereni błagał, żeby choć rok chciała mu być powolną, i spróbować, i dotknąć tych zmian życia, które ją tyle, ile sądziła, kosztować nie mogły.

Ale Terenia odeptnęła go, nazywając tyranem, obłudnikiem, niegodziwcem. Graba świeżo wyleczony z zapalenia mózgu, które mu się odnowiło, zachorował niebezpiecznie; zostawiony sam sobie, osądzony był na śmierć. Nim przyszedł do zdrowia, żona wyjechała bez powrotu.

Ją to nic nie kosztowało, on tak leżał na śmiertelnej pościeli, bezprzytomny prawie, bez nadziei życia; dzieci nawet nie zostawiła przy nim, coby swym głosem rozbudzić go mogły. Silna budowa ciała przewyciężyła chorobę: przyszedł do zdrowia. Wszelkimi siłami próbował zbliżyć się do żony—napróżno.

Nastąpiły układy, i bez rozvodu małżonkowie rozdzielili się zupełnie, dzieląc się dziećmi tak, że córka została przy matce, syn przy ojcu.

Odtąd już się nie widzieli: każde z nich poszło swoją drogą. Pani jeździła za granicę, czytała aż do rozspazmowania francuzkie romanse, uczęszczała na bale i chorowała po dawnemu; Graba, wychowując syna, wiódł życie surowe i pracowite. Lata ubiegłe nie potrafiły w tym człowieku, tyle pracującym nad sobą, zniszczyć uczuć gwałtownego przywiązania do żony; szron siwizny poczynał ubierać mu skronie, namiętność rozłączeniem podżegana nie gasła, lecz wzmagała się. Żył w niej ciąglą męczarnią, jak Salamandra, ten symbol namiętności—w płomieniach.

Piękna Terenia, której brak było serca, płaciła mu to uczucie wzgardą, prawie nienawiścią. Ona mu nigdy darować nie mogła, że się śniął targnąć na nią, i postąpił z nią jak z ukochanym, lecz zepsutem dziećmiem. Przywykła do panowania, nie pojmowała podległości najmniejszej: sama myśl zstąpienia z piedestału oburzała ją do szalu.

Pani Lacka, o której losach i przyszłości później się dowiemy, była przyjaciółką jej młodości; dawno się nie widziały, trwały więc wynurzenia, żale, płacze, zwierzenia i rozmowy bardzo długo, zajmując dzień prawie cały. Terenia wzruszona i zmęczona niespodziewanymi wrażeniami, nie miała już siły ani się ubrać, ani wyjść do sklepów, jak wprzód zamierzała. Przyjaciółki spędziły z sobą czas do wieczora; Józia na krzeselczku w drugim pokoju, czekając na zawołanie matki, sama jedna ze spuszczoną główką robiła pończochę.

Tymczasem w miasteczku zżawo się krzątało obywatelstwo, naradzając się nad przyszłemi wyborami urzędników, a zwłaszcza marszałka.

Dawny pan marszałek ze swym sekretarzem pracowali nad przecignięciem na swoją stronę większości; panu sekretarzowi zbyt było dobrze panować, żeby się chciał narażać na podział władzy z kim innym: nikimby zaś wielowładniej nie pokierował, jak tym poczciwym marszałkiem, którym rządził na migi. Z drugiej strony, Kapitan niezau-

żony dreptał, płatał się, gadał, intrygował, chcąc koniecznie na marszałkowsstwo Koniuszego Sumina, który o tym spisku nie wiedząc, spał spokojnie.

Myśl Kapitana, dzięki jego staraniom, zyskiwała co chwila nowych stronników; a że lepszych kandydatów nie było, stary myśliwiec mógł rachować na pewny wybór: bo stronnictwo Paliwody, pomimo hałaśnego popierania młodzieży, hulaków i pasibrzuchów, przez samego nawet Paliwodę za nie nieznaczące uważanem było.

Samurski, który niefortunne powodzenie kandydatury Paliwody przypisywał nadaremnie panu Grabie, od rana gardłował, żeby tego, jak go nazywał, „arystokratę, co sobie tony jakieś nauczycielskie chciał dawać,“ wyzwać poprostu na pojedynek.

— Więc go wyzywaj sam! — wołano na niego ze wszystkich stron.

— Gotówbym był to uczynić, moi panowie — mówił zajadły Samurski, machając okropnie rękoma i wybijając wszystkim oczy cybuchem—gotówbym za wszystkich; ale choć mi męztwa nie brakuje, biję się kiepsko i wstydu wam narobię.

Młodzik, co wczoraj mocno się odgrazał, dziś już tylko Paliwodę podżegał, ale sam wystąpić się wahał. Wśród gwaru i szumu, przerywanego brzękiem widełców, stukaniem szklanek i strzelaniem dobywanych korków, najniespodziewańszy w świecie gość, pan Graba sam ukazał się w progu.

Wszyscy osłupieli, oczy poczerwieniały, spojrzeli po sobie, wzajem się wzrokiem popychając; jeden Paliwoda z uśmiechem grzecznym postąpił ku niemu. Samurski chwytając go za pole, szepnął, łykając chleb, którym gębę miał zatkaną:

— Widzisz, widzisz, transpirowało! Tchórz, będzie cię przepraszał, będzie się tłumaczył. Trzymaj się tego, a w potrzebie wyzywaj, jak Boga kocham wyzywaj! My za tobą!

Słyszał czy nie słyszał Paliwoda, ale już dłoń podał przybyłemu i zapraszał go do śniadania, gdy poważny Graba podziękowawszy, wziął go na stronę.

— Mam ci dwa słowa powiedzieć na osobności — rzekł, i wzięwszy pod rękę gospodarza, wyszedł z nim do przyległego pokoju. Samurski podbiegł na palcach za nimi, podszeptując:

— A przynajmniej niech publicznie ciebie i mnie przeprosi!

Ale drzwi zamknęły się nielitościwie przed nossem doradcy, nim dokończył.

— Kochany panie Konstany! — odezwał się Graba, biorąc go za obie ręce i wpatrując się w twarz młodemu człowiekowi — gdybym nie szanował rodziców twoich, nie miał dla ciebie prawdziwego przywiązania, i z serca nie życzył ci dobrze, nie widziałbyś mnie u siebie. Nie przypisuj mojego przybycia żadnej intrydze wyborowej: jest ono krokiem przyjacielskim.

Paliwoda skłonił się w milczeniu.

— Chcesz-li przyjąć radę starego przyjaciela domu, i zycielive przestrogi człowieka, który radby cię widzieć na takim stanowisku w społeczeństwie, na jakim być powinieś? Nie obrazi cię rada?

Mimowolnie Paliwoda czuł potęgę człowieka, któremu uleż był zmuszony; uczuł w sobie coś niewytłumaczonego, co mu wzbraniało postawić się przeciwko panu Grabie, jak się zwykle stawiał przeciw innym: odpowiedział więc ze wzruszeniem pełnym, powolnie:

— Czemużbym miał dobrą radę nie usłuchać?

— Cieszę się tem twojem usposobieniem — odparł Graba. — Samurski musiał ci donieść com mu po-

wiedział, gdy do mnie przyjechał z myślą prowadzenia cię na marszałka. Powiedziałem mu coś nakształt tego, co ci teraz powtórzę w oczy: panu Konstantemu potrzeba wprzód zreformować życie, pojednać się z matką, odpędzić darmozjadów co go wiodą do hulanki, marnie czas i pieniądze pochłaniającej; a gdy Bóg da, że wyjdzie na człowieka w całym znaczeniu tego wielkiego wyrazu, naówczas z radością poprowadzimy go choćby na gubernskiego.

Paliwoda zmieszał się, trochę zaczerwienił, zaprzął.

— Więc pan znajdujesz—rzekł widocznie pomieszany—że postępowanie moje nie jest takim, jakimi być powinno?

— Znajduję; i mówię ci to otwarcie w oczy. Przed obcymi może cię bronić potrafię, przed tobą muszę potępić. Młody, silny, zdatny, majątny, nie masz co lepszego do roboty, jak hulac, pić, grać w karty i karmić darmozjadów, których próżniactwo wspierasz? A twoje postępowanie z matką?

— Z niego, zdaje mi się, nikomu nie winienem rachunku.

— Przepraszam cię, przed Bogiem i ludźmi człowiek winien rachunek z każdej swojej czynności. Bóg sędzi sprawę człowieka z jego sumieniem, widoczne uczynki i do sądu ludzi należą: z tychto drobnych czynności składa się całość życia społecznego, i dajesz zły przykład.

— Ale któż pan jesteś? — żywiej zawołał Paliwoda—żebyś mi miał dawać nauki?

— Jestem życzliwy przyjaciel, starszy od ciebie doświadczeniem człowiek, i obowiązany sumieniem powiadzić ci prawdę.

— Ale ja o nią nie proszę!

— Daję ci ją nieproszoną: uczynisz z nią co zechcesz. Serce masz dobre, obalamująca cię twoi towarzysze: szkoda mi ciebie; pomyśl nad sobą... Nie sądź, żeby tu przyszedł z inną jak nażydlisz dla ciebie chęcią, i tylko dla ciebie.

— Dziękuję, dziękuję — rzekł, pokręcając wąsa Paliwoda—ale...

— Czuję — przerwał Graba — że cię fałszywy wstyd wstrzymuje może od posłuchania głosu, który się wewnątrz z twoim własnym zgadza. Uczyni to powoli, nieznacznie; co najpilniejsza, odmien życie, pogodzi się z matką, i pierwszy ją przeprosi. Ot, tak szczerze — dodał — jesteś szczęśliwy tym życiem, jakie prowadzisz? Nie maszże wśród tego szalu chwil smutku, zwątpienia, prawie rozpacz? Czyż cię czeze rozmowy i hulanka nasycają? Nie bierzesz-li odurzenia za szczęście? Powiedz!

Paliwoda spuścił głowę, zamilkł, potem podniósł ją nagle, i ze łzą w oku łagodniej spytał pana Graby, unikając odpowiedzi:

— Ale cóż pan masz przeciwko mojemu marszałkowstwu? Wprawdzie ja o ten tytuł nie dbam.

— Bo téżto wcale o tytuł nie chodzi, kochany panie Konstanty. Marszałkowstwo jest wielkiem i pięknym brzemieniem; ale czujeszże w sobie siły potem, by je podnieść?

— Jużciż, powiem panu, tak jak nasz terażniejszy marszałek, dam rady.

— To ładna sztuka! Nasz marszałek w istocie tytuł ma tylko. Ale zastanowiłże się, coto jest marszałkować jak potrzeba? Maszże siłę opierać się związkom, stosunkom, pokrewieństwu, prósbom, przyjaźni, groźbie nawet nieraz; dopilnować sprawy sieroty i wdowy w opiece, sprawy drugiego sieroty także, włościanina, w stosunku jego do wła-

ściciela ziemi? Maszże dość wytrwałości, rozważliwej zimnej krwi, żeby przedstawiać powiat wszędzie, ująć się za jego dobrem, utrzymać w nim powierzoną twój pieczy i sumieniu porządek, sprawiedliwość? Dopilnować siebie, dopilnować drugich, skarżyć, gdy każe prawda, kłócić się, gdy kłótni wymaga sumienie, prześladować rabusiów i łotrów, których z kątów wszystkich powymieniać ci potrzeba: masz na to siły? powiedz!

Paliwoda stał zafrasowany, nie wiedząc co odpowiedzieć; ale znać było, że prawda precyzyjnie się do głębi jego serca: wstyd mu tylko było ją uznać.

— Wiesz co, kochany panie Konstanty, wreszcie powiem ci najgłówniejsze. Widzę ze wszystkiego, że wybranym być nie możesz, pomimo gorliwych starań twoich przyjaciół: na co ci się narażać na pewny upadek?

— Pan sądzisz, że pewny?

— Niezawodny! Lepiej wcześniej rzec się otwarcie kandydacyi.

Domawiali tych słów, gdy po naradzie wrzawliwej w pierwszym pokoju, pan Samurski wraz z panem Pruckim, młodzieńcem co miał cztery pojedynki, a ośm razy śniadanie pojedynkowe, weszli nieproszeni szumnie drzwi otwierając, z minami rozognionemi i zapowiadającymi burzę.

Pan Prucki postąpił śmiało, odpychając Paliwodę, który go hamował, wprost do Graby, i głosem podniesionym zawołał:

— Te przeprosiny i wyłgiwania się nie pomogą. Pan obraziłeś pana Konstantego, mówiąc o nim obelżywie przed Samurskim: obrażając jego, obraziłeś nas wszystkich, jego przyjaciół; w imieniu wszystkich proszę pana o satysfakcyę.

Graba z uśmiechem litości spojrział na pana Pruckiego, potem na Paliwodę, który zmieszany, zawstydzony, stał w milczeniu, gryząc wąsy.

— Jakieżże pan chcesz satysfakcyi? — odpowiedział Graba powolnie.

— Albo pan przepros publicznie, a nie, to się będziemy strzelać!

— Za cóżto mam przeprosić?

— Za to co pan mówił przed Samurskim o Paliwodzie. To trzeba odwołać!

— A gdy nie odwołam?

— To się będziemy strzelać!

— A potem?—spytał go Graba.

— Coto pan żartuje?—rzekł Prucki.

— Nie, uchowaj Boże! to sprawa bardzo poważna: z czegożby tu żartować? chyba z pańskiej fantazyi, i ochoty, żeby go skaleczył.

— To jeszcze zobaczymy!

— To rzecz niezawodna! — rzekł Graba.— Mam pierwszy strzał jako wyzwany.

— Niech sobie i tak będzie.

— Nie chcę pana pozbawić prawej ręki, potrzebnej do muskania wąsów, będę musiał przestrzelić mu lewą, bo zabić nie myślę! Pan masz jeszcze tyle rzeczy do wyuczenia się w życiu, że przerywać go byłoby nielitością.

Prucki i Samurski, pomimo zaindyczenia, pomieszali się nieco zimną krwią i szyderstwem Graby; Paliwoda rozśmiał się głośno. Wyzwany stał obojętnie, poglądając na nich.

— A zatem—rzekł—wzywasz mnie pan?

Cofnąć się było niepodobna.

— A! wzywam!—zawołał Prucki.—Zobaczymy co będzie z tej fanfaronady.

Graba z westchnieniem zbliżył się do młodego człowieka, który w wejrzeniach Samurskiego i Pa-

liwody napróżno usiłował wyczerpnąć odwagę, szybko go już opuszczając.

— Kochany panie Prucki — rzekł powolnie — na co między nami te żarty? Paliwoda nie ma mi za złe tego co powiedziałem: porozumieliśmy się łatwo; miałżebyś sam osobiście być obrażony przemennie?

— Jestem osobiście: gdyby nie czém inném, to żartami pańskimi.

— Za te żarty, jeżeli chcesz, szczerze cię przepaszam: sam byleś do nich powodem, i mimowolnie mi się z ust wyknęły, widząc tę gorączkę młodzieńczą, tak nadaremnie zmarnowaną. Wierz mi, pojedynek nie jest rzeczą tak wielką i piękną, żeby się nim chlubić można. Użyć odwagi, jaką Bóg dał, na to, żeby stanąć przeciw kuli braterskiej i do braterskiej mierzyć piersi, jestto użyć jej podobno jak można najgorzej.

— Do czego to zmierza? — zapytał, nabierając otuchy Prucki, który poczynał znów kręcić wąsa.

— Do uniknienia pojedynku — odpowiedział Graba — pojedynku bez powodu ważnego, coby go wymawiał, który panu nowych laurów nie doda, a dla mnie będzie bardzo przykrą ostatecznością.

— Uniknąć go już niepodobna: musimy się bić! — zawołał Prucki, zacierając czuprynę.

— Z mojej strony jeden tylko warunek — rzekł zimno Graba.

— A! są i warunki, chwała Bogu! — mruknął złośliwie Prucki.

— O! tak, są warunki! Wszak pan Konstancy ma pistolety?

— Mam doskonale, Lazaro Cominazzo.

— I zapewne nabite?

— Świeżuteńko.

Prucki spojrział po wszystkich, nie bez pewnej obawy.

— Otóż o jedno tylko proszę — dodał Graba — żebym wam mógł pokazać jak strzelam; bo ze mną chciaść stawać do pojedynku, jestto daremnie narażać się na szwank pewny.

— To nieznośna zarozumiałość! — krzyknął wyzywający niespokojny.

— Nazywaj to pan sobie jak chcesz, a szanowny gospodarz niech da swoich pistoletów i pójdzie z nami do ogródka.

Wszyscy ruszyli się za Grabą, który zaklejące na zimę drzwi żydowskiej izby wysadziwszy ręką silną, pierwszy wystąpił na podwórze. Tu ubezpieczony, że plac obrany na próbę wysokim parkanem był zamknięty, o trzydzieści kroków ustawił deskę, kazał w nią wbić dziesięć mocnych bretnalów, i opatrzywszy broń, rzekł do Pruckiego:

— Jeśli raz chybię, będziesz pan miał zupełne prawo śmiać się ze mnie.

To mówiąc, w posepném milczeniu, którego nikt z przytomnych nie przerywał, Graba wystrzelił dziesięć razy, i wsadził dziesięć kul na ostrza bretnalów.

— Pistolety bardzo dobre — rzekł, odwracając się potem do gospodarza, i biorąc za rękę Pruckiego, dodał: — Powiedz mi pan teraz, czy miałbym sumienie, zgadzając się, bić się z panem?

Prucki blade, belkotał.

— Co innego jest strzelać do deski, co innego do człowieka! — zawołał Samurski.

— Niechybnie! — rzekł Graba. — Więc jeśli pan Prucki zażąda, służyć mu nie omieszkam.

Ale tu wdał się Paliwoda, i przeciwnicy z wielką radością obu podali sobie dłonie, a Graba od-

szedł, ukradkowemi wejrzeniami młodzieży przeprowadzany.

— Kochani panowie! — rzekł Paliwoda, rzucając się na krzesło, gdy się za nim drzwi zamknęły — jestto człowiek, którego szanuję, niekoniecznie dlatego, że tak pięknie strzela, ale dla jego charakteru i męstwa, z jakim wprost do człowieka z gorzką prawdą przychodzi. Wyznam wam, że mi nawet przykro, iż go szanować muszę, ale nie mogę inaczej! Otworzył mi oczy: nie chcę tego marszałkostwa, to nie dla mnie.

— Jakto! cofasz się? — zawołali młodzi panowie, tłumnie otaczając Paliwodę.

— Byłbyś dotyła słabym?! — krzyknął Samurski, podnosząc cybuch do góry z giestem tragicznym.

— Nazwij to, jeśli chcesz, słabością: to mi wszystko jedno; ale pewno, że mi marszałkowsstwo na nic się nie przydało, i kandydatem być nie chce.

— Już tak! — rzekł, zalamując ręce Samurski, który miał wielkie widoki na obiorze pana Konstantego, rachując jakby już miał w kieszeni administracyą wioski przyległej swojemu folwarczkwowi.

— Tak! — odpowiedział Paliwoda. — Wasze chęci były najlepsze; ale w czas opatrzyłem się, że wstępu tylko bym się najadł.

— Byłbyś wybrany! jak Boga mego kocham, byłbyś wybrany! — zakrzyczał Samurski.

— Nie! — odparł zimno Paliwoda.

— Jakto nie?

— Napocilibyśmy się wiele a nadaremnie. Pluńmy na to! — zawołał, śmiejąc się — to kłopot, zamoroka, nudy; ot, lepiej pofacyendujmy na konie, pohulamy i pobawim się wesoło. Niech sobie kto chce będzie marszałkiem, ja do nóg upadam.

Samurski popatrzał, pluął, siadł aż krzesło pod nim zatrzeszczało, i machnąwszy ręką, począł fajkę palić zajadle; wreszcie fajkę rzucił, nacisnął czapkę, i wyszedł milczący i gniewny, mrując pod nosem:

— Pracujże tu dla nich! Niewdzięczny! unygam ręce!

Młodzież, nie wyjmując Pruckiego, który dla zakassowania swego niefortunnego wyzwania począł opowiadać o czterech pojedynkach i ośmiu śniadaniach pojedynkowych, wzięła się jednozgodnie do szklanek. Żartowano z wypadków ranniejszych, wojowniczego ducha pana Graby przeciwnik kłął się, ręczył słowem honoru i przysięgał, że do pojedynku nietylko potrzebna zręczność i umiejętność, co odwaga i szczęście: a czas spłynął do wieczora na zwyczajném zajęciu wśród kart, kieliszków i gawędy. Na chwilę tylko zniknął gospodarz, i po więcej niż godzinnej niebytności, wrócił zamyślny, wzruszony, nie chcąc mieć udziału ani w grze, ani w pijatyce.

Nadechodził wieczór, a wieczorem miało być kassyno, owa zabawa, na której wszystko co żyło w okolicy i miasteczku znajdować się obiecywało. Niektórych obywateli żony i córki uprosiły sobie pozwolenie przybycia na ten dzień do miasteczka; żony też urzędników i kobiety miejskie gotowały się zająć pierwsze miejsca na kanapach, w tańcu i u wieczerzy. Potrzeba wyznać, że choć we zwyczaj weszło wyśmiewać zabawy na prowincyi, bo istotnie często są śmieszne, żaden jednak bal wstolicy, ze swemi urzędowemi formami, paryzkimi strojami i jak najprzynwoitszą powierzchownością, nie może się porównać pod względem malowniczym z balikiem w miasteczku powiatowém, gdzie i różnorodność większa, i sprzeczności mnóstwo, i wesołość ochocza, i swoboda nieograniczona.

Wnijdźmy więc na chwilę do sali oświeconej, i przypatrzmy się towarzystwu, które się tucale zebrało: bo na baliku w powiatowym miasteczku któż nie będzie? — chyba nieszczęśliwy kancelista, któremu krawiec nie doszył mającej sprawić sensacją kamizelki; chyba stoło-naczelnik, którego wstrzymał szewc, nie odniósłszy butów na termin! Reszta, przez ciekawość, przez próżniactwo, albo się wlece na salę, albo idzie do bufetu upić się pod dobrym pozorem baliku, albo wreszcie choć przez drzwi zagląda. Ci co się we drzwiach cisnąć nie chcą, ucierają świecę. Malo jest nawet żydów w miasteczku, coby choć przez szparę odrobiny balu nie widzieli, nie mogli nazajutrz opowiedzieć jaki frak miał pan Strapezy, jaką suknię pani Sprawnikowa, i co robił pan Marszałek. Jeśli nie wszyscy wchodzą wewnątrz, nikt nie jest wyłączony od zajmowania się balem: wszystkich on obchodzi w pewien sposób, i nazajutrz każdego czems dotknął, każdy ma coś o nim powiedzieć.

Bal jednak tutejszy nie był zupełnie podobny swoim rodzonym: więcej miał nad inne wytworności, pozor, i dzięki mającym rodzinom co się nim zajmowały, obiecywał jak najdokładniej, o ile możności, małpować zabawy wielkich domów lepszego tonu.

Zwykle też miejskie towarzystwo, nie odmawiając udziału swego w zabawie, wcześniej kwaśno na nią spoglądało, mianując to kassyno arystokratycznem. Młodzież już się nawet gotowała odbijać w polonezie naprzekor, i stawać w pierwszej parze z panną N..., w pik znakomitościom, które posądzano wcześniej o zamiary uzurpacyjne. Jedyny oficer od huzarów, znajdujący się na urlopie, ogromnego wzrostu i silny jak lew, wszystkim rozpowiadał, że będzie na złość arystokratom kierował muzyką jak się mu podoba. Słowem, jak wszędzie u nas, choć jeszcze nie było życzki, ani obrazy, ani upośledzenia dla nikogo, już się ich domyślano, gotowano do nich i rozpoczynano bój przeciwko marom. Szczęściem nikt z lepszego towarzystwa, ani do pierwszej pary, ani do kierowania orkiestrą, ani do zajęcia miejsc za główne uważanych się nie spieszył: spelzły więc chętki zrobienia awantury na pokątnych drwinkach i szeptach.

Lecz nie wszyscy taką krucyatę przeciwko bogatszym obwoływali. Zrana jeszcze, gdy się dowiedziano, że najwyższe towarzystwo powiatu: pani Grabowa, panna Irena i kilka innych osób (z bywających za granicą!!! mówią drudzy i za granicami!!) mają zjechać i przytomnością swą bal uświetnić, radość błysnęła na licach marszałka gospodarującego z urzędu i wice-gospodarzy i gospodyń.

Sekretarz, przywykły wszystko robić za marszałka, uznał potrzebnem przyczynić świec, na których rozmyślał tylko jak ma zyskać (bo zyskać musiał), czy na cenie, czy na ilości? — na cenie zyskałby gotówką, na ilości świecami. Po długim i głębokim namyśle, wołał schować dla siebie dwa oka świec, gdyż cena stearyny, zbyt powszechnie znana, nie dawała się o wiele podnieść. Można było wprawdzie podać w registrach wosk a zapalić lój i stearynę, ale kolnierze fraków denuncyować by gotowe; i sekretarz znowu był człowiek sumienny: kradł na stearynie, ale oburzał się na tych, coby ją zastąpić śmieli szelmowstwem, nazywał to już szelmowstwem (mały zysk nie był niem *jeszcze*).

Zabawa, pomimo wcześniej nadanego jej charakteru arystokratycznego przez tych, którzy wsze-

dzie widzą arystokracją gdzie jej nie ma, obiecywała być liczną; ci co nie myśleli się bawić, szli patrzeć, inni (niestety! malpy jesteśmy) chcieli być, słysząc, że tam będzie tłumnie; mężczyźni mieli już zapewnione stoliki preferansa i osobną fajkarnią, ponczyk rzymski, w którym celował Caricato. Nawet pan Koniuszy Sumin, który nigdy na tłumnych zabawach nie bywał, zawałał się chwilę, gdy mu powiedziano, że Irena będzie na balu, a zwłaszcza gdy się dowiedział, że wnuk jego Jerzy z panem Grabą przybyli do powiatowego miasteczka. Potarł czuprynę, wylał Malcowskiego, co tylko czynił w wielkich i trudnych okolicznościach, plunął, tupnął, głęboko się zamyślił, potem oddysponowawszy krupnik z pół-gąska nastawiony na wieczrę, kazał sobie czyścić frak granatowy z guzikami złocistymi, zachowujący się od wielkiej gali, przygotować spodnie popielate i buty z kutasami warszawskie.

Wszystko to zapowiadało, że i pan Koniuszy na bal się wybierał, czego jak świat światem nie bywało. Właśnie w chwili gdy te przybory czynił, wszedł Jerzy do żydowskiej izby, którą dziad jego zajmował. Przyjął go staruszek niby ochoczo, ale niecierpliwosć ogromna przebijała się pod źle udaną jego obojętnością i grzecznem obejściem.

— A! to Waś, panie Jerzy! — zawołał, we drzwiach go zobaczywszy.

— Przyjechałem z panem Grabą poznać powiatowe miasteczko.

— Tfu! tfu! co tu poznawać? Ot, słuchasz dziwaka, który ci na drugą stronę głowę przewraca. Czas zmarnowany na próżno! Co tu poznasz? he! Abrahama? Josia? To ci może każe pokazać także i mojego gospodarza Mordka? Ciekawa figura: brody pół łokcia, a nosa drugie tyle.

— Dziś przytęm zabawa: jakieś kassyno.

— At! w głowie jak w Pacanowie! zabawa! Warszawiakowi zachciało się skosztować i naszej parafiankiej zabawy!

Jerzy spuścił głowę i siadł milczący; pan Koniuszy począł, zagryzając wargi, przebierać palcami po stoliku; nagle, jakby mu coś doskonałego do głowy przyszło, zerwał się, rzucił do wnuka, i pocałowawszy go radośnie, z oczyma myślą błyszczącymi, zawołał:

— Jurku! kochanie moje! do krośet djablów! oto ja tobie śliczny podam projekt! zobaczysz!

— Cóż takiego, panie Koniuszy?

— Co? osobliwszy a przewyborny projekt do krośet kaczek! Kochanie moje, powinienes mnie przynajmniej w rękę pocałować za to: prawdziwa inspiracya! Mam dla ciebie partyę, i przesliczną!

— Jakto partyę? w preferansa?

— Nie, nie, ożenienie cudowne!

— Ale ja się wcale żenić nie myślę.

— Gadaj sobie zdrów! Któryż z was gołych paniczyków nie ożeni się bogato, byleby tylko mógł? W sercu u was pusto; aby wam kieszeń naładować, to najpilniejsza.

— Panie Koniuszy! — rzekł Jerzy z oburzeniem.

— Słuchalbyś lepiej! — rwąc za guzik, rzekł Koniuszy żywo — słuchalbyś lepiej, a uważnie. Przyjechałes, zdaje mi się, z panem Grabą?

— Tak jest, z nim.

— No, a nic nie wiesz: najprzód, że pan Graba ma żonę przesliczną jak anioł, z którą nie żyje, bo od niego uciekła: to człowiek nieznośny, dziwak, opętany; powtóre, ma śliczną także córkę, młodą, potulną, dobre, poczciwe stworzenie, a bogata bę-

dzie jak panna Irena bez mała-czego. Nawet ten dziwak Graba chce podobno równo między dzieci majątek podzielić, to może będzie miała więcej od Ireny. Rozumiesz ty to: ładna, miła i potulna! Irena to pani, ona się poprowadzić nie da, ho! ho! a to dziecię posłuszne, dobre, bojaźliwe. Rozumiesz, dziś na balu—dodał natarczywie—dziś zarz poznaję cię z żoną pana Graby: jestem z nią bardzo dobrze; potem swatam cię; domyślają się i dam się im domyślać, żeś moim spadkobiercą, a Turza-Góra coś znaczy! jesteś przyjęty, ożeniony, bogaty, szczęśliwy, kwita, i niech cię djabli biorą! A co?—spytał w końcu, ściskając Jerzego.

Ale Jerzy stał jak kamień, zimny, milczący i prawie zagniewany.

— Kochany panie Koniuszy — rzekł z bolesnym uśmiechem — z serca dziękuję, ale się żenić nie chcę, ani myślę.

— Jakto, kochanku, pewnie?

— Ale najpewniej! — odpowiedział Jerzy z przyciskiem.

Koniuszy popatrzał mu w oczy, odwrócił się, i zawołał:

— O! kłamiesz serdeńko! No, ale dla mnie to zrobisz, że pojedziemy na bal razem: ja cię zapoznam. Zrobisz to dla mnie?

— Dlaczegoż nie? poznam się najchętniej.

— Graba zapewne nie będzie na balu, bo nigdy nie bywa, więc bardzo naturalnie, żebyś poszedł ze mną.

— Ale i pan Koniuszy, jak słyszałem, nie bywa także?

— Owszem, czasem bywam; nawet zobacz sam, że Malcowski czyści frak granatowy: to nie bez kozery. Zatęm idź, ubieraj się, przyjeżdżaj, i ruszamy.

Zatarł ręce stary Nemrod poleski, i tupnął z radości nogami, mówiąc do siebie:—Oto myśl szczęśliwa! — Potem pochodził po pokoju.

— Między nami mówiąc—dodał szybko, w pół do siebie niby, w pół do Jerzego—Irena to samowolne i dość zepsute stworzenie. Ja ją kocham, ale to li toś bierze patrzeć na nią. Ot, i do tego pożaru potrzebato było jeździć? Głowa się pali! — Jerzy milczał.—He?—spytał stary.

— Ma serce!

— O! już to że ma serce, i złote! — zapomniawszy się, krzyknął Koniuszy — złote, anielskie serce to! — Ale wnet zlapawszy się na niepotrzebnym gadulstwie, dodał chłodniejąc: — Głowa się tylko pali, a serce, już ciż tak, może, zresztą Bóg tylko wie. Poznaj-no wprzód córkę pana Graby: specjalik, powiadam ci, młodziuteniesieniecza!

Jerzy ruszył ramionami. Czas było iść się ubierać: w milczeniu pożegnał dziada, i wyszedł.

Zaraz w ulicy spotkał się z Kapitanem, który u drzwi lichego zajezdnego domku, zajętego na kwaterę przez oszczędność, przechadzał się, jakby na straży czatując, z nieodstępnym kaptinciem na guziku, tabakierką w kieszeni i fajeczką pogryzioną w zębach. Kapitan jak tylko zobaczył Jerzego, począł go niezmiernie witać, ścisnąć, i dopadłszy, uczeplony jego ręki, nie puścił, aż nawpół gwałtem wprowadził go na chwilę rozmowy do swojej izdebki.

Kapitan stał przez skąpstwo nietylko u żyda, ale że stancye były drogie, z żydem razem. Gdy weszli do małej izdebki, porzucano z tapczana książki żydowskie, żupany i spodnice, garnki i miski, ażeby gościowi uczynić miejsce.

— Wie pan co? — rzekł Kapitan — niezmiernie się

klaniając i nachylając Jerzemu do ucha — wie pan coto się święci? Daj mi pan słowo honoru, że nikomu nie powtórzysz, co mu powiem.

— Chętnie.

— Wszakto prowadzą pana Koniuszego na marszałka!

— Tak? — spytał Jerzy obojętnie — a! to dobrze!

— Zapewne, że dobrze. Ot, ma pan pierwszą nowinę naszych wyborów.

— Bardzo się z niej cieszę; lecz dlaczegoż to ma być tajemnicą?

— Tsy! właśnie żeby to panu wyłożyć i jeszcze z jednej przyczyny, chciałem z panem dobrodziejem pomówić. Dla powiatu wielkiej to wagi rzecz, żeby obrano pana Koniuszego. Mogłeś się pan dobrodziej dowiedzieć o tym zamiarze z boku i szepnąć starem u ci się święci, a to potrzeba konieczne, żeby on o tem nie wiedział.

— Czemu? — spytał Jerzy.

— Hm! czemu! bo nie zechce być; a jak go już obiorą, to musi.

— Ale dlaczegoż ma nim być konieczne?

— O! to długoby o tem mówić, a niewiele słuchać: rozumię pan dobrodziej, to interes ogólny. A teraz druga rzecz: mogę z panem mówić otwarcie?

— Jak najotwarciej, jeśli łaska.

— Otóż co jest: jeśli pan postąpisz sobie wedle rady szczerych swoich przyjaciół, może się pan tu u nas pięknie ożenić. Niech pan panny Ireny z oka nie spuszcza.

— Daruj Kapitanie, że się na ten projekt oburzę — zawołał Jerzy. — Mało znam pannę Irenę, żenić się nie myślę jeszcze, i projektów nie robię. Jeślibym zamierzał kiedy ożenić się, to z przywiązania.

Kapitan pomyślał, i wydmuchnął fajkę w oczy przechodzącej żydówce.

— Więc pan powraca do Warszawy? — spytał.

— Zapewne, w tych dniach.

— Po co? nie lepiej żeby tu osiąść przy panu Koniuszym?

— Tu także nic mnie nie nęci.

— Sam pan dobrodziej, nie pomnę, czy może szanowny dziad pański mówił, że dobra wielkopolskie tak jak nie należą do pana?

— To prawda.

— Czemużby tu u nas pracą i staraniem nie dorabiać się majątku? Tu w Polesiu, panie, tylko majątek robić! Choć to piaseczek, ale od czegoż woły? od czego wódeczka? a smoła sobie, a owce sobie; wydatki żadne: grosz co wszedł, nie wyjdzie. Wie pan co, ja nawet dla wstrzymania pana w tych stronach...

— Bardzom panu wdzięczny, ale cóż za powód zajęcia się mną?

— Panie dobrodziej! — rzekł ściskając i rozpluwając się Kapitan — z pierwszego wejrzenia, szacunek, przyjaźń, zresztą sąd pan jak chcesz. Ja panu stręczę dzierzawę doskonałą, majątek tani, a co się tyczy wypłaty pieniędzy, biore u siebie; pan mi tylko zapłaci procent.

Jerzy zdumiony wstał i odparł dość zimno:

— Nie mam prawa ani żądać takiej ofiary, ani jej przyjąć.

Kapitan gwałtem posadził Jerzego na tapczanie.

— Posłuchaj pan dobrodziej: nie chcesz wierzyć, że człowiek człowiekowi powinien i może uczynić dobrze, gdy go to nie nie kosztuje nawet; he? pan mnie masz w podejrzeniu?

— Daruj pan, ale to tak dziwne zajęcie się moim losem...

— No, mniejsza o to, może ja w tym mam jaki i swój interes.

— Przysnam się panu, że nie rozumiejąc o co chodzi, w żadną sprawę wdać się nie mógłbym, póki jej głębi nie dojrzę.

Kapitan się zawahał, podrapał.

— Wie pan co?—rzekł—daj mi pan słowo tylko, że nie odjedziesz nie widząc się ze mną; proszę o to.

— Zgoda na to.

— Na balu pan będzie?

— Idę z moim dziadem.

— Jakto! i pan Koniuszy się wybiera? a no! to i ja!—zawołał Kapitan.—Hej! Grzesiu! frak i buty żytomierskie!

Jerzy pożegnał niepojętego Kapitana i wymknął się do siebie. Stał razem ze starym i młodym Grabą. Oni się właśnie zdawali nad czemś naradzać, gdy Jerzy wszedł zamysłony, smutny i taki, że gdyby go w tym stanie ujrzeli dawni towarzysze, posadziłyby go musieli o ogromną przegraną w karty lub co gorszego nawet: bo dawniej nie bywał nigdy w tak posępnym i strasznym humorze.

Stary Graba, jak zawsze, miał na czole pogodę uczciwego człowieka, której nic zasępić nie może; wszakże więcej trochę wzruszony, trochę rumiany, w oczach miał jakby ostatni konający promyk niedogasłej namiętności, jakby łzę nie zaschłą jeszcze.

Smutno coś mówił do syna: syn słuchał z uszanowaniem i pokorą.

Jerzy przeszedł na palcach, nie przeszkadzając rozmowie, i posunął się do swojej izdebki, chcąc tylko ubrać się co najprędzej.

— Pan będziesz na wieczorze?— spytał go stary Graba.

— Będę, z moim dziadem— odpowiedział Jerzy.

— I mój syn także.

— A pan?— spytał Sumin.

— A ja! ja—trochę tajemniczo i zmieszany rzekł Graba—ja, może tylko na chwilę, lub całkiem nie.

— Czyż i taką zabawę pan potępiasz?

— Potępiam? nie! Młodym jej potrzeba, starym także większe zgromadzenia, choć nie tańczące, są zbawienne dla zamiany myśli, dla spotkania z ludźmi, zebranymi w społeczność i stanowiącymi wcale co innego od pojedynczo wziętych; ale ja mam moje powody, dla których może nie będę. Bawcie się dobrze za siebie i za mnie! — dorzucił smutnie, i uśmiechając się, wyszedł nagle.



JERZY DO EDMUNDA.

Zmienił się człowiek, zmienić się musiał zapewne i sposób pisania: bo mowa i pismo muszą malować tego, od którego pochodzą. Daruj mi, ale już dawne listy moje, wesole i puste, dziś się powtórzyć nie mogą; i jam inny daleko: tybyś mnie nie poznał, tybyś się zaparkł mnie może. Dawno nie pisałem do ciebie, a czuję potrzebę wylania się przed kimś. Tyś nie tak obojętny, nie tak bez serca jak inni, do którychbym pisał, dał się na pośmiewisko: więc znowu piszę do ciebie, Munciu, i nie spodziewam się, żebyś mi odpowiedział szyderstwem.

Nie pamiętam o czem ci donosiłem w liście ostatnim: mniejsza już o to. Wiész przecie, że od dni kilku w powiatowym miasteczku, powinienym napisać od kilku miesięcy, bo te dni krótkie tak są odmiennie od dawnego mojego życia, iż się zdają o całe lata od niego odległe.

Dziwadła.

Znasz z moich listów ostatnich tajemniczego pana Koniuszego Sumina, równie sfinxowatego Kapitana, zacnego Grabę, z którym jestem ciągle prawie, i całe tutejsze towarzystwo: naszkicowałem ci je w kilku moich listach. Niedawno mieliśmy bal w miasteczku, na który zjechało się mnóstwo osób. Irena królowa, królowała jak wszędzie, nie dziwacznością swoją, choć ją kobiety wszystkie zowią dziwaczką, ale pięknnością, rozumem, urokiem nieopisanym. Mój dziad przy niej zupełnie był podobny do kwoczki, co nad jedynym kurczęciem skrzydła rozacza: tak nad nią czuwał, tak ją sobą osłaniał, tak bronił do niej przystępu, zwłaszcza mnie. Doskonałym manewrem opiekuńskiej strategii starał się odwrócić namiętność moją, której się domyślał, na inny cel. Wysłał się na zawiązanie znajomości między mną a piękną napodziw i rozpieszczoną panią Grabową, która ma bogatą córkę na wydaniu.

Pani ta, nie mając zapewne pod ręką w tej chwili holdowników, mnie, jako dość dobrze mówiącego po francuzku i z niezgorszą manierą, przyjęła bardzo wdzięcznie, ale nie pokazując wcale córki, i holdy zatrzymując dla siebie samęj. Co do mnie, ta dojrzała, choć cudna piękność, wcale mi się nie podobała: jestto coś nie naszego wieku, nie dla nas stworzonego, a tak delikatnego, tak nieszczęśliwego, tak puszkowatego, że lękać się potrzeba, by zbyt mocne westchnienie nie zabiło jej, nie wstrzęsło nią jak grom! Ręki dotknąć ani myśleć!

O! ja wolę Irenę!

Trzeba ci było ją widzieć w gronie młodzieży, która wkoło niej lata, snuje się, ciśnie, tłumi: spokojną, wesolą, wspaniałą, śmiałą, pewną siebie, i wymierzającą ostre prawdy w oczy paniczom, z których każdy prawie, wplątawszy się zuchwale w rozmowę z nią, odchodził zbity na miazgę.

Dla mnie nie było miejsca w tym zaczarowanym kole: dziad mój tak zręcznie ukartował rzeczy, że pani Grabowa zajęła się losem moim na cały wieczór. Naprózno chciałem się jej wyrwać; musiałem trzymać flakoniki, biegać za służącymi, tańcować z nią (bo mimo słabości tańcuje z szalem): słowem *faire une cour assidue*, pomimo że w tych okowach wściekał. Jestem z natury i z nałogu grzeczny; grzeczność to ta moja, głupia grzeczność, splątała mi tak potężnego łągła. Ani na chwilę odstąpić jej nie mogłem; oczyma tylko, sercem byłem tam przy Irenie; ciałem tu mnie przykuła przyzwyczajenie i grzeczność do roznerwowanej pani, która wynagradzała moje nadszkakiwania, malując mi swój stan chorobliwy i wszystkie nieszczęścia swoje.

Nareszcie nierychło bardzo wyrwać się potrafiłem z rąk jej, gdy znużona i osłabiona odjeżdżała; odprowadziłem ją do karety, wsadziłem, zapakowałem, zamknąłem, i pędem pospieszyłem do Ireny. Irena spojrziała na mnie prawie z pogardą: z jej wejrzenia domyśliłem się, że dziad mój musiał mi się przysłużyć jak zwykle.

— Mile spędziłeś pan wieczór?— spytała z niejakim szyderstwem.

— Mile, czy nie, ale to pewna, że nie tak jak chciałem i jakim się spodziewałem— odpowiedziałem.

— Owszem, wszakżeś pan podobno prosił dziada, żeby go poznał z tą panią?

— Ja!— wykrzyknąłem, porywając się — ja prosiłem!

Spojrziała na mnie i szepnęła cicho:

— Albo pan, albo Koniuszy, gracie doskonale komedią!

Nie powiedziałem słowa więcej; obarczać dziada nie chciałem, choć stary filut wyrządził mi piekielnego figla. Irena całkiem już była inaczej ze mną: po chwili bardzo obojętnej rozmowy, wstała, narzekając na znudzenie i znużenie, i rzuciła mnie w rozpacz. Odprowadziłem ją tylko oczyma, i zaraz za nią chciałem uciekać z tego wieczora; w progu spotkałem Kapitana, który zatrzymał Irenę i rozmawiał z nią żywo.

— Coto za nieoszacowany człowiek ten pan Koniuszy ze swemi figlami — mówił właśnie do Ireny, mnie wstrzymując za rękę — nie wiész, kuzynko, jak się zrecznie panu Jerzemu przysłużył!

— Panu Jerzemu?

— A tak! rzucił go na pastwę pani Grabowej, stary filut! i jeszcze wmówił we wszystkich, że to na własne jego uczynił żądanie; a to poprostu tylko, że chce, aby się tu pan Jerzy z nami znudził, i powrócił co prędzej do swych interesów w Wielkopolsce... Dobry, pocziwy Koniuszy! coto za serce, coto za troskliwość! Radby go co najprędzej wyprawili, tak się lęka, aby tu nie zagrzał i nie zaniedbał pilniejszych spraw. A! boćto dobre wszystko, ale interesa przedewszystkiem.

To wypowiedziawszy, sklonił się odchodzącej Irenie, a mnie zatrzymał.

— Pan widzisz — szepnął mi na ucho — że kuzyneczka czegoś w złym humorze! he? Jeszcze jak ją znam takam ją nie widział. Cośto jest! ej! coś jest! gdybym był młodym jak pan, tobym się domyslił. Nie odjeżdżaj pan, nie odjeżdżaj! kto wie, coto się święci?!

I puściwszy mnie, zniknął w tłumie.

Alem jeszcze za drzwi nie pospieszył przejść, gdy stary Koniuszy pochwyił mnie arcy-serdecznym uściskiem.

— A co u kroćset fur batalionów djablów! — zawołał — ty się Jurku myślisz wynosić ztąd bez wieczery, głodny? będą ci się cygani śnili! Nie wart byłbyś imienia polskiego, gdybyś mógł spać z próżnym żołądkiem. Wstydz się! wstydz do kroć sto tysięcy zajęcy! chodź ze mną: ja ci się tak popsuć nie dam. Ale tyś widzę smutny i zamyślony! he! już? o pięknej pani? a prawda że piękna? ha! ha! oj łotr! łotr!

— Piękna pani, dzięki Koniuszemu dobrodziejowi, pięknie mię też wynudziła.

— Tere-fere-kuku! strzela baba z łuku! Kto nie pracuje, nie ma: nudź się! Pamiętaj o córce: chcesz córuni, podobaj się wprzód matuni!

— Ale zlituj się, panie Koniuszy, daj mi pokój z córką!

— O! o! patrzno go! kiedy mu najlepiej radzą, ten Spartańczyk odpycha radę. Znamy was ptaszki! No! chodźno jeść! chodź!

Weszliśmy przez buffet do tajemniczej malłej izdebki, do której nie bez jakiejś ceremonii dziada mojego puszczono, a z nim i mnie. Byłto dla profanów zamknięty przybytek — gry.

W zadymionej, szuffadkowej, długiej ciupce, jedni jedli napręde, drudzy zielony stół obsiadłszy, grali w djabelka. W puli było tysiąc, może półtora tysiąca dukatów. Wiész jak grać lubilem: nie powiem, żeby widok gry dla mnie wyposzczonego, com dawno już nic, prócz maryasza dziadowskiego, nie widział, nie był pońetny; coś mnie na widok grających polechtało, wzruszyło i namiętność się odezwała. Tymczasem dawano jeść, a dziad mój, wzięwszy mię pod rękę, zbliżył się do stolika,

i jakby kusząc, poznawał z kolei ze wszystkiemi gracjami, a od niechcienia niekiedy napomykał:

— Co? nie zagrasz?

Czynił to pytanie, jakby mię wyzywał: w oczach jego było coś niepojętego: i wstret, i niecierpliwość, i jakaś passya niezrozumiała dla mnie, ale gwałtowna, choć się ukrywała.

Przy wieczery podpoił mnie stary doskonałym węgrzynem; kazał z niesłychaną rozrzutnością dać jeszcze na dobitkę szampana, i sam pił ze mną jak piasek. Wiész, że i ja nieźle piję, ale on leje w siebie, jakby mu nigdy do głowy pójść nie mogło. Ani poczerwieniał, ani pobladł, ani spieszniej, ani powolniej mówić nie zaczął, a jednak zachęcając mnie, wypił na siebie, i wypił sumiennie, ze sześć butelek wina, mnóstwo wódki i porteru. Nakoniec, widząc mnie jeszcze niepijanym, kazał podać ponczu, i podchniłego dobrze zmusił prawie do gry usiąść. Napróżnom mu się opierał; opierałem się wreszcie słabo: stare nałogi głośnieję i silniej mówiły od świeżo rozbudzonego rozumu. Wkrótce osoby przytomne w kłębach dymu poczęły mi się niezrozumiale zwiąć; pijany zasiadłem do djabelka z kilkudziesiąt dukatami, a dziad, jak szatan kusiciel, stojąc za mojem krzesłem, wsunął mi do ręki rulonik dukatów, szepcząc:

— Do spółki.

Ty wiész, Munciu, jak gram szczęśliwie: wprawny, choć podchmielony i ciągle dolewany, bo dziad wołając: — jak mnie kochasz! — poncz ciągle dawał a dawał, wkupiwszy się do djabelka, zawzięcie grać począłem. Przeciwno wszelkim prawidłom, Koniuszy zachęcał do ogromnych wystawek i długiego ciągnięcia; ale szczęście czy nieszczęście chciało, żebyem pomimo tego wszystkiego miał passę niesłychaną: za każdą razą przechodziłem po pięć i sześć razy, i w końcu gry znalazłem przed sobą około dwóch tysięcy czerwonych złotych. Byłem już ogromnie pijany, tak, że ledwie na nogach mogłem się utrzymać. Koniuszy, jakby litując się nademną, zaproponował świeże powietrze, i wsadził do swojego powozu.

Spóźniewałbyś się tego po zdrajcy?

Spitego, ogłuszonego, zawiózł mię, zgadnij dokąd? — do Ireny.

Chciałem się cofnąć z pokoju, ale stałem już na przeciw nię, stałem jak winowajca pod pręgiem. Koniuszy zdawał się tryumfować, zacierał ręce śmiał się, przepraszał, gadał, kręcił się. Ja stałem w progu, ale wytrzeźwiony nagle, cudownie, choć mi się trudno było na nogach utrzymać, schwyciłem się za poręcz krzesła, i czułem jak z rozpacz, z krwawej boleści, dwie łzy pociekły mi po spieczonej twarzy.

— Ale siadajże, Jurku, bo któż nie widzi, że ci się trudno na nogach utrzymać! — wołał Koniuszy. — Niechże go pani prosi siedzieć. Wię pani, zuch! jak pije! a! a! a! a i w djabelka gra tego: wygrał około dwóch tysięcy czerwonych złotych! Zuch, pani!

Tak zarekomendowawszy mnie, spojrział na Irenę, której twarz była nad wszelki wyraz pełna pogardy, smutna, poważna, sroga razem.

Ja milczałem, ale chciałem skonać.

Wtém szybko weszli Kapitan z panem Grabą.

Na widok Kapitana, jakby go zimną oblał wodą, Koniuszy spowaźniał, stał się niezmiernie grzecznym i potulnym, zdawał się czegoś wstydzić. Graburowy był jak sędzia powołany na sprawę. W szarych oczach Kapitana złośliwy uśmiech zwy-

ciężtwa się kręcił; po chwili dopiero, niby spostrzegłszy mnie, zawołał:

— A! i pan tu? i pan tu?

Rozmiał się na całe gardło.

— Cóżto za nieoceniony dziadunio!—rzekł, ścisnąc Koniuszego, jakby go chciał udusić — oto wzór krewnych! oto opiekun nieoszacowany! Nie widziałem jeszcze, żeby tak kogo wylanem sercem przyjmował, jak wnuka: tożto wie pani, że go poił, ale poił!

Dziad chciał napróżno rozmowę odwrócić.

— Wszak i sam pan Koniuszy, pojąc, wypił z dziesięć butelek! Ale głowy, powinszować!

— I miałże pan litość potem sadzić do gry prawie gwałtem — dodał Kapitan, do dziada się obracając, który tylko usta zaciął, oczy wytrzeszczył i pięści postulał, jak gdyby się bić zabierał. — Ha! ha! ha! Łaska Boża, że się pański wnuk nie zgrał ze szczętem!

Irena, widziałem, z litością spojrziała na mnie, z wyrzutem na dziada, a Graba zbliżywszy się począł coś mówić na ucho, czego nie rozumiałem, tak byłem nieprzytomny. Z troskliwością brata i przyjaciela, powoli wyprowadził mnie z pokoju.

W drodze nie rzekł i słowa, zawiózł, położył w łóżko, i odszedł, polecając mi memu Stasiowi, który wiedział dobrze, jak się obejść w takich razach. Nazajutrz rano dopiero, gdym wściekły na siebie i rozpaczający latał po izbie, wszedł mój nowy przyjaciel do pokoju, i przynknawszy drzwi starannie, rzekł siadając w krzesło:

— Widzę po twarzy i spodziewałem się tego, że pan dzisiaj zgryziony będziesz wczorajszym swoim wypadkiem, mogę powiedzieć nieszczęściem, gdyż ledwie nie tak nazwać można pokazanie się w takim stanie w obec osób, które się szacuje...

— A! nie mów pan o tém!—zawołałem.

— Owszem, mówmy o tém — rzekł poważnie. — Pan trafiłeś tu nieszczęśliwie, i możesz paść niewinną ofiarą dziwnego zbiegu okoliczności. Wiele pomówićby potrzeba, nimbyś pan mnie zrozumiał.

— Znasz pan — spytał po chwili — przeszłość swego dziada?

— Ja? ani przeszłości, ani jego znać nie chcę! Dziś jadę.

— Powoli, powoli, pomówmy otwarcie. Na co tu ukrywać? Kapitan mówił mi, że nie masz pan dokąd jechać: przyznaj mi się pan, choćby cię to kosztować miało.

— O! zawsze się znajdzie gdzie zginąć!

— Ale po cóż ginąć?—spytał Graba.

— Bo mi życie obmierzło!—zawołałem.

— Na wszystko są lekarstwa.

— Na wszystko, prócz jednego—odparłem z goryczą. — Chcesz pan i pozwalasz, żebym mówił otwarcie? Od pierwszego wejścia pokochałem pannę Irenę: wiem i wiedziałem odrazu, że to szaleństwo, ale oprzeć się uczuciu nie mogłem! Wczoraj stanąłem w obec niej w takim stanie, który mnie na wieki w oczach tej kobiety potępić musi. Cóż mi pozostaje?

— Dowieś jej, że to był przypadek, dalszém postępowaniem.

— Uczucie nie rozumuje i wrażenia się nie zacierają. To co wczoraj się stało, jest niepowrotne i niepowrotnie mnie gubi.

— A jeśli panna Irena wie, żeś pan dobrowolnie nie poniżył się tém zbydłęcieniem, ani dobrowolnie gry nie szukał?

— Nie mniej wrażenie zostało!

— Może litość tylko.

— O! i litość straszna! Kto się lituje, ten kochać nie potrafi: litujemy się tylko nad niższym od siebie.

— Zbyt gorąco bierzesz te rzeczy, panie Jerzy — rzekł Graba — ale ja, co cię ile mogę niewinniam, powiem ci jedną prawdę: wszystkoby to nie miało miejsca, gdybyś w życiu miał pewne i niezłomne zasady. Nie gniewaj się, mało cię znam, ale ja zawsze mówię prawdę, choćby najmniej znanym. Nigdy nie potrzeba pić nad miarę, choćby dla czyjej przyjaźni; wolę niech się gniewają, niżli ja się mam zbestwić. Powtóre, godziź się grać w karty?

— Jakto?

— Karty są zabawką barbarzyńskich lub dziecinniałych tylko ludów: zabijają czas, uczą chciwości, oglupiają, wyrabiają najzgubniejsze namiętności, wdrużają do najszkodliwszego próżnowania. Nie pojmuje gry. Wolno grać Indianom i ludożercom, wolno nawet lazaronom na wybrzeżach Neapolu, ale nam?!

— Pan więc zupełnie grę potępiasz?

— Jako zabytek barbarzyństwa lub cechę upadku.

— Ale to walka z losem! to...

— Tak się wymawiają namiętni: to głupstwo, kochany panie. Im chodzi jeśli nie o wygraną pieniądze, to o wygraną wzruszenia: ale godziź się szukać wzruszeń w grze? A gdyby za wzruszeniem potrzeba ci aż zabójstwa i zbrodni się dopuścić, czy i tambyś po nie poszedł? Gra demoralizuje, tak, że niejeden co do niej siadł uczciwym, wstał w kilka godzin potem oszustem. Możnaż, wiedząc jak ona spadła, dobrowolnie w ten ogień się rzucać? Nie! nie! grać nie potrzeba nigdy!

— Masz pan słusność!—zawołałem.—Daję panu słowo, że grać nie będę więcej.

— I bardzo dobrze uczynisz. Mój Boże! człowiek, którego życie jest tak drobną kropelką, niedostrzeżonym pyłkiem, danym mu na podniesienie się ku Bogu, miałżeby trwonić je, na co? na grę!!! Więc zamiast rozpaczać, iść i ginąć, potrzeba tylko życie odmienić, i stanowczo powiedzieć sobie co czynić.

Nabrałem nieco odwagi; i mówił dalej:

— Wyrzec się wszelkiego próżnowania, kart, obrócić życie ku jednemu jego celowi: zużytecznieniu go dla braci, dla siebie, na korzyść wydoskonalenia własnego.

— Tak; ale mogeż, z rozpaczą w sercu, gdy mi obrzydło wszystko, znaleźć na to siły?

— Potrzeba! Rozpacz jest cechą dusz słabych: kto zgłupiał, rozpacza.

— Nie godziź się nigdy zgłupieć?

— A! — rzekł z jakimś uczuciem egoistycznym smutniej i ciszej pan Graba — człowiek człowiekiem: upaść jest rzeczą ludzką; ale podnieść się, to dopiero zasługa, zwycięstwo!

— Radźże mi pan, dodaj ducha, co mam uczynić z sobą?

— Pracuj! jedném słowem—odpowiedział Graba.

— Trzebaż od czegoś zacząć — rzekłem — od czego?

— Najwłaściwsza dziś dla nas i zgodna z instynktowem usposobieniem naszym — począł mówić — jest to, co u nas się zowie gospodarstwem. Ale nie myśl, panie, żebym ci kazał z bogactwem się krwawym potem ludzi: to nie gospodarstwo, to występki! Ja inaczej pojmuje ten rodzaj życia. Można gospodarzyć bez ucisku, rozlewając powoli dokola siebie dobry byt, oświatę, zdrowe pojęcia obowiązków, można zbawiennie wpływać na lud otaczający; a sa-

memu wieść życie czynne, mężkie, i trochę odosobniony się od tego, co u nas i wszędzie zowią światem *per excellentiam*, zbliżyć się myślą do Boga, rozważać do siebie, uczuciem do ludzi. Pan nadużył w młodych latach przyjemnostek życia: trzeba żebyś się uleczył z tej skłonności widzenia go ze strony zabawnej a czerzej.

Mówił, ja słuchałem, i zważ co za zmiana? Jam sobie dał to wszystko powiedzieć, a co więcej, jam postanowił uczynić tak, jak mi radził. On i Kapitan nastęrczyli mi niezbyt daleko od Turzėj-Góry i od Rumianej (z Rumianą granicę) majątek wielki, opuszczony, który biorę w dzierżawę. Rozumiesz ty to i wierzysz temu, Munciu?

Ta nieszczęsna wygrana, której połowę chciałem napróżno oddać dziadowi; wygrana co mi pali dłoń, co mnie może zgubiła w oczach surowej Ireny, stała się za karę węgielnym kamieniem mojej przyszłości. Dziś podpisujemy kontrakt dzierżawny, płacę pieniądze, a w marcu obejmę moje nowe gospodarstwo.

Ireny i dziada mojego nie chcę widzieć więcej: jej nie pokażę się, bo się wstydzę, bo się jej lekam, bo ją kocham; dziad mój, choć dobrze nie rozplątałem dotąd powodów, zdradził mnie, odepchnął; na cóż mu się mam narzucać? Wprawdzie od ostatniego wieczoru jakby go zgryzota sumienia dręczyła: przychodził do mnie, przysyłał, a dowiedziawszy się, że Kapitan i Graba czynnie mi pomagają, i ja zostaję w tych stronach, mrucał niespokojny, oświadczając się z chęcią pomocy dla mnie. Nie odpowiadałem mu, bo szanuję siwę jego włosy, ale dałem mu uczuć, że odtąd będziemy oby dla siebie.

Śmiej się, jeśli ci się spodoba, ja spieszę do mojego (jak to zowią) jurisdatora, ostatecznie umawiać się o dzierżawę. Zapadliska (tak się zowie dzierżawa moja, i dobrze podobno się zowie) leżą o milę dobrą od Turzėj-Góry, a o trzy ćwierci mili od Rumianej, z którą graniczą. Koniuszy przychodził z tem do mnie, że to błoto, piasek, oczerety i lichota, że pieniądze i czas tracę; widzę, że chciałby odepchnąć mnie dalej, ale trzymam się Zapadlisk odważnie. Stary, jeszcze nie wiem czemu, odpycha mnie od Ireny: ale któż wie, ja jej nie zobaczę może więcej? Graba, odkrywając co się w sercu mojem dzieje (jak widziałeś, nie tailem się wcale przed nim), pociesza mię nieznacznie. Jestem pewny, że on i Kapitan, a Kapitan tylko dla przekory dziadowi, szczerze pomagać mi będą.

Teraz wezmę się pilnie do odkrycia przeszłości mego dziada, i rozwiązania mnogich otaczających mnie zagadek. Tymczasem żegnaj się!

Twój Jerzy.

XL.

EDMUND DO JERZEGO.

Bóg widzi, że z listów twoich pojąć ciebie niepodobna, i kaszy, w którą tam wpadłeś, zrozumieć trudno. Dotąd łamię głowę, i nie mogę rozgmatwać, jaką ty tam grasz rolę, czemu twój protektor *natus* stał się nieprzyjacielem twoim, jak widać. Pojmuję bardzo, żeś sobie mógł wmówić, iż się kochasz: to się zdarza codziennie, ja sam kilkakroć byłem w podobnym położeniu; ale miłość swoje bierzesz kochanku (pozwól sobie powiedzieć po przyjacielsku) nadto ze strony poważnej, a według mnie,

strony poważnej i rozumnej w miłości wcale nie ma. Miłość rozsądna i chłodna a poważna, to *nonsens*!

Biędny Jurku! pokazuje się, że ty zawsze miałeś podszewkę niemiecką i sentymentalną, choć się z nią kryłeś, jak zrujnowany elegant z podszewką wyszarzanego surduta.

Jakiś ty teraz smutny (wyrażenie grzeczne), moralizujący i zakochany w swoim nieznośnym Grabie, wiekuistym kaznodziei, którego ja znieść nie mogę. Przyznam ci się, że z całych twoich dziejów, z tej odyssey poleskiej, jeden epizod Koniuszego i Kapitana w ciągłej kłótni i usciskach, cokolwiek mnie zajmuje.

Biędny jesteś, Jurku, i z serca mi ciebie żal! Jak ty tam wyżyc potrafisz? coto z ciebie będzie? Życzylbym ci z całej duszy, żebyś dostąpił szczęścia posiadania w dożywotnią przyjaźń twęj królowej Ireny, ale mi sumienie nie pozwala. To kobieta-pani, ty, między nami mówiac, jesteś trochę miętki: weźmie cię pod pantofel; przytem zarazona sentymentalnością pana Graby; nie zaręczam, czybyście oboje nie kopali na kartofle w ogrodzie, jak się pobierzecie: gotowicie to uczynić dla dania dobrego przykładu! Chcesz mojej rady?—po diabla tobie ta dzierżawa? Miałeś dwa lub około dwóch tysięcy czerwonych złotych: powróciłbyś z niemi do Warszawy; na rok miałbyś zapewnione życie dawne, wesołe, puste, szczęśliwe! A nużbyś w ciągu roku wygrywał? ot, pociągnęłoby się i dłużej. Zamłodo chcesz kończyć; poczekajbyś mógł do tych znaków strasznych, które koniec podobny poprzedzać zwykły: łysiny, utraty zębów i t. p.; naówczas, nie przeczę, poraby była zastanowić się surowiej, i ożenić, choćby z jaką ciepłą wdówką lub bogatą kupcówną. Ale cóż? ty teraz dobrej rady nie posłuchasz: jesteś surowych zasad człowiekiem, skruszony jak Kapucyn, topisz się! O! jak mi ciebie żal, jak mi ciebie żal! Cóż się stanie ze Stasiem? Możebyś mi go tutaj odesłał? On bez miasta do niczego, w mieście nieopłacony klejnot. Dalbym mu (to jest obiecałbym mu) też samą pensyę co ty, a z kart u mnie mógłby sobie zebrać grosz nie brzydki. Mój pan Paweł odprawił się, pod pozorem, że pensyi nie odbierał. Głupi! któż mu winien? nigdy się o nią dwa razy z rzędu nie dopomniął. A w istocie krałł mnie niemilosiernie, i chodził w moich rejtrfrakach na Saską Kępe na hulanki.

Ale co to dziś ciebie obchodzi?

Donieść ztąd nie mam co tak dalece.

Lora już opuściła Generała, lub też on ją: jedno z dwojga; dostała się w spadku bankierowi ***, który jak jest szczęśliwy kiedy pana Generała poj, tak najszcześliwszy kiedy po nim niedogryzki zbiera. Bankier wzięwszy to wspaniale dziedzictwo, kapelus z teraz nosi daleko więcej na ucho; unieblował dla niej z przepychem apartamenty: zbieramy się tam na wieczorki. Lora, co mnie dla niej smuci, grywa w lansknechta: starość blisko! Pójdzie za mąż, to nieochybna! Szmul ci się kłania; powiedziałem mu, że zostałeś Kapucynem: cieszy się tem, utrzymując, że sumienie zmusi cię do zapłacenia długów, i bardzo pochwała moralną życia poprawę. Mary powrócił z Paryża, i ulokował się bez szyldu na Krakowskiem-Przedmieściu; jego następcą w Angielskim hotelu bardzo ma kwadratną minę.—Adieu!

Twój Edmund.

XII.

JERZY DO EDMUNDA.

Mój Boże! jak mi ciebie żal!

Ty się rozśmiejesz z tych wyrazów poczynających list; lecz po przeczytaniu ostatniego pisma twego, przypomniawszy niemi życie dawne i porównawszy je z dzisiejszem, nie mogłem się powstrzymać od tego wykrzyknika, który zresztą ty także ze swego stanowiska do mnie powtarzasz. Więc kwita!

Żal mi ciebie doprawdy, i niezgo ci już nie zazdroszczę. Czczo i pusto wieje na mnie chłód z waszego miejskiego życia.

Ja siedzę w ciszy wprawdzie, ale otoczony książkami, myślących ludzi towarzystwem niewielkiem, i nie tylko, że dawny nasz nieprzyjaciel czas mi nie cięży, ale mam go teraz zawsze zamalo. On tak leci!

Od ostatniego listu nie widziałem więcej Ireny. Dziad mój, przed rozjechaniem się naszym z powiatowego miasteczka, był razy kilka u mnie, chcąc z sobą zabrać mnie do Turzój-Góry, alem mu grzeźnie podziękował i odmówiłem: po cobym tam pojechał?

Graba dał mi domek niewielki w jednym z swoich folwarków, domek. w którym sam mieszkał czas jakiś; i prawdziwie po przyjacielsku obdarzył mnie wszystkim, co życie samotne, jakie prowadzę, uprzyjemnić może. Książek mam podostatkiem: ale nie myśl, żeby to były owe bruxelskie wydania francuzkich romansów, któreśmy pożyczali u Merzbacha i Sennwalda, żebyśmy o nich mówić mogli w towarzystwach ze znajomością okładek. Zaczynam świat poznawać z innego wcale stanowiska, niemniej poetycznego, a nierównie prawdziwszego i bardziej nauczającego. Mam towarzystwo dwóch Grabów, czasem Kapitana, którego chociaż nie lubię, muszę mu być wdzięczny, bo mi wiele dopomógł. Mam strzelbę, konia, psa, lasy, i ciszę, i spokój! Staś zawsze powoli wybiera się do Warszawy: dostał bolu w boku, i utrzymuje, że zdrowie jego wymaga, żeby mnie opuścił, choć z żalem rzuca mnie na tej pustyni: tymczasem oswiają się ze strzelbą.

Domek mój, tuż pod przylądkiem dzierzawą, niedaleko także od Rumianej i od Turzój-Góry, stoi w lesie na wzgórzu: kilka chatek budników otacza go dokoła; po za nami lasy ogromne, szumiące, posępne, dzisiaj dla mnie mile, choć dla każdego z was byłyby bardzo smutne, przerażające jak wygnanie. Trzy pokoiki i składzik z sienią stanowią całe moje mieszkanko; wewnątrz największa prostota: wszystko z prostego drzewa i niewykwintne. Staś jeszcze się nie obył z niczem: pluje i rzuca krzeselkami, jakby je chciał porozbijać na kawalki, posuwa stoly z pogardą; po kwadransie, wpatruje się w pułap z belkami, z rozpaczą i szyderskiem zdumieniem; śmieje się śmiechem Otella na widok sosnowej podłogi, długimi monologami wita kominki i piece niewykwintne: ale przecież nie ucieka. W istocie, daleko od moich dawnych fotelów, wybijanych karmazynowym axamitem, do tutejszych perkalem pokrywanych krzesel! Graba dał mi kucharza i chłopaka do koni, bryczkę wygodną (bo mój kocyk sprzedałem Paliwodzie), i cztery do niej szpakowate mierzyny kupiłem u niego.

Konie tutaj za bezcen: gdybym je doprowadził do Warszawy, zarobiłbym grosz na groszu.

Dni mi przechodzą lekko i żywo; poluje, myślę,

czytam, jeżdżę do Grabów, i zdaleka czasem popatrzę na Rumianą, w której być nie śmiem i nie chcę. Raz nawet, zdaleka, zdaleka widziałem ją na koniu powoli brzegami stawu jadącą; ale mnie poznać nie mogła: ja ją tak prędko odgadłem i przeczułem!

Słyszę od Kapitana, że Koniuszy wszelkiemi sposobami starał się i pracował, żeby Irenę wyprawić do miasta lub za granicę; ale dotąd mu się nie udało: nie chce się ruszyć ze wsi. Rozumiem teraz to wszystko: chce ją oddalić odemnie, i wyznam ze smutkiem wprawdzie, Koniuszy miał słusność! Koniuszy ma serce!

Posłuchaj, jakbyś czytał lub słuchał starego jakiego romansu.

Dawno to już, a bardzo dawno temu, żyła w tej okolicy piękna jak Irena, i mówią, bardzo do niej ze wszech miar podobna Karolina... Była córka bogatych bardzo rodziców, którzy sąsiadowali z Turzój-Górą, których łączyły dawne związki przyjacielskie z domem Suminów. Karolina, sądząc z uwielbień powszechnych, dziś już przeszłych w podanie, równie piękną, uroczą, zachwycającą być musiała jak Irena. Wcześniej bardzo straciła matkę, i stary tylko pan Podczaszy, jej ojciec, pozostał opiekunem jedynym ślicznego i lubego dziecięcia. Bliski krewny Podczaszego (dzisiejszy nasz pan Kapitan), naówczas młody chłopaczek, i dziad mój, młody także, paż Króla JMci, zarówno zakochani, starali się oba o pannę Karolinę.

Nie wiem tego dokładnie, jak z tego współzawodnictwa wyrosła między niemi nieprzyjaźń, niechęć, prawie nienawiść, trwająca dotąd: to pewna, że dziad mój winien zdobyć się na wspaniałomyślność, bo był szczęśliwszym, i pozyskał serce panny Karoliny. Trzy razy ci panowie, pod różnemi pozorami (bo nigdy między niemi o prawdziwym powodzie zajęcia mowy nie było), siekli się zaciecie na pałasze: po każdej siekaninie, ściskali się serdecznie i poprzysięgali sobie przyjaźń wiekniustą.

Kapitan wreszcie widząc, że sam ubogi naówczas i ogołocony z wszelkich przypodobania się sposobów, nie dostoi placu Koniuszemu, który swojego czasu był pięknym, żwawym i miłym młodzieńcem (czemu dziś dać wiarę dość trudno): starał się jakimkolwiek sposobem odsadzić i wyrugować współzawodnika.

Stary Podczaszy, po staremu niewiele patrząc na córkę, którą jednakże bardzo kochał, sejmikował, pił i procesował się ciągle. Zjazdy po zjazdach napełniały dom jego wrzawą i ściskiem panów szlachty, jedne pod pozorem konferencyi, drugie niby dla jakichś imienin, urodzin, rocznic, inkrotowin, ugód, kodessensyj; inne z powodu narodowych i religijnych uroczystości: cały rok czyniły prawie nieustanną hulanką. Podczaszy, puharem witając gości w ganku, żegnając kielichem na stopniu, ani miał czasu wśród obrad, uścisków, przeglądania dokumentów i forytowania sejmikowych kandydatów obejrzyć się na córkę.

Gdy się to dzieje, Koniuszy pocichu, ukradkiem dojeżdżał na koniku do Rumianej, i w lipowych alejach, gdy starzy piją i krzyczą, przepędzał z panną Karoliną dni całe, wieczory długie, mając za sobą panią Czerkaskę, daleką kuzynę, rezydentkę i dozorczynią Karoliny. Pani Czerkaska, najlepsza i najpoczciwsza w świecie kobieta, miała tę słabość, że lubiła, aby ją w ręce całowano: a Koniuszy nieustannie końce palców jej cmoktał, i nazywał ją Łowczanką, co także bardzo jej było do smaku. Tym sposobem zyskał sobie przystęp we

wszelkiej godzinie do panny. Kapitan wszystko to wyszedził, stał na straży, czuwał, a gdy się dobrze rozkochali, gdy już pewni zezwolenia myśleli o ślubowaniach, szepnął w ucho Podczaszemu co się działo: a wiedział jak rzeczy odmalować, żeby go oburzyć.

Straszny się zrobił rejwach: pani Czerkaska natchmiast wywieziona została z domu, pannę zamknięto w klasztorze, a Koniuszemu oświadczone, że jeśli się w domu pokaże, to go stajenni bieżami powitają. Stary Podczaszy, któryby był wydal chętnie córkę za Koniuszego, rozgniewany tem co nazywał płamą swego domu, obruszony podejściem, poprzysiął, palce złożywszy w obec kilku zaufanych osób, że nie wyda Karoliny za tego, który śmiał podstępnie, zdradziecko, bez jego wiedzy, starać się o nią i serce jej zyskiwać. Prózne były zjazydy, prośby i gorliwe wstawienie się Suminów: starzec został nieubłagany, nawet łzami kochanej córki i jej wyznaniem przywiązania do pana Koniuszego, na które się zdobyła, padając mu do nóg. Odpowiedział z brwią zamarszczoną i czołem chmurnym:—*Quod dixi—dixi!*

Może żałował przysięgi pospiesznej i nierozważnej, możeby był chciał ją odwołać: ale nie mógł jej złamać, nawet dla szczęścia córki. Przysięga naówczas była jeszcze przysięgą; dziś wieleby to się znalazło powodów do uchylenia jej!

Wkrótce potem odbyło się wesele Karoliny z podziłym już Starostą... Mój dziad w rozpacz trzy razy kusił się o wykradzenie panny: najprzód z klasztoru, potem z domu ojca; raz miał postrzeloną rękę, drugi raz zmuszony był bić się z kozakami, co go ścigali natarczywie, trzeci raz skacząc z muru, nogi potamał. Kapitan czuwał nad panną Karoliną.

Odbyło się smutne a szumne, oblane potokami wymowy, węgryzna i lez wesele; Kapitan i Koniuszy zostali sami przeciwko sobie, z wściekłością wzajemną w sercu, z nienawiścią zarobioną latami. Powodu tej niechęci nie mogli i nie chcieli na jaw wyrzucić: ściskali się więc jak dzisiaj, a całe życie szkodzili i uprzykrzali się sobie jak mogli.

Kapitan poszedł do wojska; Koniuszy zagrzebał się na wsi, i chciał zagłuszyć w sobie żal, rozpacz, namiętność; znęcając się nad niewinną zwierzyną, został zajadłym myśliwcem. Tymczasem umarł Podczaszy; wprędce jakoś Starosta miał córkę, a matka jej, smutna i piękna Karolina, z uśmiechem bolesnym przycisnąwszy dziecię do piersi, umarła. Koniuszy po śmierci ubóstwionej istoty, której zapomnieć nie mógł, cały się poświęcił najprzód pozyskaniu przyjaźni sąsiada Starosty, aby się zbliżyć do dziecięcia Karoliny, nad którym potrafił wyrobić sobie opiekę. Kapitana nie było naówczas, udało się więc zjednać i przyjaźń Starosty słuchaniem opowiadań o roli, którą grał w konfederacjach, i zaufanie jego, pożyczką pieniędzy i opieką nad Ireną. Umarł Starosta; a sierota testamentem poleconą została dziadowi mojemu.

Przywiązanie do niej, więcej niż ojcowskie może, namiętne, gwałtowne, zbliża się do szału. Żyje nią i dla niej tylko; w niej widzi jedyny jasny promyk swojej przeszłości, w niej pielęgnuje wspomnienie jedyne.

Pojmujesz teraz, że dla jego przywiązania, tak gwałtownego, tak silnego, przybycie wietrznika jak ja, wzbudzić mogło obawę. Musiał pracować, bojąc się, żeby okoliczności nas nie zbliżyły, żeby Irena nie dostała się człowiekowi bez zasad, bez

charakteru, bez przyszłości, za jakiego mnie, i nie bez powodu, uznawał.

To tłumaczy całe jego postępowanie ze mną, i gorliwe wyprawianie mnie z domu, i niechęci, i gniewy jego. Kapitan czyniąc mi dobrze, robił jak zwykle tylko staremu nieprzyjacielowi swojemu naprzekor.

Upojenie mnie i zachęcenie do kart było może tylko próbą, i gdybym się był nie dał tak zwałać, kto wie, stary Koniuszy byłby może lepsze miał o mnie wyobrażenie, i dozwolił choć nadziei; lecz trzeba było, żebym się sam zabił przez płochosć? Munciu! nigdy nie bądź grzecznym *quand même*: głupia ta grzeczność moja mnie sponiewierała i zgubiła: pokutuję teraz za nią.

Kapitan, który starannie szuka powodów tylko żeby staremu dojeść, robi mi nadzieję, że dziad mój zostanie marszałkiem, co go od Rumianej odciągnie. Jak widzę, Kapitan wydałby kuzyneczkę za pierwszego z brzegu człowieka, byle wiedział, że ten dobrze zalezie Koniuszemu za skórę. Nie inny jest powód tajemnego prowadzenia go na marszałkostwo i popierania mojej strony.

Koniuszy, jak słyszałem, mocno strapiony i ponury siedzi u siebie; w Rumianej przyjmują go dość oziębłe i smutną twarzą; on się gryzie, bo ją kocha. Irena smutna i znudzona, a wyjechać nigdzie nie chce. Moje sąsiedztwo także niepokoi dziada niepomału: zawsze w strachu o swój skarb, żeby się w niegodne nie dostał ręce, tysiącem sposobów chciałby się mnie pozbyć. Nikomu też innemu, chyba jemu, nie mogę przypisać mnóstwa przykrości, jakie mnie tu spotykają.

Wiesz, że mnie o mało pod ciupasem, to jest od stacyi do stacyi, nie wyprawiono zjad nie wiem dokąd, może aż do Wielkopolski. Oskarżony o bezpasportne przebywanie, miałem ciężkie przejście z policją, i trzeba było poręczenia Graby i Kapitana, żeby mi tu pozostać dozwolono.

Uciekałem się do Koniuszego, jako do krewnego, ale go zawsze w chwili potrzebnej w domu nie było.

—Cóż powiesz na to? nie mogę nie mieć jakiegoś rodzaju szacunku dla starca, choć mi tyle dokuczyl: każde tak głębokie i prawdziwe uczucie musi go wzbudzać; Kapitan choć mi pomaga, ale się do niego przywiązać niepodobna: czuć go złością ukrytą, każdy jego wyraz wyraz miodem posmarowany nią trąci, każdy ukłon ją kryje, każde wejrzenie nią tryska.

Mało jest znowu ludzi, coby potęgą rozumu i serca tak pociągali ku sobie, jak nieoszacowany stary Graba. Oto człowiek! powiedzieć można z uwielbieniem, z głębi serca. Za cóż, jak w każdym życiu ludzkim, i tu jest robak, co piękny ten owoc gryzie?!

Rozłączenie z żoną podwójnem jest dla niego nieszczęściem: nic że niesłusznie rzuca potępienie na niego (bo w sumieniu czysty z opinią walczy), ale że on uważa to jako zły przykład, a ją kocha namiętnie, kocha po młodocianemu do dziś dnia.

Tak jest, ten przed czasem posiwiął człowiek, zakochany jak młodzik dwudziesto-letni, do obłąkania, do lez, do szaleństwa. Jam nie widział tego, bo się kryje, ale wiem o tem, bo czegoż ludzie o ludziach nie wiedzą? Przed ludźmi osłania tę słabość swoje starannie. Piękna pani namiętne jego przywiązanie płaci mu wstrętem, bojaźnią i ledwie nie nienawiścią. Nie wiem czy nie straszniej bolesne jest położenie człowieka, co posiadał skarb i utracił, niżeli tego, co tylko pożądał, a nie miał

nigdy. On ją widzi zawsze zdaleka, niepoścignioną, niedostępną, a w myśli poi się i wyrzuca sobie stracone szczęście, stracone może winą własną. Na balu owym widziałem go w kątku ciemnym, z założonemi rękoma, z bladą twarzą, jak ją poże- rał oczyma, a lzy błyszczące zpod powiek mu się srebrzyły. Ona go nie widziała; gdyby go zobaczyła, byłaby jak od upiора uciekla. Biedny człowiek! Cała ta część jego życia, której surowym i świętym obowiązkiem się poświęca, spływa na rozmyślanie, na zatapiańie się w namiętności, którą pokonać pragnął, a nie może.

Pokój, w którym mieszkali kiedy byli razem, dotąd zamknięty, w takim stanie pozostał, w jakim go ona odjechała. Mówili mi ludzie, że nikt tam, prócz niego, wejść nie ma prawa. On się zamyka w nim biedny, podlewa kwiaty, wpatruje się w sprzęty pyłem przysute, i mrze nienasyconem uczuciem. A ona? — ona się pieści, ona się bawi, i ze wstrętem, ze wzgardą, z przestraczem imię jego wspomina. Jestto, mówią ludzie, tak czuła, tak pełna serca kobieta, a nadewszystko tak nerwowa!! a on? — o! to zimny człowiek, bez serca, bez czucia, tyran domowy!! Wierzę po tém sądom ludzkim; wszystkie są trochę temu podobne.

Niewidzialny czuwa nad nią; ona nie wie jak, czyją sprawą, wszystkie drobne życia trudności, te kamyki, na których się człowiek co chwila spotyka, są dla niej całkiem nieznanne. Pieszczona dziecięć losu, nie domyśla się nawet, czyja ręka usuwa z pod jej stóp wszelką zawadę, i troskliwie ochrania ją od najłżejszego strapienia.

A w zamian? — nie. Jedyną pociechą dla niego to czynne życie, które prowadzi, syn, którego wychowuje i którym się cieszy, zresztą sumienie; bo opinia i ludzie są przeciwko niemu.

Syna tak umiał wychować, że ubóstwia matkę, bo ojciec, żeby jej nie w oczach dziecka nie ująć, wszystką winę wziął na barki swoje. Przypisał swojemu dziwactwu, co mogło ją zniżyć, a żeby Jan, do przywykzania jakie ma dla niej, mógł łączyć szacunek.

Ale czas mi cię pożegnać, Munciu! Częściej teraz będę pisywać do ciebie. Listy te są dla mnie potrzebą, rodzajem spowiedzi: a jam pojął, że spowiedź wszelka ma wielkie znaczenie.

To upokorzenie się człowieka wywyższa go nad siebie, podnosi, ulepsza; lecz na cóż teoria spowiedzi tobie, coś się od dzieciństwa nie spowiadał, w którym uczucie religijne zgasło nierozpłomienione?

Zamów mi, proszę cię, mlocarnię cztero-konną przenośną u Evansa, sieczkarnię i siewnik; pieniądze na ten ważny dla mnie sprawunek przysył razem z długim Szmula i Marego, którym się chcę uścić, równie jak wszystkim, co mi zaufali. Dług to zawsze ciężar: na cóż go dźwigać, gdy się go pozbyć można?

Zawsze twój,

Jerzy.

JERZY DO EDMUNDA.

Zima płывa powoli w zwykłych klimatowi naszemu przemianach: mrozy, śloty, śniegi, deszcze, szrony. Ty ani wiiesz co się to dzieje na świecie, bo w mieście ulewny chyba deszcz na chwilę zwróci uwagę; jam tutaj nawykł już patrzeć w twarz przyrodzenia, i zajmować się jego zmianami.

Powiesz mi pewnie: jestto ostatni zgłupienia stopień! — pozwalam; przecież niezupełnie głupi jestem, gdy przeczuwam, co o mnie ludzie powiedzić mogą.

Nie mogę się doczekać wiosny i marca, i objęcia majątku, a tak mi pilno pracować! Chcę czynnego zajęcia co najprędzej, i czuję, że mi z nim będzie lepiej.

Położenie moje nie zmieniło się w niczém: ten sam domek cichy i mały nad głową, ci sami ludzie wkoło mnie. Staś zawsze z wiosną, jak bocian i jaskółki, wybiera się do Warszawy, czemu ja się nie sprzeciwiam; ale widzę, że mu coś potrosze polowanie smakować zaczyna: kto wie, czy na tój pustelni nie chcąc zamieszkać dla mnie, dla sarn i zająców się nie zatrzyma? Już tylko paroxyzmami przychodzą mu rozpacz, szyderstwa i narzekania.

Irena zawsze mnie blisko, a niedostępna dla mnie: mój dziad na czatach, ale i bez tój straży jabym tam pewnie zajrzeć nie śmiał. Czy ona wie, że tak blisko, czy kiedy pomyśli o mnie, czy jój też przyjdzie do głowy, że w większej części jam tu dla niej? Wiem, czuję to, że pewnie ze wszystkich tych zabiegów nie być nie może, zawsze przecie jam jój winien wiele. Gdyby nie ona, nie byłym się podźwignął nigdy, nie poznałbym Graby, nie pojąłbym życia, i zmarnował z wami (darujcie wyrażenie trochę surowe) resztę mojej młodości. Może mi przyjdzie tęskno, samotnie spędzić lata, które dzieła od starości, potem zamrzcę z jednym niedogastem wspomnieniem, różowym wiankiem na swej głowie: o! jeśli tak, niechże starość przybywa prędzej, niech przychodzi żywo! Miarkuję się. Grababy mi powiedział, uśmiechając się łagodnie, że nie dla samego serca swojego żyjemy, nie dla tój jednej miłości kobiety, ale dla miłości ludzi, dla wszystkich: okazałoby się, że napisał niedorzeczność.

Kapitan odwiedza mnie często, to jest ile razy jedzie z Rumianej do Kurzyłówki. Jakkolwiek mile mi są bardzo nowiny z tego miejsca, z ust Kapitana wyglądają one jak smaczna konfitura na nieczyścój i wyszczerbionój podana miseczkę. Ale jam głodny, bardzo głodny i na miseczkę nie patrzę.

Ostatnią razą mówił mi z niejaką radością, że Koniuszy, z którym się tam zjechali, ma minę skwaszoną, jakiej nie widział oddawna. Rozumiem się, Kapitan udawał, że nad tēm bolał niezmiernie, że to go dolegało boleśnie. Panna Irena znudzona, smutna, a wyjechać nigdzie nie chce; dopytywała się Kapitana o mnie (jeśli nie bałamuci): a Kapitan umiał, jak powiada, naprowadzić rozmowę na wypadek po balu, śmiejąc się ze stanu, do którego mnie przyprowadził pan Koniuszy.

— Hm! upił się! — zawołał stary gniewnie — albowiem mu lał w gardło? Upił się, zwyczajnie młody wisus: jemu aby hulanka, w to graj!

— Już to daruj — odparł Kapitan — daruj szanowny, drogi sąsiedzie, aleście go zamęczali prośbami: zwyczajnie po staropolsku, nieprawdaż? jak mnie kochasz! jak mi dobrze życzysz! daj mi ten dowód przyjaźni! i gorzej jeszcze...

Koniuszy zagryzł wargi, potarł czuprynę, tupnął nogą, ale milczał; Irena tylko łagodnie na niego spojrziała.

— I że grał to także nie jego wina — rzekł Kapitan — jeżeli to wina: wszakście go sami posadzili.

— Ja? — spytał dziad, ruszając ramionami.

— Przecież byliście z nim nawet w spółce! Na co to się wypierać? Dziadunio kiedy gościny, to

gościnnie! — mówił Kapitan. — Wszakem sam widział, jakieście mu dawali pieniądze.

Koniuszy rzucił się na krzesło, spojrzał ostro na Kapitana, ale ten przysiadł się zaraz do niego i obasył go grzecznościami, zakłęciami uszanowania, uwielbienia, czci, weneracyi i t. d. Tak mi tę scenę uściskami duszącą skończoną odmalował sam Kapitan, uśmiechając się jak on unie, z podniesieniem jednej strony ust do góry i przymrużeniem szarego zgasłego oczka.

Pytać się miała Irena: czemu tak siedzę samotnie? a Koniuszy szepnął:

— A cóż? dziwaczy blazen ze złości; ale rychło pojedzie sobie do Warszawy, wiem to: wyprawia go, bo mu już paszport wyszedł.

— Tak — odparł Kapitan — aleśmy dali z panem Grabą porękę za niego, i zostanie.

— Jaka szkoda! — mruknął stary, trąc łysinę gwałtownie — nie wiedziałem, że to tak można i że jej potrzebował: byłbym swoje ofiarował.

— Ale o wyjściu paszportu pan wiedział — dorzucił Kapitan.

— Myślałem, że wyjedzie, co tu jemu robić?

— Wszakże wziął Zapadliska?

— Tak, ale słyhać, że jurisdator się zrzuci; zresztą, po co jemu dzierżawa?

Na tem stanęło. Ale nazajutrz po odwiedzinach Kapitana, z wielkim podziwieniem mojem nadjechał pan Koniuszy. Pojmujesz, że powitanie z mojej strony było bardzo zimne, choć uszanowania pełne. Stary jakby zmęczony walką, miał fizyognomią smutną i naprózno widać usiłował ją rozjaśnić. Uściskał mię czule, bardzo czule, rozpytywał troskliwie o interes paszportowy, i nareszcie spytał po długich okręgach:

— Jak się to tam panu Jerzemu zdaje: dobra Suminów w Wielkopolsce to coś lepszego od Zapadlisk w dzierżawę wziętych? Mam na sercu żeby cię przekonać, iż nie jestem, jak myślisz, starcem nieużyтым. Na co ci tu gnić? Bardzo to dobrze i pięknie, że się myślisz usatkwować, ale powracaj do swego.

— Do czegoż powrócę? — spytałem obojętnie.

— No! to się da zrobić: ja pilniejsze długi już popłaciłem — rzekł powolnie, dobywając papiery z bocznej kieszeni surduta i podając mi je.

Cofnąłem się zarumieniony.

— Dzięki — rzekłem — za tę troskliwość, ale żadnej ofiary przyjąć nie mogę. Od pamiętnego mi wieczora powrotu z Kurzyłówki dałem sobie słowo, że nic od pana Koniuszego nie wezmę, i nie wezmę.

— Bo może Wacpan myślisz, do stu par zajęcy, że ja się Jegomości chcę psim swędem pozbyć? Ot, przekonajże się, że to ni mniej, ni więcej, trzykroć sto tysięcy przeszastanych przez jegomości gotówką zapłaciłem.

Oślupiałem: człowiek co w domu o pięćdziesiąt groszy targuje się pół dnia z żydkiem, sygnął piętnaście tysięcy dukatów na moje dobra wielkopolskie! Uszom wierzyć nie chciałem.

— Niech dziad będzie przekonany — rzekłem po chwili zdumienia — iż umiem mu być wdzięcznym, ale nie przyjmę nic, choćby nie o trzysta tysięcy, ale o miliony chodziło. Dzięki zmienionemu trochę sposobowi życia, potrzeby moje się zmniejszyły: potrafię pracować, a ofiar nie żądam od nikogo. Bardzo mnie to cieszy, że nasze dobra wielkopolskie dostaną się w ręce dziada, i chętnie wszystkich praw moich na imię jego się zrzeknę.

— Tak, panuniu! — rzekł stary — a jak ja je komu obcemu zapiszę? he! co będzie?

— Chociażby! to już nie moje i dla mnie obojętne. Grób moich rodziców w parafialnym kościele nie jest i być nie może niczyją własnością: tam zawsze odwiedzić go i popłakać nad nim mogę. Wreszcie, nie mam prawa myśleć...

Spojrzał mi w oczy.

— Jest charakter — szepnął — ale kto wie? hm! — I chciał mówić, gdym przerwał.

— Panie Koniuszy! — rzekłem — mówiny otwarcie, mówiny bez wybiegów. Ktoby nic nie wiedział, a całe postępowanie pańskie ze mną przejrzał, miałby o sercu jego i o nas obu najdziksze wyobrażenie. Proszę nie myśleć, że ja do dziś dnia jestem w niewiedomości przyczyn wszystkich... Pan Koniuszy usiłujesz mnie odepchnąć od Ireny, jak chciałeś mnie w jej oczach poniżyć, abym o niej pomyśleć nawet nie mógł. Lękasz się mnie; dziękuję, przyznam się, to zaszczyt dla mnie: jest czego być dumnym.

Zerwał się z miejsca.

— Kto to panu takie głupie brednie prawil?

— W ostatku, choćby mi i nikt nic nie mówił, domysleć się nie było trudno.

— Domyśleć się? oho! zjadłbyś Asan kaduka!

— Lecz pan Koniuszy dziwne masz wyobrażenie o kobietach, a dziwaczniejsze jeszcze o mnie. Zkądże to uparte posądzenie, że ja mam myśl jakąś?

— Gadaj sobie zdrów! na złe niewiele czasu potrzeba.

— A ja jestem tém wielkiem złem?

— Juźciż pozwól — rzekł cicho, pomrukując — że wielkiego o kochanym wnuczku nie mogłem mieć wyobrażenia, znając jego przeszłość daleko lepiej niż mu się zdawało. A i dziś, kochanie, w tę poprawę życia nie wierzę, jak w wiosnę terazniejszą (byłto luty i ciepło nadzwyczajne): będą jeszcze i śniegi, i mrozy, i zawieruchy.

Ja zamilkłem, bo obietnice i zakłęcia nieby tu nie nadały; owszem zawiąłem się dumnie w moje przekonanie, jak Hiszpan w swój płaszcz kolisty, i milczałem.

Dziad mówił długo, jam mu nie przerywał. Wrócił do dóbr wielkopolskich, kusił mnie niemi, ale naprózno długo myślał, myślał, próbował mię na różne strony, ale mu się nie mogło udać: przed kilką miesiącami byłby mnie tém uszczęśliwił, dzisiaj to dla mnie obojętne.

— Ale cóż sobie Wacpan myślisz? — zawołał niecierpliwiony nareszcie — to jeśli Waści panna Irena chodzi po głowie, to jak Bóg miły naprózno.

— Wszakże tam nie bywam nawet.

— To gorzej jeszcze.

Rozśmiałem się.

— Cóż mam począć, żeby było lepiej? — spytałem.

— Jedź sobie do Wielkopolski, bywaj zdrów, i pisuj do mnie na Berdyczów — rzekł stary niecierpliwie.

— Po cóżbym tam pojechał?

— A Wacpanu się zdaje że wskórasz tu siedząc? Nie, nie, nie! zjiesz licha! Irena pojedzie ze mną na wiosnę do Ems.

— A ja będę gospodarował w Zapadliskach.

— I z Ems do Szwajcaryi, do Rzymu, do Neapolu, bo to dawny nasz projekt.

Westchnąłem tylko i dodałem:

— A ja będę gospodarował w Zapadliskach.

— Gospodarujże sobie do kroćset gdzie chcesz! — rzekł natulając czapkę na uszy, i wyskoczył do sieni.

Przeprowadziłem go w milczeniu z uszanowaniem; siadł zły i pojechał drogą do Runianej.

Wczoraj był u mnie Graba, który ztamtąd powracał; mówił mi o niej wiele, bo ją szacuje wysoce, bo ją po ojcowsku kocha. Powiada, że widział ją smutną: Koniuszy zmusza ją prawie do Ems do wód pod pozorem słabości, potem do Rzymu jechać; ale Irena, pomimo silnych nalegań opiekuna i pani Lackiej, coby swe nudy rada wozic po świecie, dotąd nie dała się przekonać i zamierza pozostać w domu. Koniuszy w spisku z doktorami, i to podobno nie pomaga. O mnie nie było mowy wcale; Koniuszy tylko na przechadzce z panem Grabą, wielce się zaperzywszy, wygadał się z tem, że radby Irenę wydać za mąż.

— Oj! opieka—mówił—to wielki ciężar, jeśli się kocha tego, kim się opiekuje: człowiek ani spać, ani jeść nie może, i gryzie się, że się przyjdzie zagryźć. Gdybym ją wydał za mąż jak chcę i myślę, byłbym spokojny, siadłbym sobie przy nich, polował we dnie, wieczorami odpoczywał przy kominię, i czuwał tylko żeby jej dobrze było na świecie, a pana męża pilnował. Ale ustrzeżże tu serce kobiece, bądź łaskaw, kiedyś mądry, jeśli nie zajęte, a korci je zająć się; zjesz kroćset djabłów!

Po długich w tym rodzaju objazdkach wypowiedział się wreszcie panu Grabie, że syna jego widząc zupełnie ze wszech miar stosowną partją dla Ireny, chciałby to małżeństwo skojarzyć.

Graba, jak mi sam mówił, podziękował mu za to serdecznie.

— Dajesz mi pan—rzekł—wielki dowód szacunku i zaufania: powiem to mojemu synowi; ta wiara jaką masz w jego charakterze, jest pięknem dla niego świadectwem. Lecz pozwól—dodał—żebym przeciwko tej myśli zaprotestował: małżeństwa nie kojarzą się rozumem i rachubą; starzy nasi mawiali, że je sam Bóg w niebie naznacza. Mój syn ma już w sercu przywiązanie, które ja śledzę, na które patrzę z niepokojem ojca, a panna Irena...

— O! jej serce wolne! — zakrzyknął stary — lub jam bardzo winien, jeśli mu się dał zająć. Ale upilnuj kobięte—powtarzał—zjesz kroćset djabłów!

— Wolne, zapewne, ale jeśli dotąd, będąc wolne, nie przemówiło za synem moim, to już przemówić nie może.

— Ale posłuchaj pan, niechże choć spróbuje.

— On biedak zakochany.

— Zakochany! Znając Irenę, mogąc ją mieć, mogąc się w niej zakochać, obrócić się do kogo innego? a to kryminal, panie!

Graba się uśmieł serdecznie.

— Lecz cóż ja na to poradzę—rzekł—na to rady nie ma.

— No! a któżto taki, w kim się kocha syn pański? Ja tu nikogo podobnego nie widzę.

— Jestto córka ubogich rodziców, wychowanica ubogiej rodziny: o tem dowiesz się pan później.

— No, ale któżto taki przecie?

Graba nie osądził za potrzebne powiedzieć dziadowi imienia. Urażony Koniuszy, że śmiano kogoś stawić na jednej linii z Ireną, prawie rozgniewany, okrutnie tupiąc i trąc czuprynę ze złości, odstąpił.

Miarkując z tej bojaźni mego dziada, powinienym sądzić, że nie jestem całkiem obojętny pannie Irenie, że stary to widzi i nie nadaremnie się obawia; ale godziż mi się być tak zarozumiałym?

Nie! nie! sęto strachy pocziwego serca, które przywiązanie zaślepią. Irena nie może pomyśleć

inaczej, jak z litością i pogardą o nieszczęśliwym, który stanął przed nią raz w życiu podobniejszy do zwierzęcia niż do człowieka, zbestwiony, nieprzytomny...

Bądź zdrów! przy tym liście odbierzesz pieniądze na opłatę moich długów; odeszlij mi skrypta i napisz do mnie.

Zawsze twój,

Jerzy.

XIV.

EDMUND DO JERZEGO.

Warszawa, dnia 28 lutego 18...

Odebrawszy pieniądze, długo wahałem się, czy mi się godziło, korzystając z twojego szafu, taki z nich uczynić użytek, jaki im przeznaczyłeś. Kochany Jurku, pozwól sobie powiedzieć otwarcie, tyś doprawdy srodze zgłupiał: któż dobrowolnie, rozmyślnie, nie przymuszony, opłaca długi? Parafiaństwo! zakała dla nas, cośmy ci mieli za towarzysza, a naostatek zły i bardzo zły przykład. Wszyscy potem wierzycciele zechcą, żebyśmy się im uiszczali regularnie, i sądzić będą, że wymagać po nas tego mają prawo.

Chciałem te pieniądze albo pożyczyć u ciebie, albo je złożyć w Kassie Oszczędności, żeby ci narastały procenta na głodny powrót twój do Warszawy, którego się zawsze spodziewam. Rozmyśliwszy się wreszcie, postanowiłem uczynić jak kazałeś: nie przeszkadza mi to ubolewać nad twym szafem. Szmul powołany do mnie, gdy mu zwiaśtował, że o twój wexel rzecz idzie, wytrzeszczył na mnie oczy ogromne, nie zrozumiał, i pokiwał głową, wziął się nareszcie do tego ogromnego ponsowego pugilaresu, brzuchatego jak pan N..., mającego związane wnętrześci znajomą ci czarną, wyszarganą jak sam tasiemką. Włożył okulary na nos, siadł i począł przewracać nieskończoną moc wexłów, które, jakem się przekonał, systematycznie dzielił na trzy wielkie kategorie: wexłów przepadłych i tylko *pro memoria* chowanych, wexłów wątpliwych (na dwie subkategorie czyli działu rozdzielonych), i pewnych jak złoto. Ty byłeś jeszcze w kategoriach średniej, ale już graniczyłeś z pierwszą.

— A wie pan—rzekł Szmul—z tej kieszonki to dopiero dwa razy w życiu mojem zdarzyło mi się mieć pieniądze. Raz, to pan wie, ten jegomość co to się tak ślicznie ożenił; a i pan Sumin może także się ożenił, i pewnie przyjedzie do Warszawy, kiedy wcześniej płaci?

— Nie, nie ożenił się, i nie przyjedzie do Warszawy.

— A dlaczegoż on płaci?

— Co chcesz? ot taka fantazyja: zachorował na sumienie.

— A wejl jakażto piękna choroba—rzekł żyd, kiwając głową.—Coto za szkoda, że nigdy nie można z pewnością wiedzieć, kto ma do niej ochotę? Jakbyto dobrze było dla nas! Nu!—dodał—czyto taka mocna choroba, że i procenta płaci?

— Prawne!

Żyd ani słowa nie odpowiedział.

— On wziął sukcesyją?—spytał—i pewno wielką?

— Nie!—odpowiedziałem.

— Nu! to może się zrobił nabożny—rzekł do siebie.

— Coś naksztalt tego.

Po tej rozmowie rozliczyliśmy się: Szmul zagarnął pieniądze, zwinął pugilares, który znowu złożył na sercu, i prosił mnie o przyjęcie listu do ciebie, który ci posyłam przy moim, razem z wexlem. Jestto zręczne podziękowanie i zalecenie się tobie, na wypadek gdybyś wyzdrowiał, czego, jak widzę, on się zarówno ze mną spodziewa.

Mary mnie oburzył: zagarnął pieniądze, jakby to było rzeczą w świecie najnaturalniejszą być zapłacony. Dziwny człowiek! nie powiedział nawet: Bóg zapłać! spytał tylko:

— *Monsieur le Comte de Soumine ne nous arrive t'il pas? hein?*

— *Non, monsieur, il s'est établi à la campagne, dans la patrie de truffes.*

— *Ah! s'il pouvait nous en fournir! elles sont hors de prix.*

Wtém go odwołano.

Lora, która jest ze Szmulem w stosunkach oddawna (dziś bowiem nietylko że nie zapożyczą się, ale daje drugim na procenta, choć zawsze bierze wszystko, gdy jej co kto ofiaruje, jak gdyby jeszcze potrzebowała—z jednej strony garnąc, z drugiej zbierając do kupki), Lora widocznie podbudzoną mając ciekawość opowiadaniem żyda, złapała mię wczoraj w teatrze: byliśmy sami w łoży.

— Czyto prawda—spytała—że biedny pan Jerzy zamieszkuje zawsze na wsi?

— Dlaczegoż zowiesz go biednym?

— A! możnaż żyć na wsi i nie zbiednić?

— Tak, na wsi, i nie widząc ślicznej Lory—rzekłem z francuzką grzecznością.

— O! bez komplementów: ja już w nie nie wierzę, gdy się samemi tylko słowami wyrażają. Cóż! powiedz mi pan co o nim?

— A cóż mam powiedzieć? usatkwował się całkiem, długi popłacił i ma pracować na wsi.

Położyła mi rękę na rękę, i z przymileniem wdzięcząc się, spytała:

— Cóż? zakochał się? ożenił się?

— Nie, podobno, ani jedno, ani drugie.

— Doprawdy? pewnie? pewnie?

— Zkądże ta mizantropia? — spytała po chwili, a przez to pytanie przeczulem, że Lora gotowa cię posądzać o rozpacz z powodu jej zdrady, a może nawet snuje jaką myśl szaloną, że ty ją tak głęboko kochasz, że mógłbyś... pfe! pfe! tego się domyśl, bo ci napisać nie mogę. Reszta rozmowy z nią była potwierdzeniem tej myśli mojej: *Lora veut faire une fin*. Bankier *** dopełnił tej summki, którą osiągnąwszy, miała się już ubrać w cnotę. Bliskość chwili wycnotliwienia daje się uczuć niezmiernie; wszakże i ptaszki podobno lenieją i węże zrzucają skórę. Lora teraz jest skromna jak piętnasto-letnie dziewczę wiejskie, surowa, przyzwoiła, zaczyna nosić suknie pod szyję (pleć jej wprawdzie ciemnieje), i oczywiście pragnie bardzo pójść za mąż. O! i pójdzie! Jeszcze jaki rok lub dwa dawnego życia: summka uzbierana postawi ją na stopie wdowy, *qui a eu des malheurs et qui a un reste de fortune*. Wyjedzie na wieś daleko w Mazowsze, może na Litwę lub Żmudź, i stanie się arcy-przyzwoiłą obywatelką, o której przyjaźń i protekcją będą się starali sąsiedzi, a student, który ją w rok po ślubie przyprowadzi do grzechu, będzie się miał za Lovelaca!!!

Ale ciebie to już nie zajmuje. Mnie się nieźle powodzi: w karty gram szczęśliwie, jak zawsze. Mieszkam na Krakowskiem-Przedmieściu, na dole, niedaleko Marego: odmień adres, i kochaj pod każ-

dym adresem tego, który się nad tobą szczerze lituje, bo cię jeszcze kocha.

Edmund.

XV.

JERZY DO EDMUNDA.

Zapadliska, dnia 21 maja 18...

Dawno, kochany Edmunde, nie miałeś listu odemnie: nie dziwuj się temu, wprowadzałem się na nowe gospodarstwo i poczynalem zawód pracowity. Nie było chwili, żeby myśl próżna chciała się przelać przez pióro na papier. W momentach odcchnienia nie miałem ochoty sięść za stół i pisać, bo i ręka była znużona, i głowa nie do listu, który jest zawsze pracą.

Teraz za to, wzięwszy się do pióra, zdam ci obszerną sprawę z moich czynności, tém bardziej, że idące po moję młocarnią i sieczkarnią furmanki, list ci ten zawiozą; może być bezkarnie długi, bo nie idzie na pocztę.

A zatem uzbrój się w zapas cierpliwości i słuchaj. Jużem się przecie przeniósł do zadzierzawionych Zapadlisk: jestto klucz obszerny, rozległy, gospodarstwo opuszczone, a w istocie materyał wyborny do robienia majątku. Tysiące sposobów mam przed sobą, które mi doświadczeński odemnie wskazują: w jednym folwarku owce, w drugim wielka gorzelnia i browar, w trzecim wyrób smoły na wielką skalę (dozwolony umową), i t. d., i t. d.

Od czasów szczęśliwego dzieciństwa mojego to pierwsza, mogę powiedzieć, wiosna, którą widziałem. Przeżyłem ich wiele, ale się nie przypatrzył żadnej: żyłem tak oderwany od ziemi, a tak przesadzony do salonu!

Cóż mnie obchodziło budzenie się natury, o którym mogłem się naczytać opisów dowoli w książkach francuzkich? Dziś z powołania gospodarz, ciągle wystawiony na powietrze pod gołym niebem, mogłem się wpatrzeć w ten rozświt roku, i czuję jakbym więcej się z niego nauczył, niż z wielu a wielu książek, doznał wrażeń silniejszych, niżelam się spodziewał. To podniesienie zasłony na wielkim teatrze miało dla mnie urok początku dramatu, którego rozwiązanie, koniec, o! jakże niepewne! Któż przewidzi czem się ten rok ukończy? nad czem ta zasłona spadnie, czy nad trupami, czy nad śpiewką wesołą weselego chóru?

Widziałem schyłek zimy smutny, szary, błotnisty, zimny i głodny, już paszy niestało po obórkach, ludzie łamali ręce, patrząc na wychudłe bydelko swoje, marzec się kończył: a wiosny jak nie było tak nie było.

Nareszcie zmienił się wiatr, ocieplilo powietrze, lunął deszcz ulewny i z nim skorupa śniegów zchodziła poczęła w doliny w szumających i rozrywających ziemie potokach. Tej uroczystości dawno już czekały chude bociany chodzące pomiędzy kryniczyskami, gdzie trochę wcześniej widziały zieleni, i gęsi dzikie, i gołębie, które już przyleciały, i czajki smutno krzyżące po błotach, jakby wołały ciepła i wiosny. Spóźniona przecież zjawila się *prima donna* nagle, niespodziewanie; wody stoczyły się szalejąc z pagórków, błota stężały, role oschły, łąki zazieleniały, brzezina pękać poczęła, łozy okryły się kotkami i liśćmi; plug i socha poszły w pole.

Rozumiesz ty to wszystko kochany mój mieszczuchu? wątpię, wątpię, i bardzo mi znowu żal ciebie. Ty wstajesz od zielonego stolika z uczuciem

znużenia, niesmaku, czasem przykręj nienawiści; ja, choć często podrażniony, wracam z zielonych łąk z odświeżoną myślą, z otwierającym się sercem.

To rozbudzenie się wiosny zachwyca mnie; z wiatrem cieplejszym, z drobnymi szmery i odgłosami wiosny przylatują do mnie wspomnienia młodości i obsiadają me czolo. Tęskno mi za dziecinnymi laty: ale mam też dziś, czego wówczas i dawniej nie miałem—ich wspomnienie. Porównywał życie moje przeszłe (nie dawniejsze od przeszłorocznego) z teraźniejszym, i widzę, i czuję się podniesionym wyżej.

Wziąłem się czynnie do gospodarstwa. Boże! cóżto na dnie społeczności naszej, takiej jaką jest, widoków wielkich i smutnych! ileto pilnych dla nas starszej braci obowiązków! Radziłem się rozumu i serca, chcąc wszystko wedle nich prowadzić; w wątpliwościach szedłem po rozwiązanie do poczciwego Graby-dziwaka. Praca ogromna i nie tak łatwa jak się zdaje, bo często interes całego społeczeństwa stoi na zawadzie ulepszeniom nagłym: ile rozwagi, ile taktu, ile sumienia potrzeba! Ale wiele też i zaraz zrobić można, bo zaniedbano zbyt wiele. Gdy tylko ściślij sprawiedliwość chciał zachować względem ludzi, często nie chciano mi prawie wierzyć, iżbym jej mógł dopełnić: tak niesprawiedliwość stała się zwyczajną, tak weszła w życie i w nałóg.

Lud niezaprzeczenie poczciwy, ale długi ucisk (choć ten nigdy nie miał miejsca wszędzie, tylko wyjątkowo), a raczej położenie fałszywe, popsuło go. Kłamie, bo jeszcze nie wie, czy prawdę powiedzieć mu wolno; kradnie, bo nie poczuł, że ma własność osobistą; opuszcza się, bo się czuje potrzebnym, i wie, że go podźwigną i muszą.

Starałem się zawsze w początku wyjść z jakiejś zasady w mojem gospodarstwie. Nie spuszczać się na kontrakt dzierżawny, którym mi wypuszczono i ziemię i pracę ludzi do tej ziemi, postanowiłem ściśle obrachować, ile mi się od ludzi pracy tej należeć może, i nie nadto nie pożądać. Powszechnie oburzenie sąsiadów przyjęło moje reformy: a to są ludzie przecie, co dla siebie pragnęliby swobód, gdy drugim odmawiają najpierwszej swobody osobistej i sprawiedliwości.

Lecz oto drugi raz się łapię na ustępie dla ciebie nie zajmującym. Sąto pytania, które cię nie obchodzą wcale, którym ty jesteś obcy: dajmy więc temu pokój. Będę ci już tylko pisał o sobie.

Osiadłem w głównym folwarku klucza Zapadlińskiego, w *chef-lieu*, leżącym w ognisku dóbr i pośrodku całego gospodarstwa.

Mam dom ogromny, murowany, zrujnowany i widocznie oddawna z rąk do rąk podawany dzierżawcom, niewiele o niego dbającym: widać to po przeobrażeniach i opuszczeniu jego. Zona ostatniego podobno wystroiła sobie kilka ślicznych pokoi, które dziś obdarte niemilosiernie aż do okien, świadczą tylko smutnie o gniewie, z jakim to miejsce opuszczać musiała. Inny dzierżawca w sali na dole zrobił był lazaret dla chorych owiec; inny jeszcze sypał zboże w gabinecie malowanym w herkulańskie tanecznicze, i wieszal chomąty na marmurowych kominkach, a mięso na mahoniowych półkach. Teraz ledwie para pokojów jako-tako mieszkalnych, koło domu jak na dzierżawie: dziedziniec opuszczone, drzewa pocięte, śmiecie, i brudy, i co tylko przy rumacyi zabrać się dało, aż do żelazta przy drzwiach, pozabierano. Wśród spalonego byłem podwórza, szczątki ogródka kwiatowego pani dzier-

żawczynęj smutnie się wymykają z pomiędzy baidylów i śmieciak. Płotek z brzeziny, co go opasywał, zniszczyli stróże, połamały konie.

Stan majątku zbliża się do stanu domu i dzieczińca: zważ co pracy! Rano siadam na konia i jadę w pole, bo wszystko się widzi najlepiej własnymi oczyma, a kto się spuszcza na ludzi, temu ludzie źle w końcu służyć muszą, bo pomyślą: on sam niewiele dba o swoje, na cóż my bardzo dbać mamy? Jadę od robotników do robotników, objeżdżam lasy, dumam jeżdżąc, i często w rozmowie ze starcem więcej się uczę, niżeli z jednej z tych książek, co z ksiąg napisana została. Żywy świat; na ileżto klamr i pieczęci zamknięta jeszcze księga!

Nigdy nie wyczerpią jej obrazy i obrazki, co się mienią z niej wzięte.

Wracam do domu na chwilę, bo i koło domu jest do czego zajrzeć; spocznię i ruszam znowu dalej. Wieczorem, pomówiwszy o jutrze, czytam, gram, odpoczywam.

Dawniej muzyka była dla mnie środkiem popisania się; dziś, to rozkoszne dla siebie tylko zajęcie, dziś, to duma z serca płynąca. Mam tu nie lekkie utwory dzisiejszych kompozytorów, pisane dla palców, nie dla uszu, ale całą półkę Mozarta, Haydną, Beethovena—skarby! Czasem odwiedzi mię Graba z synem, Kapitan lub kto z sąsiadów: i chwile płyną tak szybko, tak szybko, żebym je rad powstrzymać, gdybym mógł. A wam tak leniwo wlecze się czas w mieście! Polowanie mam wyborne i lasy przesłiczne, wody ogromne i rybołówstwo jeśli zechcę: słowem, zajęć bez liku, a w nich rozmaitość nieprzebrana. Wierz mi, życie na wsi, to dopiero życie! Miasto, to wielka koza, w której się wesoło bawią zamknięci więźniowie, bo pracować nie mogą, bo nie chcą, bo sobą się tylko zajmować muszą, nie mając przed oczyma nigdy nic, prócz człowieka i dzieł jego.

Jestem o tyle szczęśliwym, o ile nim być może człowiek z wielką namiętnością w sercu, ale z namiętnością czystą i szlachetną. Cierpię, ale kocham moje cierpienie, i za niczym się z niem nie rozstał.

Codzieni wyjadę na brzeg lasów po nad granicę Rumianęj, spojrzę na dwór w dali, westchnę, i powracam. Czasem przez moję parzystą teatralną lornetę widzę dziedziniec jej i ją nawet chodzącą wśród kwiatów; widzę powozy ulicą ciągnące ze dworu i do dworu, posłyszę o niej; resztę wyobraźni sercu dostarcza. Radbym być godzinę tej kobiecy, a czuję, że nie jestem. Czyż wiem, potrafię-li ja wytrwać w postanowieniach? czy jak ów słoń, długo spokojny na uwiezi, nie dostanę kiedy szalu, i nie zapragnę gwałtownie zerwać więzów moich (jeśli to więzy!), a uciec w dawne dzikie życie? Nie! nie! to być nie może: podnieść się pięknie, spaść byłoby okropnie, występnie, szkaradnie. Daruj mi, że wasze życie nazywam upadkiem: takiem ono jest niechybnie, takiem jasno i silnie wydaje mi się dzisiaj.

Ażebyś miał wyobrażenie jak niespodziewane osobliwości spotykam co krok w tém zaczarowanym Polesiu, które mi się w początku tak dzikiem zdało, muszę ci opisać jedno spotkanie istotnie zadziwiające. Uprzedziłem cię, że list będzie długi, nie ma więc zdrady z mojej strony: ty lubisz powieści lekkie, a to powieść.

Kilka dni temu jechałem właśnie na granicę Rumianęj drożyną leśną, mało komu znaną i nie uczęszczaną, która ciągnie się obok starych wałów zamczyska, dziś już porośłego lasem ogromnym.

Piękne to miejsce, bo wały dotykają z jednej strony do Słuczy, co je podmywa; zielona darń przykryła je kobiercem, a stare dęby szumią na wierzchołkach. Środkiem jest plac, który ktoś kosi jak zwyczajną łąkę; rośnie na nim leśna trawa, pełno macierzanki, czombu i różnych wonnych roślin. Zawsze się tu zatrzymać muszę lub przejeżdżam powoli, aby się miejscu przypatrzeć; teraz mu jeszcze wiosna w całym blasku dodawała wdzięku: drzewa miały tę świeżą barwę majową, którą tak rychło tracą, liście ich pachły, woda szumiała biegnąc przez małą grobelkę, tysiące ptaków zwijały się czynnie około swojego gospodarstwa, świergocząc, stukając w drzewa, znosząc trawki, puchy, gałązki i robaczki do założonych gniazdek.

Na zakręcie drożyny spotkałem idącego od rzeki ze dzbanem w ręku średnich lat człowieka, kierującego się ku wałom. Że tu mnóstwo budników i tak zwanej szlachty mieszka w lasach, nie zdziwiłoby mnie wcale spotkanie, gdyby nie powierzchowność niepospolita przechodnia. Słuszny, silny, barczysty, czarno zarosły, nie stary jeszcze, miał minę tak hardą. postawę tak piękną i szlachetną, rysy twarzy tak uderzające, że mimowoli spytać go musiałem, będąc na swojej ziemi i mając do tego prawo:

— Mój kochany, zkądto jesteście?

— He? — odparł, zastanawiając się powoli i stawiając dzban; spojrział mi oko w oko z tą śmiałością, z jaką równy spotyka wejrzenie równego sobie człowieka. — Co pan mówisz?

— Chciałem spytać czy tutejsi jesteście?

Suknie miał bardzo prostą, na nogach łapcie skórzanymi paskami przytrzymane, kurtkę sukienką, koszulę grubą, krzesiwo i nóż u pasa: a jednak znać było z miny i z mowy, że to był strój niewłaściwy jego stanowi.

— Oddawna tu mieszkam — odpowiedział mi spokojnie z pół-śmiechem — a pan?

— Ja jestem Zapadlisk dzierzawca.

— A! cieszę się, że pana poznaję: wiele już o nim dobrego słyszałem — rzekł czysto po polsku, i sklonił mi się bez żadnej zbytniej pokory, owszem z pewnym nawet protekcyjnalnym tonem; ja jemu wzajemnie. Wszystko to, i figura, i obejście poczęły mnie mocno zastanawiać.

— Któż pan jesteś? — dodałem.

— Ja? ja jestem obywatelem tutejszych stron, a bratem pańskiego jurisdatora.

— Brat pana Dolskiego?

— Do usług, Dolski, Piotr Dolski.

— Jako? brat rodzony?

— Brat rodzony.

— W tym stroju? w tym stanie?

— W stroju i w stanie który mi się podoba, który sobie obrałem i w którym mi bardzo dobrze — odparł, wziął dzbanek i poszedł ku wałom; a ja nie mogąc gonić go, ani mu się chcąc naprzykrzać, pojechałem dalej, z zaostrzoną do wysokiego stopnia ciekawością.

Za powrotem do domu rozpytywałem ludzi o niego: wszyscy go znali, ale nikt o nim nie chciał mi mówić szeroko, może przez obawę, aby panu swojemu w osobie brata nie chybić. Musiałem poprzestać na ogólnikach. Droga często mię wiodła około wałów, ale go już tam spotkać mi się nie trafiło. Poszedłszy dni temu kilka dopiero na toki, zetknąłem się z nim najniespodziewaniej w lesie. Ubrany był jak prosty budnik: w łapciach, z torbą borsuczą, strzelbiną na plecach, i psa miał z sobą.

Oba myśliwi, poczęliśmy rozmowę na stopie ró-

wności od gawędy łowieckiej. Ze zdumieniem znalazłem w nim człowieka oświeconego, czytanego, dziwnie poetycznej wyobraźni, lecz z sercem skrważonem. Lasy wykołysały w nim myśli dziwne, do których przywykły, nie czuje już ich oryginalności; ale dla mnie świeżego przybysza ze świata, każde niemal słowo tego dobrowolnego wygnańca było zadziwiające.

Nie skryty wcale, przy drugim czy trzecim spotkaniu, potrzebując widać wywnętrzzyć się, spoufalił się i przylgnął do mnie. Sądzę, że dobra sława, której tu u ludzi niewielkim ją nabywszy kosztem, używam, wiele mi do zrobienia tej znajomości dopomogła.

— Pozwól pan — rzekłem do niego, gdyśmy siedli odpocząć — spytać się, jeśli można, co tu robisz w głębi lasów, i nie na takim społecznym stanowisku, do jakiego byleś przeznaczony?

— Owszem, zupełnie jestem na swoim miejscu — odparł mi — jest mi tak dobrze. Nie dziwi mnie, żeś pan ciekawy wytłumaczyć sobie moje położenie: nie robię tajemnic, dam mu się poznać. Od dzieciństwa wszyscy mnie uznali dziwakiem; zdaje się, że nim umrę. Cała rzecz, że jak drudzy kochają bogactwa, wygody życia, zbytek, tak ja lubiłem prostotę, ubóstwo i samotność. Brat i ja byliśmy ubodzy; dobra te, które pan od brata mego zadzierżawiłeś, nie są nasze spadkowe: nabył je później bogatym ożenieniem; w dzieciństwie szczupły szlachecki mieliśmy fundusik, a ja go całkiem, bez żadnej z mojej strony ofiary, odstąpiłem bratu. Byłbym może poszedł bitym gościńcem szlacheckim, tojest przejechał młodość, przegospodarzył wiek dojrzały, przeziwał starość, lub obrał jeden z tych uprzywilejowanych stanów, w których zwykle panowie szlachta wygodnie próżnują; gdyby mi Pan Bóg, czy pan los nie rzucił na drodze uczucia, co mnie, ot, jak pan widzisz, zwichnęło: a na tém zwichnieniu mozem i zyskał. Nie trudno zgadnąć co to za uczucie — rzekł z lekkim westchnieniem — jestto słabość, na którą, jak na zolzy, wszyscy przechorować muszą. Mnie te zolzy — dodał, usiłując przybrać ton wesoły — nie wyrznęły się łatwo ani prędko: zostały wewnątrz, i okulałwałem. Wiész pan już, żem się zakochał.

— Nie musiało to być na dobre, kiedy dziś tak lekko pan o tém mówisz?

— Lekko mówię, ale ciężko czuję. O! panie kochany, nie urągaj mi. Kula uwięzła w boku i siedzi: nikt jej nie wyjmie, aż ciało się rozsypie. Byłem ubogi, a pokochałem się w dziewczęciu, niewiele odemnie bogatszym, a daleko więcej niż ja żądającym. O! bo miała prawo żądać wiele, tak była piękna! tak piękna! mogła się sprzedać tak drogo! Zakaty, jabym sam dał był za nią miliony, gdybym je miał. Składałem u nóg jej serce na dłoni, ale serce samo; ofiarowałem jej moje ubóstwo pocziwe i parę rąk pracowitych; zaręczałem, że ubóstwo to nie tak straszne, jak je malują ludzie. Ona się go bała nadewszystko, jak najwyższego zła na ziemi. Biedne dziecko! jej tak potrzeba było zabawek, cacek, błyskotek, pochlebców, gwaru, szalu i oklasków, jak rybce wody. A jam jej tylko mógł dać chatkę ciepłą, wiejski cienisty ogródek, i życie spokojne w cieniu lip starych, które wówczas kochałem.

Rozśmiała się z ofiary, choć trochę, troszeczkę przywiązana była do mnie: razem spędziliśmy dzieciństwo nasze! ale z uśmiechem i łzami razem odpowiedziała mi:

— Ja drzę, mój Pietrusiu, na samo ubóstwa wspomnienie: mnie chłodno na myśl twój chatki i ogródka, w którym będzie więcej pokrzywy niż róży. Ja pracy nie cierpię, ja wygodę potrzebuję, ja się chcę bawić, ja muszę mieć pałace, sługi, konie, karety i piękne stroje. Wolałabym je z twojej ręki, ale nie mam siły twego ubóstwa podzielić. Miałbyś ze mnie smutną, znudzoną, nieszczęśliwą żonę, którą raby ciebie zagryzła.

Ona mnie kochała! kto wie, może kocha mnie jeszcze, ale wyżej serca była u niej przewrócona główka, ślizna główka, z którą patrzyła para oczu tak wymownych! Ah! czemuż te oczy tak nielitościwie kłamały, obiecując, czego serce nie dotrzymywało.

Znękany, odszedłem z pewną dumą. Ona poszła za mąż za bardzo bogatego człowieka, obywatela i pana trzech wiosek: i cóż? przetańcowali dostatek, kwaśno przeżyli z sobą lata marzonego szczęścia, i rozstali się w końcu. Kto wie? może los pomścił się za mnie, może jej przyszło na myśl nieraz, że nasze ubóstwo pewniejsze było od tamtych bogactw. Dziś, biedna kobieta, bez przyszłości, bez rodziny, żyje na lasce ludzkiej.

Zrozpaczony, poszedłem do wojska, ale i kule mnie nie chciały jak ona. Powróciłem do domu: nie było tak dalece do czego; a że już przywykłem do włóczędzy, do pracy, ot życie sobie obrałem do mojej miary, do mego serca. Żyję pod gołym niebem, włóczę się wśród lasów, poluję... Bratry mi chleba nie pożalował, ale ja cudzej łaski, nawet od brata, nie chcę i nie potrzebuję. Pókim zdrows, obejść się bez niej mogę, i co trzymam od niego, za to płacę, a nie zapłacę, to odrobuję.

— Gdzie pan mieszkasz?— spytałem.

— Terazniejsze gniazdo moje— odparł— tutaj na Zapadliskach w horodyszczu (tak zowią stare wały zamczyska); ale ja, stary włóczęga, miejsca nie zagrzeję: to tu, to tu, aby chodzić. Ot, powiem panu, że najczęściej jedną tylko zimę ostrą co przesiedzę; a jak Bóg da doczekać wiosny, lata, jesieni, strzelbina na plecy i dalej w świat. Człowiek w każdym stanie duszy szuka zatrudnień pokrewnych jego usposobieniom: ja znalazłem także właściwe. Stare mogiły, uroczyska wały zamków, grodziska, horodyszczka, gruzy i zwaliska, cmentarze i kurhany: to królestwo moje. Naokół o mil sto mikt lepiej odemnie nie pokaże panu wszystkich pamiątek przeszłości, guzów i blizn ziemi naszej. Szukam zabytków starych, odkopuję mogiły jak złodziej, badam co leży pod niemi, śledzę tajemnice grodów: żyję w przeszłości, i dobrze mi z tém.

Jestto także rodzaj polowania, mający swoje przyjemności, i bez współzawodnictwa u nas. Z biżacem sercem zbliżam się do twardego kurhanu, na którym wiekwa darń leży, oglądam go, śledzę okolicę i zapuszczam rydel z ostrożnością, z bojaźnią, z ciekawością niewypowiedzianą. Z pierwszych szczątków wprawne oko już mi wiek usypu poznać daje: kawał krzemienia oszlifowanego, ułomek glinianego garnka, żelezce, kość rdzą miedzianą napojona, spowiadają mi się z lat ubiegłych. Często ktoś mnie uprzedził: nie badacz niestety! ale chciwiec, który w śmierci szukał złota! Często wieki przetrwał grobowiec poszanowany, bo nad nim spływała gminna piosenka lub ludu podanie. Cóżto za radość, gdy znajduję w całości wszystko, co czas poszanował; gdy wezmę w rękę czaszki, obwite drutami, ubrane jeszcze w paciorki i maneły; gdy w szklanej łzawnicy odgrzebię łzę, upadłą przed lat

tysiącem! Co tu historyi, co tu myśli w najdrobniejszej odrobinie! Z małego zwitka drutu można wiek cały wyczytać! Ten drut ile kosztował pracy, czyje go ręce wyciągnęły, co znaczył i do czego służył: pole domysłom, pole badaniom szerokie. Myślę, a czas ucieka, i kopiąc mogiły, zbliżam się do oczekiwanej, do ostatniej, do mojej własnej.

— Te badania zapewne pan udzielasz uczonym?

— Ha! ha! a to po co? O! nie, nie! Żebym sobie porobił wielbicieli i krytyków: dwa rodzaje ludzi najnieznośniejszych? To dziś moje królestwo, moja własność, to moje skarby: po co się dzielić? jam skąpy! Któż wreszcie tak mądry, żeby śmiało z popielnicy wyrokował o popiołach, ze szczątków o całości, z blizn o ranach? Jeśli się myślę, myślę się sam, nie wwodzę w błąd drugich, i mogę bez zgryzot sumienia budować wyobraźnią gmachy na ruinach.

— Teraz rozumiem dlaczego spotkałem pana na wałach zamku.

— Co dziwnego? to moje mieszkanie.

— Nie widziałem tam żadnego, zdaje mi się.

— Nie jesteście daleko: chcesz pan, to mu je pokażę.

— Z największą wdzięcznością. Chodźmy!

Pan Piotr wstał rzeżko i poprowadził mię wprost przez lasy bez drogi: znał widać każde drzewo, zakątek, zarośle, łączkę, i nad spodziewanie moje prędko ukazała się Słucz, a nad nią zielone obroście zameczysko. Nigdzie nie widać było zapowiedzianego mieszkania.

Miejscem, które dawniej wchodziło się do zamku, gdzie była brona i most zwodzony, którego słupy murowane jeszcze się wydzierały z pod darni— przewodnik wwiódł mnie za zieloną łąkę, dziś zajmującą środek wałów. Po rogach wyższe nieco pagórki oznaczały miejsce bastyonów; na nich porosły dęby, a poczepiane u gałęzi ich chmiele dzikie i powoje białe, obejmowały je zielonemi wieńcami. Ostrożny zamku mieszkaniec, coraz chodząc innemi ścieżkami, nie wydeptał nawet widocznej do wnijscia drożyny, któraby schronienie jego zdradziła. Na jednym z pagórków narożnych była ławka z darni, ślad, że tu żył człowiek; z tej ławki widać było piękny krajobraz nad-Słuczowy, niczém jednak nieożywiony i pusty: rzekę, lasy, pola dalekie, drzewa, łąki, — ani wsi żadnej, ani żywej duszy. Lubił ten widok właśnie dlatego, że w nim ludzi nie było.

Zszedłszy z wałów ku rzece, znaleźliśmy rodzaj jamy, jakby szyję lochu nad wodą, całą obrosłą bluszczem, chmielem i zielskami bujno tu zapuszczonemi i zakrywającemi prawie rozdół, którym szedłszy kilkanaście kroków, spostrzegłem mur szary odwieczny, a w nim drzwi mocne dębowe, okute. Mój przewodnik wyjął klucz z zielska, otworzył je i wszedł. Byliśmy w dawnych lochach pod zamkiem. Długi korytarz, w którym tylko zwierzyzna ubita wisiała na kołkach i świeżo zgasłe popielato ognisko, z ubogim bardzo i lichym sprzętem, doprowadził nas do sklepionej izby o jednym oknie kraciastém, zamieszkiwanej przez pana Piotra. Tu obrócił się do mnie, uśmiechając się, i powitał mnie jako gospodarz.

Póki się oczy ze zmrokiem nie oswoiły, nie w początku dojrzed nie mogłem: dziwne też to było schronienie. Wystaw sobie izbę, pewnie dawniej więzienie lub kryjówkę na wypadek oblężenia, z bardzo małym okienkiem u góry, z piecem kamiennym, z kominem, którego otwór ginął gdzieś zapewne

w gruzach pokrytych zielonością, bo i okno obwieszały gałęzie i chwasty. Wewnątrz, choć to nad rzeką, dosyć było sucho. Ściany podpierające sklepienie ostre, były osobliwym gabinetem starożytności. Wisiały na nich w pewnym systematycznym porządku szczątki zardzewiałe zbroi, ogromne miecze potraskane, wyjedzone rdzą szyszaki olbrzymie, łańcuchy tajemniczego użytku, ostrogi łokciowe, bułaty, topory, strzały, koszule druciane. Na podłodze stały rzędem popielnice, garnki ementalne, kamyki płaskie co je pokrywać zwykły, kule kamienne, wieka starych grobowców z napisami, niezgrabne bałwany przed-chrześcijańskich czasów i tym podobne pamiątki.

Zdumiałem się rozmaitości przedmiotów i ogromnej ich ilości.

— To moje muzeum i archeoteka — rzekł pan Piotr — a to biblioteczka — dodał, wskazując półkę z książkami niewielką, wiszącą na ścianie niedaleko łóżka. Łóżko było z liści suchych, pokryte skórą wilczą, przy niem wisiała świeższych czasów karabela, pistolety i krucyfiks bukszpanowy pięknej roboty. Poniżej w głowach, nad samem czołem śpiącego, za szkło oprawna mała kobięca rękawiczka z dziwnie rozstrzępionemi palcami, zdawała się grozić czy szydzić. Domyslałem się jej znaczenia: byłato ostatnia młodości pamiątka. Mała skrzyneczka z sosnowego drzewa, niezamknięta, niepomalowana, stała przy łóżku.

— Dziwna rzecz, że pana tu nie okradną, gdy się na długo oddalasz? — spytałem.

— A cóżby tu ukradli? — odpowiedział, ruszając ramionami — żelaztwo stare? to się już na nic nie przydało. Wiedzą wszyscy, że ubogi, a boją się mnie dlatego, że ja się nie boję nikogo. Lud ma mię za czarownika i znachora, szanuje i lęka się; zresztą, są tam po świecie i tacy, co mnie kochają. Jedno z drugim, nikt mi złego wyrządzić nie zechce.

— A nie ciąży panu samotność? — spytałem.

— Wstydz się pan pytania. Samotność! jam ja sobie wyrobił, wypracował umyślnie, aby być sam na sam w cztery oczy z przeszłością, aby mi się wspomnienia nie zatary, abym ich pamięci nie zgubił. W dodatku, jako rozrywkę, jako pracę, mam ten zbiór, dla mnie cenny i ciekawy, który powoli pomnażam codzien.

To mówiąc, wyjął z torby krzemionną siekierkę, i położył ją obok mnóstwa innych na półce.

— To — rzekł — towarzystwo moje, majętność, to rozmyślenia przedmioty. Lubię moje życie: kiedy mi Bóg nie dał go spędzić z tą, któraby mię uczyniła szczęśliwym, dziękuję Mu, że mi dał obracć sobie żywot znośny i miły nawet. Ludzi ani pragnę, ani mnie oni potrzebni; ale ich nie odpycham, i Kocham, choć zdaleka. Czemużbym im źle życzył? Ogólnie wzięwszy, oni są raczej głupi niż źli: lituje się nad niemi. Ile razy gorzkie wspomnienie i żądza dojedzą mi do żywego, wpiją się w serce i powabić mnie się pokuszą: idę pracować, idę zmęczyć ciało, znużyć się do opadnięcia z sił; wówczas zostaje bydlęciami na chwilę, i dusza usypia.

Na takięto aż sztuki brać się muszę z duszą i z pamięcią: i wygrywam z niemi, prawie zawsze. Zajmuję duszę i myśl pracą, zajmuję i nużę ciało, odganiam przykrę domagania się nieuspokojonego serca, poddając mu pokarm, póki go mam.

Ileżem chwil wolnych, prawie szczęśliwych winien mojemu marzeniu na szczątkach przeszłości naszej! ile godzin zaniosły z sobą do wieczności te

rupiecie stare! A! dobrzy to moi przyjaciele! po nich, jak po szczeblach, wznoszę się myślą, czepiając w wieki ubiegłe, i zasiadam tam na ementalrzysku ogromnym spokojniejszy. Świat, ja sam, widziany z tej wyniosłości, maleją mi w oczach: cierpienie znika i milczy.

Mówił mi długo w tym sposobie: jam go słuchał z coraz większem zajęciem, a gdym dotknął tych jego skarbów, pan Piotr jak mi począł wykladać użycie wszystkich swych starych zbroi, znaczenie każdego ułamka, jak począł tłumaczyć wszystko i po swojemu, przeszłość ze zbutwiałych odtwarzać kawałków rdzą i pyłem pokrytych: dosiedziałem do wieczora.

Poprzyjaźniliśmy się bardzo: zdaje mi się, że mu się podobał, bo o ile wiem, nikogo bardzo chętnie do siebie nie przypuszcza i nie rad zabierać nowe znajomości, choć ich znowu nie unika do zbytku. Jedno tylko czyni tego dziwaka niższym w oczach moich od Graby, z którym ma wiele wspólnego w pewnym właściwym zapatrywaniu się na świat, jedno to: że mu szyderstwa trochę często gorzko z ust płynie.

Nazajutrz, według mojego dzieciennego zwyczaju, pojechałem na granicę Rumianęj, spojrzeć na ten dom i okolicę, którą ożywia moja królowa. Jakież było podziwienie moje, gdym tu ujrzał pana Piotra, siedzącego na kłodzie, z oczyma także wlepionymi w Rumianęj i zamysłonego głęboko. Zerwał się gdym przybył, popatrzał mi w oczy chwilę, i gorzko się rozśmiał.

— No! — rzekł, podając mi dłoń zapracowaną — nie róbmy ceremonij; siadajmy oba, oba patrzmy i dumajmy, a gdy postrzeżem białej sukienki mignienie, niech się nam obu zdaje, że naszą panią widzimy. Tak, tak! — dodał — nie zapieraj się pan swoich kontemplacyj, jak ja z moich wyklamywać się nie będę.

Widać, że mnie wprzód wysledził.

— Lecz pan kogoż tu upatrujesz? — spytałem zdziwiony.

— O! niedomyślna głowo! — odparł — już ciż nie powinieneś o to pytać!

Musiałem się domyśleć, że to był pierwszy kochanek pani Lackiej, a historia opowiadana do niej się stosowała. Nie mając już dla siebie tajemnicy, mogliśmy mówić otwarcie: dopytywał mnie o nią z ogniem w oku, jak dwudziesto-letni młodzieniec.

— Wszak wesota? — rzekł — wszak szczęśliwa?

— Ani wesota, ani zdaje mi się szczęśliwa; o wszem milcząca, podrażniona, smutna, tak jak gdyby już na świecie nic nie pożądała, niczego się nie spodziewała.

— W istocie — odpowiedział — nie mamy czego wyglądać oboje: ona, to nie ta droga moja istota, którą tak kochałem w młodości. Starzejem, gnijem za życia i odmieniamy się biedni. Mówią, że w człowieku po latach kilku nie zostaje ni pyłka z dawnych jego cząstek składowych: jakżeby w sercu uczucie, przy takiej rewolucyi, zostać się miało na miejscu? Tanta, moja, jest tu tylko! — wskazał na serce i szarpnął się za piersi — więcej już nie ma jęj nigdzie: rozlała się w powietrzu, rozleciała w drobne cząsteczki, które wiatry uniosły na kielichy kwiatów, na krople rosy, na obłoczki złociste i na dymy czarne. Dzisiaj żyjąca, to inna kobięta to samo imię nosząca; przeszła już przez ręce ludzkie wycalowana, wypieszczona, sponiewierana. Zostałże jęj na białem czole choć jeden zakątek, gdzieby czysty pocałunek mógł się umieścić, nie wstydząc

się sąsiedztwa? w sercu choć jedno uderzenie, coby już komuś nie służyło, któregooby ktoś nie przywłaszczył i nie tłumaczył sobie. Dziś ja jej nie Kocham, Kocham tylko wspomnienie, a tej nowej istoty nieznanę mi, która przerodziła się z tamtej, nie chcę! nie! to nie ona! Ten sen mój odeśni się chyba drugiemu gdzieś młodemu szaleńcowi, w innej pierśsi, na tę samą boleść przeznaczonęj!

Wstał żwawo z drzewa, porwał strzelbę silną ręką i uciekł w las.

Patrz, Munciu, coto są uczucia prawdziwe! i nie wstydzę ci, że ty często imieniem takiego uczucia zowiesz najgłępszą chwilową swawolę? że go używasz na najpodlejsze użytki? To tak, jakbyś ogień do fajki krzesał brylantem Wielkiego Mogola.

Bądź zdrow! pisać nie mogę więcej: jadę w pole.

Twój Jerzy.

Jak się masz? Znowu chwilka wolna: używam jej pisać do ciebie. Wyobrażam sobie, jak ci się teraz z listów moich dziwacznie wydawać muszę: przepaść nas rozdziela. Oba na siebie poglądany z litością, prawie tak, jak gdyby dwóch oblakanych w domu szalonych patrzyło na siebie. Lecz nie! nie! złe porównanie; ja często widzę świat, ludzi, rzeczy, siebie, i oblakany nie jestem. Widzę jak się uśmiechasz z litością: śmieję się, lecz przyjdzie czas, że mój list wywoła dumanie na twoje czoło, i kto wie, ty wyjedziesz także może z tego zamętu miasta, w którym ja tyle lat straciłem, szukać na wsi ciszy, spokoju, wytchnienia?

Gdyby mi dziś dawne dostatki, młodsze lata i swoboda zupełna wróciły, nie użyłbym ich pewnie tak jak wprzód: tak mi żal lat straconych.

Nie! nie! nie ma szczęścia w szalach młodości (bo to nagromadzi, ani w zbytku i miękkim życiu, ani w nagromadzonych rozrywkach bez liku, bo to wszystko sprowadza zużycie i nudę, ani w niepomiernej żądzy wzniesienia się dla oka; ono tylko w spokojnej ciszy sumienia, w wiejskiej ustroni, w ukształceniu własnym, we wzniesieniu się duchowem, w umiarkowaniu żąd, w swobodzie duszy, w pracy i w marzeniach. Wszedłszy z tych granic, spotykamy ściany pięknie pomalowane, o których zmyślone ogrody i pałace bijemy się piersią zbolalą: albo wejść tam niepodobna.

Ja ją widziałem!

Posłuchaj: zawsze jeszcze jeżdżę na granicę Rumianęj i siadam tam czytać i dumać, z kąd widać dwór i drzewa ogrodu; jeśli nadejdzie pan Piotr, dumamy we dwóch lub rozmawiamy pocichu, powoli, przerywając dumy długimi przestankami milczenia. Wybraliśmy sobie kilka dębów starych, rozłożystych, u brzegu lasu, i tu zbudowaliśmy (tak jest, bo własnymi nawet rękoma) rodzaj szałas, otwartego na stronę Rumianęj, z dwoma ławami z kłód. Pan Piotr, dobry ogrodnik, posadzał krzewy, posiał chmiel i powoje, i dziś to miejsce ściąga nas obu ku sobie, jeśli nie codziennie, to przynajmniej bardzo a bardzo często. W jednym kątku tej budki chowamy hubkę do zapalania fajki, w drugim czerpaczek prosty, z którym z kolei chodzimy po wodę do niedalekiej krynicy. Mamy i ognisko obłożone kamieniami na chłodne wieczory, na zimne ranki, na słotne dni. Pan Piotr, jeśli się nie błąka po lasach, horodyszczach i mogiłach, często tu nawet nocuje. Właśnie przed kilka dniami siedzieliśmy tu oba: Dolski był uparcie milczący i ponury. Piękny dzień wiosenny złocił się już blaskami pogodnego wieczora: a ty wiész (lub ty nie

wiész, co pewnie) jak ranki i wieczory śliczne są na wiosnę i w jesieni: u tych dwóch kresów dnia wszystko się zdaje żyć inaczej, żywiej, silniej, weseliej. Sam dzień jest sobie dzień jakich wiele, rzadki się odznaczy; ale w początku i u schyłku co za widok, jakie wonie, jakie głosy, ile myśli nierozwikłanych przylatuje do głowy! Że dzień jest takim, jak to Bóg dobrze obmyślił: w dzień potrzeba pracować, i Bóg go takim uczynił, żeby nam nie przerywało pracy; zrana ten widok rozbudza, ożywia, krzepi, sił dodaje; wieczorem orzeźwia, pociesza i znużenia zapomnieć każe.

Siedzieliśmy milczący, obu nam oczy szły w jedną stronę. Dolski chinurzył się, jak czasem mu to się zdarza, gdy wszystkiej pastwy, którą rzuca na nasycenie głodu duszy, zamalo mu jeszcze. Biędak, modlić się nie umie; walczy tylko, i dlatego upada.

Nagle posłyszeliśmy tętent koni, ale wówczas już, gdy się tak zbliżył, że i końskie głowy pokazały się zaraz na drożynie przed nami, po pod szalasem idącej. Drożyna ta, wązka, piaszczysta, brzegiem lasów wiedzie do ślicznej pasieki, która należy do Rumianej. Za koni pokazał się zaraz wolno idący wózek: w nim siedziały pani Lacka i Irena. Dolski czarne swe oczy brwią nawisłe wlepił i osłupiał, ja porwałem się z miejsca; Irena poglądała ciekawie na naszą budę, a poznawszy mnie, kazala zatrzymać konie.

Lacka zbladła niezmiernie, odwróciła się żywo w drugą stronę, i już więcej nie spojrzala ku nam. Irena nie zważając na nią, kazawszy się zastanowić koniom, powitala mnie prawie wesoło.

Zbliżyłem się do niej; pan Piotr pozostał w budzie jak skamieniały.

— A! przecież choć przypadkiem spotkałyśmy pana! Co pan tu robisz?

— Polowaliśmy na słomki — odpowiedziałem — razem z moim sąsiadem panem Piotrem Dolskim (pan Piotr słyszał, ale się ani ruszył); a teraz odpoczywamy.

— Cóżto jest — spytała mnie ciszej — że pan, sąsiadując ze mną, ani się raczysz u mnie pokazać?

Chciałbym kłamać, ale pierwsze słowo moje odtrąciła.

— Mówmy szczerze! — rzekła żywo. — Pan się wstydzisz?

— Prawda — odpowiedziałem.

— Wielki to dowód miłości własnej, chcieć się zawsze pokazać tak bardzo panem siebie i jednakiem. Nie właściwiejżeby było, postrzegłszy co się uczyniło, czy wypadkiem, czy namiętnie, otwarcie siebie potępić i ludziom odjąć możność potępienia, a iść dalej odważnie drogą jaką się sobie nazaczyło?

— Gdyby ludzie nie potępili — przerwałem — gdyby byli nawet pobbłażający, o! są wrazenia co się nigdy nie zacierają.

— We wszystkiem co pan mówisz, ogromnie wiele dumy się przebija.

— Niech to będzie i дума: jest rodzaj dumy szlachetnej.

— Więc żeś pan raz trochę czerwony i trochę słaby — dodała z uśmiechem — był u mnie, mamże za karę nie widzieć pana nigdy bladym i zdrowym?

— Byłoby to karą dla kogokolwiek prócz dla mnie?

Ona się trochę zmieszala.

— Dla pani teraz obojętne — rzekłem.

— Chcesz pan komplementu? nigdy mi go nie zabraknie na usługi tych co ich pragną: w Polesiu

towarzystwo tak milego sąsiada jak Wacpan Dobrodziej, to rzecz wcale nie obojętna.

— Dobилаś mnie tém pani! — odpowiedziałem z uśmiechem.

Spojrzała na mnie poważniej i podała mi rękę.

— No! będziesz pan w Rumianej? wszak to trzy kroki!

— Nie wiem.

— Jakto! kiedy ja proszę?

— Nieszczercze, i może tylko znowu przez grzeczność.

— No to najniegrzeczniej: ja być każe! A! jaki uparty!

— Pani mi być każe?

— Rozkazuję, zalecam, i grożę nawet, że oskarżę dziadowi.

— Więc będę.

— Cóżto jest za stworzenie ten pan Piotr?—spytała mnie cichutko, przedłużając rozmowę.

— Niech pani uważnie spojrzysz na swoją towarzyszkę, a domyśli się wiele rzeczy, których mówić nie mam czasu, ani pozwolenia.

Irena rzuciła okiem od niechcenia, i zobaczyła panią Łaciekę prawie omdlałą; raz jeszcze żywym rzutem oka przypatrzyła się panu Piotrowi, i pożegnawszy mię, co najprędzej jechać kazała.

Dolski słowa nie rzekłszy, wysiedziawszy na ławce chwilę długą, wstał, i nie obróciwszy się nawet ku mnie, poszedł prosto w las. Nie śmiałem go w téj chwili ani pytać, ani zaczepiać, ani pocieszać, ani mu towarzyszyć. Rozchylił krzaki, wpadł w gąszcz, i zniknął mi z oczu. Pojmujesz, że naza jutrz pojechałem do Rumianej; lecz jakby na zakwaszenie mi umyślnie téj chwili z nieba spadł, przystawił się pan Koniuszy. Zobaczywszy mnie w salonie wchodzącego, poczerwieniał najprzód, pobladał potem, potargał czuprynę, spojrzał na Irenę, która spuściła trochę oczy, i nie witając mnie, tak był zły i gniewny, odszedł od okna.

Pani Łaciekę nie było w salonie, i dnia tego całkiem się nie pokazywała; mówiono, że była chora.

Gniew mego dziada zmienił się wkrótce w zjadliwe szderstwo, od którego, nie chcąc go zapewne rozdrażniać, mało mnie bronila Irena, wszakże bronila trochę. Ja znosiłem spokojnie, jak zachwycony w polu ulewą podróży.

— Przedstawiam pani— rzekł najprzód—mojego wnuczka, mego kochanego wnuczka, pana dzierżawcę Zapadlisk (wziął je za wygrane w karty pieniądze: dobry użytek ze złego przybytku), dzierżawcę Zapadlisk nie bez celu: graniczą z Rumianą! a zatem ostrożnie z paniezem!

— Panie Koniuszy!

— Kawaler wielkich sentymentów i pije jak ja, to dosyć powiedzieć; gra jak... stracił fortunę, którąby dziesięciu ubogim rodzinom na całe życie wystarczyła. Ma jeszcze właśnie tyle resztek zdrowia, serca i pieniędzy, ile potrzeba na dzierżawcę Zapadlisk, czyhającego na bogate ożenienie. Ale djabła zje!—dodał pocichu.

Moja obojętność na tego rodzaju szderstwa, zdaje się, że podniecała jeszcze dziada, który nie dał nam z sobą pomówić, i choć dla niego konie były zaszły, bo miał właśnie odjeżdżać dla pilnowania tryb, które bili tego dnia na granicy od Kurzyłówki w Zajamiu, został, wołąc utracić kawał ziemi, niż mnie sam-na-sam z nią porzucić. Irena zimna była na te szderstwa i grzeczna, ale cienia uczucia w niej nie dostrzegłem. Czy tak jest panią siebie? czy tak go ma mało?—nie wiem. Wieczór

nadchodził: stary mnie wyprawiał i prawie wypędził; musiałem odjechać. On nie ruszył się, ażeby jeszcze wrażenie lepsze jakie mogłem po sobie w jej oczach zostawić, zatrzcć nowemi może szderstwami.

O! gdyby się moje przeczucie sprawdziło, a Kapitan pobił tam tryby przez jego najdroższe ostępy i pokrajał mulasy: niechby choć ta mała przykreść nauczyły go litości nad drugimi! Nie! życzenie złe: to zemsta, a zemsta jest uczuciem bydlęcóm. Bóg z nim! wszystko on to robi przez przywiązanie dla niej; szanujmy go, choć boli.—Bądź zdrow!

Jerzy.

XVI.

IRENA DO MISS F. WILLBY.

Rumiana, 5 czerwca 18...

Droga moja Faniu! Obiecałam ci pisywać często, żebyś naszego języka, któregoś się dla mojej przyjaźni nauczyła, nie zapomniała; ale źle dotąd wywiązywałam się z przyrzeczenia mego: ledwie raz w miesiąc odbierasz listy odemnie, a cóżto dwanaście listów na tak długi rok! Mnieby łatwo może było napisać ich więcej; ale godził się tobie, pracowitej naczelnicy zakładu wychowania, truć godziny listami takiej jak ja próżniaczki. Nie wiem czy list mój majowy doszedł rąk twoich? przez ileto rąk, przez tyle torbek pocztowych i skrzynek i wózków i statków te listy przechodzą, że mi trudno pojąć, jak do celu trafić mogą. Napiszże mi, czy dobrze do ciebie adresuję, czy je regularnie odbierasz; nie chciałabym pisać dla pocztmejstrów i ciekawych szperaczy listów zbląkanych, ani też żeby mnie nikt nie czytał. Piszę do ciebie całą duszą: szkoda mi było utopionych wyrazów uczucia, które na białej stronicy, jak na skrzydle gołębia, do ciebie przesyłam. Obiecałam ci donosić szczerze, otwarcie, jakbym jeszcze była twoją uczennicą i towarzyszką, co się ze mną dzieć będzie: uiszczę się z tego sumiennie, nawet może aż nadto.

Widzisz, że nadaremnie prorokowałam mi prędką miłość, prędkie za mąż pójście i prędkie szczęście; ostatnie podobno zawsze zaprędko przychodzi i przechodzi. Lepiej jeszcze czekać na nie, niż płakać po nióm.

Młody mój pan *Georges*, o którym ci już pisałam, com go tak dziwnie i niespodzianie poznała, który tak silnie na mnie zrobił wrażenie, zem się w początku za nie na siebie i na niego gniewała, zawsze jest jeszcze w naszych stronach. Nie umiem ci opisać, jak mnie własne serce upokorzyło w tym razie; nigdy się po nióm takiej nie spodziała zdrady: próżno wystawiałam mu, że w tym elegancie małej stolicy naszej nie ma tak osobliwego, że całkiem jest pospolity. Nie pomogło rozumowanie, choć doprawdy było bardzo silne. Walczyłam z sobą, i upokorzona wreszcie musiałam wyznać, że nie mam tyle mocy, ilem się spodziewała.

Mój opiekun, którego ten pan jest wnukiem, najzażarciej go odemnie odpycha. Ty znasz pana Koniuszego, jak on poczcziwie mnie kocha: to przywiązanie jego przechodzi czasem w słabość dziwną. Raz sobie powiedział, że to jest wietrzniak, marnotrawnik i człowiek bez zasad, nie godzien takiej heroiny jak ja: stoi przy swoim; a ile użył i używa środków, żeby go odepchnąć, wyliczyć trudno.

Georges mój (dlaczegoż mój? nie wiedzieć co piszę) stracił znaczny majątek. Koniuszy mu go odkupił, żeby sobie tylko odjechał od nas jak najdalej. Ale ofiary tej nie przyjął Jerzy, jakim się spodziewała, i dobrze, bardzo dobrze zrobił. Nie wiem, może sobie marzę, lecz uczucie, które w nim postrzegam (a któraż kobieta go nie wyczyta?), zmieniło go zupełnie: stał się pracowitym, wytrwałym i myślącym człowiekiem, z milego, ale pustego chłopaka, jakim go poznałam. Towarzystwo pocziwego Graby wiele na tę reformę życia wpłynęło. Ja wierzę w jego poprawę, Koniuszy z niej szydzi: tłumaczy ją chciwością, uporem, szalem, ale jutra w niej nie widząc, zapowiada zmianę i stale dowodzi, że Jerzy jest zawsze czem był, tylko pod inną powłoką. Ja tego zdania nie podzielałam: czemużby człowiek nie mógł się stać lepszym? wszak skłonność ma do dobrego.

Tyś już zgadła, bom ja się wypisała do zbytku: ja go kocham, więc tłumaczę wszystko, wszystko dobrze w nim widzę. Miałabym się mylić? Boleśnieby to było, ale gdybym się i omyliła, cóż na te głupie serce nasze poradzić?

Każą mi czekać, i czekam i czekać będę chętnie; bo mi wcale nie pilno pójść za męża, a tak jak jest, dość mi dobrze, choć trochę nudno. Czuję, że lepiejby być mogło, daleko lepiej: ale zniosę i to co mam przy nadziei. Z tą psotnicą czas bieży szybko.

Po opisanym ci, Faniu moja, okropnym wypadku, kiedy mnie go umyślnie pokazano pijanym (wiiesz, że pijany nawet nie miał nic nieszlachetnego, był tylko biedny), długo, długo nie widziałam go aż dotąd ani razu. Nie chciał być u mnie, choć trafem czy zrzadzeniem (nie przypuszczam rachuby) zamieszkał bardzo blisko, w Zapadliskach: musiałam go aż wciągnąć sama. Udało mi się bardzo zrećnie, i nikt mnie posądzić nie może o to, do czego się w pokorze ducha przyznaję tobie. Ty znasz (jeśliś wśród twoich *Street* i *Square* nie zapomniła jej) drogę do pasieki mojej po nad granicą Zapadliską. Wyobraź sobie, że Jerzy siedział tam niemal codziennie na samej granicy, i godziny całe patrzył zdaleka na Rumianę: coś to jak w książce bywa, nieprawdaż? nigdybym o tem nie wiedziała, gdyby nie przypadek. Z mojej wieżyczki nad oranżeryą, gdzie ustawiłam teleskop Mordount'a przez ciebie mi przysłany, mam zwyczaj oglądać okolice. Jest coś bardzo milego w tem zbliżaniu się do ludzi w sposób niewidzialny: śledzę nieraz ich, gdy sądzą, że Bóg tylko jeden na nich patrzy! Teleskop twój doskonale zbliża przedmioty, i jednego wieczora, gdym go obracała na różne strony, coś mi mignęło na drodze od pasieki. Wpatruję się—to on—uważam lepiej: usiadł, oparł się. Głupie serce! tak mi mocno uderzyło!

Nie! nie! nie jest to kłamane, ale prawdziwe i głębokie uczucie. Codziennie, przyznaję ci się jak na spowiedzi, zwracałam teleskop w tamtą stronę, i widziałam potem jak tam sobie z kimś drugim pobudowali budkę, przychodzili, siadali, siedzieli godziny całe. Domyślasz się reszty: skierowałam przejażdżkę ku pasiece; spotkaliśmy się, a jam go zaprosiła: przyjechał, i trafił na pana Koniuszego. Stary był nielitościwy; zał mi było okrutnie Jerzego, ale on zniósł wszystko mężnie, zimno, cierpliwie, jak był powinien. Wdzięczna mu jestem: zniósł to wszystko dla mnie.

Po jego odjeździe rozmówiliśmy się przecie *à coeur ouvert* z moim drogim i najpocziwszym stróżem. Ledwie był Jerzy za progiem, rzucił na mnie Ko-

niuszy wzrokiem błagającym o litość, i całując w rękę, rzekł cicho:

— Ty się gniewasz na mnie?

— Gdybym mogła, panie Koniuszy, powinabym.

— Biedne dziecię—zawołał—takto wy wszystkie gorzkie lekarstwa odpychacie. Ale—dodał, zagnijając się—przyznaj mi się już szczerze, co u karta, ty go już chyba kochasz?

To zapytanie uczynił z takim niespokojem, że chociaż byłam powinna się przyznać, nie miałam siły go martwić. Po kobiecemu więc zbyłam go ruszaniem ramion.

— Ale to wietrznik! to szalawila! to nic dobrego! hulaka, opój, kartownik!—zawołał—nieszczęście gdzie się to przyplącze; za grosz na niego rachować nie można!

— Dlaczego?—spytałam.

— Spojrzże Asińdzka, co zostawił za sobą, a będziesz miała wyobrażenie co może być przed nim: długi, podarte karty, potłuczony butelki i opuszczone kochanice. Chceszże ty, mój aniele, zejść na resztki takiego kawalerskiego życia?

— Ależ to zwykle życie naszej biednej młodzieży—odparłam—zskądże weźmiemy aniołów? Czemuż nie wierzyć w poprawę?

— A! ba! oto to! oto to! w poprawę! jest! jest! wielkie słowo: poprawa! O! on się poprawi, póki mu się ty nie naprzykrzysz i póki ci nie zje majątku.

— Ale dlaczegoż pan Koniuszy nie chcesz wierzyć w poprawę?

— Bo nie wierzę! Wolę dla mojego anioła—powtórzył z pocałowaniem ręki—wolę takiego, coby się nie potrzebował poprawiać. Ot, Jan Graba.

— Bardzo dobry, bardzo zacny chłopiec—odpowiedziałam—wysmienity, wyborny, niezmiernie miły, niesłychanie pocziwy, nadzwyczaj rozumny: cóż kiedy nie dla mnie?

— Dlaczego? Tere-ferel dlaczego? dlaczego? Co to nie dla mnie? Nie dlatego! po staropolsku mościa panno, skojarzym i kwita!

— Co z tego, kochany mój opiekunie, to nie będzie: pójdę za kogo zechcę, lub nie pójdę za męża wcale. Jeśli mnie kochacie, łamciez sobie głowę i czuwajcie, żebym nie pokochała kogobycie nie zyczyli sobie, bo...

— Otóżto dlatego—zakrzyczał—chciałem wyprawić tego dudka jakby przecuciem. Coto ręczyć za chwilę? ja to wiem! Spojrzzenie, słowo: za nic ręczyć nie można! No! los mi figła wyplatał! a dalipan, jakim szlachcic, już on taki pannie Irenie nie obojętny!

— Być może—odparłam—ja jestem jak każda kobieta: im więcej mi bronia, tem mi się chce więcej. Na cóżes pan Koniuszy zrobił z niego jabłko zakazane?

Chwycił się za włosy.

— Ja to już widzę! ja to już widzę! to prawdziwe nieszczęście! Nie obojętny! jabłko zakazane! Śliczne jabłko co go robactwo potoczyło wskroś! Przeczuwałam—mówił do siebie—tego mi było potrzeba! Bóg mnie pokarał! Otóż całego życia praca, staranie, troskliwość—w błocie!

Siadłam i milczałam; on chodził żywo, dumął, mrucał, rzucał się. — Charakter zdaje się jest, ale coto wierzyć! krew pocziwała zresztą kaci go wiedzą! Ale taki nie potem, nie potem: nie chce! nie chce! Całe życie marłbym ze strachu!

— Przecież krok do poprawy uczynił śmiało—przerwalam, dawszy mu się trochę wyburzyć—przecież samiście już w nim uznali szlachetność?

— A jednak i nie chcę go, i nie chcę, i nie chcę!
— zawołał stary. — Całe życie z nim truchleć: a mnie to do czego?

— A gdybym ja chciała koniecznie?

— Wiész co — rzekł, zastanawiając się — uprzyj się, a zobaczysz, że w leb sobie strzelę!

Przerwałam mu, zatulając usta.

— Panie Koniuszy, nie tak gorąco, nie tak gorąco! Wiész co, godziź się potępiac go bez odwołania, nie przekonawszy się, i nie lepiej żeby zwrócić na niego pilne oczy, śledzić, patrzeć, a nie wyrzekać się wcześniej?

— Co mi z tego, że dziś flut gra rolę sensata, a co jutro powie?

— Pozwólcieź, mój tatku — dodałam, wiedząc że lubi gdy mu to imię z dzieciństwa nadane powtarzam — zapomnieliście o własnych maxymach. Nie raz słyszałam od was, że piwo co się nie wyburzy zamłodu nic nie warte, że młodość musi przebyć każdy, jak każdy przechorowuje odrę i koklusz.

— Tak, i ospę, po której zostają znaki; ale ja wolę komu ją zaszczepiono.

Zamyślił się.

— Kto go zresztą wie — dodał zmiekczone — może się to i wyburzy; wszakcito krew dobra, Suminowska!

Rozśmiałam się.

— Czego się Acanna śmiejesz? Krew! Wy to teraz z tego śmiejecie się wszyscy; a wiész Wacpanna co o Suminach pisze Okolski, tylko po łacinie nie zrozumiesz.

— To nic nie szkodzi: ciekawam posłyszec.

— Pisze, ale to nie Okolski podobno tylko Długosz, że bywali *virī ad potationem et largitionem proclives, canum et venationum studiosi* (to wszystko tylko przedmowa), ale *virī probi, audaces* i...

— O! to coś długa litania.

— Śmieć się sobie, śmieć, a ja w to wierzę: wiele rzeczy krwią się dzieje, rodem kury czubate.

— Więc chwala Bogu z niczego coś być może?

— Kat go wie! A jak się zatnie na przedmowie? — dodał stary, i zamyślił się, chodząc od drzwi do drzwi; potem przystąpił do mnie i rzekł poważniej:

— Wiész co, kochanie moje, dajże mi przynajmniej słowo, że go już więcej nie pokochasz, póki ja cię nie rozgrzeszę, ale ja sam.

— E! kto tam słowo daje — odpowiedziałam — czy to wy mnie, tatku, nie znacie? czym taka plocha?

— To prawda, że nie plocha! No, cóż z nią poradzić? zawsze postawi na swoim. Czekajże, pocznęz ja go dobrze śledzić i przypatrywać mu się zblizka, ale jak się co okaże...

Pocałowałam go w czoło, ale zamiast podziękowania za tę pieszczotę, porwał się jak oparzony.

— Dalibóg! — zawołał — do kroćset beczek zajęcy! ona go już kocha! nie łasiłabyś się tak!

Śmiejąc się, uciekłam do drugiego pokoju, a stary, pomruczawszy, wskoczył na bryczkę i pojechał.

Otóż masz ważną scenę z dramatu mojego życia. Ja go kocham! tak, ja go kocham! odgadł stary, chociaż doprawdy i gniewam się razem na niego i na siebie. Bo za co go kocham, dlaczego? — nie wiem. Miłość jest zawsze bez logiki. Nie piękny (ale już ciż nie myśl znowu że brzydki — nie), ale na co to wszystko...

Proszę cię, Faniu, poczcwiwa moja przyjaciółko, pomódl się tam, żeby to pierwsze uczucie mogło być ostatniem, żebym nie potrzebowała gasić go w sobie i z nim walczyć...

(Reszta listu oddarta).

XVII.

JERZY DO EDMUNDA.

Pierwszy tylko krok był trudny: teraz już bywam w Rumianej, ale pamiętny posadzeń, które na mnie rzucono, znając położenie moje, nigdy się nie odważę ani jej powiedzieć, ani okazać co się w sercu mojem dzieje.

Będę kochał, marzył, cierpiał i milczał; dość mi że widzieć ją mogę.

Pan Piotr przez długi czas nie dał mi się złapać. Od pamiętnego spotkania się z panią Lacką, stronił odemnie, a twarz miał groźną, posępną i dziką. Były chwile, żem się go obawiał: miał minę zabójcy. Dopiero wczoraj wylała się żółte zebrana snyderstem, i przemówił do mnie o rzeczach obojętnych nawet, nie umiając mówić obojętnie: o cokolwiek zaczepił, wszędzie dźwięczyła struna serdeczna bolesnym jękiem swoim. Nie śmialem go pytać o doznane wrażenie, on też o niem nie mówił, lecz widać było na cierpieniu, że spotkanie go bolało, że odwróconą jej twarz widział jeszcze przed sobą. Pogadawszy ze mną, bez pożegnania nagle zwrócił się i poszedł w las.

Ja pojechałem do Rumianej. Tu jestem skazany na obojętność udaną, którą odgrywać muszę: bo diałd posadzi mnie, a co gorzej, powie zaraz przy niej, że całem mojem usiłowaniem ożenić się bogato; a jednak nigdy mniej bogactwa nie pożądałem jak dzisiaj. Bogactwo to rzecz umówiona (konwencyonalna), względna, to może słowo bez znaczenia, to coś warunkowego, co się określić nie da. Dla jednego bogactwo jest w dostatku chleba i słoniny, dla drugiego w bryczce i koniach, dla innego w srebrnych półmiskach; wyżej jeszcze, w marmurach i obrazach, w francuzkim kucharzu i stu tysięcy dochodu, i tak do nieskończoności. Wyżej o jeden stopień od nas, wszyscy się zdają bogaci. Jesteśmy póty tylko niemi, póki nam nowych żądź nie przybędzie, póki mamy coś nowego, z czem jeszcze nieoswojone jesteśmy. Najbogatszy, jak tylko się obył z tém co ma, poczyną się czuć ubogim. Czemużby nie zacząć od wpojenia sobie tej prawdy, i nie zrzucić więzów, jakie na nas wkłada staranie się o bogactwo.

Irena przyjmuje mnie dobrze ale zimno, i żadne słówko, uśmiech, wejrzenie nie zdradzi co się dzieje w jej sercu. Dobrzem ją dawniej nazwał królową, bo i nad sobą doskonale panuje. Głupini! któż to wie, może nie ma z czem się ukrywać? — to najpewniej! Mnie przecież, choć z przekonaniem że to do niczego nie prowadzi, jak diałd mój powiada, miło tu być, popatrzeć, pomówić, i pożegnać do zobaczenia tylko. A jutro? — nie myślmy o jutrze: jutro jak mi będzie bardzo ciężko, to się zamęcę pracą.

Znowu jakies dziwy otaczać mnie zaczynają. Do nich zaliczam odwiedziny mojego dziada w Zapadliskach, ciekawe oglądanie mojego gospodarstwa, wnikanie skrzętne w życie czasu, i zyczliwsie jego ze mną obejście. Zawsze jeszcze mi moję przeszłość, jak zabłocony lachman, wytrzęsa przed oczyma, ale już rzadziej, już delikatniej, już nie z tą złośliwością co wprzódy.

Na co mu to tak ciekawe zaprzatanie się mną? — nie wiem. Niedawno też postrzegłem Malcowskiego, który pod pozorem też polowania, w Zapadliskach się zjawił, Stasia mojego, już mającego żyłkę my-

śliwską, porwał, i jak się dowiaduję badał go ogromnie, nawet próbując podpoić: a badał o mnie tylko! Zkąd ta ciekawość?

Malcowski bardzo mi stręczył na oficjalistę jakiegoś podziłego już człowieka, którego z sobą przywiózł, a którego kilka razy widziałem wprzód w Turzój-Górze. Przyjąłem go, może trochę dlatego, że się dowiedział, iż go mój dziad za niedopilnowanie w lesie zwierzyny (!) odprawił. Szemrze on na porywczosć pana Koniuszego, ale odzywa się o nim przecie z jakimś uszanowaniem. Stary to sługa Suminów, znał trochę mojego ojca, niech ma kawałek chleba u mnie.

Lecz widzę, że ci się aż nadto spowiadam ze wszystkiego; kiedy tak, to ci już doniosę i o dwóch pana Koniuszego nieszczęściach. Obrany i potwierdzony marszałkiem, łamie się teraz z chęcią pozostania w domu, i potrzebą zajęcia urzędu, który go trochę lechce. Kapitan naturalnie jeździł do niego z powinszowaniem, i oświadczył w uścisku, że się także przyłożył wielce do wyniesienia go na tę dostojność.

— A niechże Asana djabli porwą!—zawołał mój dziad.

Ale to jeszcze była mniejsza sztuczka ze strony pana Kapitana: tryby na granicy gorsze daleko zmartwienie gotowały starem. Wystaw sobie, że w czasie pierwszej mojej bytności w Rumianej właśnie te tryby oznaczono. Kapitan korzystając z niebytności Koniuszego, podkupił mu sługi, popoił drugich, pociął linie od kopca do kopca, pomijając niektóre, i silny dziś tēm, że Koniuszego umocowani byli temu przytomni, w skutek nowego ograniczenia, zajął mu ostęp najdroższy, oko w głowie, Zajamie, gdzie jedyne sarny w całej Turzój-Górszczyźnie.

Gniew, wściekłość, bolesć, rozpacz Koniuszego opisać się nie dają; poleciał do Kapitana. Kapitan Bogu ducha winien, jakby o niczem nie wiedział, z minką niewinną go przyjął.

— A to paneńku—rzekł, ruszając ramionami do brodusnie — to pańscy ludzie własni sami te linie wytykali i bili, na co świadkowie są.

— Moi ludzie?! do kroćset fur batalionów djabłów! chyba głowy potracili czy co! powaryowali! Odcieł mi Zajamie!

— No, widzi pan dobrodziej! ale kiedy podług świętej sprawiedliwości ten ostęp do mnie należy.

— Jako żywo! nie należał, nie należy i należeć nie będzie.

— A kiedy linia pokazuje?

— Co mi pan Kapitan wyłazisz z tą linią! Linia? linia? ja jęć znać nie chcę! *Terminus a quo* zgadzam się, *ad quem* bardzo dobrze ani słowa, ale *per quem* opuściliście, i rznęli sobie swoją linię moim borem. O! co z tego to nic nie będzie!

— I owszem, panie Marszałku dobrodziej! będzie, bo jest: co wzięte to święte.

— Odcięte.

— Odcięte i święte—rzekł Kapitan.—Nie oddam, jak pana Marszałka szacuję i kocham.

— Nie nazywajże pan mnie Marszałkiem, bardzo proszę, i lepiej sobie mnie nie kochaj, a oddaj. Jakto, panbyś miał czoło? pan sam wiesz?

— Co ja wiem, paneńku, co ja wiem? ot co wiem. Linia poczyna się tu, a odchodzi tam, a co mi Bóg przez tę linię z łaski swojej świętej przyczynić raczył, tego ja nie wiem. Ja prosty człowiek, panie Marszałku dobrodziej, ja Bogu ducha winien, toto

i z tego powodu ten ostęp tyle lat był w pańskim posiadaniu. Ze mnie wszyscy korzystają.

— I pan upierasz się przy ostępie?

— A jakże, paneńku, a jakże! Albo to ja mogę, sam pan sądz (ja nie chcę innego sędziego), odrzucać od siebie co mi Pan Bóg dał? Panie Marszałku dobrodziej! bez gniewu, bez fury! Co tu gniew pomoże? Ja Jmć pana i łaskawcę mojego szanuję, ja pana dobrodziejka kocham, honoruję go, stopki jego całuję, ale to mój zapracowany w pocie czoła kawałek chleba, to moja odrobina, to mój łachmanek ziemi: jak to oddać?

— Ale to nie twoje!—krzyknął mój dziad.

— Panie Marszałku dobrodziej, przepraszam go, dziś to moje: tryba stoi, a tryby bite i znaczone przez własnych pańskich ludzi.

— Chyba sfixowali gałgany, albo ich przekupił!

— Panie Marszałku dobrodziej, czy ja biedaczysko jestem w stanie sług takiego pana jak pan Marszałek podkupić? Ja ubogi szlachcic, ja się pańskim ekonomom zdaleka kłaniam.

— Ostatniem słowem—rzekł mój dziad, podskakując—oddasz pan Zajamie czy nie?

— Słowo się raz rzekło: jak pana dobrodziejka kocham i poważam, a tego dowiodę, że kocham i poważam—nie oddam. Słowo szlacheckie, to nie ma i co mówić!

Dziad mój wyleciał do sieni zaperzony (całej tój sceny byłem naoczny świadkiem w Kurzylówce), chciał się na bryczkę nie pożegnawszy gospodarza, ale Kapitan schwycił go na progu:

— Bez gniewu, panie Marszałku dobrodziej, co to gniew pomoże? co się stało, to się stało! Nie opuszczaj pan tak chatki mojej z gniewem w sercu przeciwko mnie?

— Cóż pan chcesz, do kroćset! żeby mi dziękował czy co? Oddaj mi Waś moje i idź do djabła, a nie to proces!

— Chociaż krwią mi serce zabiegnie, rzucając się do tego ostatniego środka, ale uciśniony, pokrzywdzony cóż ja pocznę? Kochając go, szanując, będę się musiał bronić.

— Więc proces?

— Cóż ja temu winienem?

— Pan temu nie winien, a któż taki?

— Los, wypadek, *inevorable fatum*, ale pozwól sobie rzec słowo, panie Marszałku dobrodziej, wszak używalność za mną.

— Jakto? w imię ojca! a kiedyżeś pan używał Zajamia?

— A jużciż, wszak tam polowałem.

— To tak!

— I mappa za mną!

— Moja mappa, gdzie stoi wyraźnie: Ostęp Zajamie *ante Unionem* używalność wsi Kurzylówki, *lapsu temporis ad Turzój-Góra violenter* zajęty.

— To tak! to tak!—powtarzał mój dziad trzęsąc się od gniewu.

— A pańscy ludzie, uczciwi, sumienni ludzie, świadomi miejscowości i używalności sami tryby bili.

— Dobrze! dobrze! zobaczymy!

— Tylko bez gniewu w sercu—dorzucił Kapitan—ja pana mego kochając...

— A! kochaj pan sobie kogo chcesz, i daj mi pokój ze swoim kochaniem.

To mówiąc, siadł stary do bryczki i pojechał.

Nazajutrz sprawa poczęta. Kapitan zaciera ręce, kłania się aż w krzyżach trzeszczy, uśmiecha się—zwycięza.

Mnie żal biednego starca; tyle go razem przykrości spotkało: schudł, zmizerniał, zmalął, nawet polowanie odtrąca już zamysłony. Nie wiem czy się z marszałkowstwa potrafi już wylamać; pan Graba, z obowiązku, jak mówi, ciągle nad nim siedzi, żeby go wyuczyć jak ma marszałkować, jak całkiem trzeba się poświęcić temu urzędowi, aby nie mieć na sumieniu niedopełnienia swoich obowiązków. Utrapiony Koniuszy przyjeżdża odebrać do Rumianej, a tu na dobitkę mnie jeszcze zastaje, mnie, co go tak niecierpliwie, którego tak nie lubi, i wiem, że każda bytność moja u Ireny srodze go niepokoi. Uważam jeszcze, iż wyobraża sobie, jakobym przeciw niemu miał żal i urazę. Tak nie jest: szacuję go i kochałbym nawet, gdyby mi się dał. Przy całej oryginalności swego charakteru, żywości dziwnej w jego wieku, prostocie rubaszniej, jestto poczciwy i pelen uczucia człowiek.

Panna Irena podpieszcza starego jak umię i może, ale to kropła w morzu: tyle ma utrapień!

Pani Lacka ukazuje się znowu w salonie; anibys postrzegł że przechorowała, taką jest jaką była: zimną, szyderską, zobojętniałą, zużyta. Myślałem że mnie wypytywać się będzie, ale czy się wstydzi, czy sądzi, że nikt nie widział, co się z nią działo—milczy. Irenie tylko opowiedziałem obszerniej jej historią, historią pana Piotra i życie jego terażniejsze; odmalowałem jego charakter i opisałem mieszkanie. Niezmiernie to ją zaciekawiło, i każde niezwykłe zjawisko robi na niej silne wrażenie; klasnęła w ręce, i powiedziała mi:

— A! muszę widzieć to podziemie, ten zbiór, tego człowieka.

— To trochę trudno—odpowiedziałem—jest dziki, mało przystępny, najbardziej dla kobiet.

— Co mi tam do tego—rzekła—pan to wszystko musisz ułożyć, i ulóż pan sobie jak chcesz, a ja muszę być w horodyszczu i poznać pana Piotra.

Zadanie ciężkie trochę, najtrudniej samego pana Piotra nakłonić, aby się dał poznać; potem, jakże pojedzie panna Irena?—sama?—niepodobna; pani Lacka towarzyszyć jej nie może i nie zechce.

Spytałem odważnie o to: Irena się zamysliła.

— Pani Lacka?—rzekła—spróbujemy, a może.

I uśmiech jakiś tęskny przebiegł po jej ustach.

— Przygotuj pan tylko pana Piotra—dodała— a o mnie się już nie kłopotz weale.

Co tu począć? próbować będę, może mi się w jakikolwiek sposób uda zadość uczynić jej rozkazowi: a jakbym był szczęśliwy! Lecz jak to się wziąć do tego? Najprzód muszę się przyznać żem papla i żem się niepotrzebnie wygadał. Bądź zdrow! idę szukać pana Dolskiego i łasić mu się jak umiem.

Twój Jerzy.

XVIII.

IRENA DO MISS F. WILLBY.

Dnia 5 lipca 18... Rumiana.

W tym liście, kochana Faniu, mało się dowiesz o mnie. Cóżym ci nowego donieść mogła, kiedy nie ma koło mnie nowego?—wszystko niestety po staremu, to jest jak wczoraj! Kocham go tylko więcej może (niepojęta!), bo widuję go częściej. Ten człowiek urok rzucił na mnie: gdybym go nie kochała, ileż wad i skaz naliczyłabym w nim z największą łatwością!

Koniuszy zdaje się pilnie patrzeć tylko, o ile możności stara się nakłonić na podróż, na odjazd: ale

to jakby z opiekuńskiego obowiązku. Jerzy zawsze ten sam: malowałam ci go w pierwszym liście moim, śmiałym i dowcipnym; dziś się bardzo odmienił, i zmiana ta zdaje się stanowcza, bo z poważnego postanowienia pochodzi. Znajduję go zazimnym, zaobojętnym, zarozważnym, i nigdy słówka, coby objawiło uczucie, o którym wiem, którego jestem pewna. Prawda, że mu położenie jego zakazuje słowa, ruchu, najmniejszej oznaki uczucia; ale na cóż tyle ma mocy nad sobą? Darowałabym mu trochę śmiałości, trochę nawet zuchwalstwa; niecierpliwi mnie poddaniem się losowi z pokorą. Potrzebaż żeby ja pierwsza zrobiła krok do wyprowadzenia go z tej odrętwiałości? Posłuchaj opowiadania i osądź: mniej cię ono zajmie jeszcze niż zwykle moje gawędy, bo nawet nie o sobie i nie o nim pisać będę.

Bawi przy mnie od niejakiego czasu biedna jedna pani Lacka: jestto kobieta, której los, jak pospolicie mówią (ludzie na losy i na ktosów wiele zrzucają biedy ze swoich ramion), dał się niepospolicie we znaki. W młodości pokochał ją gwałtownie człowiek silnych namiętności; ona go odepchnęła dla ubóstwa, nie mogąc, jak się zdaje, znieść myśli całej przyszłości, złożonej z poświęceń, z ofiar, z cichego bardzo szczęścia! Ukarał ją Bóg za to: ten, za którego potem posłała dla majątku, stracił co miał, porzucił ją, a co gorzej, czy co lepiej (jak ty to znajdujesz?), pierwsze przywiązanie do tego człowieka, którego odepchnęła, przetrwało w niej do dziś dnia.

Dziś stała się panią swojej woli, ale zatrute życie wiedzie jak nudny, długi, skwarny dzień lata, którego utrapionej spieć nie ma końca: nie ją nie zajmuje, nie nie ciekawi, niczego się nie spodziewa. Trzebaż takiego zdarzenia, żeby ten pierwszy kochanek młodości zjawił się pod naszym bokiem, w sąsiedztwie Rumianej! W dodatku, przedstawia się nam dziwacznie, oryginalnie, bo rozpacz doprowadziła tego człowieka do dziwactwa jakiegos, do mizantropii osobliwszej: żyje zupełnie samowolny, zajęcie się jego myślistwo, wędrówki po mogiłach starych bojowisk, zamkach rozwalonych, wałach i cmentarzach; zbiera starożytne okrucy, szydzi z ludzi i gderze...

Zachciało mi się widzieć go koniecznie: Jerzy mówiąc mi o nim, zastrzył kobietą ciekawość. Ja się nie wstydzę żem bardzo ciekawa; poleciłam Jerzemu żeby koniecznie znajomość z nim ułatwił i wyrobił pozwolenie widzenia jakichś lochów (kłania ci się panna Radcliffe), które sobie obrał za mieszkanie. Jerzy pracował widać, żeby spełnić moje żądanie, i kiedyś raz przejeżdżała o umówionej porze do pasieki około budki Jerzego i tego pana, zatrzymałam się (byłam bez Lackiej, sama z moją małą Józją wychowanką), weszłam odpocząć u nich. Pan Piotr Dolski (jestto nazwisko naszego dziwaka) chciał z początku uciekać, alem go kilka słowami wstrzymała; popatrzał na mnie, zawahał się, potem pozostał. W kilka chwil potrafiłam wplątać go w żywą rozmowę, ośmielić i wymóżyć obietnicę przyjęcia w horodyszczu, które mu służy za mieszkanie. Nadspodziewanie mi się to udało.

— Ale pani będziesz sama z tą małą?—spytał.

— A gdybym nie była sama lub nie z tą małą?—odparłam, myśląc o pani Lackiej, którą chcę zbliżyć do niego.

— To pani nie przyjme—rzekł spokojnie.

— Jako! posunałbyś pan do tego stopnia niegrzeczność dla kobiet?—spytałam.

— Dlaczego, proszę pani, mam być grzeczny dla kobiet, kiedy ich nie lubię? byłoby to kłamstwem.

— W ich imieniu dziękuję.

— Są wyjątki—rzekł uśmiechając się.

— Wyjątkiem jest zawsze ktoś przytomny, to rzeczy wiadome. Ja nie chcę w ten sposób być wyjątkiem.

Zniecierpliwził się.

— Ale szczerze—rzekł—dlaczego pani nie masz być wyjątkiem?

— Nie czuję się godną tego — odpowiedziałam z uśmiechem—nie jestem ani lepsza, ani gorsza od drugih kobiet. Jeśli pan mnie przyjmujesz, czemużbyś nie przyjął ze mną razem przybywającego kogoś znajomego mu nawet może.

— Tém gorzej, że znajomego! — zawołał żywo, i dodał, patrząc na Jerzego i ruszając ramionami.— Gaduła jak stara baba! Pani wiesz już pewnie moje historią, więc tu nie ma co kłamać. Chcesz mnie pani zbliżyć do niej! do tój pani! po co? dlaczego? aby nam może wydrzcć nawet wspomnienie?

— Aby je odżywić.

— To niepodobna: dzisiaj to kto inny, tylko do kogoś podobny.

— Więc obojętny?—spytałam.

— Ktoś inny, ktoś podobny i ten sam razem i nie ten: język się bałamuci, a nie powie myśli. Ona, lecz zmieniona!

— Tak, bo nieszczęśliwa!—rzekłam zeicha.

— Bo winna!—dorzucił z boleścią.—A jaż szczęśliwy jestem, i z Gwatymozynem nie mogę powiedzieć: jestem na różach? Zobaczywszy ją, cóżbym zyskał?

— Kto wie, może szczęście, może spokój?

— Spokój, brak apetytu, lub chleb gdy zębów nie ma: młode szczęście na stare lata! Daruj pani, że tak mówię: nie przywykłem do kobiet. Ale i w sercu już popioły, i głowa ciężka, i ten brodaty włóczęga, którego widzisz przed sobą, już nawet w imię tego czém był, nie potrafi wzbudzić żadnego uczucia.

— Któż to wie?

— Na co probować? żeby drugi raz boleć? nie chcę! Przyjedź pani sama z tą małą: przyjmę panią, i to tak doprawdy, nie dlatego, żebyś mnie pani zachwyciła swoją pięknoscia, rozumem, dowcipem, ale że mnie o to prosił Jerzy; a ja Jerzego, choć paplę, bardzo lubię, prawie tyle co Kastera mojego wyża: a to niemało!

Jerzy się rozśmiał i uklonił, a ja przyjąłem wystrzeloną *a bout portant* niegrzeczność bez zadziwienia, bez bólu.

Nastawałem jeszcze dłużej, żeby mnie przyjął z panią Lacką, ale Piotr uciekł w las, nie dawszy mi odpowiedzi. Rachując wiele na okoliczności, postanowiłem nazajutrz przyjechać do horodyszcza z moją towarzyszką, nie jęj o tém nie mówiąc, gdzie i do kogo ją wiozę. Jerzy przyjechał po nas konno, myśmy się za nim udały w las małym wózcikiem, a dalej już piechotą.

Pan Piotr siedział na swoich wałach naprzeciw rzeki i dumał; gdy nas zobaczył, poznał, z początku jakby odrętwiał, nie ruszył się z miejsca, oczy tylko wlepił w panią Lackę, która pobladała jak ściana, i belkotała, opierając się o mnie:

— Co to jest? gdzie my jesteśmy? kto to? wróćmy się!

Patrzałem ciągle na pana Piotra, który walczyć się zdawał z sobą; wreszcie zebrał się na męż-

two, uśmiechnął się gorzko, zszedł z zielonej swęj ławki i powołał nas milczący.

Lacka trzęsła się jak osina, a oczy jęj wyrażały przestach nieopisany: pierwszy raz widziałam ją w takim stanie. Dolski jakby nie znał jęj, nie nie mówiąc, nie patrząc, wprowadził nas powoli do podziemia swego.

Wystaw sobie loch starego zamku, jakich pełno w waszjęj starej Anglii, ubrany w dawne pamiątki, z pewnym wdziękiem i porządkiem ułożone, schronienie anachorty i archeologa razem; koże z liści suchych, a nad niem, zgadnij, proszę cię?—kobięca rękawiczka!

Pan Piotr wiodł nas idąc przodem, a stanąwszy wśród izby sklepionej, w której mieszkał, odezwał się szydersko:

— Nieprawdaż, piękne panie, że to bardzo ciekawe? bardzo dziwaczne? To grób żywego człowieka, coś nakształt bajki nianek, coś nieprawdopodobnego jak powiastka. Człowiek co żyje z umarłemi, bo mu żywi zbrzydli, co się wyrzekł świata i zakopał za życia, a to wszystko dlatego, że mu jedna kobięta powiedziała:—Nie chcę cię, boś ubogi!—Patrzcie panie, to bardzo ciekawe, doprawdy!

Takiego życia mam już za sobą lat kilkanaście: dzień do dnia, godzina godzinie podobne jak dwie krople wody; i mogę zaręczyć, że ze wszystkich sposobów utopienia boleści, najlepszy jest wypicie jęj do dna odrazu, zamknięcie się z nią oko w oko. A że od dziecka w kolebce do starca na mogile, każdy mieć musi zabawki i lalki swoje: i ja się cackam, i ja się bawię, a bawię się—śmiercią. Wszystko co jak ja zgnilo, strupieszalo, skonało i rozsypało się w proch, zbieram i kładnę koło siebie. Ja także zmarły jestem jak to wszystko: dobieramy się systematycznie.

Prawda, piękne panie, że to ciekawe? — spytał, śmiejąc się gorzko. Moja pani Lacka marła mi, spierając się na rękę, przecież nie wyrwała się już: jakaś cheiwa ciekawość pociągala ją ku temu.

— Wszystko to — mówił Piotr z zapalem coraz wzrastającym — dziwne jest bardzo, a każdy dziw czémś się tłumaczy: szaleństwem, bolem, głupstwem. Wiecież co mnie wpędziło tutaj? Panie jesteście ciekawe: powiem chętnie.

Dawno już temu, bardzo dawno, stał domek szlachecki w lasku z sosen i brzoź: w tym domku żyła piękna dziewczeczka, a obok niedaleko mieszkał młody chłopak, który ją kochał, i myślał głupi, że dosyć kochać mocno, żeby być szczęśliwym! Ona kochała go trochę, jak się kocha to, do czego się przywykło; ale gdy przyszło dla niego wyrzec się nadziei sprzedania się drogo, powiedziała mu:—Tyś ubogi, ja twoją być nie mogę!—Wszak prawda?—spytał mojęj towarzyszki.

Pani Lacka upadła i zemdlala.

Piotr rzucił się do niej: wynieśliśmy ją na świeże powietrze, pokropiliśmy wodą, i gdy otrzeźwiona otworzyła oczy i przyszła do siebie, biedny włóczęga, klęcząc u nóg jęj, całował jęj ręce, nazywając ją słodkimi, pieśczożliwemi imionami młodości. Ale to trwało niedługo: po pierwszych wyrazach przemowionych, panią Lackę opanowała bojaźń znou, a pana Piotra rozpacz.

— Dla sukienki — zawołał — dla błyskotki, dla marnych świecidełek, zabić szczęście, które nie wraca, stracić młodość, poświęcić serce, zgubić człowieka?! al tyś nigdy w piersi serca nie miała—rzekł żywo—i jeśli dziś cierpisz, toś zasłużyła!

To mówiąc, uciekł w las po swojemu.

Myśmy z Jerzym zmienioną, bladą, wzruszoną kobietę przewieźli w milczeniu do Rumianej. Żal mi było serdecznie, żem ją na taką bolesć wystawiła; ale mogłam takie rozwiązanie przewidzieć? Jerzy mi mówił, że Piotr nazajutrz z nim się spotkawszy, zlałał go okrutnie, rzucił się do niego wściekle, i wyrzekał, że ją zobaczył.

— Byłem wprzód szczęśliwy—wołał—teraz muszę ztąd uciekać. Muszę gdzieindziej szukać zapomnienia, spokoju, i kto wie, czy je odzysczę?

Odtąd jużesmy go nie widzieli, i Jerzy powiada, że gdzieś daleką, nie wiem dokąd, przedsięwziął wędrowkę. Pani Lacka, nad wszelkie moje spodziewanie, nazajutrz wróciła do swjej obojętności, milczenia i szyderstwa.

Mówiłam ci w początku tego listu, który zajęłam opisem sceny dziwnej, nie mogąc się wstrzymać, żebym się jej wrażeniem z tobą nie podzieliła, mówiłam ci, Faniu, że Jerzy zimny i milczący. Zaczynam się obawiać, patrząc na to panowanie nad sobą, czy nie zamało ma serca, czy nie zanadto niem szafował? Lecz z drugiej strony, może on, bojąc się zawsze posądzeń, pokazać uczucie? Obwiniam go i wymawiam, i sama nie wiem czego chcę. Mój opiekun wyjechał na czas jakiś, dla wymówienia się z włożonego nań urzędu i procesu z moim kuzynkiem Kapitanem. Biedny człowiek! jeszcze ja i Jerzy niepokoił go w dodatku! Pisz do mnie, proszę, i wierz, żem zawsze twoja

Irena.

JERZY DO EDMUNDA.

Oto już rok prawie jak w te strony przybyłem: cały rok mignął mi jakby jedna noc balowa, choć nie był bardzo wesół, ale pełen wzruszeń i pełen wypadków.

Rok temu, mógłłem przewidzieć co się ze mną stanie? Musisz się dziwić, że po długich wprzody i częstych listach, dziś tak rzadkie i krótkie nawet odbierasz? wierz mi, to nie moja wina. Im większa jest sprzeczność w naszych rodzajach życia, tém częściej myślę o tobie, kochany Edmundzie; ale pisać? cóżbym ci napisał z tak jednostajnych, jak moje, dni i godzin? Wiosna przeleciała, lato przeszło, i jesień złocista się zbliżyła. W ciągłej pracy nie było chwili odetchnienia: ziemia zazdrosna nie dozwalała z siebie spuścić oka, odjąć ręki. W każdej porze masz na co patrzeć, co zrobić, o czém myśleć; zbierasz plon za wczorajsze trudy i przygotowujesz razem jutro. Ciężkato jest rzecz to gospodarstwo! U nas cięższe jeszcze niż gdzieindziej, bośmy w sumieniu naszym i przed prawem odpowiedzialni za użycie ludzi, którzy od nas tylko zależą, za których opiekunów uważać się musimy. Pośrednicy między nami a ludźmi temi, sąto po większej części bez moralnego wykształcenia i bez sumienia, a pojęć zdrowych spełniacze woli naszej, którzy często ją przechodzą i przekraczają przez gorliwość, lub psują wieśniaków dla swojej korzyści.

Nie można spuścić ich z oka. Widzisz więc, że nie próżnuję, nie mogę, a dotąd rodzaj zatrudnień nowo obranych samą nowością mnie nęci. W ciągu tego roku pierwszy raz, powiedzieć mogę, spotkałem się oko w oko z naturą: widziałem wiosnę, lato, które dotąd znałem tylko z nazwiska i opisów. W sąsiedztwie nieoszacowanego mego dziwaka pana Graby, ciągle korszastałem z jego rad, z towa-

rystwa, i pod wpływem człowieka, który wywiera silny wpływ na wszystkich, czulem się zbrojniejszy woła stała, przy wielu przeciwnościach drobnych a nieustannych, mogących mną zachwiać. Graba czuwa nademną troskliwie, a widząc że rachuję na niego, wspomaga mię z całym poświęceniem, do którego zawsze w poczciwem sercu swoim znajduje gotowość. W istocie osobliwszy to człowiek, którego społeczność nasza nie będąc wartą, sądzi surowo i niesprawiedliwie. Znosi on mężnie swoje męczeństwo, z czołem podniesionem, z krwią zimną.

Przy tylu przymiotach nie mieć jednego przyjaciela, nikogo coby życzliwiej spojrział, coby nie wykrzywił każdej czynności, nie przetłumaczył na złe każdego słowa—smutno. Młodzież i starzy, mężczyźni i kobiety szydą z niego jak z szaleńca, śmieją się jak z głupca, litują jak nad obłąkanym, podajrzuwają jak fałszywego.

— A! pan Graba!—wołają z uśmiechem zadowolenia—to zrobił pan Graba! Cóż dziwnego? *Il n'en fait jamais d'autres!*

Są tacy, co bardzo seryo zapewniali mnie, że ma zajączki w głowie i nie ze wszystkiem zdrow jest na umyśle.

— Zkąd to przekonanie?—spytałem.

— Dosyc spojrzeć co robi.

— Cóż tak dziwnego robi?—badałem dalej.

— Ale najprzód, proszę pana—mówił mi naprzykład Kapitan — z żoną, aniołem cierpliwości, żyć nie mogli: to dosyc powiedzić.

— Pan zna jego żonę?

— Toćto, panie, najpiękniejsza kobieta na cały kraj, to anioł! Ale cóż, panie, tak jej skąpił, tak z nią dziwaczył, że go nareszcie porzucić musiała.

— A może téż i ona dziwaczyła?

— Gdzie tam, panie! dosć spojrzeć: to anioł! to śliczność! a dobra! a łagodna!

— A dalej?—spytałem.

— Albo z ludźmi w swoich majątkach jak się on obchodzi?

— Cóż, źle?

— Bez sensu, panie. Ludzie potrzeba, żeby czuli rygor; a to porozpuszczał ich tak: czy wie pan, że już przed nikim nawet czapki nie zdejmują?

— O! to straszna rzecz w istocie.

— A jedziesz koło karczmy to nie powstają.

— I to okropne, w samej rzeczy!

— On ich do tego doprowadził tą pieśczołą, że w końcu i nasi myśleć sobie coś zaczęli. A do czego to, panie, chamom te wymyśli: a to szkółka, a to ochrony, a to sio, a to to, to i nazwisk nie polapać? Albo to oni wieków tak nie przetrwali i było im dobrze? Tylko psuje i nic więcej.

— I cóż dalej?—spytałem.

— Albo i to—dodał Kapitan—czyto milionowemu panu godziż się być takim sknerą? tożto ani porządne powozu, ani liberyj jak u drugich, ani kucharza! A przyjedzie kto do niego, krupniczek, winko stolowe, lurka sobie, i więcej nic. Ale na fatalaszki to nie żałuję, i rujnuje się.

— Jakież to fatalaszki, proszę pana?

— A cóż, książeczki, obrazeczki, strzelbeczki, stare rupiecie i tym podobne głupstwa. Czy uwierzy pan, slyszalem, i to z ust pewnych, bardzo pewnych, że za jeden, ot, tyćki obrazek, dzieciństwo, zapłacił trzysta dukatów?! Widziałem nawet, bo mi pokazywano tę sztuczkę: nie ma nic, jabym za to trzy grosze nie dał. Takto w tem wszystkiem nie ma zdrowego rozsądku. A nudny, panie, aj! aj!

o sto mil uciekać: żebyś mu pan o pogodzie zaczął mówić, to i z niej wyciągnie jakieś kazanie. Powiem panu, że my się go boimy jak ognia, i uciekamy jak od zapowietrzonego.

Takito jest sąd współobywateli o człowieku, który z nich wszystkich sam tylko pojął swe stanowisko surowiej, i żadnej słabości nie folguje, żadnego z obowiązków swych nie zapomina.

Na jednym wieczorze, gdy mnie zapraszano do kart, a jam odpowiedział, że się wyrzekłem gry w karty, pan Samurski krzyknął ze śmiechem:

— Jużto znać zaraz, że pan sąsiaduje z panem Grabą: to już jego lekcya! Coto za głupstwo wyrzec się kart! cha! cha! Et! coto już i gadać o tém. Jakto można oddzielać się od towarzystwa i chcieć być rozumniejszym od wszystkich? No, nie mówię zgrywać się, ale tak dla zabawki sobie pograć.

— Proszę pana — spytałem go — jakiz jest pozYTEK z gry?

— A jużciż zabawka, to i dość, zabicie czasu.

— To panu tak czas w naszym towarzystwie cięży, że go chcesz zabijać co najprędziej? Któż ma życia zanadto, żeby je zabijał? Jesteś więc pan znudzony, nieszczęśliwy, że się chcesz pozbywać go choćby kartami?

— Coto gadać? coto gadać? ja wiem, że pan mnie przegadasz; ale co prawda to prawda: cały świat przecie gra w karty, i jak świat światem, ludzie się bez tego obejść nie mogą. Gra niewinna, mała.

— Od tej gry idzie się do większej.

Pan Samurski słuchać mnie nie chciał, i siadł do swego nieszczęśliwego preferansa. Śmieją się teraz ze mnie, jako z ucznia pana Graby: niech się sobie śmieją.

Wprowadziłem, choć na dzierżawie, wszystkie ulepszenia, którychem się od Graby nauczył; ludzie się na nich poznali prędko: po chwili nieufności przyjęli je i są mi wdzięczni. Jest wielka różnica między pobłażaniem a sprawiedliwością. Pobłażać złemu niegodzi się, i tego nie czynię, bo bym do niego zachęcał; ale zasypiam spokojny, bo czuję, że nie mam niczyjey krzywdy na sumieniu.

Prawda, kochany Munciu, że rok ten bardzo mię odmienił: myśli i wyrazy, które dziś czytasz w moich listach, niedawno były jeszcze dla mnie niezrozumiałe, znaczenia ich nie pojmowałem. Brałem życie jak szło, używając go na rozrywkę; dziś myślę, pracuję, i cierpiąc jeszcze jestem szczęśliwszy niż byłem. Ty się rozśmiejesz, stary roztrzepańcze: śmieję się, ale cię proszę, nie ubolewaj już nademną.

Wystaw sobie, że nawet Staś, ten wzór miejskich sług: próżniak, karciarz, bardzo się już przy mnie odmienił; wszystkie jego wady przelały się w jedną siłą a nieszkodliwą namiętność: myśliwstwo. Jak mnie, tak jegobys nie poznał. Chodzi w liście jak Malcowski, w kozłowych butach, i choć zawsze sztywnie się trzyma i czysto ubiera, zniebiesiała jego twarz przybrała wyraz bardziej męzki: opalił się, pogrubił się, pije wódkę, je kiełbasę i za Saską-Kępą nie tęskni. Zaczyna rozumieć nawet, że lakierowane buty nie są do szczęścia potrzebne, i że bez nich uczciwym człowiekiem być można.

— Możebyś wrócił do Warszawy? — spytałem go kiedyś.

— Jeszczeto kiedyś wrócimy, Jaśnie Panie, ale teraz nie tak mi bardzo pilno: ot, jakoś oswoiło się z tém życiem.

— Pamiętaszże jakieś się niecierpliwił i uciekał?

— To co innego, panie: teraz jesteśmy na naszym własnym gospodarstwie, i polowanie tu dobre.

Uśmiechnąłem się. Staś już przyjął się na tej ziemi, jak ja, i co dziwniejsza, spoważniał: malpuje mnie potrosze. To dobrze; podwójna korzyść z reformy życia, i ci co nie myślą, idą za nami, jak owce Panurga. Chwała Bogu!

Ale ja ci malując moje położenie, nie donoszę o tém, o czembym najprzód powinien był pisać: o niej i o sobie.

Pomimo nalegań Koniuszego, nie wyjechała nigdzie; przesiedzieliśmy lato na wsi, i zdaje się, że na jesień i zimę nie wybierze się także do miasta, bo za niem wcale nie tęskni. Ja bywam w Rumianej zawsze na jednym stopniu: jesteśmy dobreimi przyjaciółmi, nie więcej. O tém co się w sercu dzieje nie piszę: któż to pisze?

Co dzień, co godzina wzrasta tylko potrzeba koniecznie być z nią, przy niej; nie pojmuję jakbym zniósł oddalenie lub rozstanie. Przecież, mimo tych uczuć co się we mnie burzą, słowo nie może wyjść na usta. Ona bogata, ja ubogi! posądzonybym był o chciwość, o interesowność: więc muszę milczeć, milczeć zawsze... Będę milczał, niech mnie tylko nie wypędzają.

Dziad mój trochę już dla mnie powolniejszy. Dziwna rzecz jak ten człowiek wie wszystko co się u mnie, ze mną, dokoła mnie dzieje; zdaje się, jakby w niewidzialny sposób ciągle za mną wślad chodził. Widujemy się przecie rzadko, lecz z rozmowy przekonywam się, że doskonale jest uwiadomionym o najmniejszym kroku moim. Miałżebym szpiega domowego? Niedawno wypadło mi płacić część pieniędzy za dzierżawę wedle uczynionej umowy; nie wyprzedalem się jeszcze, i trochęby mi to przyszło trudno, gdybym nie był pewien, że Graba ufa mi i pomoże. Właśnie gdym się wybierał do niego, nadjechał mój dziad, i po krótkiej rozmowie rzekł:

— Przywiozłem Acanu pieniądze.

— Jakto pieniądze? — spytałem.

— A wszakże potrzebujesz na dzierżawę, a słyszę nie wyprzedales się, bo ci Joś zrobił zawód?

— To prawda — odpowiedziałem — ale na to mam sposób.

— Jużciż, pożyczysz! No, to pożycz u mnie.

— Nie, kochany, panie Koniuszy; bardzom mu wdzięczny, ale...

— Co? jeszcze? jeszcze ceregiele?

— Jeszcze i zawsze — odparłem.

Popatrzał na mnie i nie nalegał.

— A zkadże to weźmiesz? — spytał.

— Od pana Graby.

— To wolisz u niego pożyczyć, niż u mnie, u dziada?

— On mnie nie posądzi o zebranie.

— E! porzuć — bo do licha te głupie wymówki: na co to, proszę cię, staremu krew psuć?

Zamilkłem; chodził po pokoju.

— A wszakto już blisko roku jak Wacpan z nami? — zapytał.

— Blisko roku — odpowiedziałem z westchnieniem.

— No! a do miasta?

— Po cóżbym pojechał? interesu nie mam.

— A tak, trochę pohulać?

— Toby mi dziś nie smakowało.

— Patrzenie, jaki filozof!

I chodził, i mruzczał ciągle coś niezrozumiałego; słyszałem tylko w przestankach:

— Kat go wie! kat go wie!

Z rozmowy dowiedziałem się od pana Koniuszego, że doskonale wyliczyć mógł ile razy byłem i jak długo bawiłem w Rumianej.

— Zkądże te wiadomości?—spytałem.

— Zkąd? alboto nie wiedza sąsiedzi jak kto w domu nie siedzi.

— Czemuż ja nie wiem co się u pana Koniuszego dzieje?

— Tobie co innego w głowie.

— Cóż? tak jak i panu, gospodarstwo tylko.

— Aha! żartuj zdrów! Na co to łąć? starego w pole nie wyprowadzisz: stary wróbel na plewę się nie złapie!

— O cóżbyś mnie pan Koniuszy mógł posądzić? o fałszowanie assygnat?

Ruszył ramionami i umilkł; potem zawołał, siadając:

— Ot, tyle tu czasu mieszkasz, a krewnych swoich nie poznałeś!

— Jakich krewnych?

— Ubogich Suminów z Zamalinnego.

— Prawda, wina moja—odpowiedziałem—ale się poprawie, i pojedę do nich.

— No, to jedź ze mną!

— Chętnie bardzo.

— Powiem ci pod sekretem — dodał, mrugając oczyma i dobrze się we mnie wpatrując, jakie robi wrażenie — to dobre ludziska, a strasznie ubodzy, i jest tego jak maku, zobaczysz. Ludzie mnie posądżają, że ja majątek mój zapiszę albo mojej pupilli, albo Wacpanu dobrodziejowi.

— Jabyłm żadnego zapisu nie przyjął — rzekłem nawiasowo.

— No! ja to wiem — mówił — Wasan nie przyjmiesz; a pannie Irenie na co dosypywać, kiedy i tak ma dosyć! he?

— Zapewne — odpowiedziałem — ubogim to potrzebniejsze niż jej.

— I ty tak znajdujesz?—spytał.

— O! jak najmocniej pochwalam myśl pana Koniuszego.

— He! he! bo to się tobie zdaje, że dziad bankrut, dlatego że w wyszarzanj surducinie chodzi. No! a Turzogórszczyzna, niech sobie mówią co chcą, to złote jabłko, kochanku, na dobrego gospodarza; a wytrząsłszy kieszenie, to się i kapitaliki znajdują, i na dwóch dobrach wielkopolskich mam coś, nie bez tego żeby i gotówki nie było, a sterty i zapasy warte także grosik nieszeptny.

Obojętnie, jak pojmujesz, słuchałem tego wyliczenia, i przerwałem staremu:

— Wierzę, wierzę, na co to liczyć? mało, wiele: lepiej oddać uboższym i potrzebniejszym.

— A pojedziemyż do nich?—odwrócił rozmowę.

— Najchętniej!

Nazajutrz razem z panem Koniuszym wybraliśmy się o kilka mil od Turzj-Góry do Zamalinnego, po drodze, jak się domyślasz, polując, bo stary bez psa i strzelby nie stąpi.

Muszę ci opisać ten domek, bo to ci się należy dla dopełnienia obrazków już przesłanych dawniej, malujących kraj, w którym żyję. Zamalinne, małeńka wioseczka już ku Wołyniowi więcej posuniona, leży jednym bokiem przypierając do lasów polejskich, drugim do rozległych pól urodzajnych. Jest to, wyrazem zwyczajnym wszystkich dziedziców, „złote jabłko,“ gdyż masz wiedzieć, że tu każdy majątek mniej więcej średniej dobroci, musi się tak nazywać koniecznie; ale to drobnostka: wieś, w któ-

rój trzech dziedziców, a Suminowie mają tylko chat trzy czy cztery. Domek ich stary wśród wioski, oparkaniony jak za czasów, kiedy z za parkanów do Tatarów strzelać było potrzeba, opatrzony wjazdową bramą ogromną, słomą krytą, i furtką zamczystą: ma dziedzińczyk osadzony bzami, ogród fruktowy, w którym rosą rozłożyste jabłonie i stare grusze, studnię koło stajni, i tuż gospodarstwo całe.

Po staroświecku to, po staropolsku, ale nie modnie, wiszą tu jeszcze na kołkach od płotu czarne hladysze, bijanki do masła, leżą u progu dojniczki i neczulki, bieli się płótno na wązkim darniny pasku, i geś z gąsietami, indyki, kury i kaczkę chodzą poufale między gankiem a stajnią i oficynką, podobną do wieśniaczej chatki. Znać tu wszędzie pracowite ubóstwo.

Zaledwie nas postrzeżono w bramie, białe figurki w ganku powyskakiwały do domku, a z domku w większej liczbie powyskakiwały na ganek.

Okrzyk: „pan Koniuszy! pan Koniuszy!“ dał się słyszeć we drzwiach, i ludzie z piekarni, ludzie ze stajni powysadzali głowy patrzeć na tak niezwykczajnego a pożądanego gościa.

Stanęliśmy u progu: a na progu już nas cała czekała rodzina, oprócz tych, którzy byli zajęci robotami w polu lub dozorem roboty. Rodzina uboga zawsze liczna: Pan Bóg daje strzesze słomianej do bogactwo, którego jej nieraz złocisty dach zazdrości. Na przedzie stała otyła staruszka, matka pana Sumina, *de domo Zawiska*, imieniem Teresa, w szlafrocisku cycowym, w białym perkalikowym czepku z ogromnemi wstęgami złotemi, z poczciwą twarzą, uśmiechniętą, wesolą, i zdradzającą pociąg do gadatliwości. Za nią synowa, już średnich lat kobieta, dosyć przystojna, ale blada trochę i mizerna, podobnie ubrana, we włosach tylko, z małeńkiem dzieckiem na ręku. Dwoje starszych trochę trzymały się jej sukni, dwie panienek młodzieńszych opodał wyglądały przeze drzwi, a dwóch chłopców w szkolnych mundurzykach u słupek czekał, czerwieniąc się jak jabłko, na ucałowanie ręki pana Koniuszego. Naliczyłem ich siedmioro! Ale panienki starsze i jedna, której się zrazu nie doliczyłem, byłyto siostry pana Sumina, córki stariej pani Teresy. Wszystko rzuciło się z okrzykiem ku nam, ale się trochę stropiło, postrzegając mnie nieznanego. Ledwie przecie dowiedzieli się, że Sumin i krewny, a przybyłem umyślnie, żeby ich poznać: zaczęli mnie wszyscy mniejsi w ręce, a starsi w twarz całować. Staruszka nie wiedząc jak mnie przyjąć, kłaniała się tylko z uśmiechem, nie domyślając się, że ją w rękę pocałuję; lecz gdy to uczynił, uściskała mnie jak syna. Milyto uścisk macierzyński!

Samego gospodarza i głowy domu nie było: poszedł naturalnie w pole do siewaczy. Posłano po niego dziewczynkę od geśi, z czego korzystając całe ich stado weszło do sieni i gdakało, a jedna śmielsza kilka razy zaglądała nawet do pokoju.

Nas posadzono jak było można najlepiej, najpaprządniej, i dom cały w ruchu był na przyjęcie. Ty nie masz wyobrażenia wnętrza takiego domku, więc ci je opiszę (wszak deszcz pada). Najprzód, ciasny pokój zwany bawialnym, ale w istocie trudno go utrzymać na tej stopie tam, gdzie rodzina liczna, a dom mały. Nie znajdziesz więc tu tych wyprostowanych sprzętów, powyciąganych firanek i posadzki, na którą straszno stąpić: tej martwej fizjonomii salonu, co chłodzi i tak przykre robi wra-

zenie na duszy jak wejście do lochu na ciełe. Owszem, pełno tu życia: tam porzucona robota, tu rozsunięte sprzęty, owdzie chusteczka na kanapie i wyciągnięta szufladka; kołowrotek staruszki stał przed jej wypoduszkowanym krzesłem, kołyska dziecięcia, którą zaraz wyniosły dzieci starsze zajmowała kątek zaciszny; roboty panienek pochowano przy nas. Sprzęt ubogi i zużyty, ale to sprzęt-pamiątka co z nami żył, do którego przywrzają wspomnienia, po którymbyśmy płakali choć stary i połamany, bośmy do niego przywykli i łza nań upadła nie jedna. Na koninie zegar wykwińnięjszy, stary, ale stojący, po ścianach portrety matron z księgami i paciorkami w rękach, podgolone czupryny starców i genealogiczne drzewo, wyrastające z żołądka rycerza. Staruszka zaraz mi na niem pokazała gałązkę i listek z imieniem mojego dziada. Obok izdebka, w której się mieści staruszka z wnukami, których połowę przy sobie trzyma, a dalej pokój gospodarstwa: z niemi tylko dziecię najmłodsze. Naprzeciwko panny aż trzy i obok studenci: ot i cały domek. Zapomniałem ci tylko powiedzieć, że z pokoju gospodarstwa wyjście zaszklone na ogród, żeby w lecie przynajmniej przez pokój staruszki nie chodzić.

Przy tém ubóstwie wesoło, swobodnie i jakoś widać, że choć Bóg nie sypie złotem, ale błogosławi.

Wszystko mi się podobało: i staruszka wesoła, gadatliwa a serdeczna, i sama pani trochę smutna i chora a tak gościnna, wylana dla wszystkich i niepuszczająca z oka swych dzieci, i panienki co chwila czerwieniejące jak jabłuszka świeże, rumiane, śmiałe i naiwne, i studenciki patrzące w oczy ciekawie, różne, roztropne i jak należy swawolne. Nikt nas tu w początku nie nazywał tylko panami, ale Koniuszy i ja protestowaliśmy przeciwko temu, i widać było radość, gdy braciszek i dziadunio wystąpił.

Nadszedł pan Sumin i wpadł do pokoju opalony, zmęczony, spotniały, aż do nóg dziadowi się kłaniając, wołając na ludzi, na żonę, na matkę, żeby przyjmowali. Był to suchy średnich lat mężczyzna, widać nie próżniak; otwartej twarzy, niebieskich oczu i jasnego wosa, który przy opalonych policzkach jak lniany się wydawał. Wycalowaliśmy się jak na braci przystało i uściskali serdecznie. Rozpoczęła się zaraz rozmowa, ale o czémże? o nich i o ich gospodarstwie: o czém inném mówić nie mogli. Staruszka popisowała się z wnukami i córkami (panną już doroslejszą milejącą i smutną i dwiema młodszymi); ojciec kazał deklamować studentom, pokazano nam roboty na kanwie panienek, zęby najmłodszego dziecka, a Władzio, jeden z malców, koniecznie się uparł, żebym z nim poszedł zobaczyć ogródek, gruszę i huśtawkę. Pomimo matki, która mu nudzić mnie nie dozwalała, poszedłem z nim, a grono dzieci pobiegło za nami. Nie wiem czemu ta wesoła rodzina moja rozpogodziła mi czoło: czegoś im zazdrościłem i rozbawiłem się z niemi szczerze po młodemu.

Obszedłszy ogródek, poznawszy się ze wszystkimi drzewami, z Joasią brzozą, z Władziową gruszą, z Józiovą wisienką; obaczywszy kwiatki Julisi i Helenki, wychwaliwszy zabawki chłopców niewykwińnięte, bo domowej roboty: powróciłem do pokoju, gdzie się już nakrywały stoliki, otwierały komody, oczyszczały z pyłu paradne filizanki, kipiał samowar błyszczący i gotowała na kominku kawa dla p. Koniuszego. Staruszka w najlepszym

humorze śmiejąc się ciągle rozpowiadała coś panu Koniuszemu. Pan Sumin przerywał jej malując swoje kłopoty gospodarskie i powodzenia.

Wszedłem na to, jak jęczmień wydawał po dwa korce, a pani Teressa przypomniała Koniuszemu, że była od niego starszą o lat pięć. Biedna starała się być grzeczną jak mogła... Usługa szła żywo, bośmy do niej nie potrzebowali sług, dzieci się same krzątały, tłukły, rozlewały z pośpiechu, ale nie można było pozbawić ich przyjemności usłużenia gościom.

Oto próbka rozmowy choć maleńka:

— Pan brat podobno dzierzawi Zapadliska?

— Tak, już od roku prawie.

— No, i jakże idzie?

Pani Teressa. Zapadliska! poczekajcie, toż to dziś Dolskich; wiem, dwóch braci, ubodzy byli: młodszy gdzieś z wojska zniknął, a starszy to się ożenił z Badylską, nibyto hrabiąnką. Wziął po żonie majątek bo była jedynaczką, rodziła się z Przyjemskiej; dobra familia, stara: bardzo zacny dom, ale zszedł na kądziel. Pamiętam nawet...

Pan Sumin. Jakże idzie gospodarka?

Ja. Zwyczajnie jak u nowego gospodarza: przyjedno bracie i sam zobacz, to mi poradzisz.

Pan Sumin. Chętnie będę panu bratu służyć.

Koniuszy. Na polowanie do niego jechać: lasy niech go nie znam!

Pan Sumin. Pan brat myśliwy?

Ja. Żebyto był czas, ale gospodarstwo!

Pan Sumin. Oj! i ja tak samo! jeszcze w dodatku dzieci; rzadko się człowiek wybrać może, ale nie bez tego...

Pani Suminowa. Nie narzekaj kochanku, połujesz dosyć często.

Koniuszy. Co to za często, może raz w tydzień parę godzin i urywanego: to licha warto.

Suminowa. A pan Koniuszy bo co dzień podobno?

Koniuszy. A co ma robić stary próżniak? ot baki strzelam. No i do mnie tam przyjedźcie panie Janie.

Pan Jan. Jak tylko się obsieję, a chłopców do szkół odwożę.

Koniuszy. E! ba! to nie rychło będzie! No, a jakże się tam chłopcy uczą w szkołach?

Pan Jan. Starszy wziął promocją z pochwałą dzięki Bogu, a młodszy żeby nie chorował, toby był wziął toż samo, prawdaż?

Chłopak się zarumienił i wlaź w kątek pogłędając z uśmiechem na matkę.

Pani Suminowa. Już to powiem dziadowi, że moim dzieciom jak i mnie Pan Bóg zdrowia nie dał; gdyby nie to jedno, człowiekby już nie żądał więcej; ale ot wszyscy oni choćto rumiane, a delikatne jak pańskie dzieci. Mój Władzio trochę zdrowszy, to się też o niego najbardziej boję, bo tak było i z tamtym póki febrę nie dostał. A od tej febrę ciągle chęrla.

— Ej nie narzekajcie pani Janowa — przerwała stara, której się milczeć uprzykrzyło: jak to wyróżnie, to zmężnieje. Ot pamiętam panie Koniuszyu dobrodziejmo moje młodość: kawał czasu, jeszcze to za Korony, za Poniatowskiego. Chwała Bogu teraz mięsa mam dosyć, a bywało ś. p. matka moja Kunegunda z Drabskich Zawiska, (Drabscy z Wielkiej Polski, dobra szlachta, jeden był kanonikiem w Poznaniu) myślała zawsze, że się nie uchowam, taka byłam szczupła. Nawet raz książę Sapieha będąc w domu moich rodziców...

Wtém kawę podali; wszyscy się rzucili nalewać, dolęwać, przysuwać, i karmić i pić i cukru dorzucić i sucharki zachwalać. Dzieci po szlachecku rączki położyli na stole, brody założywszy na krawędź jego, patrzyły ciekawie na te gody i choć się nie napięrały, ale znać było, że im sucharki nie dawały pokoju.

Bóg wie czego nam tam jeść nie dali: były gruszki, jabłka, kawa, herbata, miód, orzechy, bulki, sucharki, obwarzanki, ciasteczka, wszystko co dom miał na stół zniesiono, wszystkiego skosztować było potrzeba. Gruskę szcepil sam pan Sumin, zrazy jabłek przywozła od rodziców swoich pani Janowa, orzechy w Zamalinnem miały być szczególnego smaku i zapachu, miód przechodził lipiec.... Jedliśmy dobrze i to tak widać cieszyło gospodarzy, a jak zaczęliśmy gawędzić, tak się i zmierzchło. Gwałtem proszono nas na noc, ale Koniuszy powtykawszy dzieciom podarki i panu Janowi wsunawszy coś dla niego, pogadawszy coś z każdym z osobna, wybrał się do domu.

Wszyscy nas jeszcze wyprowadzili na ganek, podsadzali, żegnali i stali póki nas widać było. Wiesz, zem pożegnał tych pocziwych ludzi z prawdziwym uczuciem. Prawda, że możeby tu ktoś inny tysiące upatrzył śmieszności, ale my nie jesteśmy także śmieszni po swojemu; a gdzie dziś znajdziesz drugie serca tak pocziwe, otwarte i gotowe do usługi? Poszanowałem w matce jej przywiązanie do dzieci, w ojcu pracowitość odważną z jaką żywi tę całą rodzinę, w babce chrześcijańskie przy ubóstwie wesele ducha i spokój; dzieci nawet swoją naiwnością i prostotą z jaką mi wszystko a wszystko opowiadały co się ich tyczy, za serce mnie ujęły.

Jużemy wyjeżdżali z bramy, gdy do niej na koniu zbliżał się jakiś jeździec, którego poznać nie mogłem. Zdawało mi się, że to Jan Graba: coby tu robił, nie wiem. Koniuszy mówi, że go poznał i strasznie kiwał głową.

Dość Edmundzie na dzisiaj.—Bądź zdrow.

EDMUND DO JERZEGO.

Wczoraj u Marego byliśmy na wielkim prozonym obiedzie, który Staś X. fundował; była tam mowa o tobie, pilniśmy zdrowie twoje, a przypomnienie to i list ostatni przemogły lenistwo moje, zem siadł pisać. Biędny wieśniaku, nieszczęśliwy Cyncynnacie! wkrótce modlić się do ciebie będziemy w litanii: święty Suminie—módl się za nami! Co to się z ciebie zrobiło!

Wiesz, że ze strachem poglądam na siebie od czasu jakeś ty obłókl się w suknią filozofa-gospodarza i tak wycnotliwiał; któż wie, gotowo to nieszczęście i mnie spotkać! O! mój Boże, musiałbym się nudzić jak ty! Bo taki przyznaj się kochanku, uderz się w piersi serdecznie, ty się okrutnie nudzisz, ale wzięłeś na kiel i nie chcesz się przyznać?

Ale nie! nie! ze mną to nie będzie! nie głupim! już teraz za nic nie pojedę na wieś: wieś to smoła, dotknij się a przylgniesz. Ja lubię miasto i w niem tylko jestem jak ryba w wodzie. Ty mnie już nudzisz kochany święty Suminie męczenniku, nudzisz swoją moralą, swoją obrazkami i swoją naiwnością spóźnioną. Kwitniesz w jesieni kochanku. Pisz mi już o czem innym. Ty, twój Graba, Koniuszy, pan Piotr fixat poprostu, pani Łacka jakaś

Heloiza zamarzła, cała czereda twoich Poleszuków już mi kością w gardle stoi.

Przecież znalazłbyś coś nowego.

Kończ-bo już ze swoją panną Ireną, z którą wyglądasz jak niepodobny do prawdy Koleander z Leonildą; stoicie naprzeciw siebie i nie śmiecie sobie powiedzieć o czem oboje wiecie doskonale. W dziewiętnastym wieku! Jeśli sobie przypominam dobrze, kochasz ją zapamiętała: no to czegoż czekasz? żeby ci ją kto inny wziął z przed nosa? co niechybnie nastąpi. Zeń się, przyjeżdżaj do Warszawy i porzuc to swoje nieznośne Polesie. Tę ci radę daje najszczęśliwszy przyjaciel

Edmund.

P. S.—Pisałem w złym humorze, zgrawszy się i trochę chory: obiad u Marego mi zaszkoził. Daruj, bo mi się przepisywać nie chce, ale pisz o czem chcesz byleś pisał, listy twoje są mi potrzebne, przywykłem do nich jakoś: siadam po obiedzie w krzesło i czytam je drżemiąc na odpoczynek. To mi strawności nie psuje. Pisz więc byleś pisał, o czem chcesz, a zeń się jeśli możesz.—*Diri.*

JERZY DO EDMUNDA.

Wczoraj byłem w Rumianej; zastałem panią Łacką samą przy kominku, jak zawsze milczącą, znużoną i znużoną. Spytałem o Irenę, odpowiedziała mi, że trochę chora.

— Chora? leży?

— Nie, nie leży, ale ją głowa boli, ma jakieś nerwowe ataki: (ruszyła ramionami)—zresztą nie wiem co to jest.

— Ale niema nic niebezpiecznego?

— O! nie, tak trochę cierpiąca.

Ledwieśmy tych słów domawiali, drzwi się otworzyły i Irena weszła, trochę bardziej ożywiona i bardziej różowa niż zwykle, ale ze smutkiem na czole.

— Pani cierpiąca? spytałem, nie chcę więc być natrętnym: witam i żegnam.

— Ale nie, proszę pana zostać, panie Jerzy. Tak, czułam się zmęczoną, nie swoją tylko: nic mi nie jest zresztą.

Usiedliśmy, pani Łacka zabrała książkę, którą przed chwilą czytała, pochodziła uśmiechając się nieznacznie i wyszła jakby naumyślnie.

Rozmowa toczyła się z początku obojętnie: pytano mnie o Grabę, o Koniuszego, nawet o Kapitana; sparta o krawędź kanapy, Irena miała postać znużonej, cierpiącej. Drugi raz chciałem ją pożegnać i znowu mnie wstrzymała.

— Pan mi jesteś potrzebny—powiedziała—czy pan tego nie widzisz, że mi potrzebny jesteś?

— Jak oganka od much—oganka od nudów?

— Któż się nudzi?—spytała—ale myśl pan jak chcesz.—Ruszyła ramionami.—Rok już jak się znamy, dodała, a pan mnie jak widzę nie jeszcze nie znasz, nie nie rozumiesz.

Milczałem.

— Widzisz pan, rzekła schylając się po książkę, jesteś mi potrzebniejszy niż sądzisz; będziesz mi czytał. Oto tę książkę w czarnych okładkach: są to listy Jakóba Ortiza.

— Książka tak smutna?

— Jak ja—to dobrze właśnie.

— Mogłażbyś pani być smutną?

— Dlaczego nie? Jak pan, tak wszyscy rozu-

mieć mnie nie chcą: ja sama chwilami wątpię o sobie.—No, czytaj pan.

Czytałem, książka była dziwnie rozłożona. Nie wiem czy znasz i bardzo wątpię, żebyś znalazł listy Jakóba Ortiz'a. Zastanowiła się Irena na 29 kwietnia i począć musiałem od wyrazów, które dziwnie i mój stan i moje nawet dzisiejsze położenie malowały:

«*Vicino a lei sono sì pieno della esistenza*»...

doszedłem do miejsca, w którym Ortiz maluje siebie i ją:

«*La pazza figura ch'io so quand'ella siede lavorando, ed io leggo!*»

Właśnie Irena wzięła była robotę, spojrzeliśmy na siebie, uśmiechnęła się smutnie, czytałem dalej. Lepiej ci przetłumaczę com czytał: ty tylko tyle rozumiesz włoskiego języka ile jest w librettach oper.

«Jakże ze mnie pocieszna postać, gdy ona siedzi nad robotą, a ja czytam! Przerwywam sobie za każdym wierszem, a ona? —Czytaj pan dalej: wracam do czytania, lecz nim dwie karty skończę, coraz prędzej trzepać zaczynam i kończę mrużąc niezrozumiale: Teressa się gniewa».

— W istocie pan czytasz tak prędko i niezrozumiale jak Ortiz, przerwała mi, choć nie masz przed sobą Teressy.

— Mam czytać powolniej?—spytałem.

— Powolniej? al jakżeś pan nudny z tém swoim posłuszeństwem: czytaj jak chcesz.

Czytałem dalej, ale dalej następowały karty pełne uczucia, które mnie przy niej siedzącego rozplomieniły. Niebezpiecznie jest czytać kobiecie, którą się kocha, której się tego powiedzieć nie może, książkę pełną wyrazów co nasz stan malują; usta, oczy, głos co chwila zdradzają — przeszliśmy historią Loretty i posunęliśmy się ku 14 maja. Ja oddawna i pokilkakroć czytałem listy Jakóba Ortiz, nie chciałem więc czytać dalej.

— Pani to pierwszy raz czyta?—spytałem.

— Pierwszy raz.

Chciałem się wywinąć od tego listu z 14 maja, ale nie było możliwości, musiałem go przeczytać. Te wyrazy w języku dźwięcznym, miłym, śpiewnym, pełne uczucia silnego, zaczęły działać na mnie, hamowałem własne myśli, które dolatywały do brzoju ust i zdawały się chcieć wybuchnąć. Zacząłem tylko:

«*Si Lorenzo odilo — la mia bocca e umida ancora di un bacio di Teresa...*»

Irena ze spuszczoną głową robiła robotę i przeskoczyłem do drugiego listu tejże daty.

«*O quante volte ho ripigliata la penna, e non ho potuto continuare...*»

— I ja—odezwałem się zamykając książkę—nie mogę iść dalej.

— Pan? cóż to jest?

— Ja—już mi się wyraz dwuznaczny miał z ust wyrwać, jużem miał powiedzieć, że przy niej to czytać zimno, gdy w sercu się burzy, niepodobna; ale się powstrzymałem.

— Czemuż?—spytała znowu.

— Bo—nie chcę, to nudne!—zawolałem—będę pani czytał co innego.

— Ale kiedy ja lubię Ortiza.

— Ja go nie lubię — długi, jednostajny; przynajmniej przetrzuciemy kart kilka.

Ruszyła ramionami.

— Widzę — dodała—że pan jesteś niesłyszany

skromniś; wiem przecie, że Ortiz miał usta zwilżone pocałunkiem Teressy; czytajmyż opisanie tej chwili, ciekawa jestem pod względem artystycznym: to rzecz tak trudna schwycić uczucie na papier, a wiezić je w słowa.

— Al pani jesteś zimna jak lód—przerwałem—pani całą tę książkę uczucia sądzisz ze stanowiska sztuki,—on wygnaniec, ją przecież pisał sercem!

— Myślisz pan—spytała chłodno — pan sądzisz, że się pisze sercem?

— Dlaczegoż nie!

— Bo kto czuje, nie pisze; co najwięcej, wyrazy uczucia są tylko jego wspomnieniem. Kto siadł pisać, ten już przebolewał i przeczul.

Zamilkłem przerzucając karty książki.

— Pod względem sztuki—dodałem—Ortiz nie dochodzi Wertera.

— Wertera pisał arcy mistrz, co nigdy nie czując (dowodem życie tego Jupitera), doskonale znał anatomią uczucia, jak Cuvier, co nie widział mastodontów a prawa ich organizacyi odgadł.

— Godzisz się tak surowo sądzić tego, co stworzył kochankę Fausta?

— Godzi się, bo życie pisarza to kamień probierczy.

— Nie pani: dwa zdaje mi się są życia w życiu poety, jedno powszednie, drugie odświeżone; często je dzieli cały świat sprzeczności, dwóch ludzi zamyka się w jednym—poeta nie może być natchniony całe życie.

— Iskra choć przygasła zostaje w nim ciągle.

— Poruszyliśmy zbyt wielkie pytanie.

Po chwili dodała uparcie:

— Czytaj pan dalej.

Mnie już książka z rąk wypadła, patrzałem na nią oczyma, jakimi spoglądał Jakób na Teresę, ale miłość jeszcze bojaźliwa, jeszcze nie pewna co ją spotka, gdyby na jaw wyjść śmiała: bała się zlecieć na usta. Oczy ją tylko tłumaczyły może. Uczulem, że trzeba było uciekać lub wszystko w jednym słowie odważyć.

Irena spoglądała na mnie z jakimś wyrazem czarującym, potężnym, który zdawał się pociągać z duszy tajemnicę moją.

Nieprzytomny prawie porwałem za kapelusz.

— A to dokąd?—spytała.

— Ja? nie wiem—(nie wiem co odpowiedziałem, ale rzuciłem znowu kapelusz jakem go był wziął machinalnie i usiadłem opodal na krześle).

— Co panu jest?

Zrozpaczony, pomyślałem błyskawicą! Powiem jej wszystko, a potem pojedę—pojadę—ucieknę.

— Pani się mnie pytasz?—odparłem z gorączkowym niepokojem. Rok jak na panią patrzę, rok jak cierpię, milczę—to dosyć, to nadto może. Niech mnie posądzą jak chcą, niech co chcą powiedzą, wreszcie z pogardą odtrąć mnie pani.

Irena była widocznie pomieszana, mnie głos zamierał na ustach, czulem com ważył, chciałem dokończyć: nie umiałem.

— Czyż zadziwię panią, gdy mi się nareszcie wyrwie uciskające mnie słowo—Kocham!

Zbliżyłem się do niej żywo: milczała, podniosła oczy pełne wyrazu, patrzała na mnie długo, długo, długo i wreszcie podała mi rękę drżącą.

To było więcej niż szczęście, to była chwila niema, na której opis nie ma wyrazów, i któżby śmiał ją opisywać? Jej ręka drżąca w mojej dłoni—byłoby jakby ślub w oczach Boga; bo kobieta tak jak ona, nie podałaby jej nie wiążąc się na życie całe.

Nie wiem jak długo siedzieliśmy, ona na kanapie, ja przy niej na krześle w uroczystym, pełnym zachwytu milczeniu. Nakoniec wstała zamyślona i słabym głosem zwracając się do mnie spytała:

— Mogeż ci wierzyć? Miałabyś dla chwilowego, lekkiego uczucia, zrobić sobie igraszkę z całego życia kobiety?

Nie umiałem i na to odpowiedzieć, przysięga byłaby jej uwłaczała i mnie; ale widziała z oczów, z kilku próżnych słów tłumnie do ust się cisnących, że nie kłamał, że czułem.

Odjechałem pijany, szalony; piszę jeszcze w gorączce, zapewne to list ostatni — szczęśliwi nie piszą. Bądź zdrow.

Jerzy.



IRENA DO MISS F. WILLBY.

Rumiana, 11 listopada 18...

Z góry cię proszę, nie dziwuj się długości tego listu kochana Faniu; wiele a wiele rzeczy mam ci donieść: chcę, żebyś wszystko wiedziała, chcę, żebyś tam przeczytawszy moje dzieje, mogła wstąpić życzliwie za mną. Rozumiem potęgę błogosławieństwa i siłę życzeń przyjaznych.

W ostatnim liście (1) donosiłam ci, zdaje mi się, że wszystko jeszcze było na dawnym stopie. Mój opiekun chociaż poprzestał już gwałtownie się sprzeciwiać wszelkiemu staraniu Jerzego (a śladu jego nie było i domyślał się tylko z trafnością przywiązania), niemniej zawsze jeszcze korzystał z każdej zręczności, żeby mnie zastraszać przyszłością. W końcu widać, że zwrócił uwagę na niego baczniejszą i sam począł innego o nim nabiierać przekonania; zmiekczonego trochę, milezał. Raz nawet gdyśmy o nim mówili, odezwał się:

— Już ci inaczej i dziś nie powiem, tylko, że szalała; no, ale grunt jest, charakter jest—krew poczciwa. Zresztą co on tam winien, że sierota puszczony samopas, szedł gdzie go oczy wiodły.

— Chwała Bogu, sam pan go już uniewinniasz.

— Ale ja go nie uniewinniam wcale! o nie! mylisz się moja panno! Szalała, trzpiot, no, ale cóż robić: trzeba go brać jak jest.

— Mówisz pan, że go potrzeba brać?—spytałam ze śmiechem. Stary się przeląkł.

— Owszem, owszem, nie potrzeba go brać! na co go brać, niech go sobie kaci biorą!

Spojrzał na mnie, jam się uśmiechała.

— A co—rzekł—może gdym ja marszałkował i procesował się, on się sobie chłodkiem oświadczył?

— On nie, ja mu się chyba oświadcze: nie widzę innego sposobu.

— To do tego już przyszło!

Stary ręce załamał.

— Panie Koniuszy, on mnie kocho.

— A ba! wielka osobliwość! co dziwnego!

— I ja go kocho.

Chwycił się za głowę, pobiegł, wrócił!

— Nie strasz mnie—doprawdy?

— Ja go kocho—powtórzyłam.

— Teraz tylko pozostaje—rzekł gorzko—pojechać pani do Zapadlisk i oświadczyć mu się; a potem zająć się po niego karetą i zabrać go do Rumianej! Slicznie! slicznie!

— No! a gdyby do tego przyszło?

— Ale to szaleństwo.

— Nazwij jak chcesz.

— Przynajmniej już czekaj, żeby ci się sam oświadczył.

— Zdaje mi się, że tak nieośmielony, iż się tego nigdy nie doczekam.

— On! nieośmielony! dzieciątko! biedaczek!

— Słowa mi nigdy nie powiedział.

— Kalkulacya niezła! sztuczka cygańska!

— A godziż się tak sądzić?

— Ja nie sądzę, ja się boję.

— A Bóg?

— E! mōscia panno, strzeżonego Pan Bóg strzeże, a ja jestem opiekunem i nie chcę być malowazym. Ulituj się przynajmniej, nie rób wstydu, czekaj.

— Będę więc czekała.

Pocałował mnie w rękę.

— Ale gdy przyjdziemy do tego, tatku mój nie będziesz przeciwny?

Stary pomyślał jeszcze.

— Albo ty ze mną nie zrobisz zawsze co-zechcesz? Oj, gdybym ja miał więcej charakteru i mocy nad sobą, nigdybym na to nie powinien pozwolić.

Po rozmowie wymknął mi się i jak się sam zaraz przyznał, pojechał spiesźnie do Zapadlisk. Tam całym staraniem jego było wmówić w Jerzego, że ja nie mam i nigdy nie miałam uczucia; że kilku oświadcających się odprawilam szydersko i nielitościwie; że cała żyję głową; że zimna i niezbadana, odstręczając go od wszelkiej próby oświadczenia. Wszystko to było niepotrzebne, bo Jerzy do mnie nigdy nie miał nadto odwagi. Zbliżyła się wreszcie chwila dla mnie wielka i stanowcza. Byłam chora trochę, Jerzy przyjechał. Lacka jak zawsze ustąpiła, żeby nie być świadkiem naszej rozmowy, która ją drażniła do niecierpliwości. Kazałam mu czytać: na stole jakby umyślnie, szczególnym trafem leżał Jakób Ortiz. Ty znasz listy Ortiza? wszakże Foscolo wydał je podobno pierwszy raz w Londynie? Kazałam, czytał, i gdy przyszło do obrazu sceny namiętnej między Teresą i Jakóbem, zawahał się i przestał.

Próżno nalegała, nie chciał czytać dalej; był wzruszony, widziałam to; podbudzone czytaniem uczucie z ust mu się wyrwało. Może też i ja niecierpliwa wyprowadziłam go na wyznanie, które się stało koniecznością, a którego się lękał. Przemówił nareszcie: nie miałam siły i słów, by mu odpowiedzieć; podałam rękę w milczeniu i nie otwierając ust, siedzieliśmy długo, mówiąc oczyma tylko.

On mnie kochał! uczulabym gdyby kłamał: jakiś wyraz, półsłówko, skinienie zdradziłoby udawanie i zraniło mnie boleśnie—on mnie kocha! A ja! na cóż to mam pisać: kocham go pewnie nie mniej, gorąco—na zawsze. — Pisząc ten wyraz, zamgliło mi w oczach, tyle razy w życiu człowiek pisze: na zawsze!—a zawsze jego bywa tak krótkie! Smutno, tęskno, straszno, nawet w proggu szczęścia!

Nie widzieliśmy się następnego dnia, aż do późna nie przyjechał, jam na niego czekała. Ledwie wieczorem wytłumaczyło mi się to przybyciem Koniuszego z nim razem. Stary, cały dzień gościł w Zapadliskach, ale o wczorajszym dniu nic nie wiedział. Zobaczywszy mnie idącą na powitanie z twarzą wesołą i swobodną, Koniuszy, który mi zawsze wyrzucał od roku jakiś smutek i tęsknotę, popatrzał na mnie, na Jerzego i domyśleć się musiał wszystkiego. W istocie byłam promieniejącą, szczę-

(1) Listu tego kopii nie mamy.

śliwą, odmłodzoną, a bez przyczyny nie mogłam zmienić się tak nagle. Szepnął mi zaraz stary na stronie:

— A co, pewnie już po oświadczeniu?
— Zgadnij pan?— spytałem żartobliwie.
— Tyś mu się gotowa była jeszcze sama narzucić!— rzekł chmurząc brwi.

— Ja? nie.
— Więc on! śmiałek! tegom się nie spodziewałem!
Trochę smutku, trochę zazdrości odmalowało się na jego twarzy.

— To on mi ciebie zabierze— rzekł— to ty mnie kochać nie będziesz! On się jeszcze gniewa na mnie, jam mu tak dokuczył.

— Panie Jerzy— zawołałam— wszak prawda, że kochasz pana Koniuszego i żalu do niego nie masz.
Jerzy zmienił się na to nagle pytanie.

— Ja? któżby wątpił, że dziada nie szanuję, a żalu nie mam i mieć nie mogę.

— Bodaj ty tak zdrów był— wstrząsając głową odpowiedział Koniuszy— a tożem ci sadła za skórę zalał co się zowie. No; ale teraz wszystko zapomniane, przepadło? nieprawdaż!

— Jako teraz?— spytał Jerzy.
— Alboż to ty myślisz, że ja nic nie wiem!

I stary mój poczciwy Nemrod miał lzy w oczach.
— Słuchaj chłopcze— rzekł z powagą— Bóg tak chciał, stało się, jużbym napróżno głowę łamał, żeby to rozerwać, co On związał: widać takie było przeznaczenie wasze. Ale pamiętaj, pamiętaj, to nie są płoche żarty! Bóg ci daje aniola nie kobietę, rozumną, odważną, piękną, dobrą, (excusez du peu). Jeśli ty się nie postarasz być jej godnym, no, to wiesz: jeśli ty jej nie uczynisz szczęśliwą, jak Bóg Bogiem i jak mnie widzisz żywego, pamiętaj, że ja się pomszczę, o! pomszczę bez litości!

Pocałował go w ramię, uściskali się i Koniuszy zapłakał; siadł potem u stolika i zamyślił się smutnie.

Żal mi było patrzeć na niego, tak mojemu szczęściu nie dowierzał, tak mi je psuł swoją bojaźnią, tak mu ono jakoś ciążyło. Widząc nas szczęśliwych sobą, zazdrościł Jerzemu. Biedny stary! jam mu tyle winna!

Wieczorem mieliśmy gości, dwóch Grabów, Kapitana i kilka jeszcze osób. Kapitan, który wiecznie z Koniuszym wojuje i świeżo odciał mu kawałek drogiego lasu, przy którym się utrzymał; jako mój krewny dowiedział się pierwszy, żeśmy już sobie z Jerzym dali słowo.

Z najpocieszniejszą miną poszedł natychmiast wieszować panu Koniuszemu: widziałam ich już połączonych po procesie, ściskających się, prawiących sobie grzeczności, sypiących nieznośnym dobrodziejem, całujących nogi, unizających się do stopek, a Koniuszego aż tupiącego ze złości, tak go te powinszowania niecierpliwiły. Kapitan, nie litościwy cały wieczór mówił mi o przyszłym naszym szczęściu w sposób najbardziej drażniący.

Umówiliśmy się o wszystko.
Nie będziemy czekali na przybory weselne, nie będziemy spraszać świadków naszego szczęścia: Koniuszy, poczciwy Graba i pan Kapitan, wystarczą. Ślub odbędzie się pocichu w naszej domowej kaplicy; potem pojedziemy do W. Polski na grób jego rodziców, prosić ich błogosławieństwa. Śąsiedztwo spodziewając się szumnego wesela bardzo się biedne omyli— cóż robić? Nie mogłam nigdy pojąć weseli szumnych i wrzawnych: człowiek za tym gwarem sam swego serca nie słyszy. Zresztą, na

cóż z siebie, w tak uroczystej chwili, robić widowisko dla obojętnych?

Nie kończę listu, Jerzy nadjechał, przerywam go tylko.

D. 13 listopada....

Posłuchaj jeszcze choć już nie mojej historii: Jerzy mi ją opowiadał.

Był u Graby, gdy nadjechał bryczką swoją Koniuszy z minką złośliwie uśmiechniętą i tajemniczą.

— A co sąsiedzie— spytał w ganku— gdzie to syn pański?

— Mój syn, zdaje mi się, że na polowaniu— odpowiedział gospodarz.

— Pewnie na polowaniu?
— Tak mi się zdaje.

— Niebardzo to pora do myśliwstwa. A pan masz trochę czasu dla mnie?

— Jestem na usługi.
— Może pan ze mną pojechać tak o mil parę?

— Dlaczegoż nie?

Odwrócił się tylko ku Jerzemu. Ale pan Jerzy?

— Ja wracam do Zapadlisk zaraz.

— Nie, pan Jerzy pojedzie z nami— rzekł Koniuszy.

— Dokądżeto?
— O! a zaraz ciekawość, dowiecie się dokąd. No, a gdyby do Zamalinnego? odwiedzić poczciwych Suminów.

— Chętnie— odezwali się obydwaj i pojechali.
Podróż ta pachła czemś tajemniczym. Koniuszy zaciągając ręce milczał i wyglądał rychło dojadą; już dwurek i dziedziczyk widać było, gdy wychylając się z powozu wskazał staremu Grabie konia przywiązane do płota.

— Coś to naksztalt sarneczki pana Jana (tak zowie się jego wierzchowa).

— W istocie— seryo odparł Graba— to sarneczka.

— Cóżby tu pan Jan robił?— spytał śmiejąc się Koniuszy.

— A cóż— zinnno odpowiedział ojciec— może jak my odwiedza Suminów.

— A nawet podobno często, gęsto, kochany sąsiedzie.

— Nic dziwnego: to bardzo poczciwi ludzie.
Koniuszy, który sądził, że to niesłychanie zdziwi pana Grabę, gdy pod ubozuchną strzechą zastanie syna, zawiedzionym się widząc, zamilkł. Cicho zajęchali przed ganek, wysiedli. Koniuszy idąc na palcach, wiodąc za sobą starego Grabę, wszedł do bawialnego pokoju.

Staruszka matka Suminów drzemała z pończochą w ręku na krześle siedząc, panna Julia jej córka robiła w krosnach przy oknie, Jan Graba stał za nią i czytał głośno. Nic dziwnego, że przyjeżdżających nie posłyszeli!

Koniuszy wskazał ręką ojcu tę parę jakby pytał:
— A co?

Ojciec uśmiechnął się tylko; ale już w saloniku wszystko się z miejsca ruszyło. Staruszka z wykrzykiem: «A Jezus Maryja! p. Koniuszy!» chwyciła się z poduszki; Jan odskoczył zacerwieniony, panna ledwie się ukloniwszy, uciekla.

Powoli jednak wszystko przyszło do porządku i choć znać było pomieszanie na twarzach, wesole oblicze poczciwego Graby najstraszniejszej tu postaci, dodawało serca. Koniuszy sądząc, że ojcu potrzeba jasno bardzo pokazać jaki stosunek syna jego łączy ze szlacheckim domkiem, ciągle prześladował Jana panną Julią: Julią panem Janem. Gra-

ba jakby nie widział, jakby nie słyszał, wesół i swobodny rozmawiał o gospodarstwie z gospodarzem, który nadbiegł z panią Teresą, o genealogii rodzin obojgu im znanych, z pannami o kwiatach. Julia bojaźliwe, łzawe, przestraszone wejrzenie spłoszonego stworzenia rzucała na niego zdając się błagać o litość: syn był smutny ale spokojny.

Już prawie odjeżdżać mieli, i powstawali z krzesel, gdy stary Graba zbliżył się do pani Teresy, z ciężkością dźwigającą się z krzesła dla pożegnania go.

— Nie przybyłem tu—odezwał się—z odwiedzina mi tylko do państwa, ale w interesie i w ważnym bardzo.

Wszyscy pobledli, Koniuszy usta zagryzł: czekał.

— Uprosiłem pana Koniuszego, ażeby razem ze mną przybył uroczyste prosić o rękę córki pani, dla syna mojego Jana!

Staruszka nie mogła nic powiedzieć, uszom nie wierzyła, załamała ręce i upadła na krzesło.

— Tak jest, pani—mówił Graba—oddawna wiem o jego przywiązaniu do panny Julii; wiem, że państwo staraliście się, uważając związek między nimi za niepodobny prawie, grzecznie dać do zrozumienia memu Janowi, żeby u nich bywać poprzestał; wiem, że Jan wytrwał cierpliwie i stale, że kocha pannę Julię, i że ze wszech miar szczęśliwy z nią będzie; wiem wszystko i proszę o rękę córki pani dla Jana.

Któż odmaluje zadziwienie Koniuszego, radość poczciwej ubogiej rodziny i uczucie z jakim syn rzucił się ojcu na szyję, a staruszce do nóg.

Ubodzy Suminowie brali tę osobliwszą rzeczywistość za sen i płakali z radości, Julia osłabła, Koniuszy przebywszy chwilę osłupienia, gdyż nigdy takiego nie spodziewał się końca, silnie za rękę chwycił Grabę i szepnął.

— Do kroćset diabłów, zażyłeś mnie z mańki! Niech ci Bóg zapłaci!

Słowem, była to scena dramatyczna, a Jerzy co był jej świadkiem, nie mógł mi się dość naopowiadać o niej.

Późno w nocy odjechali, a Koniuszy w drodze spytał Graby:

— To pan o wszystkim wiedziałeś?

— Wiedziałem panie: naprzód, że syn mój wiele się nie taił z tém; powtóre, że najpilniejszą zwracałem na niego bacność. Staralem się poznać Suminów, i przekonawszy się, że panna Julia choć uboga, warta mego Jana, gotowałem się oddawna skończyć błogosławieństwem rozpoczęte staranie.

— A coto jegomościna żona powie na to?—rzekł Koniuszy śmiejąc się.

Graba westchnął.—Syn ją uprosi—odpowiedział cicho.

— At tandem wątpię.

Daruj mi kochana Faniu, że zamiast listu posyłam ci nieforemną scenę powieści, ale mnie ona z wielu względów zajmowała: musiałam się nią z tobą podzielić.

Na jutro zaproszeni jesteśmy wszyscy do Turzój Góry; bądź zdrowa, idę się przygotować do wyjazdu, a posłaniec na pocztę odchodzi: twoja

Irena.

JERZY DO EDMUNDA.

I szczęśliwi piszą czasem, kochany Munciu; nie obiecywałem ci listów więcej i spodziewałem się zamilknąć niedokuczając ci więcej naszą historią, która cię tak znudziła; ale nałóg to druga natura, skusiła mnie, nawykłem już donosić ci o sobie. Wiédz zatem, że za parę tygodni ślub mój z Ireną odbędzie się cicho, w kaplicy domowej, przy kilku tylko świadkach; po ślubie zaraz jedziemy na czas do Wielkiej Polski do mojego niegdyś, dziś wykupionego przez dziada majątku, który...

Ale posłuchaj od początku: musisz choćby cię dławik, list ten jeszcze tylko przelknąć.

Ja, Irena i kilka osób jeszcze, zaproszeni byliśmy do Turzój Góry; nie wiedziałem wcale co to zaproszenie znaczyć miało, lecz dojeżdżając do dworu domyśliłem się jakiejs uroczystości po powozach stojących w dziedzińcu i po ruchu wkoło domu. Ze starej kuchni dymiło ogromnie. Malcowski był we fraku; poznałem przed wozownią stojący powóz mojej pani i żywo wbiegłem do pokoju.

Koniuszy w granatowym garniturze od wielkich uroczystości, w palonych butach z kutasami, świeżo ogolony, powitał mnie szczerym, wesółym uściskiem. Salka pełna była jak nigdy.

Wszyscy Suminowie z Zamalinnego, nie wyjmując nikogo przybyli; jedno tylko najmniejsze dziecko, przy niańce zostać musiało w domu. Ledwie poznał poczciwego Sumina tak był wyfrakowany i usilnie wystrojony, a tak mu z tém było nie do twarzy! Pani Teressa siedziała w wielkim krzesle, tłumacząc pani Lackiej roztargnionej i znudzonej jak zawsze, procedencją Suminów i kolligacje ich z różnemi senatorskimi domami. Lacka patrzyła na muchy chodzące po suficie.... staruszka nie zważając na to, puszczała się w genealogiczne odmetry.

Dzieci bawily się z psami, starsze panienki biédne i zaczerwienione szeptały w kąciku. Julia tylko siedziała weselsza i śmielsza przy Irenie, która pieściła Władzia trzymając go na kolanach. Ten jej rozповідаł odważnie o jabłoni, o hustawce i ogródku w Zamalinnem.

Graba rozprawiał z panem Suminem o roli i jej uprawie; Kapitan coś kwaśny, tylko ruszał ramionami i zaproszony nie wiedział co zrobić z sobą, bo Koniuszy był w dobrym humorze, a nie miał mu go czém popsuć i posprzeczać się grzecznie, nie wiedział sposobu.

Dano obiad: przy obiedzie, gdy wszyscy byli razem w salce, wszedł uroczyste Koniuszy z kimś drugim nieznanym, ale potężnie kancelaryą i piórem tchnącym. Zabrawszy głos, prosił nas o wysłuchanie swego—testamentu.

Irena rzuciła się do starego prosząc go, żeby nam tak smutno, dnia tak wesóło rozpoczętego, nie kończył; ale Koniuszy zwołna ją odtrącił, pocałowałwszy w czoło i kazał czytać.

Oto rozporządzenia poczciwego dziada.

Turzo-Górszczyzna podzielona na dwoje, dostaje się w połowie Irenie, w połowie ubogim Suminom, którzy słysząc to a nie spodziewając się wcale, wszyscy staremu do nóg popadali: Jan tylko prędko wstał i podając mi rękę, rzekł:

— Ty byłeś bogaty i potrzebujesz więcej ode mnie, tém co nam dziad ofiaruje, podzielę się z tobą.

— Ot jest! jaka gorączka—krzyknął pan Koniuszy—daj wacpan pokój, będzie on miał dosyć, nie szastaj a słuchaj.

W milczeniu uściskałem Jana, a dziad ocierając zwilgocone oczy wymknął się i nie powrócił aż gdy przyszło do summy na dobrach W. Polskich mnie zapisanej.

Oparłem się i nie chciałem przyjąć zapisu, ale dziad z zaognionem okiem porwał mnie za rękę, ucisnął ją do bolu i szepnął:

— Słuchajno, to już nie punkt honoru, ale upór nie do rzeczy. Wiem, że możesz tego nie potrzebować, ale ja tego chcę. Zamilkłem, obiecując sobie jednak biedniejszym Suminom powrócić tę stratę. Irena także nie zechce pewnie przyjąć tej połowy Turzo-Górszczyzny! ale dziś staremu o tém ani mówić. Koniuszy pokładł w zapisach nam uczynionych za warunek; żebyśmy mieszkali przy nim, dając tylko pozwolenie odbycia podróży do W. Polski.

Trzeba go było widzieć dnia tego, jaki był rad, gdy się już ze mną całkiem pogodził, jak prawil o myślistwie, jak pił i zapraszał drugich, jak co chwila całował ręce Ireny. Trzeba też było widzieć twarze tych pocziwych a dziś szczęśliwych Suminów, którzy z ubóstwa przechodzą do dostatku; bo skutkiem rozporządzenia dziada, część Turzój-Góry, którą im przeznaczył, obejmują natychmiast w swój zarząd. Jan dobry gospodarz, ja już stary, niech sobie bierze co jego, ja tylko wymawiam polowanie w lasach i ludzi do obławy choćby we źniwo.

— Jakto, we źniwo?—naiwnie spytał Jan.

— A co myślisz? he?—spytał sapiąc Koniuszy—ot tak! choćby we źniwo! Ty sobie zresztą rób co chcesz, a ja muszę mieć polowanie i dosyć. Stara Teressa trąciła syna w rękę, bo gotów był zabiegły gospodarz turbować się o te łowy w gospodarski czas.

Kapitan wysłuchał czytania testamentu do samego końca, ruszył ramionami i pojechał do domu, nie pożegnawszy się z nikim. Graba z synem pozostał, a wieczorem Koniuszy siadając przy nas, śmiejąc się i oglądając dokoła, rzekł klepiąc mnie po kolanie:

— No! dzięki Bogu, że to się wszystko skończyło, aleś mi waść panie Jerzy tegiego Piotra napełdził! Ha! Pamiętasz jak się ja waści pozbywałem z Turzój Góry, a tu ani sposobu; jakbym przeczuwał, że mi zabierzesz Irenę. Ale niech mnie teraz Cygan sądzi: świstun, marnotrawca, szalun, ciarki poszły po skórze, a nuż wpadnie w oko? na biędę nie wiele potrzeba—to do kroć sto tysięcy zajęcy jeszcze człowiek będzie miał na sumieniu. Przyznaj się teraz szczerze Jurku, musiałeś mnie nienawidzić?

— Nie, ale w sercu żal miałem.

— I masz?

— Dziś? za cóż?

— No pamiętaj! I uściskał mnie powtarzając:

— Dobrze, że to się wszystko skończyło, jeszcze mrowie chodzi po mnie, a daj Boże na dobre!

Spędziliśmy wieczór rozkosznie, otworzono przyległe pokoje, w których zwykle stała Irena, gdy przyjeżdżała do Turzój Góry; znalazł się fortepian,

bo Koniuszy myślał, żeby i na chwilę u niego nie jęj nie zabrakło do czego była przywykła. Irena grała nam i dzieciom do późna.

Suminowie ze swém naiwnem uwielbieniem dla niej, rozczulali mnie bardzo i śmieszyli troszeczkę. Ale któżby duszy jaka się maluje we wszystko co czyni, nie ocenil, nie uwielbiał. Ona nie należy wecale do tych tuzinkowych pianetek salonowych, co grają trudne sztuczki Thalberga i Liszta z łatwością i con brio na zamydlenie uszów nieukom; gra z uczuciem i najwięcej starych mistrzów. Na piękności ich dzieł i prości poznają się ludzie, boto muzyka wielka, co z duszy wypłynęła: takich wieczorów mało jest w życiu!

Siedliśmy potem we czworo w kątku, ja, ona, Jan i Julia i mówiliśmy długo, pierwszy raz tak poufale i tak wśród tłumu wyosobnieni. Ja nie kocham jęj, nie—ja ją wielbię, to coś wyższego nad kobietę, to anioł, który się zsunął na ziemię na promyku słońca i mnie się dostał! Czym go wart? Nie! nie! tysiąc było godniejszych, ale nikt pewnieby jęj mocniej, z większem poświęceniem się nie ukochał, niktby jęj tak nie pojął i nie ocenil jak ja. Edmundzie! przyszy, ostatni list napiszę po ślubie.

Twój

Jerzy.

XXIV.

Turza Góra, d. 27 grudnia 18....

Przepędzamy tu z żoną święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok nadchodzi, chcę ci go powinszować. Nie mogę długo: przyjm tylko szczere życzenia moje. Od kilku tygodni ona moją, i codzień budząc się ze snu, muszę sobie przypomnieć pilnie, że to prawda, że to nie marzenie; niepojęte jest szczęście moje i tak nie śmiem mu wierzyć. Bądź zdrów drogi Edmundzie, nie pisz do mnie, już ci odpisać nie będę miał czasu: każda chwila tak droga! Twój,

Jerzy.

EPILOG.

Pozostaje nam wedle przyjętego zwyczaju, dopełnić powieści, wskazując dalsze losy tych osób, które w niej poznali czytelnicy. Najłatwiejby zamknąć zakończeniem starych bajek: żyli długo, szczęśliwie i mieli wiele dzieci; ale dziś to już nie uchodzi.

Powiedzmy więc kilka słów o każdym.

Grabę, sąsiedzi nie przestali nazywać dziwakiem; on ze swęj strony nie przestał zasługiwać na to nazwisko i stale idąc do celu, nie poświęcił przekonania swego, łakomiej dla drugich popularności. Syn jego poszedł w ślady ojca, a małżeństwo z Julią Sumin jest jednym z tych fenomenalnych związków, które nie obiecują wątku do plotek dla sąsiadów dostarczać. Żona pana Graby wyjechała za granicę, bawi we Florencyi, córkę wydała za jakiegoś gołę włoskie książątka.

Kapitan siedzi w Kurzyłówce, rozmyślając czemby mógł dokuczyć Koniuszemu, którego jak zawsze ścisca i jak zawsze nienawidzi. Koniuszy nie-

mniej gorliwie zasiada się na Kapitana, ale rady sobie dać nie mogą. Proces o Zajamie skończył się kompromisem: ostep przeszedł we władanie dziedzica, a co Koniuszy krwi sobie popsuł a Kapitan sarn nastrzelał, to przy nich zostało. Teraz przygotowuje się nowy spór: o zalanie łąk Kurzyłowieckich przez podniesienie grobel w Turzėj Górze. A że oprócz tego została zapaśna kwestya o sukcesyą, która przypadala na Irenę z czasu opieki pana Koniuszego; Kapitanowi nie zabraknie sposobów niecierpliwienia starego poleskiego Nemroda. Niedawno odmówił mu leśniczego, który doskonale wabił wilki, za co Koniuszy się wścieka, ale cóż poradzić? Kapitan bije się w piersi, ścisła, całuje, i za każdą psotą wyrządzoną tak potulną przybiera minę, że trzeba plunąć i porzucić.

Ślub Ireny i Jerzego odbył się cicho w Rumianej. Przepędziwszy czas jakiś w Turzėj Górze pojechali do W. Polski; za powrotem zamieszkał przy nich Koniuszy, mając tylko niekiedy odwiedzać swoje chatkę, jak ją zowie. W Rumianej lasy piękne i niespolowane. Suminowie z Zamalinnego objawszy kilka folwarków z Turzo-Górszczyzny im

wydzielonych, a chcąc na nich gospodarzyć jak niegdyś na swoich kilku chatkach, nieustannie się gryzą i straszliwie męczą. Jan niekiedy do ostatniej niecierpliwości przyprowadzony, myśli o wydzierżawieniu i chce powrócić do Zamalinnego. Ale pani Teresa, z domu Zawilska, zdrowym swym rozsądkiem i nieskończoną ilością przykładów, umie go na drogę wytrwania wprowadzić.

Piotr Dolski powrócił po długiej wędrówce do horodyszczu swojego w Zapadliskach, smutniejszy, dzikszy niż kiedy; czasem odwiedza Jerzego i towarzyszy mu w myśliwskich wycieczkach. Pani Lacka odjechała na Ukrainę i widziano ja ostatniemi czasy w Odessie.

Poznał się Dolski z Koniuszym, znalazłszy w nim łowca wedle serca swego; poprzyjaźnił się z nim bardzo, uwielbiając ten instynkt myśliwski, którym długie włóczęgi i życie w lasach obdarzyły pana Piotra.

Cóż zresztą? domyślicie się może, a i tak boje się, żeby powieść nie wydała się wam zadługą.

Więc....

K O N I E C.

1848—1849.

Gródek—Hubin.



F. 1728

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 73
Tel. 26-68-63

F1724-
-1728